

DOROTA PONIŃSKA

*Romantyczni
w Paryżu*

Wielka literatura i wielka tęsknota...
Polscy emigranci na paryskim bruku

LIRA
WYDAWNICTWO

DOROTA PONIŃSKA

*Romantyczni
w Paryżu*

L  R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2021

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2021
© Copyright by Dorota Ponińska, 2021

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora
Redakcja: Joanna Zioło-Werstler
Korekta: Joanna Dzik
Skład: Klara Perepłyś-Pajak

Projekt okładki: Magdalena Wójcik
Zdjęcie na okładce: © anyka/123rf, © Stockbym/AdobeStock
Zdjęcie Doroty Ponińskiej: © Maciej Zienkiewicz Photography
Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz
Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:
Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz






Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66966-96-3 (EPUB); 978-83-66966-97-0 (MOBI)



www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

Dedykacja

1832

1836

1837

1838

1840

1841

1842

1843

1845

1848

1849

1850–1855

Epilog

Bibliografia

*Dedykuję tę książkę moim Nauczycielom:
tym szkolnym i akademickim,
którzy nauczyli mnie rozumieć i cenić polską kulturę,
oraz tym duchowym, którzy przekazywali mi
zupełnie inną, pozaszkolną wiedzę.*

1832

PROWANSJA, STYCZEŃ 1832

Południowa Francja przywitała ich jaskrawym słońcem i lazurowym niebem, choć to dopiero styczeń. Na okolicznych łąkach widać było suchą, pożółkłą trawę i tylko odległe szczyty gór pokrywała cienka warstwa śniegu. Ich rodzinne ziemie, na Litwie i w Koronie, przysypane były pewnie grubą białą pokrywą. Kiedy będą mogli tam wrócić? Tego nie wiedział nikt.

Wielotygodniowy marsz kolumny polskich emigrantów dobiegał powoli końca. Młodzi żołnierze, podoficerowie i oficerowie – resztki powstańczej armii – docierali właśnie na miejsce swojego przeznaczenia. Był wśród nich Maurycy Kamienicki, trzydziestoletni szlachcic, dawny student Uniwersytetu Wileńskiego.

Podczas walk powstańczych na Litwie, potem w Koronie, awansował do stopnia podchorążego. Teraz, w milczeniu, pokonywał pieszo ostatni odcinek długiej drogi, wciąż ubrany w mundur polskiego wojska, choć już bez broni. Zostawił za sobą wileńską młodość, marzenia o poezji i wolności. Wspomnienie aresztowań i procesu filomatów i filaretów. Zostawił młodą żonę, kilkuletnie dzieci i gospodarowanie w swoim majątku.

W miarę jak powstańcy posuwali się coraz dalej na południowy zachód, tamte litewskie obrazy zdawały się coraz bardziej odległe i coraz mniej rzeczywiste. Wypierały je wspomnienia świeże i tak

nasycone emocjami, że nie sposób ich było odegnąć. Nieproszone, wracały wciąż na jawie i we śnie.

Żelazisty zapach krwi. Przeróżliwe krzyki zagłuszone odgłosem ostrzału artylerii. I kruchość ludzkich ciał rozcinanych z łatwością ostrzami szabel, rozrywanych pociskami, miażdżonych kopytami koni. Wnętrznosci ludzi i zwierząt w grząskim błocie pola bitwy. Oderwane kończyny. Zgruchotane kości nieszczęśników, po których przeleciały pędem konie ciągnące armaty. I dymiąca, czerwona krew wsiąkająca w pobojowisko. Trupi zapach śmierci.

Maurycy od dziecka nie znosił widoku krwi. Mdlał albo wymiotował, gdy tylko poczuł jej zapach. Być może dlatego, że matka po urodzeniu go wykrwawiła się na śmierć. Nigdy nie chciał być żołnierzem. Swój udział w powstaniu traktował jak obowiązek dzielony z kolegami – filaretami. Kiedy jego sąsiad i przyjaciel Ignacy przyjechał do niego z wezwaniem do powstańczego oddziału, nie bardzo wierzył w zwycięstwo nad Rosją. Wierzył raczej w powinność, wspólny obowiązek, lojalność wobec dawnych przyjaciół. A może i w zemstę, rewanz. Uścisnął więc żonę i dzieci i odjechał konno z Ignacym.

Najpierw upoiło go poczucie braterstwa z dawnymi kolegami filaretami i promienistymi, których odnalazł w powstańczych oddziałach. Wzruszały śpiewane przy ogniskach pieśni. Romantyczna poezja, którą kochał, nabierała mocy – mieli wrażenie, że słowo staje się ciałem, a strofy o zemście dodawały im odwagi i wiary w słuszność walki.

Gdy jednak doszło do pierwszego starcia z oddziałem armii generała Iwana Dybicza, rzeczywistość wojny stała się aż nazbyt realna. Poezja gdzieś uleciała, a z nią patos i mistyka. Pozostał instynkt przetrwania i ten zbiorowy szał, bitewny amok. Maurycy poznał ból, samotność i strach postawionych naprzeciw siebie

mężczyzn w mundurach skazanych na zadawanie sobie śmierci. Mógł tylko zabijać lub sam zginąć. Więc zabijał.

A gdy leżał przyczajony w lesie, gotowy biec do ataku na rozkaz, przypomniały mu się słowa Władimira Korsakowa z jednej z wileńskich majówek promienistych. Wtedy świat zdawał się jeszcze miejscem bezpiecznym i przyjaznym, a młody Rosjanin mówił o braterstwie Słowian, o wygaśnięciu waśni między narodami, o pokrewieństwie i przyjaźni. Wobec gotowych do walki polskich i rosyjskich mundurów, bagnatów i armat, na polu bitwy słowa te niosły gorzką ironię, brzmiały jak okrutny żart. Ale w głębi serca Maurycy przyznawał im rację i marzył o braterstwie ludzi zamiast nienawiści, wojen i zabijania.

Więc choć przemierzający francuską ziemię powstańcy milczeli, w ich głowach wciąż tętniły obrazy i głosy z niedalekiej przeszłości. Często pełne grozy. Ale nie tylko. Bo przez wiele tygodni, które upłynęły od kapitulacji, bitewne sceny zostały przysłonięte innymi, dużo przyjemniejszymi i świeższymi wspomnieniami.

Oto, gdy tylko przekroczyli granicę pruską, gdy ich zwarte oddziały pojawiły się w saksońskich miasteczkach, byli entuzjastycznie witani przez mieszkańców. Nazywani „hufcem wolnych bohaterów”. Wiwaty, uroczystości, podejmowanie z honorami, manifestacje poparcia! Braterstwo ludów – teraz naprawdę mogli zaznać tego uczucia, gdy otwierały się przed nimi szeroko drzwi oberż, szynków i prywatnych domów, a także ramiona Saksończyków. Oraz niektórych Saksonek. Byli przyjmowani radośnie, goszczeni z hojnością, otaczani podziwem i szacunkiem. W kolejnych niemieckich i czeskich miasteczkach wydawano na ich cześć bale, organizowano koncerty i komitety powitalne. Zarumienione panny i mężatki chętnie tańczyły

z bohaterami. Słuchały polskich pieśni śpiewanych z animuszem podlewanym winem i podziwem otoczenia. „Hej, kto Polak, na bagnety!” huczące z kilkudziesięciu męskich gardeł zawsze robiło kolosalne wrażenie. W tej atmosferze mieli poczucie, że ludy Europy są ledwie o krok od rewolucji, która zmiecie wszelkie tyranie, i że to oni mogą być iskrą, która przeniesie płomień buntu na zachód i uwolni Europę od despotycznych rządów.

Jednak im dalej na zachód się posuwali, tym entuzjazm witających ich komitetów wydawał się mniejszy. A po przekroczeniu granicy z Francją zanikł prawie zupełnie. Owszem, na rozkaz ministra wojny wciąż witano ich z honorami, ale zazwyczaj były to tylko oficjalne uroczystości, niepoparte życzliwą gościnnością mieszkańców. Przeciwnie – mieli wrażenie, że francuscy oberżyści zdzierają z nich i patrzą podejrzliwie spode łba.

Szli więc teraz w zimowym słońcu, trochę rozczarowani chłodem francuskiego przyjęcia, choć przybyli tu przecież na zaproszenie rządu Ludwika Filipa.

– Popatrz, to chyba tu. Jesteśmy u celu? – zagadnął Maurycego idący obok towarzysza, wskazując głową widoczną z daleka potężną fortecę. Na niewielkim wzniesieniu rozciągał się kompleks średniowiecznych budynków pałacowych, otoczonych wysokim, szerniałym trochę murem.

– Awinion. Dawna siedziba papieży. Tak, to może być tu – potwierdził Maurycy, który dawno temu studiował historię w Wilnie.

– Myślisz, że posiedzimy tu dłużej czy wyślą nas do tej Algierii? – dopytywał żołnierz.

– Mam nadzieję, że nie wyślą. Ja już nie zamierzam być żołnierzem na żadnej wojnie – odparł Maurycy. – Wystarczy mi to,

co widziałem.

– Ja się do Algierii też nie dam wysłać. Ale jeśli w Europie będą inne rewolucje, to przecież to najlepsza droga dla nas do powrotu!

Słońce świeciło jasno, rzucając na szerokie wody rzeki Rodan błyski niczym garść złotych monet. Po chwili zobaczyli stary, kamienny most. Eskortujący ich francuski żołnierz zatrzymał konia. Polski oficer na czele kolumny stanął, podniósł rękę i odwrócił się do nich.

– Koledzy! – zawołał. – Dotarliśmy do kresu naszej wędrówki. Jesteśmy w Awinionie. Tu rząd francuski wyznaczył nam stałe miejsce pobytu. Pamiętajcie, że tylko ten, kto przebywa na stałe w zakładzie, ma prawo do pobierania żołdu. Kto by chciał samowolnie zakład opuścić – na pomoc żadną liczyć nie może. Pamiętajcie, że wciąż jesteśmy żołnierzami. Na razie tu jest nasze schronienie, nasz tymczasowy dom. Ale to nie koniec naszej sprawy! Jeszcze wrócimy w rodzinne strony. Jeszcze Polska nie zginęła!

LONDYN, STYCZEŃ 1832

Odkąd ksiązę Adam Czartoryski przybył do Londynu, obywatel się sam, bez służby, żyjąc w słabo opalonym mieszkanku znalezionym przez Juliana Niemcewicza. Ksiązę pojawił się tu z małym jedynie tłumoczkiem, salwując się ucieczką z Krakowa pełnego rosyjskich żołnierzy, którzy przeszukiwali miasto, by pojmać prezesa powstańczego rządu i rzucić carowi do stóp. W tłumoczku nie było wieczorowego ubrania, więc ksiązę po raz pierwszy w życiu musiał wypożyczyć odpowiedni strój, wybierając się na proszoną kolację do jednego z londyńskich pałaców. Stał teraz samotnie w swoim pokoju i sprawdzał w lustrze, jak leży na nim pożyczony frak, czy

jedwabny fular układa się dobrze i czy całość stroju sprawia zadowalające wrażenie. Jest wprawdzie uchodźcą, uciekinierem, ale wciąż reprezentuje swój kraj, więc musi wyglądać godnie.

Adam Czartoryski obrzucił spojrzeniem swoją sylwetkę w lustrze. Może być, choć nie zachwyca. Zawsze był smukły, ale teraz wyglądał na wychudzonego. Siwe włosy znów się przeredziły. Napięcie wielu ostatnich miesięcy, przeciążenie pracą, niepewność dalszego losu, a także skrywane przed innymi poczucie współodpowiedzialności za klęskę powstania – wszystko to odbiło się na jego twarzy zmęczeniem i wyrazem zniechęcenia. Skończył niedawno sześćdziesiąt dwa lata, ale zdawało się, że w minionym roku postarzał się o dekadę.

Księżę Czartoryski nie zamierzał jednak brać swoich angielskich przyjaciół na litość. Broń Boże! Chciał występować przed nimi jak przywódca dumnego narodu, który powstał w obronie swoich słusznych praw, ale przegrał pod naporem siły i brutalności wroga, wobec zimnej obojętności Europy. I właśnie przekucie tej zimnej obojętności w gorące poparcie było głównym celem działania księcia w Anglii. Także tego wieczoru.

Dwie godziny później Adam Czartoryski siedział w wytwornej jadalni, przy długim stole, w pałacu swoich dawnych znajomych, których w młodości odwiedzał razem z matką. Sala jadalna pełna była rzeźb i posągów przywiezionych przez pana domu z Azji. Bogactwo, stabilność i niezagrożona niczym potęga kolonialnego imperium emanowały z każdego kąta reprezentacyjnego wnętrza. Adamaszkowy biały obrus, najcieńsza porcelana i srebra stołowe przypominały księciu dawne życie. Utracone tylko chwilowo, chciał wierzyć.

Oczy angielskich dam siedzących przy stole błyszcząły w blasku świec i patrzyły na niego ze współczuciem, ale czasem też

z podziwem. Tuż po pierwszym daniu gospodyni, siwowłosa lady w brylantowej kolii i czarnej sukni, uniosła swój kryształowy kieliszek wypełniony szampanem i powiedziała:

– Drodzy państwo, wnieśmy toast za zdrowie i pomyślność naszego polskiego gościa, księcia Adama Czartoryskiego! Oby jego nieszczęsna ojczyzna doczekała lepszych czasów!

Wszyscy unieśli swoje kieliszki i spojrzeli na księcia. Jedni z sympatią, drudzy z obojętnością.

– Serdecznie dziękuję, milady – odpowiedział książę. – Rzeczywiście, moja ojczyzna potrzebuje wsparcia i dobrych życzeń jak chyba nigdy dotąd w naszych dziejach.

– Czy sytuacja naprawdę jest taka trudna? – zapytał z powątpiewaniem w głosie starszy dżentelmen o szpakowatych bokobrodach. – Słyszałem, że car Mikołaj ogłosił amnestię, chce okazać łaskę buntownikom i wzywa ich do powrotu do kraju. Czy więc te tysiące polskich tułaczy nie mogłyby skorzystać z tego i po prostu wrócić do domu?

Książę wypił łyk szampana i odstawił kieliszek. Jakże proste wydają się rozwiązania mieszkańcom wolnych i bezpiecznych państw!

– Byli już tacy, którzy tego spróbowali, sir – odpowiedział. – Owszem, Mikołaj ogłosił amnestię, ale gdy tylko pierwsi chętni wrócili, zaraz ich pogał w głąb Rosji albo do pułków kaukaskich. Słyszałem, że car powiedział któremuś z zachodnich posłów, że Polacy to synonim zdrajców. I tak nas teraz traktuje. Ale jakżeby lud mający dziesięć wieków istnienia wolnego, zdradziecko rozszarpany za to tylko, że pamięta, czym był i do czego ma prawo, za to tylko, że do dawnego chce powrócić, miałby być zdrajcą?

Dama w czarnej sukni zwróciła się do skromnie ubranego mężczyzny siedzącego naprzeciwko niej:

– Pastorze, pan jest podobno blisko gabinetu w Berlinie – a co Berlin na polską rewolucję? Podobno Niemcy witali polskich emigrantów z wielką życzliwością?

Mężczyzna podniósł na nią wzrok, otarł usta serwetką i powiedział:

– Prości ludzie bywają zbyt sentymentalni, księżno. Ale politycy muszą myśleć trzeźwo. Gabinet berliński, choć zachował neutralność, zawsze traktował interes Rosji jak swój własny. – Pastor popatrzył na księcia Adama twardo, niemal wyzywająco. – Postawmy trudną do uwierzenia hipotezę, że Polacy zwyciężyliby Rosjan. Cóż by wówczas nastąpiło? Oto posunęliby się nie tylko po Wielkie Księstwo Poznańskie, ale i po Toruń, i po Gdańsk, bez których Polska nie może się obejść. Znamy charakter Polaków. Oni nigdy obcych monarchów nie uznają za królów własnych, zawsze im się marzy niepodległość zupełna. A przecież Poznań, Gdańsk i Toruń to teraz Prusy! Raz więc na zawsze trzeba temu kres położyć, znieść liberalne ustawy, znieść wszelką pamięć tego, czym byli dawniej. Takie są dziś prawidła polityki.

– Ależ to okrutne, co pan mówi, pastorze, wobec naszego polskiego gościa! – powiedziała jedna z dam.

– O nie, pani. To żadne okrucieństwo. Patrzę tylko na politykę realnie.

Dama zwróciła się bezpośrednio do Czartoryskiego:

– Czy otrzymuje pan wieści z kraju, książe? Czy po zakończeniu powstania sytuacja wróciła do normy?

– To zależy, co zechce pani uważać za normę – odrzekł Adam Czartoryski. – Z pewnością nie jest to norma europejska.

– Co pan ma na myśli?

– Dam pani przykład.

Książe powiódł wzrokiem po zebranych przy stole gościach.

Patrzyli na niego z zaciekawieniem. Dobrze. Mówił dalej głośno, by wszyscy usłyszeli.

– Nie dalej jak wczoraj odebrałem list od mojej kuzynki, księżnej Klementyny z Czartoryskich Sanguszkowej. Pisze mi ona o swoim pierworodnym synu. Ten zacny młodzieniec, książę Roman Sanguszko, był mi znany jako człowiek wielu zalet, wielkiego serca i umysłu. Gdy zmarła jego młoda żona, postanowił przystąpić do rewolucji. Niestety został otoczony przez Moskali i pojmany, gdy jechał sam jeden z meldunkiem. Osadzono go w Kijowie, pozbawiono tytułu książęcego i szlachectwa i jako prostego chłopca skazano na osiedlenie na Syberii i pożegnanie ze światem. Jego ojciec wyłożył fortunę, by syna i dziedzica od tak srogiej kary uwolnić. Gdy posłał błagalne pismo do cara, Mikołaj odebrał je i własną ręką dopisał na wyroku: *pieszkom*. Wysłano go na Sybir osiemnastego grudnia, w dzień imienin Mikołaja. Mówiono w Kijowie, że Mikołaj sam sobie sprawił prezent, posyłając Sanguszkę na Sybir. Roman miał odbyć drogę pieszo, etapami, ze zwykłymi zbrodniarzami, przykuty w czwórkę do żelaznego pręta. Taka podróż trwa pół roku, czasem rok.

Zapadła cisza. Nawet ci obojętni wobec toastu wydawali się poruszeni. Damy słuchały z przejęciem.

– Czy doprawdy nic się nie dało zrobić w jego sprawie? Jak to możliwe, by książę krwi szedł pomiędzy zbrodniarzami? – pytała jedna z nich z niedowierzaniem.

– Tak się składa, że jego matka przebywała przed laty w Berlinie dla kształcenia dzieci – wyjaśniał dalej książę – a tam pruska księżniczka Charlotta Hohenzollern, przyszła rosyjska cesarzowa, przyjaźniła się z jej córką, siostrą Romana. Bywała często w ich domu. Więc teraz księżna Klementyna, chowając dumę do kieszeni, wybrała się w podróż do Petersburga błagać o łaskę dla syna.

Cesarzowa przyjęła ją serdecznie, wspominała młode lata w Berlinie, obiecała wstawić się u męża.

– I co? – wyrwało się którejś damie.

– I nie wskórała nic. Mikołaj pozostał nieugięty, a księżę Roman idzie na mrozie ku śniegom Syberii w kolumnie złoczyńców. Matka jest w rozpacz. Ktoś z Kijowa doniósł jej, że syn po ogłoszeniu wyroku chciał napisać do rodziców pożegnalny list i wyspowiadać się u katolickiego księdza. Odmówiono mu i tego, i tego. Gubernator kijowski miał mu odpowiedzieć: „Zbrodniarze tacy jak ty nie mogą pisać do nikogo. A jako prosty chłop spowiedzi nie potrzebujesz”.

Gdy wybrzmiała już cisza po tej opowieści, a słuchacze zdążyli ochłonąć, księżę usłyszał energiczny męski głos:

– To doprawdy oburzające, by w dziewiętnastym wieku w Europie działy się takie rzeczy! My, mieszkańcy potężnego kraju, który szczyli się swoją wolnością i przestrzeganiem praw, musimy koniecznie coś z tym zrobić! Inaczej będziemy współwinni zbrodni popełnianych na Polakach.

Księżę spojrział w kierunku mówiącego te słowa. Zobaczył młodego mężczyznę o szlachetnych rysach. Jego oburzenie wyglądało na szczere.

– To lord Dudley Coutts Stuart, wig i liberał – szepnęła księżu do ucha pani domu. – Nienawidzi Rosji i absolutyzmu.

– Powinniśmy założyć jakiś komitet poparcia dla prześladowanych Polaków – mówił dalej lord Stuart. – Choćby przeprowadzić zbiórkę pieniężną na rzecz tych nieszczęsnych wygnańców, ofiar rosyjskiego despotyzmu!

– To bardzo szlachetne z pańskiej strony, lordzie, i dziękuję panu za ten gest w imieniu mojego narodu. – Księżę postanowił kuć żelazo, póki gorące. – Pieniądze zawsze się przydadzą naszym

tułaczom. Ale pragnieniem moim jest oddziałać szerzej na brytyjską opinię publiczną, uświadomić ją co do rzeczywistego położenia Polaków. Co by pan powiedział, lordzie, na pomysł utworzenia towarzystwa polsko-angielskiego, o charakterze, powiedzmy, literackim? Takie towarzystwo, poza celami charytatywnymi, mogłoby wpływać na zainteresowanie Anglików sprawą polską.

Lord Stuart przyjął tę propozycję z entuzjazmem.

– Jeśli tylko pan zechce, książę, chętnie wesprę działanie takiego towarzystwa. Sprawa Polska zawsze była mi bliska, a rosyjski despotyzm uważam za zakałę nowoczesnego świata!

Jeden z siedzących przy stole mężczyzn stłumił ziewnięcie, jednak książę je dostrzegł.

– Panowie, chyba nie musimy całego wieczoru poświęcić sprawie Rosji i Polaków? To zbyt depresyjne i nasze panie zaraz się popłaczą! – powiedział mężczyzna. – Czy państwo słyszeli, że wkrótce mają zacząć rozbierać most Londyński?

Uwaga gości odpłynęła w kierunku Tamizy. Ale książę i tak był zadowolony. Gdy po deserze panowie przeszli do biblioteki, by zapalić cygara i wypić trochę whisky, zagadnął lorda Stuarta. Ustalili konkretne kroki zmierzające do powołania Polsko-Brytyjskiego Towarzystwa Literackiego. Zgodzili się co do konieczności przygotowania polskiej debaty w parlamencie brytyjskim.

A na koniec przyjęcia, gdy książę żegnał się z panią domu i dziękował jej za zaproszenie i życzliwość, starsza dama ujęła go za łokieć i powiedziała poufałym tonem:

– To cudownie, że Dudley tak się przejął kłopotami pańskiego kraju. To dobry chłopak i szczerze pragnie pomóc panu i Polsce. Ale niech pan pamięta, książę, że Polska leży zbyt daleko od Anglii. Nie

mamy tam żadnych ważnych interesów. Więc niech pan nie liczy na zbyt wiele. My, Anglicy, jesteśmy bardzo praktyczni.

– Zdaję sobie sprawę z wagi interesów w polityce, milady – odpowiedział książę Adam. – I rozumiem, że własne Indie obchodzą Anglików bardziej niż cudza Polska. Ale to mój kraj i dla mnie ma znaczenie. Co zatem by mi pani radziła?

– Och, mój drogi książę! – Jej oczy śmiały się w delikatnej sieci drobnych zmarszczek. – Wspominam czasem pańską matkę, księżną Izabelę. Ta kobieta umiała czerpać z życia pełnymi garściami! Kochała swój kraj, a jakże, ale kochała też samo życie. Niech pan nie żyje tylko polityką, świat się na niej nie kończy. Niech pan znajdzie radość w życiu także w innych obszarach. Życie jest tego warte. Niech pan uwierzy starej kobiecie.

PARYŻ, STYCZEŃ 1832

Księżna Anna Czartoryska przebywała w Paryżu już od miesiąca i właśnie robiła pranie, z rękawami prostej sukni podwiniętymi powyżej łokci, gdy rozległ się dzwonek. Pani Wolska, piastunka dzieci, zajmowała się Władziem i małą Izą, Hipolit Błotnicki miał lekcje z najstarszym Witoldem, więc Anna wytarła ręce w długi fartuch i poszła otworzyć drzwi. Stał za nimi młody lokaj w wykwintnej liberii, który obrzucił ją poufałym spojrzeniem.

– Mam bilet dla księżnej Czartoryskiej. Czy twoja pani w domu? – zapytał.

– *Sortie* – odpowiedziała bez zająknięcia księżna. – Jaśnie pani wyszła.

– To przekaż jej to, gdy wróci – odparł, podając małą, błękitną kopertę. – To ważne, od księżnej Orleanu!

– Przekażę – odpowiedziała Anna i chciała zamknąć drzwi, ale

młody mężczyzna wpatrywał się w nią uporczywie.

– Którego dnia masz wychodne? Mógłbym ci pokazać Paryż...

– Nie mam wychodnego – odpowiedziała księżna rozbawiona propozycją i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Lokaj przez chwilę wahał się w ciszy, a potem słychać było jego kroki dudniące na schodach.

Księżna położyła kopertę na kuchennym stole i wróciła do prania ubranek dzieci. W ciągu tego paryskiego miesiąca nauczyła się prać i rozpałać w piecu. Wprawdzie przywiozła ze sobą z Galicji jeszcze dwie służące, ale skromne mieszkanie na czwartym piętrze, które znalazła, okazało się zbyt ciasne, by wszystkich pomieścić, a koszty utrzymania dwóch dorosłych osób zbyt obciążały szczupłe zapasy gotówki. Dlatego po tygodniu księżna Anna wyprawiła obie służące z powrotem do Galicji i sama zajęła się gotowaniem, praniem i rozpalaniem w piecu. Często podczas wykonywania tych czynności odbierała listy od znajomych, francuskich arystokratów, kierowane do niej lub do jej męża, z błaganiem, by zechciała przyjąć ofiarowane wsparcie: mieszkanie, powozy czy też czek na pokaźną kwotę. Zawsze odmawiała.

Anna Czartoryska doceniała wyrazy życzliwości i współczucia, jakimi ją zalewano w tej nagłej odmianie losu, bolała też nad zgryzotami i kłopotami, jakie posypały się na głowę jej udręczonego nową sytuacją męża. Ale jednocześnie, choć nie przyznawała się do tego nikomu, to nowe życie, jakiego teraz doświadczała, oprócz pewnych niewygód i niepewności, miało w sobie coś niezmiernie ekscytującego.

Anna miała trzydzieści dwa lata, troje dzieci i status pierwszej damy polskiej emigracji. Czuła się w pełni sił i gotowa była sprostać nowemu życiu, jakie rozpostarły przed nią klęska

powstania i banicja męża. Wprawdzie jej matka, księżna Sapieżyna, wciąż wzywała ją w listach do powrotu i do ratowania rodzinnego majątku, ale Anna uważała, że jej miejsce jest u boku męża. No i kochała Paryż!

Owszem, nagłe ubóstwo było nowym doświadczeniem, ale towarzyszyło mu zupełnie nowe odczucie wolności. Pochylona nad balią z mydlinami księżna wspominała czasy, kiedy nudziła się okropnie, jeżdżąc w Puławach eleganckim koczem zaprzężonym w sześć białych koni, z wystrojonymi forysiami, nie mogąc zażyć żadnej swobody. Teraz uznała, że jest o wiele zabawniej i przyjemniej jeździć po Paryżu incognito zwykłym omnibusem zaprzężonym w dwa gniade konie. Oczywiście jej mąż jest ostoją stronnictwa konserwatywnego i ona zawsze będzie lojalnie go wspierać, ale zarazem czuła, że ten wiecznie podszyty rewolucją Paryż może dać jej więcej wolności, niż dotąd zaznała; że w kraju rodzinnym była oddzielona od świata zasznurowanym ciasno arystokratycznym gorsetem; że tu ten gorset znacznie się poluzował i dzięki temu może swobodniej oddychać.

Ot, choćby wczoraj – wzięła wiklinowy kosz i udała się po zakupy na paryską ulicę. I sama, po raz pierwszy w życiu, wybrała kurę na rosół i warzywa. Kupiła też chleb, ser, masło i ciastka dla dzieci. Może trochę się zadyszała, wdrapując się z koszem na czwarte piętro, ale czuła jednocześnie jakąś dziwną satysfakcję, jakby dotknęła bezpośrednio prawdziwego życia. To było całkiem ekscytujące.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i wypadł z nich na korytarz dziesięcioletni Wicio z gromkim okrzykiem:

- Hura! *Libérté!*
- Czy to już koniec na dziś? – zdziwiła się Anna.
- Nie, to tylko przerwa – wyjaśnił Hipolit Błotnicki, chudy

guwerner, wychodząc za chłopcem z pokoju. – Wicio nie może się skupić na czytaniu tekstu, musi chwilę odpocząć.

– Dobrze zatem, możesz iść do dzieci pobawić się chwilę – powiedziała matka z uśmiechem do najstarszego syna, który z ulgą na twarzy pobiegł do młodszego rodzeństwa.

– I jakże mu idzie nauka, panie Hipolicie? Robi jakie postępy?

Na twarzy guwenera pojawiło się zakłopotanie.

– Księżno, na razie księżę Witold nie przejawia szczególnego zamiłowania do nauk... Staram się go zainteresować a to mitami dawnych Greków, a to historią rzymskich podbojów, a to poezją starożytną i naszą współczesną, ale zdaje się, że w niczym nie znajduje upodobania. Wszystko go nuży...

– Może jeszcze za mały – powiedziała matka – może to przyjdzie z czasem. Niech pan nie niepokoi księcia tymi doniesieniami, dość ma zmartwień. Może Wicio z biegiem lat dojrzeje i stanie się pilniejszy.

– Oczywiście.

– Napije się pan kawy? Kupiłam wczoraj – powiedziała księżna z dumą w głosie, bo także kawę nabyła po raz pierwszy. Zawsze dotąd kawa była pod ręką, zaparzona na usługnie podanej tacy.

– Z przyjemnością, dziękuję.

Księżna znów wytarła ręce i zabrała się do parzenia kawy.

– Wie pan co, panie Hipolicie, pomyślałam sobie, że czas już chyba otworzyć salon, czy raczej salonik, dla rodaków – mówiła, odmierzając porcję kawy i wsypując ją do kawiarki. – Co pan o tym sądzi?

– Ale tutaj? – zapytał zaskoczony Hipolit, rozglądając się po ciasnej kuchence.

– No tak! Osiadło tu już parę polskich rodzin, są Platerowie, jest generał Kniaziewicz. Przecież musimy się trzymać razem!

– To znakomity pomysł, ale... Proszę wybaczyć, księżno, czy mamy na to fundusze?

– No właśnie nie, panie Hipolicie. Dlatego mam do pana prośbę. Przywiozłam tu trochę biżuterii z kraju. Mam perły, od ciotki, których prawie nie noszę. Czy mógłby pan je sprzedać korzystnie gdzieś w Paryżu? Będziemy mieć na jedzenie i na polski wieczór!

– Oczywiście, księżno, mogę się tym zająć... Ale czy książę...

– Książę jest w Londynie, ma ważniejsze sprawy niż pilnowanie moich pereł. Dam je panu po lekcji.

– Oczywiście.

W kuchni rozszedł się aromat wybornej kawy.

– I przy okazji może się pan zastanowi, kogo z wybitniejszych Polaków warto by jeszcze zaprosić poza arystokracją.

– Mickiewicz siedzi w Dreźnie, choć podobno rozmyśla, czy się do Paryża nie przenieść. Słyszałem, że jest w Paryżu Fryderyk Chopin, świetny pianista. Spotkałem też Juliusza Słowackiego – pisze wiersze od dziecka, może ma co nowego...

– Ach, czy to nie ten pański wychowanek z Wilna? Syn pani Bécu? – zapytała Anna, nalewając nauczycielowi gorącą kawę do filiżanki. Anna spędziła w Wilnie część swojego dzieciństwa i młodości, znała dobrze tamtejsze stosunki.

– Tak, to on. – Hipolit uśmiechnął się na to wspomnienie. – Dziękuję, księżno. To był bardzo bystry chłopiec, ale istne diablątko. Potrafił dopiec wszystkim dookoła: siostrze, matce, mnie.

– Cóż, jak pamiętam, stracił ojca wcześnie. A jego matka była dość nerwowa i egzaltowana. Spotkałam ją w Wilnie kilka razy – przypomniała sobie Anna.

– Tak, ale to dobra i wrażliwa kobieta. Bardzo czytana. Kochała syna nad życie i trochę go psuła.

– Och, panie Hipolicie, matki już takie są – uśmiechnęła się księżna. – Sam pan zobaczy, jak się pan kiedyś ożeni. A zatem dobrze, niech przyjdą i Słowacki, i Chopin. Wieczorem wypiszę zaproszenia.

KRZEMIENIEC, STYCZEŃ 1832

Jaka cisza! Styczniowe śniegi pokryły wzgórza i wąwozy Krzemieńca, otulając miasto sennym, apatycznym spokojem. W ciemnościach wczesnego wieczoru tylko gdzieś tam okna świeciły nieśmiałym, przytłumionym światłem. Cóż za różnica w porównaniu z rozświetlonym Wilnem, które w długie karnawałowe noce rozbrzmiewało dzwonkami sań, śmiechem, fortepianową muzyką. Dochodzącymi zewsząd odgłosami wesołej zabawy.

Salomea Bécu primo voto Słowacka siedziała na kanapie w swoim pokoju, w domu rodziców i nie oczekiwała nikogo. Tu chodzono spać wcześnie. W Wilnie w karnawałowy wieczór z pewnością miałyby salon pełen gości – młodzi poeci, profesorskie rodziny, ładne panienki zaprzyjaźnione z córkami, wszyscy bawiliby się znakomicie, podejmowani z pasją przez uroczą gospodynię. Uwielbiała to przecież! Ten gwar, śmiech, muzykę, lekkie rozmowy o nowych książkach, recytowanie wierszy przez wileńskich poetów. Ach, jak mało cenimy szczęśliwy czas, gdy jest z nami. I jak bardzo go brakuje, gdy minie.

Tu, w Krzemieńcu, jest zupełnie inaczej. Owszem, ma krąg życzliwych, zaprzyjaźnionych osób, które odwiedzają ją niekiedy. Zwłaszcza rano. Gdy wolałaby czytać. Wieczorami każdy spieszy do siebie, by zamknąć się w domowym kręgu, usiąść przy stole w świetle lampy i zjeść kolację tylko z najbliższymi. A gdzie jej

najbliżsi?

Żal znów ścisnął jej serce. Odeszli tak prędko! Nim zdążyła się nasycić, nacieszyć życiem, które z nimi wiodła. Które było tak bogate i piękne.

Salomea nie miała jeszcze czterdziestu lat, a już od dawna była podwójną wdową. Obaj jej mężowie, Euzebiusz Słowacki i August Bécu, byli profesorami Uniwersytetu Wileńskiego. Z każdym z nich przeżyła zaledwie sześć lat. Każdemu zawdzięczała kilka pięknych wileńskich lat.

I cóż jej zostało z tego życia? Mężowie w trumnach, dorosłe dzieci gdzieś w świecie, bliscy przyjaciele daleko. Pustka. Wspomnienia. I trochę pamiątek przypominających dawne czasy.

Te pamiątki Salomea lubiła mieć przy sobie. Szczególnie małe dziecinne krzeselko Julka, jego stolik i kanapkę, na której lubił siadywać u jej nóg, gdy czytała mu bajki i wiersze.

A prócz tych mebelków Salomea miała zawsze blisko siebie dwie najcenniejsze pamiątki minionych czasów, które upewniały ją, że to, do czego tak chętnie wracała pamięcią, nie było snem. Dwa wypełnione zapiskami, dedykacjami i poezją sztambuchy z jej młodych lat. Materialny dowód życzliwości i przyjaźni, jakie ją wówczas otaczały.

Salomea przysunęła bliżej świecę i wzięła do ręki pierwszy z nich. Niewielka książeczka była pokryta jasnozielonym jedwabiem, nieco przetartym na rogach. Choć miała ją w rękach już tyle razy, niemal codziennie, wciąż poddawała się wzruszeniu, gdy otwierała ją i patrzyła na pierwszą stronę.

Był tam widoczny dziecięcą ręką wymalowany wazonik z kwiatami i zwieszającymi się trawami, postawiony jakoby na książce. U dołu napis: „Książeczka zrobiona przez Julka, a zapisana przez matkę jego”. Ile mógł mieć lat, kiedy wykonał ten

rysunek? Cztery, może pięć? I tak pięknie dobrał kolory! Czułe serce matki od początku przeczuwało w nim artystę.

Salomea zamknęła oczy, oparła głowę na brzegu kanapy. Jak to możliwe, że czas upłynął tak szybko? Jak to się stało, że jej mały Julek, jej najukochańszy skarb, stał się już dorosłym mężczyzną, który żyje sam, tak daleko od niej, w odległym Paryżu? Gdy się rodził, była przekonana, że będzie należał do niej na zawsze!

I wtedy, w ciszy zimowej krzemienieckiej nocy, znad sennego, przysypanego śniegiem miasteczka przypłynęła do niej ta wizja – wspomnienie sprzed dwudziestu paru lat:

...wrześniowe słońce otulało krzemieniecki jar łagodnym ciepłem. W ogrodzie jej rodziców, zajmującym południowy kraniec terenu liceum, różowe malwy kołysały się na wietrze w pełnej krasie późnego lata, a białe róże oddawały swoją czarowną woń. Upojny aromat dojrzalego ogrodu wpadał przez uchylone okno do sypialni. Na środku pokoju stało szerokie małżeńskie łóżko, a na nim, pośród białej pościeli, siedziała wsparta na poduszkach młoda matka, Salomea Słowacka, i trzymała w ramionach drobne ciało swojego synka, który zaciskał różowe usteczka na jej piersi i ssał, mlaszcząc głośno, jej mleko.

Salomea nie wiedziała wcześniej, że można kogoś kochać taką nieprzytomną, absolutną miłością. Owszem, kochała swoich rodziców i braci, kochała swojego dobrego i mądrego męża, kochała swoje śliczne miasteczko i swój kraj. Ale dopiero ta maleńka, bezbronna dziecina, którą wcześniej nosiła pod sercem, wyzwoliła w niej ten szalony, niepowstrzymany potok czystej, bezwarunkowej miłości. Gdy patrzyła w ogromne, czarne oczy swojego synka, tak podobne do jej własnych, czuła, że przelała w to dziecko nie tylko część swojego ciała, ale także własnej duszy. A kiedy ich oczy się spotkały, przeszył ją niezwykle dreszcz, jakby

łączyła ich jakaś niewidzialna więź, silniejsza niż życie i śmierć.

Synek był śliczny, ale taki drobniutki i wąły, że jej matka, lękając się o jego życie, zarządziła szybki chrzest z wody. Nie było akurat pod ręką katolickiego księdza, znalazł się za to unicki, ksiądz Subkowicz, i to on ochrzcił dziecko pośpiesznie w domu rodziców niedługo po urodzeniu, żeby zdążyć z sakramentem przed ewentualnym nieszczęściem.

Jednak Salomea, pomimo drobnej postury i widocznej słabowitości synka, od początku wierzyła w jego wielkość i wspaniałą przyszłość, dlatego przekonała męża, by nadali mu nie tyle królewskie, ile cesarskie imię: Juliusz.

Juliusz Słowacki – tak nazywało się to dziecko, które karmiła swoim mlekiem i które kochała jak nikogo innego na świecie. Które poruszyło w niej takie pokłady tkliwości i czułości, że gdy trzymała je w ramionach, wsparta na białych koronkowych poduszkach, płynęły z niej jednocześnie: życiodajne mleko i gorące łzy wzruszenia i rozczulenia, które kapały jej z oczu na maleńką główkę synka. To były dobre łzy, więc pomimo nich nuciła mu cichutko ukraińskie dumki, jakie śpiewały dziewczęta podczas pracy w polu. A jej synek miał na buzi prawdziwie rozanielony wyraz, czy to od słuchania tych dumek, czy od słodkiego smaku mleka, czy od bliskości jej piersi i ramion, a może od wszystkiego tego razem.

Salomea długo poddawała się czarowi wspomnienia. Uśmiech zagościł na jej twarzy, a czarne oczy błyszczały znów radością. Julek! Jej ukochany, niezwykły, utalentowany syn. Co może teraz dla niego zrobić, gdy jest tak daleko, sam, pośród obcych? Ach, tak! Potrzebuje pieniędzy! Jeszcze Euzebiusz, pierwszy mąż, nakazał jej w testamencie przeznaczyć dochód z jego skromnego majątku na edukację i przyszłość Julka. Wywiązywała się z tego zadania

sumiennie, regularnie wysyłając synowi należne sumy. Ale nie było tego wiele. Przydałoby się więcej. I wtedy olśniła ją nagle myśl: kocz! Mogłaby przecież sprzedać swój kocz, którym przyjechała z Wilna do Krzemieńca przed paru laty. Tutaj wszędzie jest blisko, a dalszych wypraw nie musi robić. Owszem, miło jest wiosną przejechać się po okolicy odkrytym koczem, ale przecież można się bez tego obejść. Julkowi z pewnością te pieniądze przydadzą się bardziej. A zatem postanowione: sprzeda kocz i wyśle pieniądze do Paryża.

I bardzo zadowolona z tej decyzji Salomea zdmuchnęła świecę i położyła się spać. Wcześniej, jak to w Krzemieńcu.

PARYŻ, LUTY 1832

W Krzemieńcu pewnie tęgie mrozy i śnieg, a tu, w Paryżu, słońce grzeje już całkiem wiosennie – myślał Juliusz Słowacki, wyglądając przez okno przytulnego pokoju na rozświetlony skwer przed domem. Służące w ciemnych sukniach okrytych białymi fartuchami spacerowały tam, pchając wózki na wysokich kołach albo prowadząc swoich małych podopiecznych za rękę. Juliusz przypomniał sobie, że jako mały chłopiec nie pozostawał prawie nigdy pod opieką żadnych sług, jego matka zawsze zajmowała się nim osobiście. Prowadzała na spacery na Górę Zamkową, uczyła czytać i pisać, opowiadała bajki, pielęgnowała w chorobie i nie opuszczała na krok. Choć jej jedyny syn dorastał, nie umiała przestać, zdobyć się na dystans, zostawić mu trochę przestrzeni do swobodnego oddechu. Była mu najbliższa na świecie, to prawda, zawdzięczał jej wszystko, także zamiłowanie do poezji, ale na Boga, musiał też czasem być sobą, nie tylko synem swojej matki!

Właściwie dopiero w Paryżu pozwolił sobie na to swobodne oddychanie, z dala od wszystkich kobiet swojej rodziny, z dala od ich loków, wstążek, sukien balowych, śmiechów, płaczów i wzdychań. Oczywiście, że kochał swoją rodzinę: matkę, przyrodnie siostry i babkę. Ale dusił się w atmosferze ich ciągłych egzaltacji, czułościowości i hysterii. Ciągłych debat nad wyborem ubrań i kapeluszy oraz tancerzy na wieczory taneczne. Pragnął spokoju. Ciszy. Samotności. I tu je wreszcie odnalazł.

Ale choć cieszył się tym odosobnieniem, jego myśli wciąż biegły ku bliskim mu kobietom, ku przeszłości albo ku wyobrażeniom ich obecnego życia. Co u Olesi? Posągowo pięknej starszej siostry, która w dzieciństwie trefiła jego długie ciemne loki. I która zawsze wybaczała mu psoty, choć czasem doprowadzała ją do łez; nigdy nie skarżyła się matce, by jej nie zasmucać. A ciemnowłosa, poważna Hersylia? Czy dobrze jej u boku wuja Teofila? Kochała się w nim od dawna, aż wreszcie młodszy brat matki, malarz pomieszkujący u nich w Wilnie, odwzajemnił jej uczucia.

I wreszcie ona, najważniejsza kobieta w życiu Juliusza, Sally o ogromnych, czarnych oczach, tak wilgotnych i pełnych wyrazu jak jego własne. Matka. Czy nie nudno jej samej w cichym Krzemieńcu, gdy tak lubiła uniwersyteckie życie salonowe w Wilnie? Ona, tak kochająca książki i zajmującą rozmowę, czarująca swoich gości dowcipem i urokiem, która w swoim malinowym salonie z kompletem mebli orzechowych i z fortepianem przeistaczała się w królową wieczoru. Los dał jej tak wiele, a potem niemal wszystko odebrał. Po nagłej śmierci drugiego męża, doktora Bécu, mieszkała jeszcze trochę w Wilnie, lecz w końcu wróciła do rodzinnego domu w Krzemieńcu. Juliusz kochał ten dom, uwielbiał spędzać w nim wakacje, ale gdy przyjechał tam ostatnio, na lato tysiąc osiemset trzydziestego roku,

nudził się niezmiernie. Czy i ona, biedna, nie nudzi się tam?

Ale teraz Paryż! Tu osiadł, trochę uciekając od zaborczości kobiet w swojej rodzinie, a trochę w nadziei zdobycia sławy. Oczywiście poetyckiej.

Juliusz odszedł od okna. Marmurowy kominek w jego pokoju dawał przyjemne ciepło. Kiedy dorzucił do ognia, płomień buchnął pomarańczowym językiem. Juliusz usiadł w fotelu i zapatrzył się w płomienie. Sława... To marzenie było w jego głowie od zawsze. Jego ojciec, profesor Euzebiusz Słowacki, był poetą i cieszył się w Wilnie uznaniem i powszechnym szacunkiem. Juliusz chciał być taki sam. Nie, nieprawda! Chciał być lepszy! Pragnął przewyższyć ojca sławą i poetyckim kunsztem. On, ten mały, drobny, chorowity chłopczyk czuł od samego początku, że kiedyś objawi światu swoją potęgę siłą słów i siłą ducha. Jakby to one tylko mogły zrekompensować jego mizerną, niepozorną posturę.

Dlatego któregoś dnia, gdy był z matką w wileńskiej katedrze, ukląkł chudymi kolankami na kamiennej posadzce, złożył ręce i modlił się żarliwie: „O Boże, daj mi sławę choć po śmierci, a za to niech będę najniezwyklejszym, pogardzonym i niepoznanym w moim życiu”. Taki pakt proponował Bogu mały Julek. Ale czy z Bogiem można paktować? Więc teraz, gdy był już dorosły i żył samotnie w Paryżu, zastanawiał się czasem, czy przypadkiem to Szatan nie usłyszał i nie pochwycił jego modlitwy. I czy nie wypełniał sumiennie tego pochopnego chłopięcego życzenia o byciu nieszczęśliwym, pogardzanym i niedocenianym za życia...

Taki Mickiewicz! Juliusz podziwiał go z całego serca w dzieciństwie, czytał z uwielbieniem jego ballady wydawane w Wilnie i drukowane w gazetach, ale teraz czuł przecież, że sam potrafi pisać równie dobrze, a może i lepiej! Że słowa układają mu

się same w piękne i kunsztowne rymy, że spływają z pióra na papier bliskie doskonałości. Adamowi sława towarzyszyła od początku, od samego debiutu, a nawet wcześniej. Zawsze cieszył się podziwem grona przyjaciół i uwielbieniem panien i dam. Wilno czekało na kolejne wiersze. Potem i reszta kraju. A on, Juliusz, choć buzował w nim talent równie wielki, zawsze był sam, trochę osobny, zdystansowany do świata. I niedoceniony.

Jednak nie powiedział jeszcze ostatniego słowa! W swoich papierach miał zapisane wiersze, z których utworzyć by można ze dwa tomiki. Już miał je drukować w Warszawie, gdy wybuchła nagle rewolucja i romantyczne wiersze przestały ludzi obchodzić. Ale przecie znów zaczną, bo bez poezji, jak bez chleba, żyć nie sposób.

Te rozmyślenia przerwało Juliuszowi pukanie do drzwi.

– Jakiś jegomość do pana. Przyjmie pan? – zapytała francuska gospodyni.

– Tak, proszę wpuścić.

Po chwili w drzwiach ukazał się Hipolit Błotnicki.

Juliusz uśmiechnął się na jego widok. Dawny nauczyciel z Wilna. Stateczny, rozważny pan Hipolit, z którego lubił kiedyś żartować. Raz wsypał mu ukradkiem sól do kompotu, innym razem pieprz do kawy. Bawiło go do dziś wspomnienie miny nauczyciela, gdy spróbował doprawionych specjałów, ale wołał do tego nie wracać.

– Hipolit! Miło cię widzieć! I jakże ci się pracuje z dziećmi księcia? Czy mniej psocą ode mnie? I czy się bardziej przykładają do nauk? – zapytał Juliusz.

Hipolit nie wydawał się rozbawiony. Uśmiechnął się uprzejmie, lecz powściągliwie.

– Każdy uczeń jest inny i wymaga osobnego podejścia –

odpowiedział wymijająco. – Ale ja nie o tym. Księżna Czartoryska wydaje w poniedziałki wieczory dla znaczniejszych emigrantów. Na pierwszy zaprasza i ciebie. Oto bilet od księżnej z zaproszeniem.

Juliusz poczuł się, jakby urósł o kilka centymetrów. Jego broda uniosła się nieco wyżej. Słowo „znaczniejszych” słodko pieściło jego uszy. A więc poznali się na nim. Choć druk jego wierszy wstrzymało powstanie, to przecież tych kilka strof rewolucyjnych, które krążyły po mieście w odpisach i z ust do ust, wystarczyło. A więc będzie miał okazję wstąpić w zaklęty krąg „znaczniejszych” emigrantów. Czyżby jego marzenie o sławie miało się ziścić za życia pomimo paktu z dzieciństwa? Juliusz tak upajał się tą wizją, że zapomniał zaproponować gościowi, by usiadł i napił się herbaty. Toteż Hipolit Błotnicki rozejrzał się po pokoju, wyjrzał przez okno, a wkrótce pożegnał się i wyszedł.

AWINION, LUTY 1832

W szarej godzinie świtu Maurycy leżał na pryczy w dużej, kamiennej sali, nakryty kocem i zdobycznym żołnierskim płaszczem. Żdźbła słomy wychodziły przez dziurę w sienniku i drapały go w kark. Patrzył na zielonkawą jaszczurkę, która przemknęła szybko po ścianie i ukryła się w rozpadlinie muru. Przeszło mu przez myśl, że ta jaszczurka jest tu bardziej u siebie niż on – tułacz wygnany z domu podmuchem historii, którą tak bardzo chciał poznać i zrozumieć w młodości. Teraz sam czuł się uczestnikiem i jednym z aktorów historii, choć jej ukryty sens wciąż był dla niego niejasny.

Dopiero co miłosierny sen przeniósł go tysiące mil stąd, do własnego domu, w ciepłe ramiona żony. Prawie czuł zapach jej leszczynowych włosów, które miękko opadały na jego twarz.

Chciał te włosy pogłodzić, zanurzyć w nie palce, ale napotkał tylko suchą słomę z dziurawego siennika. Otworzył oczy. Zamiast drewnianego sufitu małżeńskiej sypialni zobaczył wysoki, kamienny strop pałacu papieskiego zamienionego na koszary. A obok niego, zamiast żony, ze czterdziestu innych mężczyzn śpiących na swoich pryczach. Głównie prości żołnierze i kilkunastu podoficerów, których do nich dołączono. Oficerowie dostali osobne kwatery.

Maurycy rozejrzał się, wsłuchał w równe oddechy śpiących, w chrapanie utrudzonych długą drogą. Więc tak ma odtąd wyglądać ich życie? Jak długo? Nikt tego nie wiedział. To było oczywiście lepsze niż spanie na gołej ziemi. Albo rosyjska niewola, która oznaczała zesłanie na Sybir lub wcielenie do pułków kaukaskich. Powinni być wdzięczni losowi, że znaleźli się pod łaskawym francuskim niebem. A jednak w tej szarej godzinie między snem a jawą tęsknota za domem była dojmująca i trudna do zniesienia.

Ciszę sali sypialnej przeciął donośny gwizd i okrzyk „pobudka!”. Mężczyźni zaczęli się budzić, wstawać, ubierać.

– O Boże, śnił mi się dom – powiedział, przeciągając się, młody człowiek z sąsiedniej pryczy.

– Tobie też?

– Ciekaw jestem, kiedy będziemy mogli wrócić..

Mężczyzna siedzący obok spojrzał na nich spode łba.

– Patrzcie ich, teraz by chcieli wracać! – rzucił im nienawistnym tonem. – Nie trzeba było się z motyką na carskie słońce porywać, a jeszcze innych w to wciągać!

Maurycy w duchu przyznał mu rację: nie trzeba było. Nie spodziewał się zwycięstwa nad Rosją. Ale tamten się obruszył:

– A ty jak się tu znalazłeś? Powstanie było dobrowolne. Szedł

ten, komu marzyła się wolność.

– Wolność, wolność... – przedrzeźniał go żołnierz. – Może panowie chcieli tej „wolności”. Ale nam, prostym chłopom, to nie Moskale zabierali wolność, ino panowie szlachta! Po co nam było walczyć z Moskalami? Nam Moskale nic nie zabrali!

Maurycy przyjrzał się mężczyźnie. Jego prosta, pobrużdżona twarz była pełna bólu, jakby wpisanego w nią na stałe. Spracowane, czerwone ręce, przygarbione plecy. I szeroka blizna na czole.

– To jak się tu znalazłeś? – zapytał.

Chłop wzruszył ramionami.

– Nie miałem wyjścia. Bieda w domu, a pan obiecał, że jak pójde do wojska, to da rodzicom dwie morgi ziemi. Może wtedy rodzina cała przeżyje głód na przednówku? Wymogłem na panu, że jeśli pójde do powstania, to da mojej rodzinie worek zboża na wiosnę. Pan obiecał, to musiałem iść.

– No to rodzina może zadowolona? – sąsiad z pryczy obok szukał pozytywów.

– Z głodu nie zemrą. Ale mój stary ojciec teraz za mnie pańszczyzną będzie musiał odrabiać.

W sali sypialnej zrobił się szum i gwar. Mężczyźni wstawali, ubierali się, porządkowali przestrzeń. Maurycy słyszał taką opowieść już nie po raz pierwszy i znów uderzyło go to zestawienie: panowie mówiący wciąż o wolności i prości żołnierze, ich poddani – chłopci zanurzeni w niewolniczym systemie pańszczyzny. We własnym majątku, po części pod wpływem żony, po części na skutek własnych przemyśleń i obserwacji, uwolnił chłopów z pańszczyzny i poddaństwa, oczynszował ich i uwłaszczył. Jego żona Kalina nauczyła go, że ludzie są naturalnie sobie równi, a wszelkie przywileje dla nielicznych kiedyś znikną.

Uwierzył jej. Przecież wszyscy przychodzą na świat i umierają tak samo, czy w wiejskiej chacie, czy w pałacu.

Większość sąsiadów jednak na wieść o wprowadzonych przez niego nowych porządkach pukała się w czoło i nazywała go jakobinem. Nie dbał o to. Był gotów odrzucić wielowiekową tradycję i skończyć z wyzyskiem chłopów, który kiedyś był dla niego częścią naturalnego porządku świata, ale z czasem stał się nieznośnym wyrzutem sumienia. Jego żona Kalina, znana w okolicy uzdrowicielka, znachorka i zielarka, przyjmowała i leczyła ludzi także po ślubie. To dzięki niej i jej pracy Maurycy zobaczył drugą, brzydszą twarz swojego szlacheckiego świata: wiejskie panny i młode mężatki zapłodnione przez dziedziców i oddalone w ciąży, krwawiące od chłosty plecy ich ojców i mężów, którzy odważyli się sprzeciwić swojemu panu, blade i wychudzone wiejskie dzieci mrące z głodu na przednówku, gdy kończyły się już zapasy. Maurycy zaczął uważać pańszczyznę i poddaństwo za relikty dawnych czasów, za przeżytek nieliczący z ideami epoki, która wypisywała wolność i równość na swoich sztandarach.

Każdy dzień w zakładzie awiniońskim zaczynał się apelem. Szeregi byłych powstańców prężyły się na pałacowym podwórku i słuchały komend, jakby wciąż byli regularnym wojskiem. To zawodowi oficerowie nalegali, by utrzymywać tę żołnierską dyscyplinę i gotowość bojową. Wielu z nich wciąż marzyło się dalsza wojaczka. Ale nie Maurycemu.

Po apelu i po skromnym śniadaniu oficerowie, akademicy i niektórzy zwykli żołnierze zebrali się jak zwykle w największej sali. Gorącym dyskusjom i sporom nie było końca. Niektórzy wciąż przeżywali losy poszczególnych bitew, analizowali rozkazy swoich dowódców, szukali powodów klęski. Inni oskarżali naczelnych

wodzów o kunktatorstwo, opieszałość w podejmowaniu decyzji. Jeszcze inni pomstowali na księcia Czartoryskiego i arystokratów szukających bezskutecznie wsparcia dyplomatycznego na europejskich dworach.

Maurycy nie uczestniczył w tych sporach. Z filiżanką gorącej kawy usiadł przy stoliku na uboczu i przysłuchiwał się kolegom. Sam miał w głowie więcej pytań niż odpowiedzi. Wolał słuchać i rozmyślać.

– Panowie, przede wszystkim musimy zabiegać o formowanie polskiego wojska! – mówił gorączkowo jeden z oficerów. – Bo co, wiecznie w tych murach gnąć będziemy? Takiego życia chcecie? Trzymają nas tu, z dala od Paryża, bo stanowimy problem. Dlaczego? Bo dla nich wolność jest problemem, a my jesteśmy zwiastunami wolności! I naszym obowiązkiem jest nieść tę wolność ludom Europy!

Poparł go zaraz inny oficer, który wstał i gromkim głosem powiedział:

– Koledzy! Nasza walka jeszcze się nie skończyła! Polski żołnierz wie, jak walczyć o wolność na obczyźnie. Legiony! Tylu nas tu się znalazło, że możemy utworzyć legiony, jak Dąbrowski, jak Kniaziewicz!

Ale nie wszyscy dzielili ich entuzjazm. Były i bardziej sceptyczne głosy:

– Jakie legiony? Tam nasze pola zostały, kto je uprawiać będzie? Po mojemu trzeba przeczekać carski gniew, a potem wracać do domu i o carską łaskę błagać.

– Ty w łaskę cara wierzysz? Głupi albo szalony! To nie wiesz, że car kazał wywieźć w głąb Rosji generałów i oficerów pozostałych w Królestwie po upadku powstania?

Młodzi oficerowie nie dawali za wygraną:

– Koledzy! Nasze powstanie to tylko przegrana bitwa, ale nie klęska wojny! W Europie walka przeciw reakcyjnym despotom trwać będzie nadal. Aż do zwycięstwa i wolności ludów! Dlatego musimy tworzyć wojsko polskie!

Na to jeden ze starszych żołnierzy, z obwisłymi siwymi wąsami i ledwo zagojoną szramą w miejscu ucha powiedział spod ściany:

– Wojsko polskie, powiadacie... Byli tu tacy, co nas chcieli namówić do wcielenia do Legii Cudzoziemskiej. „Pułk konny strzelców afrykańskich”, mówili. I niektórzy z kolegów już się palili, żeby dostać mundur nowy i broń. I jakież by przeznaczenie nasze miało być? Podbój Algierii. To żadna walka o wolność – przeciwnie, posłużylibyśmy do zniewolenia kolejnego wolnego narodu. I to w pustyni gorącej. Już nasi bracia starsi dali się Napoleonowi wywieźć na San Domingo, bez nadziei powrotu. Bądźmyż od nich mądrzejsi i bardziej przewidujący!

Na te słowa po sali przeszedł szmer. Wiedzieli, że stary wiarus ma rację. Wysyłka do Algierii była ich największą obawą.

Zaraz podniosły się młode, zapalczywe głosy:

– To pewnie car Mikołaj żąda od Francuzów, żeby nas na zatracenie do Algierii wysłać! Wie dobrze, że póki żyjemy, będziemy się o nasz kraj upominać i walczyć.

– Nie damy się wysłać do Afryki na zatracenie! Werbownicy jak sępy już krążą wokół nas. A co, jeśli władze taki rozkaz wydadzą? Niedoczekanie ich!

I wtedy ktoś rzucił pomysł:

– Trzeba nam ubiec francuskie knowania. List protestacyjny napisać. Wszak nie na to nas nazywają żołnierzami wolności, żebyśmy mieli teraz inne wolne ludy niewolić! Do tego w pustynnych piaskach!

– Tak! Trzeba nam napisać protestację do rządu francuskiego

w tej sprawie!

– Ale czy rząd się przejmie naszym listem? Pewnie nam nie odpowiedzą nawet.

– To dajmy go do prasy! Mamy przecież naszych w Paryżu! Choćby Lelewel. Ten mógłby umieścić naszą protestację w gazetach.

– Tak, zrobmy tak, panowie, piszemy! Kto się zgłasza na sekretarza?

– Ja!

– Ja!

W sali zrobił się szum, mężczyźni znaleźli papier i pióra i zaczęli jeden przez drugiego rzucać gniewne zdania, pełne oburzenia na domniemane postanowienia francuskiego rządu. Sekretarze notowali.

Maurycy opuścił to zgromadzenie, narzucił na ramiona swój płaszcz i wyszedł z budynku na świeże powietrze. Słońce wciąż świeciło jasno, w powietrzu coraz bardziej czuło się wiosnę. Pod stopami zakwitały fiołki. Na szczęście pozwolono im opuszczać mury koszar, mogli poruszać się w obrębie miasta. Maurycy poszedł więc na spacer w swoje ulubione miejsce: pod mury pałacowe, w pobliże starego, średniowiecznego mostu. Czasem, patrząc na wody Rodanu, ulegał złudzeniu, że to jego rodzinny Niemen. Spoglądał teraz w bystry nurt rzeki, na unoszone z prądem suche liście, patyki i różne odpadki i pomyślał sobie, że podobnie jak te skrawki materii on sam także unoszony jest nurtem historii i nie ma pojęcia, dokąd go ten nurt poniesie. Jednego był pewien: nie da się już zaciągnąć do żadnego wojska. Ale co zamiast tego? Nie wiedział.

LONDYN, LUTY 1832

Londyn to dobre miejsce do życia – pomyślał książę Czartoryski, patrząc z okien powozu na białe kamelie rozkwitające w ogrodzie rezydencji ambasadora Talleyranda. Kwiaty w środku zimy na pewno spodobałyby się Annie.

Wilgotny chłód pogłaskał go po twarzy, gdy wysiadł z powozu na podjeździe. Książę Adam spojrzał na żółtawą fasadę okazałego pałacyku; wolałby wprawdzie rozmawiać w budynku francuskiej ambasady, bo tam jego misja sprawiałaby wrażenie oficjalnego spotkania, ale ten stary lis, Talleyrand, upierał się, by przyjąć go w domu. Niech i tak będzie. Byle go wysłuchał.

Książę wciągnął głęboko powietrze. Było chłodne, rześkie, z nutą zapachu kamelii. Chłód i elegancja zachodniego świata. Drzwi otworzyły się cicho, lokaj we francuskiej liberii skłonił się i uprzejmie zaprosił do środka. Książę uniósł brwi. Pomimo wszystkich rewolucyjnych zrywów Francuzów w ostatnich paru dziesiątkach lat i pomimo wszelkich politycznych wolt Charles-Maurice de Talleyrand-Périgord pozostawał sobą: prawdziwym francuskim arystokratą.

– Drogi książę! Jaka to przyjemność znów pana widzieć! – zawołał gospodarz, wstając z fotela, gdy lokaj wprowadził Adama Czartoryskiego do gabinetu na piętrze.

Ogień w marmurowym kominku przełamywał chłodny odcień ścian obitych gołęmbim jedwabiem, a garnitur złożonych mebli w stylu Ludwika XVI zdawał się sugerować, że od czterdziestu lat nic się nie zmieniło w Paryżu.

Talleyrand postarzał się, głębokie bruzdy żłobiły jego twarz. Ale w oczach wciąż błyszczały inteligencja i przebiegłość – nic dziwnego, że każda kolejna władza potrzebowała jego usług, choć każdą kolejną zdradzał, gdy tylko wyczuwał jej zmierzch.

Ścisnęli sobie dłonie, spojrzeli w swoje twarze, badając ślady

upływu czasu i życiowych doświadczeń.

– W jakże odmiennych okolicznościach widzimy się dziś, mój książę... – powiedział Talleyrand. – Historia, jak kapryśna kobieta, nie przestaje nas zaskakiwać, czyż nie? Niechże pan spocznie. Wina? Sprowadzam francuskie wina z mojej ojczyzny. Anglicy nie mają o tym pojęcia!

– Jeśli można, wolałbym herbaty.

– Już tak pan zdążył zangliczyć? – roześmiał się ambasador. – Jak pan sobie życzy.

Talleyrand ujął srebrny dzwonek, zadzwonił i wydał lokajowi polecenie.

– Więc cóż pana do mnie sprowadza, książę, w tych nowych okolicznościach? – zapytał, gdy siedzieli już obaj w lekkich fotelach, a na marmurowym stoliku stał serwis herbaciany i leżało kilka kruchych ciasteczek.

Czartoryski odezwał się po krótkim namyśle:

– Panie ambasadorze, pamiętam dokładnie pańską życziwość dla mojego kraju podczas pamiętnego kongresu w Wiedniu.

– Ależ książę, to inna epoka!

– Doskonale pamiętam, że w początkach kongresu sam pan nalegał na wskrzeszenie Polski i przywrócenie jej dawnej roli, tak jak Francji. I przyznać muszę, że zawsze myślę o panu z wdzięcznością za te słowa...

Talleyrand wykonał ręką ruch, jakby przepędzał natrętną muchę.

– Ach, to już nie tyle zeszłoroczny śnieg, ile śniegi sprzed siedemnastu lat... Któż o nich dziś pamięta?

– Ja pamiętam. A ustalenia kongresu wciąż obowiązują. I choć wówczas nie doszło do wskrzeszenia Rzeczypospolitej, tak jak Francji, to jednak cała Europa zagwarantowała Królestwu Polskiemu swobodny rozwój polskiej narodowości.

Talleyrand roześmiał się.

– Lecz okazało się, że to Królestwo Polskie jest pełne buntowników lubiących występować przeciw legalnej władzy. Z pewnością pan rozumie, książę, że żaden monarcha tego nie lubi...

Znów nazwano go buntownikiem. Był nawet przywódcą buntowników, on, polski książę z królewską krwią w żyłach, ostoja konserwatyzmu! Zaiste, historia bawi się nim jak kot myszą. A on, ta biedna, szara mysz, próbuje wciąż od nowa przechytrzyć kota.

– Ależ panie ambasadorze, to nieszczęście, jakim było polskie powstanie, wzięło się jedynie z obojętności mocarstw zachodnich, które wbrew traktatom pozwalały Mikołajowi na niszczenie polskich aspiracji – tłumaczył cierpliwie książę Czartoryski. – Nasze powstanie wybuchło tylko dla zagwarantowania pełnego respektowania postanowień traktatu wiedeńskiego.

Książę sięgnął po filiżankę herbaty.

Talleyrand milczał. Adam Czartoryski nie doczekał się jego komentarza ani nawet zdawkowego przytaknięcia. Oczy ambasadora nie wyrażały nic. Więc książę mówił dalej:

– Te niezaspokojone a słuszne dążenia patriotyczne narodu polskiego będą wiecznym źródłem naszej rewolucji. Z przykrością przyjęliśmy to, że Francja porzuciła początkową sympatię dla naszego powstania w zamian za uzyskanie w Petersburgu uznania efektów rewolucji lipcowej. A przecież pan doskonale wie, panie ambasadorze, że nasze powstanie powstrzymało możliwą interwencję Mikołaja w Paryżu! I pomogło Belgii w wywalczeniu niepodległości.

– Pan liczył na wdzięczność, książę? – zapytał drwiąco Talleyrand.
– Wciąż wierzy pan w lojalność, po tylu latach w polityce?

To cynik – pomyślał książę. Zawsze był cynikiem, który porzucał każdą władzę, gdy tylko na horyzoncie pojawiała się kolejna.

Wyprostował się w fotelu w stylu Ludwika XVI, którego jako pierwszego Talleyrand porzucił u zarania swojej błyskotliwej kariery.

– Wierzę w europejskie traktaty, panie ambasadorze – powiedział. – W dotrzymanie umów. *Pacta sunt servanda*. W zwykłą uczciwość. Czy to zbyt wiele?

Talleyrand wstał, założył ręce z tyłu. Podszedł do okna i patrzył na swój ogród. Podziwiał kwitnące kamelie? Jego całkiem siwe, długie włosy spływały na plecy w trefionych pierścieniach. Stał w milczeniu tak długo, że książę zaczął się zastanawiać, czy ten starszy od niego mężczyzna nie zapomniał o jego obecności.

Ale nie. Wreszcie starzec odwrócił się, podszedł do księcia wolnym krokiem, stanął przed jego fotelem i powiedział z łagodnym uśmiechem, niemalże słodko:

– Mój drogi, znamy się od dawna. Z równą nostalgią wspominamy śnieg, muzykę i kobiety tamtej wiedeńskiej zimy sprzed lat. A zwłaszcza ekscytację architektów świata pochylonych nad mapami Europy. Wciąż czuje się pan jednym z nas, książę... Ale czas wszystko odmienia. – Ambasador popatrzył gościowi prosto w oczy, z bliska. – Dziś nie reprezentuje pan już żadnej realnej siły.

Zabrzmiało to jak: „Dziś jest pan już dla nas nikim”. I to właśnie czytał książę w starych, przebiegłych oczach Talleyranda.

– Niewielu polityków podziela pańską wiarę w lojalność i uczciwość. Lubię pana, książę. Ale rozmawiamy prywatnie, przez wzgląd na dawne czasy. Cóż miałbym panu powiedzieć jako ambasador Francji, gdy jest pan dziś, proszę wybaczyć szczerłość, zwykłym banitą?... I to z wydanym wyrokiem śmierci. Przez ścięcie toporem, czy tak? Trzeba docenić gest Mikołaja. Mógłby chcieć pana powiesić.

Książę Adam poczuł smak goryczy w ustach. Czy ten starzec kpi sobie z niego, czy chce go upokorzyć? Może do tego tylko jest już zdolny...

Książę wstał.

– Dziękuję za herbatę, panie ambasadorze. Była wyśmienita.
– Niechże się pan nie unosi, żartowałem – powiedział Talleyrand pojednawczym tonem. – We Francji widzieliśmy doprawdy wielu skazańców. Takie czasy. Niech pan siądzie. Nie chciałem pana dotknąć.

Książę usiadł.

– Oczywiście, jesteśmy Polakom wdzięczni za związanie wojsk Mikołaja. Doceniamy ten zryw wolności i tak dalej. Ale musi też pan zrozumieć, że rząd Ludwika Filipa niechętnie odnosi się do polskich emigrantów. Taka zrewoltowana masa może łatwo zasilać spiski i organizacje republikańskie we Francji.

Książę Adam odetchnął.

– My z kolei doceniamy i wdzięczni jesteśmy rządowi francuskiemu za przyjęcie naszych powstańców. Pod rządami cara Mikołaja czekałby ich straszny los. Ale wielu z nich to doskonale wyszkoleni żołnierze. Mogą być użyteczni dla Francji. Mamy przecież piękne tradycje braterstwa broni...

– W Europie panuje pokój, książę. I wszyscy tego pokoju pragniemy, czyż nie?

Książę zastanawiał się, w co naprawdę wierzy ten człowiek, któremu jest po drodze z każdą kolejną władzą. I zanim rozważył, czy to dość dyplomatyczne, powiedział:

– A teraz niech pan mi wybaczy szczerłość i pozwoli zadać sobie jedno pytanie: w co pan naprawdę wierzy, panie ambasadorze?

Talleyrand spojrzał swojemu rozmówcy prosto w oczy. Szybko i przenikliwie.

– Zawsze w to samo, książę! Wierzę w słodką Francję! – powiedział. – Wiem, że niektórzy mają mnie za zdrajcę, a ja przez całe życie służyłem tylko mojej ojczyźnie.

– To tak jak ja. Powinien mnie pan rozumieć.

Talleyrand roześmiał się.

– Ależ rozumiem pana, rozumiem. Polityka ma jednak swoje prawa. Dziś tym prawem jest pokój i zachowanie status quo. Dość się przecież nawojowaliśmy.

– Dla Francji status quo jest korzystne, ale dla mojego kraju jest nie do przyjęcia – odparł książę z naciskiem.

Ambasador wzruszył ramionami.

– Cóż, wygląda na to, że pański kraj nie ma szczęścia w tym stuleciu. I być może nic pan na to nie może poradzić, drogi książę.

Po tych słowach obaj mężczyźni wstali i ukłonili się sobie ze staromodną elegancją. Talleyrand odprowadził gościa do schodów. A na odchodnym, podając mu rękę, powiedział jeszcze jakby od niechcenia:

– Proszę posłuchać rady starego przyjaciela, książę. Musicie powiązać sprawę Polski ze Wschodem.

– Ma pan na myśli Rosję?

– Nie. Turcja, Kaukaz, Bliski Wschód. W Europie pragniemy wszyscy pokoju, ale tam wciąż toczy się gra. W Oriencie dziś rozejm, jutro wojna. Nastroje antyrosyjskie są tam silne, a ludzie bitni. Niech pan o tym pamięta, książę.

Adam Czartoryski podziękował, ale wracał do siebie trochę zirytowany. Liczył na więcej. Liczył na mocne wsparcie Anglii i Francji. Tymczasem okazało się, że sprawa polska mało kogo obchodzi na Wyspach Brytyjskich. To oznacza, że czeka go tu sporo pracy. Opinia publiczna, prasa, politycy, rząd, dwór królewski – wszystkich trzeba przekonać o doniosłości sprawy polskiej, o jej

znaczeniu dla Europy. Anglicy są bardzo pragmatyczni. A zatem trzeba ich przekonać o znaczeniu sprawy polskiej dla nich samych. Bliski Wschód? Być może kiedyś. Teraz jednak potrzebował poparcia Anglików.

PARYŻ, 20 LUTEGO 1832

W mieszkanku Juliusza Słowackiego od rana panowało radosne ożywienie. Na mosiężnym haku wbitym w drzwi wisiał przyniesiony od krawca, świeżo skrojony, ciemnobłękitny frak. Poczciwy krawiec nie tylko uszył go błyskawicznie, ale też okazał się prawdziwym mistrzem w swoim fachu: frak prezentował się wspaniale na drobnym, chudym ciele Juliusza, a nawet jakby dodawał mu wzrostu i szerokości w ramionach! A przy tym doskonały materiał podkreślał szlachetność kroju i wciętą talię, zgodnie z najnowszą modą męską. Do tego zgrabna kamizelka w błękitne róże, nowiutkie bladożółte zamszowe rękawiczki i nowa batystowa koszula. Ach, Juliusz zaprezentuje się wspaniale tego wieczoru! Nie mógł się doczekać. Owszem, pragnął samotności, ale już się nią nasycił. Pragnął też sławy! A do niej niezbędna jest publiczność.

Zaczątki tej sławy pojawiły się jeszcze w Warszawie, gdy w gorących dniach rewolucji napisał kilka wierszy notujących nastroje tamtych dni.

*Bogarodzico, Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczą zorza,
Wolności bije dzwon,*

*Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.
Podnieście głos, rycerze,
Niech grzmią wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże.
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie – i tam mają duszę.*

W Warszawie umiano te strofy na pamięć i przekazywano je sobie z ust do ust.

Wprawdzie jak dotąd zimne granity Newy trwały wciąż nieporuszone, ale do tej pory, gdy Juliusz poznawał kogoś nowego z rodaków w Paryżu, ten zwykle wykrzykiwał:

– A, Słowacki! Autor *Bogarodzicy*!

Juliusz właśnie zastanawiał się nad wyborem jednej z trzech wód kolońskich na dzisiejszy wieczór, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Posłaniec do pana – zaanonsowała gospodyni. – Z jakimś workiem!

– Z workiem? – zdziwił się Juliusz.

Po chwili starszy mężczyzna z siwymi wąsami, sapiąc nieco, wtoczył się do pokoju i rzeczywiście zrzucił z pleców szary, płócienny worek, po czym postawił go na biurku.

– Cóż to jest? – zapytał gospodarz, próbując sobie przypomnieć, czy zamawiał cokolwiek ostatnio.

– Panie kochany, pieniądze! Całe trzy tysiące franków. W biletach bankowych – odparł przybysz.

Juliusz usiadł z wrażenia. Oczy mu się zaszklily. Kochana

mama!... Musiała sprzedać kocz! – domyślił się od razu. Był wzruszony, a nawet zażenowany jej dobrowolną ofiarą.

Od razu wiedział, na co przeznaczony ten hojny dar.

Drukarnia! Ma wreszcie fundusze na wydrukowanie swojej poezji. Gdyby nie wieczór u księżnej, poszedłby do drukarni Pinarda przy 11, quai Voltaire jeszcze dziś. Jako jedyna w Paryżu miała w posiadaniu polskie czcionki. Po śmierci pana Pinarda zakład prowadziły jego trzy córki – Juliusz nie mógł się już doczekać spotkania z nimi. Ale wejście w wielki świat także ma swoją wagę. Ach, jakże teraz odmieni się samotne i ciche paryskie życie Juliusza!

A wieczorem, w doskonałym nastroju, pełen wiary w swoją szczęśliwą gwiazdę, Juliusz Słowacki wkroczył do salonu w niewielkim mieszkaniu księżnej Anny Czartoryskiej. Błękitny frak leżał znakomicie, nowe trzewiki trochę cisnęły, ale perspektywa jutrzejszej wizyty w drukarni dodawała mu blasku w oczach i pewności siebie. Gdy wszedł, jakiś Francuz czytał głośno swoje wiersze.

Juliusz rozejrzał się po skromnym wnętrzu, dostrzegł kilka znajomych twarzy z Warszawy, z Wilna i z Krzemieńca. Był wśród nich Michał Skibnicki, dawny znajomy państwa Słowackich. To w jego towarzystwie podszedł do księżnej Anny, gdy Francuz skończył deklamować.

– Miło mi pana widzieć, panie Juliuszu – przywitała go z uśmiechem księżna. – Pamiętam pańską matkę z Wilna. Jakże się miewa?

– Dziękuję, księżno, to prawdziwy zaszczyt dla mnie! – powiedział Juliusz śmiało, uprzejmie, ale bez uniżoności. – Matka moja nie przebywa już w Wilnie, wróciła do rodzinnego Krzemieńca. Żyje trochę wileńskimi wspomnieniami, a trochę

marzeniami o poetyckiej sławie jedyne go syna.

Czy to nie nazbyt brawurowe oświadczenie? Nie, jeśli jest się poetą, który od da jutro do druku dwa tomy znakomitych wierszy! Wzrok Juliusza lśnił pewnością siebie i nadzieją.

– Z przyjemnością zapoznamy się z pańską poezją. Bardzo nam teraz potrzeba świetnych poetów, by ulotne myśli, uczucia, idee oblekali w piękne słowa. I uwieczniali.

Na to wtrącił się Michał Skibnicki:

– Wielmożna księżno, znam trochę wierszy mego przyjaciela. Zapewniam, że Polska, mając Juliusza Słowackiego, nie będzie już Anglii Byrona zazdrościć!

– To pięknie – uśmiechnęła się księżna. – Kiedyż więc pańskie poezje ukażą się drukiem?

– Jutro właśnie zani osę je do złożenia! Proszę mi pozwolić, księżno, przysłać sobie tomik, gdy będzie już gotów!

– Trzymam pana za słowo! – Anna Czartoryska uścisnęła mu rękę i odpłynęła ku innym gościom.

Juliusz Słowacki promieniał.

Czuł, że przyciąga spojrzenia. I życzliwe zainteresowanie.

Po chwili podszedł do niego hrabia Ludwik Plater. Juliusz go znał, był bowiem przedstawicielem dyplomatycznym powstańczego Rządu Narodowego w Paryżu. To do niego książę Czartoryski wysłał z Warszawy Juliusza z pocztą dyplomatyczną, gdy powstanie chyliło się ku upadkowi. I tej misji zawdzięczał poeta swój pobyt w Paryżu.

Hrabia uśmiechnął się i rzekł:

– Pozwoli pan, Juliuszu, żona moja życzy sobie pana poznać.

Podeszli do siedzącej na kanapie hrabiny Platerowej, całej w szafirach i koronkach.

– Przyjmujemy gości w czwartki. Niechże nas pan odwiedzi

w najbliższy. Radzi byśmy więcej pańskich wierszy usłyszeć! Niechże się pan przygotuje na wieczorne deklamacje!

Serce zaczynało bić Juliuszowi żywiej. Czyżby jego wielki sen miał się ziścić? Tak, marzył o sławie, choćby po śmierci, ale jego ukochana matka marzyła o jego sławie za życia! Więc bardziej niż dla siebie samego pragnął tej sławy dla niej.

Niewielka orkiestra ustawiona w kącie salonu zagrała początkowe takty mazura. I oto księżna, pierwsza dama polskiej emigracji, wybrała Juliusza na swojego partnera w pierwszej parze. O, a przecież tancerzem Juliusz był wybornym! Nie na darmo jego siostry, Olesia i Hersylia, od dziecka ćwiczyły z nim w Wilnie wszelkie figury i układy taneczne, by potem z lekkością wirować po wileńskich parkietach. Matka przygrywała im na fortepianie i śmiała się, patrząc z radością na postępy i wdzięk swoich dzieci. Więc i teraz Juliusz zatańczył z księżną lekko i z pewnością zarazem. Mazura. A potem walca. Tańczył, recytował wiersze, bawił panie. Szumiało mu w głowie. Triumf!

A gdy po skończonym przyjęciu wracał nocą do domu, przechodząc przez mosty, patrzył na odbity w Sekwanie księżyc. Ten sam, na który w dalekim Krzemieńcu jego matka spogląda przez okno. I marzy pewnie o nim, swoim ukochanym Julku, i o jego sławie. Już niedługo, mamo!

AWINION, MARZEC 1832

List protestacyjny oficerów z Awinionu został wysłany do Paryża i rzeczywiście Lelewel podał go do prasy opozycyjnej, dodając własny, buńczuczny komentarz. List się ukazał i wywarł na rządzie francuskim wrażenie fatalne. Było to bowiem pierwsze oficjalne wystąpienie polskich emigrantów przyjętych gościnnie

i opatrzonych żołądem. Czyż politycy francuscy nie mieli prawa spodziewać się słów podziękowania zamiast pretensji i obelg? Dotknięci do żywego tą niewdzięcznością zdecydowali wkrótce o znaczącym zmniejszeniu stawek polskiego żołądu, który dla zwykłych żołnierzy stał się wręcz głodowy – porcja chleba i ledwie piętnaście centymów dziennie. To oburzyło Polaków jeszcze bardziej.

Największy przyjaciel Polski, generał de La Fayette, napisał do Polaków w Awinionie, że wieść o przymusowym wysłaniu ich do Afryki jest potwarzą, że ci, co sami by życzyli sobie tam się udać, będą przyjęci, ale rząd nigdy nie miał zamiaru wysyłać ich wbrew ich woli.

Emocje w zakładzie awiniońskim wciąż buzowały. Przybywali nowi emigranci, teraz było ich już kilkuset. Spory, kłótnie, awantury wisiały w powietrzu. Dochodziło do pojedynków pod byle pretekstem. Niepewność, duma, strach o przyszłość, tęsknota za domem, pogrzebane życiowe plany i ambicje, zapalczywość młodych głów, a wszystko to zanurzone w beczynności i podlewane dobrym i tanim miejscowym winem tworzyło iście wybuchową mieszankę. Do rozmaitych zatargów i protestów dochodziło więc często.

Francuski komendant zakładu oraz prefekt miasteczka ślali do Paryża listy pełne skarg na uciążliwych, niesubordynowanych Polaków, którzy wszczynają burdy w gospodach, chcą się bić, a do tego bałamucą miejscowe panny i mężatki. Szczególnie ciemnookie pracownice manufaktur jedwabiu popadały łatwo w romanse z młodymi oficerami, co potęgowało tylko niechęć statecznych, konserwatywnych mieszkańców miasta.

Niektórzy oficerowie i akademicy próbowali nałożyć na tę zbiorowość pewne ramy organizacyjne.

– Panowie, musimy tu ustalić jakieś porządki, żeby nas nie ogarnęła kompletna anarchia! – przekonywali. – Powołajmy samorząd, który będzie nas reprezentował wobec władz francuskich. Utwórzmy radę Polaków i honorowy sąd koleżeński do rozstrzygania sporów. Utwórzmy delegację do kontaktów z naszymi politykami w Paryżu, żeby tam bez nas nie chcieli o nas decydować.

Zgodzono się na to, lecz wybory do tych organów prowadziły do kolejnych waśni. Dyskutowano zażarcie nad poszczególnymi kandydaturami. Maurycemu przypominało to opowieści ojca o dawnych sejmikach szlacheckich.

Niektórzy spośród tego zgromadzenia nie chcieli wcale współtworzyć wspólnoty, nie potrzebowali żadnej reprezentacji i nie zamierzali spędzać życia w zakładach. Można było usłyszeć i takie rozmowy:

- Nie będę tu gnić! Za młody jestem.
- To jak stąd wyjdiesz? Droga wolna, tylko z czego żyć będziesz?
- Francuskie panny łypią na nas. Może jaką Francuzeczkę namówię i zostanie moją żoną?
- I na garnuszku u teścia żyć będziesz? To ci kariera! Lepiej już nauczyć się czegoś i pracą uczciwą na życie zarabiać.
- Pracą? A co to ja chłop pańszczyźniany? Przecież ja szlachcic jestem!
- Ale, zdaje się, bez grosza przy duszy...

Byli jednak i tacy, którzy próbowali podchodzić konstruktywnie do przyszłości. Jeden z młodych, nowo przybyłych emigrantów zabrał kiedyś głos podczas ogólnego zebrania:

- A ja mam taki postulat, koledzy! Skoro nie wiadomo, ile czasu przyjdzie nam tu spędzić, skoro mamy żyć na francuskiej ziemi, to każdemu przydałaby się znajomość francuskiego. Jedni z nas

pobierali nauki od dziecka i posiadli ten język w stopniu doskonałym, innym nie było to dane. Teraz jesteśmy wspólnym losem złączeni. Proponuję zatem, aby ci z nas, którzy francuski posiadają, dawali lekcje tym, którzy uczyć się zechcą. Kto chętny? Panowie akademicy?

Zgłosiło się kilku studentów, którzy odtąd zaczęli dawać lekcje francuskiego prostym, nieuczonym żołnierzom. Okazało się, że część z nich musieli wcześniej nauczyć alfabetu, pisania i czytania.

Pomysły edukacji jako alternatywny dla służby wojskowej trafiały do przekonania wielu. Generał Kniaziewicz wystosował do nich z Paryża specjalny list, w którym namawiał żołnierzy i oficerów, aby poznawali nauki wojskowe i zgłębiali francuskie wojenne rzemiosło. Jednocześnie generał de La Fayette, a także Lelewel starali się o to, by studenci mogli kontynuować zdobywanie wiedzy.

Więc jedni myśleli o dalszych studiach, o nowych zawodach i uprawnieniach, ale innych bardziej interesowały pojedynki, gra w kości, lokalne wino i kurtyzany z byczego targu.

Maurycy przyglądał się kolegom, rozważał różne możliwości, słuchał argumentów i rozmyślał. Tęsknił za swoją niezwykłą, jasnowidzącą żoną.

Wyszedł z terenu zakładu, poszedł w swoje ulubione miejsce pod murami, w pobliżu starego mostu. Usiadł na ściętym pniu drzewa, wyciągnął z kieszeni list od niej i przeczytał go po raz kolejny:

Mój Kochany Maurycy!

Niech cię bogowie mają w swojej opiece! Dziękuję Ci za list i za informację o miejscu Twego pobytu w Awinionie. Zobaczysz

kawał świata! A ja najdalej byłam w Wilnie, a i to miasto wydało mi się wielkie i głośne. Wolę las, śpiew ptaków i szum drzew w naszym ogrodzie...

Być może nie wiesz, co się stało z Twoim przyjacielem, Ignacym. Chłopi przywieźli go nieprzytomnego do domu, stracił wiele krwi, ale żyje. Pani Róża i Hela pielęgnowały go, wzywały doktorów z Wilna, ale Ignacy wciąż słabł i nikt nie wiedział, czy żyć będzie. Wtedy pan Hieronim posłał po mnie, bo mu służy powiedzieli, że jeśli ktoś może pomóc Ignacemu, to tylko ja. Czułam, że jest wykrwawiony i osłabiony, więc zebrałam zioła na krew i na wzmocnienie, zrobiłam specjalne napary i eliksiry i pojechałam.

Podobno doktor z miasta chciał mu krew puszczać! Ale cóż tam było puszczać, skoro on wykrwawiony i raczej nowej krwi potrzebował. Więc karmiłam go wątróbką, bulionem i czerniną, poiłam moimi ziołami, szeptałam modlitwy do dobrych duchów opiekuńczych i prosiłam jego duszę, by chciała jeszcze pozostać w tym ciele, bo przecież ma tu młodą żonę, drobne dzieci i pokąźny majątek i wszystko to potrzebuje go jeszcze. Dusza postanowiła zostać na ziemi. Po paru dniach Ignacy zaczął odzyskiwać kolory na twarzy, blask w oczach i siły. A potem wstał, zarzucił pled na plecy i wyszedł do ogrodu.

Kiedy to rodzina jego zobaczyła, uściskali wszyscy najpierw jego, potem mnie. Nawet pan Hieronim, który mnie wcześniej znać nie chciał... A teraz zapytał, ile chcę za uzdrowienie jego zięcia i dziedzica. Powiedziałam, że życie ludzkie nie ma ceny, zostawiłam im zioła i wróciłam do siebie. Kiedy Ignacy wydobrzeał zupełnie i odzyskał siły, chciał podobno do was dołączyć, ale już go żona nie chciała puścić.

Od czasu wyzdrowienia Ignacego Hela także patrzy na mnie

inaczej. Zaprasza do siebie z dziećmi, odwiedza mnie, a gdy jej dzieci chorują, woli posyłać po mnie niż po doktora. Ludzie mają czasem tyle uprzedzeń wobec innych, zanim ich dobrze poznają... Wiem, że dawniej Hela także nie chciała mnie znać. Teraz jednak poznałyśmy się lepiej i polubiłyśmy, tak jak nasze dzieci, które chętnie bawią się razem.

Nie martw się o nasze gospodarstwo – znam dobrze okolicznych chłopów, wielu z nich wyleczyłam, więc czują do mnie szacunek i wdzięczność. Pan Hieronim dobrze zna nasz majątek, mówi, że zajmował się nim po śmierci Twego ojca, więc i teraz pomaga. Wciąż go dziwi, że musi płacić uwolnionym chłopom za pracę na naszych polach, zamiast korzystać z ich wysiłku za darmo, jak było od wieków. Jak rozsądni ludzie mogą uważać to za naturalne, że jedni są własnością drugich?

Więc, jak widzisz, radzimy sobie tu, żyjemy dobrze i z sąsiadami, i z chłopami, dzieci rosną zdrowo, a pola dają dobry plon. Tylko ja tęsknię za Tobą i martwię się, że nie zobaczę Cię prędko. Wiem, że wrócisz kiedyś do kraju, widziałam to, ale niestety minie wiele czasu, zanim to będzie możliwe. Więc bądź cierpliwy, nie trać nadziei powrotu i dbaj o siebie. Nie wszyscy powrócą, ale Ty – tak. Obyśmy razem tego doczekali.

Mój Kochany, przesyłam Ci moją miłość razem z tym zasuszonym kwiatkiem z naszego ogrodu. Żyj dobrze, bądź pogodny i wierz w swój szczęśliwy powrót. Polecam Cię opiece naszych bogów i dobrych duchów – niech Cię strzegą od złego w tej dalekiej, obcej ziemi.

Twoja Kalina

KRZEMIENIEC, MARZEC 1832

Dzień, w którym poczta przychodzi do Krzemieńca, właśnie kończył się różowoliliowym zachodem słońca, który malował Górę Zamkową kolorami uroczej akwareli. Salomea zajęła już miejsce na swoim krzeselku przy oknie, by oglądać ulubiony wieczorny spektakl: zapadanie zmroku i pojawienie się na niebie srebrnej, niepełnej jeszcze tarczy księżyca. Zrazu blady, ledwie widoczny, wraz z ciemnieniem nieboskłonu nabierał wyrazistości i blasku. Jemu tylko, srebrzystemu druhowi, z którym zaprzyjaźniona była od najmłodszych lat, mogła zawierzyć swoje smutki i żale. Oto z taką nadzieją czekała dziś na list i znowu nic! Ani słowa, ani ćwiarteczki papieru! A przecież dyliżans pocztowy przyjechał, poznała z daleka jego stukot i dzwonki.

Julek nawet pisał niedawno z Paryża, dziękował za pieniądze z kocza i szczęśliwy był z druku swoich poezji. Dobrze, kochane dziecko! Ale czemu on nie może napisać jej choć paru słów, choć paru linijek, na które ona tak czeka? Rada by przecież wiedzieć o wszystkim: jak żyje, jak się miewa, czy w dobrej kompanii, czy zdrów i wesół? To już trzy lata, jak się nie widzieli...

Salomea sięgnęła po swój sztambuch oprawny w zielony jedwab. Chciała przeczytać przynajmniej jego wiersz, choć przecie znała je wszystkie prawie na pamięć. Przysunęła bliżej świecę w mosiężnym lichtarzu, otworzyła na jednej z ostatnich stron i zaczęła czytać szeptem:

Przestań młodzieńcze kryć wzrok nieśmiały

Przed pięknych dziewic spojrzeniem.

Kwiat, choć go niszczą słońca upały,

*Tęskni za słońca promieniem.
Ani się lękaj, że cię to może
Na chwilę zbawić pokoju;
Wody zbyt ciche gorzkną w jeziorze.
Wiecznie są słodkie we zdroju...*

Pod wierszem autor zapisał datę: 1824. W tym okropnym roku, kiedy od pioruna zginął jej mąż, a w Wilnie zakończył się proces filomatów i filaretów i tylu wspaniałych chłopców wywieziono na Wschód. Nawet Mickiewicz musiał jechać z nimi, ale na szczęście on – nie. Ależ za nim tęskniła!

Edi – Antoni Edward Odyniec – pojawił się w jej życiu w pięknych wileńskich latach jako siedemnastoletni chłopiec. Który to był rok? Tysiąc osiemset dwudziesty pierwszy, chyba.

Salomea nigdy by nie przypuszczała, ile radości i ekscytacji może wnieść do jej życia przyjaźń z tym uroczym młodym poetą Edwardkiem. Ach, urok pierwszej młodości! Ta świeżość, ten entuzjazm, ten rumieniec! I zapał, i szczerzy poryw młodego serca! Niestety, jej szanowny małżonek August, będąc na wyżynach swojego profesorskiego stanowiska, w glorii pogromcy epidemii ospy w Wilnie, utracił przymioty wczesnej młodości już dawno. O ile kiedykolwiek je miał. Salomei trudno było wyobrazić go sobie pełnego beztroski i młodzieńczej werwy; zawsze zimny, opanowany, wręcz oschły. Zasadniczy. Sztynny. Uprzejmy, owszem. Ale Salomea miała poczucie, że jeśli jego serce wypełniała kiedyś gorąca miłość, to tylko do zmarłej pierwszej żony i do obu córek. Dla niej, drugiej żony, nie zostało już nic poza zdawkową uprzejmością. Pogodziła się z tym. Wszak w tym małżeństwie chodziło jej głównie o perspektywę dla Julka i o możliwość życia w Wilnie. Nie narzekała. A Olesię i Hersylkę pokochała jak córki albo jak drogie, młodsze przyjaciółki.

Tak więc ten uroczy i śliczny młody poeta, Edwardek, Edi, zaczął zajmować jej myśli i wprowadzać do jej codzienności nową ekscytację. Oczywiście na pierwszym miejscu zawsze była matczyzna troska o Julka, tego wątłego, chorowitego, trochę nerwowego chłopca o niepospolitym umyśle, wyobraźni i wielu talentach. Ale to jednak dziecko, ukochane, niemniej dziecko. A Edi jest już mężczyzną. No, prawie... Uśmiechnęła się na wspomnienie jego spłonionej twarzy i spuszczonego oczu. Zaczął bywać u nich codziennie. To naturalne, w domu były dwie młode panny, Edi był bywalcem zaprzyjaźnionego domu Spitznagłów, wszystko było w porządku.

August Bécu nie wtrącał się do salonowego życia żony, pozostawiał jej dobór gości. Gdzieś na dnie serca Salomeę ogarniały czasem wątpliwości. Tak, miała słabość do poetów. Kochała literaturę i jej żywa imaginacja karmiła się treścią pochłanianych książek jak chlebem powszednim. Może gdyby ją staranniej kształcono, sama zajęłaby się pisaniem? Ale nie odebrała gruntownej edukacji, choć jej ojciec zarządzał dobrami znakomitego Liceum Krzemienieckiego. Zamiast więc pisać, podziwiała piszących mężczyzn. I młodych chłopców, jak Edi...

Był od niej młodszy o dwanaście lat. Czy to dużo? Wciąż czuła się młodo. A przy tym wpatrzonym w nią z zachwytem chłopcu – jeszcze młodziej i jeszcze ponętniej. Jego obecność budziła w niej nie tylko radość i ożywienie, ale też dawno nieodczuwany dreszcz, za którym tęskniła. Czasem, gdy przychodził z popołudniową wizytą, gdy żartował i przekomarzał się w salonie z jej pasierbicami, gdy słuchał ich śpiewu i gry na fortepianie, zbliżała się i delikatnie na moment kładła rękę na jego dłoni albo na ramieniu. Matczynym, niewinnym gestem. Czuła, jak drżał leciutko. Widziała pąsowy rumieniec na jego twarzy. Uśmiechała

się wtedy z czułością.

A po jakimś czasie, gdy żegnał się z nią wieczorem w przedpokoju, zobaczyła w jego brązowych oczach błysk prawdziwej namiętności. Jak głód. Jak pragnienie. To trwało tylko przez moment, zaraz zgasił to spojrzenie i przykrył zwykłą uprzejmością. Ale gdy podała mu dłoń na pożegnanie, jego ręka była rozpalona, jakby trzymał ją na gorącym piecu. Spojrzała mu w oczy śmiało, bez lęku i bez zażenowania. I jeśli na dnie jej spojrzenia także paliła się namiętność, nie zamierzała jej gasić.

I nie gasiła. Edward Odyniec stał się stałym bywalcem w jej wileńskim salonie. Miał wtedy siedemnaście lat, a ona dwadzieścia dziewięć. Ale cóż to przeszkadza? Czy taki chłopiec nie potrzebuje nieco starszej kobiety, która wprowadzi go w życie? Zwłaszcza jeśli jest poetą, a kobieta namiętnie kocha literaturę i poezję właśnie. To znakomite pole do głębokiej przyjaźni...

No więc teraz, pod ciemniejącym coraz bardziej niebem Krzemieńca, Salomea wypatrywała księżycą i wspominała tę wspaniałą wileńską przyjaźń, która miała być na całe życie, a która przejawiała się długimi i częstymi listami od niej i coraz krótszymi, lakonicznymi i bardzo rzadkimi od niego...

A przecież tyle mógłby jej opowiedzieć, tyle radości i ekscytacji wnieść do jej nudnego, prowincjonalnego życia! Zdaje się, że wciąż są razem w Dreźnie – on i Mickiewicz. Julek spotkał się z nim, gdy zatrzymał się tam w drodze do Paryża, mieszkali nawet po sąsiedzku; tak miło było jej myśleć, że są tam razem. Tak bardzo była ciekawa, jak teraz obu poetom upływa czas w Dreźnie – czy piszą? Co myślą? Czy wspominają ją czasem?

Och, napisz do mnie choć parę słów! Edi, mój Edi! Pamiętasz, jak...?

Księżyc nad Górą Zamkową świeci już mocno, korona ruin

dawnego zamku srebrzy się w tym świetle. Gdybyś tu zechciał przyjechać, mój Edi, jak tyle razy cię prosiłam, napisałbyś cudowny wiersz o tej górze...

DREZNO, KWIECIEŃ 1832

Drezno w promieniach zachodzącego słońca zapraszało do przechadzek nad złocistą Łabą, toteż nadrzeczne tarasy pełne były spacerowiczów cieszących się wonnym wiosennym wieczorem. Miasto było ładne, niedrogie i nadzwyczaj przyjazne dla Polaków. Wiezorami na ulicach częściej można było usłyszeć język polski niż niemiecki, praktyczni i skromni Saksończycy wczesnie bowiem kładli się spać. Polacy za to, przybyli tu licznie po upadku powstania, do późna w nocy dyskutowali po kawiarniach i placach, analizując bez końca przyczyny klęski, szukając winnych, rzucając oskarżenia o zdradę. Niektórzy wciąż upajali się wojenną sławą, wspominali gorące przyjęcie z wiwatami, jakie Saksończycy zgotowali polskim żołnierzom wolności. Inni, przytłoczeni niepewnym tułaczym losem, pogrążali się w żalu i tęsknocie za domem.

Nad wszystkimi unosiła się ta sama aura: gorycz klęski, rozczarowanie, troska o pozostawionych w kraju bliskich. Pokrzyżowane plany, zawiedzione nadzieje. Niepewność.

Antoni Edward Odyniec, w swoim najlepszym ubraniu, wracał właśnie z wizyty w pewnym polskim domu, którego gospodyni, starsza dama mieszkająca z córką, uwielbiała go i życzyła sobie widywać na herbacie przynajmniej raz w tygodniu. Odyniec składał jej te wizyty chętnie, gdyż od wczesnej młodości chlubił się zdobywaniem sympatii ludzi znanych, szanowanych i ustosunkowanych. Potrafił być uroczy i miły. Tym zaletom oraz

umiejętności łatwego wierszowania zawdzięczał to, co uważał za swój największy życiowy sukces: przyjaźń z wybitnymi ludźmi. Dzięki tym talentom od lat brylował na wileńskich, potem warszawskich salonach literackich, wydał almanach współczesnej polskiej poezji pod nazwą *Melitele*, a ostatnio odbył najbardziej niezwykłą podróż w swoim życiu. Wojaż po Niemczech, Włoszech i Szwajcarii u boku najwybitniejszego poety tych czasów, swojego starszego nieco przyjaciela, Adama Mickiewicza. Niezwykle był dumny i z podróży, i z tej przyjaźni.

Już od wczesnej młodości dla Odyńca najbardziej liczyły się w życiu dwie sprawy: poezja i ładne panienki. Obie zresztą łączyły się nierozdzielnie, młody poeta był bowiem przekonany, że wiersze warto pisać głównie dla zdobycia podziwu u płci pięknej. Toteż szkolił się i doskonalił w sztuce wierszowania, a efekty tych prac pokazywał swoim wileńskim nauczycielom, kolegom, a najchętniej ich siostrom i kuzynkom.

Odyniec był wówczas młodzieńcem wesołym, żywym, o pąsowym rumieńcu występującym łatwo na ciemnej karnacji, o ładnie wykrojonych ustach i bystrych brązowych oczach. Pełen radości życia, optymizmu i weny twórczej czuł się w Wilnie jak ryba w wodzie – umiejętność wierszowania była tam darem cenionym i nagradzanym popularnością.

W jednym z zaprzyjaźnionych wileńskich domów zagadnęła go kiedyś elegancka dama, drobna brunetka o ogromnych oczach:

– Czy to pan jest tym poetą, którego wiersze pochwalił sam profesor Borowski? To wielkie wyróżnienie i zaszczyt. – Uśmiechnęła się pięknie i można było z tego uśmiechu wyczytać, że niewiele rzeczy obchodzi ją bardziej niż piękno poezji.

Edward od razu poczuł do niej sympatię. Jej czarne oczy pełne były wyrazu, malowały się w nich wielka wrażliwość i żywa

imaginacja. Patrzyły na niego śmiało, z zainteresowaniem, z sympatią. Był tak zmieszany, że trudno mu było wymówić słowo, więc zarumieniony skinął tylko głową.

Damą tą była pani Salomea Bécu. Zaczęli rozmawiać o literaturze. Nie spotkał dotąd kobiety, która byłaby tak czytana i świadoma nowych literackich trendów. Która potrafiłaby rozmawiać swobodnie i zajmująco zarazem, rzucając nieodparty czar na rozmówcę. A gdy wieczór zbliżał się do końca, pani Salomea rzuciła lekko:

– Może zechce pan odprowadzić nas do domu? Mieszkamy na Zamkowej, doprawdy niedaleko stąd.

Edward był uszczęśliwiony propozycją, której sam nie ośmieliłby się złożyć. Po chwili wszyscy znaleźli się na zaśnieżonej ulicy pełnej pędzących sań: pani Salomea w uroczej szubie i twarзовym kapelusiku, jej dwie przybrane córki w zimowych płaszczkach i mały Julek, jedenastoletni syn, w ciepłym futerku, trochę nadąsany i patrzący na Edwarda spod oka. Ze względu na duży ruch rozpędzonych sanek Odyniec wziął chłopca za rękę i osłaniał swoim ciałem od strony ulicy, czym wywołał pełen wdzięczności uśmiech jego matki.

Rzeczywiście mieszkali niedaleko. U progu domu Odyniec chciał się pożegnać, ale znów spotkało go miłe zaskoczenie: pani Bécu zaprosiła go na górę. Wtedy to po raz pierwszy zobaczył jej słynny malinowy salon, w którym obok uniwersyteckich profesorów bywała też wybrana młodzież. Kręciło mu się w głowie od tylu wrażeń, od uroku obu panienek, od czarnych oczu pani Salomei. Pokochał to miejsce od razu.

A gdy po wieczorze z dziewczętami, wypełnionym żartami i recytacją z pamięci swoich wierszy, Edward zaczął się żegnać, usłyszał na pożegnanie:

– Proszę nas koniecznie odwiedzać. Bardzo lubimy młodych poetów. Proszę przychodzić koniecznie! Obiecuje pan?

Obiecał. I od razu ogarnęły go błogość, uniesienie i poczucie szczęścia. Tak, teraz był pewien swoich życiowych priorytetów. Poczuł, że szczęście i spełnienie mogą dać mu talent poetycki połączony z podziwem takich wspaniałych kobiet jak pani Salomea Bécu.

Ale to wszystko było dawno, ponad dziesięć lat temu. Wdzięczny był bardzo tej niezwyklej kobiecie za jej przyjaźń i wszystko, co dla niego zrobiła. Miło było mu zobaczyć ją, gdy trzy lata temu przyjechała na kurację do Karlsbadu, do wód, a on spotkał się tu z Mickiewiczem u początku ich podróży, ale, dobry Boże, nie może przecież spowiadać jej się co tydzień z każdego kroku, wiersza i z każdej myśli, jak tego oczekuje i domaga się w listach! Nie może być główną atrakcją jej samotniczego życia w Krzemieńcu. Ma własne sprawy, po stokroć ważniejsze: pracuje intensywnie nad przekładami Waltera Scotta, pisze własny dramat, a do tego wkrótce ma się żenić z uroczą, kochaną Zosią Mackiewiczówną.

Do tego martwi się trochę o kondycję swojego przyjaciela. Adam powiedział ostatnio, że mu nad głową pękła bania z poezją i w olśnieniu nagłym zaczął tworzyć nowy zupełnie dramat, historiozoficzny, mający związek z dawnymi *Dziadami*. Przez cały kwiecień Adam nie wychodzi prawie z pokoju, pisze. To dobrze, jest zadowolony z postępów, ożywiony. Ale Odyniec zna go zbyt dobrze, by nie wiedzieć, co go dręczy.

Widział spojrzenia wiarusów w wojskowych kurtkach, którzy prosto z pól bitewnych trafili do Drezna i rozpoznając sławnego Adama na ulicy, rzucali mu spode łba nieprzyjazne spojrzenia. Ciężkie jak kamień, jak wyrzut.

Powstańcy na pamięć znali *Odę do młodości*. *Konrad Wallenrod* uczył ich patriotyzmu. A teraz w ich twardych spojrzeniach rzuconych Mickiewiczowi Odyniec czytał pytanie: dlaczego nie było cię z nami?

Raz zdarzyło się nawet, że kiedy siedzieli razem przy kawie i ciastkach w parkowej kawiarni, jeden z nich podszedł i rzucił mu w twarz początek wiersza Maurycego Gosłowskiego, który w poezji sformułował ten zarzut. Był piękny poranek, kawa wyborna, skowronki śpiewały, lekki wiatr niósł zapach hiacyntów. A zarośnięty podoficer w przybrudzonym mundurze zbliżył się do ich stolika i wpatrywał się w nich długo zawziętym wzrokiem.

– Mickiewicz? – upewnił się bez żadnych grzeczności.

– Tak – potwierdził poeta.

A wtedy żołnierz, patrząc mu prosto w oczy, zaczął recytować głośno, szyderczym tonem:

Pierworodne natchnień dziecię!
Wyniosły synu swobody!
Gdzie ty, gdzie ty, Wieszczu młody?
U nas dziś tchnienie swobodne,
Piersią pełne władą życie,
Życie górnych pieśni godne.
A ty winny dotąd grzeszysz!
Odetchnąć nim nie pospieszysz!

Spiesz! My dumni naszym rodem,
Tutaj każdy Wallenrodem!
Wieszczu czczony! coś umiał ognistymi słowy
Do serc braci twoich strzelać,
Coś umiał własne ognie w bratnie piersi przelać,
Wieszczu! Świat twojej myśli jak błysk piorunowy

*Zajaśniał ci dziś przed oczyma.
Czemuż na nim ciebie nie ma?*

*Jeśli padniem pod gruzami
Wieszczu! wtedy, w dniach boleści
Niewart grobu dzielić z nami,
Kto nie dzielił krwi i cześci!*

Gdy podoficer wypowiedział do końca te słowa, z kamienną twarzą, jak jakieś widmo, odwrócił się i odszedł.

Cisza przy stoliku zadźwięczała im w uszach. Powietrze zrobiło się nagle cięższe. Odyniec zauważył, że Mickiewicz pobladał.

– Och, nie przejmuj się nim, to jakiś szaleniec! – próbował zbagatelizować sprawę Edward.

– Nie. On ma rację... – powiedział Adam ledwie słyszalnie.

– Daj spokój, jesteś poetą, wieszczem! Nie żołnierzem. Co by komu przyszło z twojej śmierci? Drugiego takiego talentu nie mamy. Całe szczęście, żeś nie poszedł do powstania i żyjesz. Słowa twoje cenniejsze dla nas niż twoja śmierć.

Odyniec czuł patos swoich zapewnień, ale wierzył w nie głęboko. Od lat podziwiał Adama Mickiewicza. Towarzyszył mu w wielomiesięcznej podróży, znosząc kaprysy i fochy poety i pełniąc niemal funkcję jego sługi, bo jednego był pewien: miał szczęście spotkać prawdziwego geniusza.

A teraz ten geniusz pracuje całymi dniami nad nowym dziełem.

Nie dalej jak wczoraj powiedział rano, że noc całą pisał w jakimś uniesieniu przedziwnym, pod natchnieniem niezwykłym, scenę improwizacji. I dodał, że sam uważa tę scenę za punkt zwrotny bajronowskiego kierunku poezji, „w którym szła pychy rozumu dosięga ostatecznych swych granic”. Odyniec jeszcze nie znał tej sceny, ale bardzo był jej ciekaw. A Adam pisał całymi dniami, jak

w transie.

Dobrze się składa, że muszą czekać obaj na wydanie nowych paszportów. Kiedy podróżowali po krajach alpejskich, Adam nie pisał prawie nic. A tu, zamknięty w drezdeńskim mieszkaniu, inspirowany cudowną muzyką, która rozbrzmiewa w tutejszych kościołach i w operze, oraz obrazami z Galerii Obrazów Starych Mistrzów, gdzie nie mogli się dość napatrzeć na *Madonnę Sykstyńską*, *Śpiącą Wenus* Giorgione oraz płótna Vermeera, Rembrandta, Veronesego, otoczony najwspanialszą europejską sztuką, Adam znów zaczął pisać!

LONDYN, KWIECIEŃ 1832

Minister spraw zagranicznych Zjednoczonego Królestwa lord Palmerston zgodził się wreszcie przyjąć księcia Czartoryskiego, zapewne za wstawiennictwem nieocenionego przyjaciela sprawy polskiej, lorda Stuarta. Entuzjazm lorda i jego sympatia dla Polaków były dla księcia doprawdy darem bezcennym – dzięki niemu powstało dość szybko Literackie Towarzystwo Przyjaciół Polski w Londynie.

Towarzystwo miało się zajmować pracami charytatywnymi na rzecz polskiej emigracji, a także gromadziło i publikowało informacje dotyczące Polski i losów jej odważnego, a poniewieranego narodu. To tu organizowano imprezy charytatywne i bale na rzecz polskich wygnańców. Tu także przygotowywano kolejne debaty polskie w parlamencie brytyjskim. Oraz artykuły, publikowane później w gazetach takich jak „The Times” czy „The Herald”.

Na spotkanie z lordem Palmerstonem książę poszedł razem z Julianem Niemcewiczem – jego sława adiutanta Kościuszki wciąż

była żywa w Londynie, a światowe obycie, pobyt w Ameryce i dobra znajomość z Jerzym Waszyngtonem robiły znakomite wrażenie.

Minister podjął ich herbatą w swoim gabinecie w rządowym pałacyku Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Trzeba przyznać, że Anglicy herbatę serwują doskonałą – pomyślał książę, przez chwilę rozkoszując się jej ciepłem i wykwintnym aromatem, a także urodą złoconej filiżanki. Sam jadał skromnie, przywykł już do obywatnia się bez luksusów, jednak takie drobiazgi wciąż sprawiały mu przyjemność. Ale do rzeczy!

– Przychodzimy, milordzie, aby podziękować panu za współczucie, które okazał pan wobec losu nieszczęśliwej Polski. Rozumiem delikatność pańskiego położenia wobec Rosji, jednak traktat wiedeński, którego Wielka Brytania jest gwarantem, daje panu prawo nalegania, aby był szanowanym.

Lord Palmerston popatrzył na niego chłodnym wzrokiem, niezdradzającym żadnych uczuć.

– Wie pan doskonale, książę – odparł – że główne mocarstwa mają między sobą porozumienie, że nie będą się mieszały do swoich wewnętrznych spraw, o ile to nie zagraża ich własnym interesom.

– Wiem, milordzie. Jednak wszystkie mocarstwa na tym ucierpią, jeśli pozwoli się Rosji rozrastać się bez miary. W czasie kongresu wiedeńskiego to właśnie było przedmiotem troski i starania – by nie pozwolić Rosji zająć Księstwa Warszawskiego, tylko gwarantować mu konstytucję i autonomię. Prócz tego prowincje polskie pod obcym panowaniem miały zachować swój język, obyczaj, odrębność narodową. Tylko pod tymi warunkami wielkie mocarstwa przystały, by car Aleksander został królem Polski.

Lord Palmerston popatrzył na księcia znużonym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: człowieku, przegrałeś, czy nie możesz przyjąć tego do wiadomości i dać nam wreszcie spokój. Księżę pochwycił to spojrzenie. Ale przecież nie mógł.

– Wprawdzie jest powiedziane w traktacie wiedeńskim – odparł minister Palmerston – że Polska ma być połączona z Rosją przez konstytucję, ale nie jest powiedziane, jaka ma być ta konstytucja, przeto Petersburg argumentuje, że car może ją zmieniać, jak chce. A Austria i Prusy nie są temu przeciwnie dla spokojności własnych prowincji.

– Czy jednak nie dostrzega pan, milordzie, że Polska uregulowana przez konstytucję umniejsza władzę Rosji? Jest zawadą, a wszelka zawada w Rosji powinna być dla was korzystna.

Julian Niemcewicz chrząknął i włączył się do rozmowy:

– Panie ministrze, jeśli potęga Rosji budziła wasze obawy już w czasie kongresu wiedeńskiego, to o ileż bardziej powinna niepokoić teraz, gdy wzmocniła swe panowanie nad Turcją i Persją? Rosja jest już na Eufracie, jest sąsiadką waszych posiadłości w Indiach. Sama Rosja w czasie rozbiorów zobowiązała się do zachowania języka, religii i praw w zabranych prowincjach polskich. A na kongresie wiedeńskim zobowiązała się do szanowania konstytucji i autonomii Królestwa.

– Tymczasem – podchwycił księżę – z przykrością muszę panu donieść, że okrucieństwa cara Mikołaja wobec obywateli w naszej ojczyźnie nasilają się. Wbrew obietnicy amnestii żołnierze, którzy zdecydowali się na powrót, są gnani na osiedlenie w śniegach Sybiru albo wcielani do carskiej armii. Mnożą się też bezprawne konfiskaty majątków, do których rosyjscy bojarzy ustawiają się w kolejkach u dworu. A obecny generał-gubernator Królestwa Polskiego Iwan Paskiewicz znany jest z okrucieństwa i wbrew

postanowieniom traktatu wiedeńskiego rusyfikuje nasz kraj. Czy wie pan, milordzie, że na ulicach Warszawy porywani są w łapankach już kilkuletni chłopcy i wysyłani do Korpusu Kadetów w Rosji? Ich matki szaleją z rozpaczą i nie mają nadziei ujżenia swych synów, chyba że powrócą kiedyś jako zrusyfikowani w pełni carscy żołnierze.

Chłodna twarz lorda Palmerstona pozostała nieporuszona. Oparł łokcie na poręczach fotela, splótł palce przed sobą.

– Oburzają mnie te nowiny, ale nie dziwią – powiedział spokojnie. – Ludy barbarzyńskie i dzikie okropne są w zemście swojej. Cywilizowani są szlachetni po zwycięstwie, ale dzicy znają tylko dumę i zemstę. Moskale już tyle postąpili w cywilizacji, że nie obdzierają ze skóry i nie jedzą swych niewolników, ale ujarzmionych posyłają do kopalni na Sybir. Nie bacząc na własny interes, kiedy Polskę mają za swoją, postępują z nią jak z obcą i wrogą.

– Ma pan absolutną rację, milordzie. Rosja to kraj barbarzyński – książę znów kuł żelazo, póki gorące. A przynajmniej tak mu się zdawało. – A do tego Rosja przystępuje teraz do realizacji wielkich planów wschodnich i bałkańskich Piotra Wielkiego, co doprowadzi do jej bezwzględnej hegemonii w skali globalnej. Najskuteczniej można temu zapobiec przez podjęcie sprawy polskiej i przywrócenie niezależnego państwa polskiego.

Lord Palmerston ożywił się nieco na dźwięk słowa „hegemonia” – jakby go ubodło, był bowiem przyzwyczajony sądzić, że to on reprezentuje interesy światowego hegemonu. Rozważał przez chwilę słowa księcia. Spojrzał uważnie na mapę świata wiszącą na ścianie gabinetu. Obwiedzione czerwoną linią posiadłości i kolonie korony brytyjskiej, rozrzucone po całym świecie, robiły imponujące wrażenie. Lord uspokoił się i powiedział spokojnie,

z isticie angielską flegmą, patrząc Czartoryskiemu w oczy:

– Ja pana nawet rozumiem, książę. I szanuję pański upór i determinację. Ale proszę mi wybaczyć, że ujmę to w sposób prosty i bezpośredni: wasze interesy są wprost przeciwne interesom Europy, wy chcecie wojny, a nam potrzeba pokoju.

Minister spraw zagranicznych wstał na znak zakończenia spotkania i uścisnął gościom dłonie.

Pożegnali się i wyszli. Owiało ich ciepłe, pachnące kwietniowe powietrze. Drzewa i krzewy kwitły pięknie, przywabiając barwne motyle i za nic mając meandry europejskiej polityki.

– I co pan sądzi, panie Julianie? – zapytał książę.

Niemcewicz patrzył przed siebie ponuro.

– Jak dawniej traktowali nas oziębłe, książę, tak teraz mają nas za umarłych i pochowanych! A kto by się chciał nieboszczykami zajmować? Anglicy to praktyczny naród.

Tak, książę był tego świadom. Od przyjazdu do Anglii odwiedził wielu tutejszych arystokratów. Zresztą z wieloma angielskimi i szkockimi rodami był spokrewniony i zaprzyjaźniony. Lecz niemal wszyscy z nich, choć darzyli go szacunkiem, sympatią i współczuciem, uważali sprawę jego kraju za smutną, nawet oburzającą, ale pogrzebaną.

Mimo to nie mógł przecież porzucić swojej misji! Bo któż inny, jeśli nie on, może się skutecznie upomnieć w Europie o Polskę? Któż miałby o nią zabiegać z takim uporem, jeśli nie on, w którego żyłach płynie królewska krew Jagiellonów?

LONDYN, CZERWIEC 1832

Angielskie łąki i pastwiska zieleniły się bujnie za oknami powozu. Stada owiec odcinały się od nich jasnymi plamami, tak jak obłoki

od błękitnoszarego nieba. Jednostajny stukot kół powozu na trakcie uspokajał i usypiał, ale księżna Anna Czartoryska była ożywiona i podekscytowana.

Po wielu miesiącach rozłąki jechała na spotkanie ze swoim mężem. Ponieważ nalegał, zgodziła się przyjechać do Anglii na lato z całą rodziną. Choć podróż morską z trójką małych dzieci do łatwych nie należy. Towarzyszył jej na szczęście młody Władysław Zamoyski, jej brat cioteczny i ukochany siostrzeniec Adama, dawny adiutant księcia Konstantego, który wypowiedział mu służbę w pierwszych dniach powstania. I trwał odtąd wiernie przy księciu jako jego zaufany. A teraz przyjechał właśnie, pełen energii, ambicji i siły, by działać u boku wuja.

Władysław Zamoyski był synem siostry księcia Zofii, uważanej w młodości za jedną z najpiękniejszych kobiet Europy. To ona była pomysłodawczynią i orędowniczką małżeństwa Anny z księciem. Wprawdzie złośliwi szeptali za plecami, że to głównie dlatego, by bratowa nie przyćmiła jej urodą i wdziękiem, ale Anna puszczała te plotki mimo uszu i była wdzięczna Zofii – Adam Czartoryski okazał się człowiekiem szlachetnym i dobrym, a życie u jego boku Anna uważała za przywilej, a może i zaszczyt. Sama Zofia trafiła pod tym względem gorzej – ordynat Stanisław Zamoyski, za którego ją wydano, był człowiekiem zimnym, surowym, wymagającym i zawsze niezadowolonym ze starań bliskich. Zofia urodziła mu dziesięcioro dzieci. Starła się wspierać go z całych sił. Ale nie doświadczała od męża ani czułości, ani wdzięczności, ani uznania dla jej wspaniałej urody i dobroci.

Władysław był ich czwartym synem. Otrzymał od ojca surowe, spartańskie wręcz, wychowanie i znakomitą europejską edukację. Oraz przekonanie, że służba publiczna jest jego życiową ścieżką. Od najmłodszych lat kształcony w Paryżu, Genewie i Berlinie,

wychowywał się prawie bez matki. Anna, patrząc na niego, miała wrażenie, że pozostał w nim jakiś chłód, stłumiona tęsknota małego chłopca za czułością i ciepłem. Wiedziała, że sama zrobi wszystko, by jej synów nie wysłano przedwcześnie w obcy, nieprzyjazny świat.

Teraz Władysław miał lat dwadzieścia dziewięć. W Berlinie wysłuchał wykładów z wielu dziedzin wiedzy na uniwersytecie, a profesorowie wyższej szkoły wojskowej udzielali mu prywatnie lekcji topografii, fortyfikacji i taktyki wojskowej. Czuł się nie tylko wszechstronnie wykształcony i kompetentny, ale też absolutnie gotowy do tego, by stać się prawą ręką przywódcy polskiej emigracji, doradcą i najbliższym współpracownikiem swojego wuja, którego zawsze podziwiał i wielbił. Osiągnął ten wiek, w którym niektórzy mężczyźni są przekonani o własnej wszechmocy i pragną w konfrontacji ze światem swoją moc potwierdzić i udowodnić. Dziedzinami, które pociągały go najbardziej, były polityka, dyplomacja i wojskowość.

Zresztą sprawdzał się w nich już od pierwszych godzin powstania. Nie należał do spisku podchorążych, ale to on w pamiętną noc listopadową namówił swojego wuja Adama do zwołania Rady Administracyjnej i stanięcia na czele rządu. Władysław Zamoyski zrozumiał od razu, że bierność wielkiego księcia Konstantego i pozostawienie sprawy buntu Polakom daje szansę na przejęcie kontroli i poważne negocjacje z carem. Stał się jedynym łącznikiem między księciem Konstantym a Polakami, nalegał na pertraktacje. Nie wierzył w zbrojne zwycięstwo nad Rosją, ale uważał, że legalna Rada Administracyjna z poparciem narodu i wojska mogła pertraktować z carem Mikołajem i rozmawiać o niepodległości.

A teraz jechali wynajętym powozem z portu do Londynu. Dzieci

zmęczone wrażeniami i długą drogą usnęły. Anna przykryła je pledem i pogłaskała trzy ciemne główki. Władysław siedział sztywny, wyprostowany, z chłodnym wzrokiem zawieszonym gdzieś hen między zielonymi pagórkami a niebem.

– Późno tu do nas dotarłeś – zagadnęła go Anna. – Rozwazałeś inne plany w Galicji?

– Nie, Anno. Wiedziałem, że moje miejsce jest u boku księcia – odparł Władysław. – Ale chciałem w Galicji spisać najpierw swoje przeżycia z powstania. To konieczne, żeby arystokraci i generałowie przedstawili swoją wersję, bo jestem pewien, że jakobini będą gwałtem puszczać broszury w Paryżu, żeby nas obwiniać o klęskę.

– Już to czynią: gadają, jątrzą, krytykują, sądzą – przyznała Anna.

– Wichrzycieli nigdy nie brak, a im jadowitsze oskarżenia, tym bardziej się tłumowi podobają.

– Obawiam się, jak Adam to zniesie po powrocie do Paryża. Wielu psy na nim wieszają.

– Nie trzeba się lękać o niego, Anno. To twardy człowiek. Prawdziwy wódz. Powołany na naczelnika, a raczej na króla polskiego!

Anna popatrzyła na jego zimną twarz z pobłażliwym uśmiechem. Boże, co za mrzonki! Cóż to za król bez królestwa miałby być z jej męża? Chyba na pośmiewisko przeciwnikom politycznym. Czy ci mężczyźni nie mogliby zająć się sprawami naprawdę ważnymi – jak rodzina, pomoc ubogim czy organizacja życia uchodźców, zamiast snuć wciąż nierealne wizje polityczne?

Zajechali pod dom, w którym mieściło się niewielkie mieszkanko księcia, tuż przed wieczorem. Adam Czartoryski zszedł na dół na spotkanie z nimi. Patrzył wyraźnie wzruszony, jak wysiadali z powozu: dzieci trochę zaspane, Anna – promienna i uśmiechnięta, i Władysław – wysoki, smukły i pełen godności. Nareszcie ma ich

wszystkich przy sobie!

– Aleście wyrosły wszystkie, dzieci! – powiedział, ściskając wszystkich po kolei.

Aleś się postarzał! – pomyślała ze współczuciem i z czułością Anna, obejmując go i wdychając jego zapach.

– Chodźcie, chodźcie! Mój służący wniesie kufry. A kolację już przyniósł z gospody. Zgłodnieliście pewnie?

Anna zauważyła, że dzieci prawie nie poznają ojca. Te dziewięć miesięcy bez niego to dla nich bardzo długo. Powinien już wracać do Paryża.

Weszli na górę po drewnianych schodach. Skromność nowego lokum męża uderzyła Annę boleśnie, choć sama w Paryżu musiała liczyć każdy grosz. Czekał na nich nakryty stół. I pierwsza angielska kolacja.

Po posiłku Anna poszła położyć dzieci spać, a ksiązę został przy stole ze swoim siostrzeńcem. Przyglądał mu się z uwagą. Potrzebował go.

– I cóż, Władysiu? – zagadnął, częstując go cygarem. – Namyśliłeś się? Z czym do mnie przyjeżdżasz?

– Tak, wuju – powiedział poważnie Władysław Zamoyski, patrząc mu w oczy. – Będę popierał wuja we wszystkim i stanę się twym najwierniejszym narzędziem, jeśli tylko będziesz działać sam i nie oglądać się za bardzo na innych. Dość było dyskusji i samowoli w powstaniu. Tylko silna władza może zjednoczyć naród i przywrócić niepodległość. Najlepiej – monarchia.

Książę słuchał go uważnie. Zaciągnął się dymem z cygara i powiedział:

– Tak, chłopcze. To się zgadza i z moimi myślami. Więc dobrze, zapraszam cię do współpracy! Wiesz, że ci ufam jak nikomu innemu. Tylko pamiętaj, odtąd wszyscy będą cię mieli za mego

człowieka, a nasze myśli za wspólne. Dlatego trzymaj swe przekonania na wodzy i nie zawsze je głoś bez ogródek. Potrzebna nam dyplomacja. A mamy wrogów i przeciwników.

– Wiem, wuju. Nie zawiodę cię. Może wuj zawsze na mnie liczyć.

Tego właśnie ksiązę oczekiwał. I tego potrzebował.

– A co rodzina twoja na to? – zapytał jeszcze.

– Naradzaliśmy się z braćmi w Galicji. Umówiliśmy się, że ja zostanę przy wuju i jeśli okoliczności pozwolą, będę walczył orężem poza krajem. Oni zaś wszyscy pozostaną w kraju i będą pilnować majątków w Królestwie i w Galicji. Ja i tak spaliłem za sobą mosty w kraju, stając u boku wuja w powstaniu.

– Wiem. Za to twój ojciec stanął u boku cara. I majątki wasze ocalił...

Ksiązę nie chciał być złośliwy wobec swojego szwagra Stanisława Zamoyskiego, którego nigdy nie darzył wielką sympatią. Ale gdy podczas powstania Stanisław, pełniący wówczas funkcję prezesa Senatu Królestwa Polskiego, wyjechał do Petersburga, by podkreślić swoją lojalność wobec cara Rosji, ksiązę Czartoryski stracił dla niego resztki szacunku, choć nie mówił o tym głośno.

Władysław przemilczał jego słowa. Musiał wiedzieć, że cała patriotycznie nastawiona Familia Czartoryskich potępiała postawę jego ojca, nawet jeśli rozumiała pobudki. Szczególnie jego matka, Zofia z Czartoryskich, zaklinała męża, by się nie poniżał i nie płaszczył przed carem. Jego ojciec jednak nie zwykł był słuchać sugestii kobiet. Ani dzieci.

Wieczorem, gdy dzieci już spały, a Władysław Zamoyski poszedł złożyć wizytę dawnym znajomym, księżna usiadła razem z mężem w niewielkim saloniku jego mieszkania. Jak dawniej. Anna nie

lubiła beczynności, zwykle miała ręce zajęte jakąś robótką, nawet podczas wydawanych przez siebie herbat w warszawskim pałacu matki. Teraz też haftowała sprawnie i szybko kolorową makatę z kwiatowym wzorem.

– Wiesz, że te moje makatki i serwetki kupuje nawet królowa Amelia? – powiedziała z uśmiechem do męża. – Dzięki temu stały się tak modne w Paryżu, że wszystkie damy chcą takie i zamawiają u mnie. Biorę coraz drożej!

Księżę uśmiechnął się. Brakowało mu jej!

– Chyba masz głowę do interesów po matce – powiedział.

– Nie, ona jest w tym lepsza. Prawdziwy minister finansów! Ale właśnie, moja matka nalega, żebym pojechała do Galicji zająć się majątkowymi sprawami. Cośmy mieli w zaborze rosyjskim, to przepadło, ale Sieniawa wciąż jest i trochę dochodu może przynieść.

– Twoja matka ma rację. – Księżę znał Annę Sapieżynę od dziecka, lubił ją i cenił jej roztropność i talent do interesów, którego sam raczej nie miał.

– Kiedy wyjechalismy, udała się do Puław, by ratować, co się da – dodała Anna. – Ocaliła bibliotekę i zbiory twojej matki ze Świątyni Sybilli.

– To dzielna kobieta. Wdzięczny jej jestem. Napiszę do niej z podziękowaniami.

– W zasadzie jesteśmy bankrutami – powiedziała Anna lekko, jakby nic to dla niej nie znaczyło. – Matka pisze mi wciąż, że powinnam była zostać w Galicji i walczyć o resztki majątku, choćby dla dzieci.

– Dobrze, więc pojedź tam. Chociaż wolałbym, żebyś pobyła trochę ze mną.

Anna spojrzała na męża z uśmiechem znad swojej robótki.

– Potrzebujemy pieniędzy nie tylko dla siebie – powiedziała z przekonaniem. – Nie masz pojęcia, jaki jest ogrom potrzeb wśród naszych we Francji. Ci ludzie, wyrwani ze swych majątków, nigdy nie pracowali, więc żadnej pracy nie mogą dostać albo utrzymać. Jakże niepraktyczne się okazuje nasze wychowanie. Popadają w biedę i bezradność.

Księżę pokiwał głową.

– Dlatego liczą na pomoc zewnętrzną – powiedział. – To szczęście, że rząd francuski przyznał zapomogi żołnierzom. Ale to wciąż mało.

– Tak – potwierdziła Anna z zapalem. – Księżna Orleanu, królowa Amelia, namawia mnie, żebym chodziła z woreczkiem od drzwi do drzwi i prosiła o wsparcie dla naszych żołnierzy. Mówi, że żaden z francuskich arystokratów nie będzie śmiał mi odmówić i zatrzaskać drzwi przed nosem. Chyba muszę to zrobić po powrocie.

Księżę popatrzył na nią w zamyśleniu. Kto by przypuszczał, że ta wąła, spokojna i wyciszona panna, którą poślubił, stanie się z czasem taką dzielną kobietą. Nie skarży się w ogóle na ubóstwo, które spadło na nią niespodziewanie, a jeszcze gotowa jest chodzić po prośbie dla uboższych od siebie. Księżcia ogarnęła jakaś tkliwość. Nie chciał się już rozstawać z żoną, potrzebował jej pogody ducha, optymizmu i siły.

– Bo przecież nic tak nie szkodzi obrazowi naszego kraju w oczach Francuzów – ciągnęła księżna – jak bezdomni, głodni, żebrzący, a często pijani Polacy. Zresztą nie można wymagać od Francji, by dbała o nich tak jak o własnych obywateli. Dlatego to my sami musimy o nich zadbać. To jest nasza rola.

Igła ze złotą jedwabną nicią śmigła w palcach Anny coraz szybciej, a na białym płótnie rozkwitały złociste róże. Jakby księżna spieszyła się, wiedząc, że ta makata zamieni się kiedyś

w kilka obiadów dla wygłodzonych polskich żołnierzy.

Skąd w niej tyle stanowczości i rozumu? – dziwił się książę. Cicha, pokorna, nieefektowna. Nie do porównania z jego matką Izabelą. Jednakże w chwili próby miała w sobie ten hart, tę wizję, tę siłę i niezłomność, które czyniły z niej godną żonę i partnerkę przywódcy polskiej emigracji. Pierwszą polską damę w Paryżu. Książę popatrzył na żonę z czułością. A trochę i z dumą.

– Dobrze, że przyjechałaś, Anno – powiedział miękko.

Była najlepszym lekarstwem na spleeny i zwątpienia, które niekiedy dopadały i jego.

LONDYN, KONIEC CZERWCA 1832

Wielki dzień! Książę pracował nad tym od miesiący. Udało się!

W końcu czerwca w Parlamencie Brytyjskim miała się odbyć debata dotycząca sprawy polskiej. Opinia publiczna była już na nią przygotowana dzięki licznym artykułom zamieszczanym w prasie na ten temat. Teraz Izba Gmin miała wysłuchać korespondencji dyplomatycznej z Petersburgiem dotyczącej sprawy polskiej.

Książę Adam Czartoryski i Władysław Zamoyski udali się do loży dla prasy i przysłuchiwali się z uwagą obradom. Sprawa polska została poruszona dopiero po południu.

Obszerną mowę wygłosił lord Ferguson, dając prawdziwy oratorski popis. Mówił barwnie o polskich krzywdach, wykazał, że car Mikołaj I, podarłszy wszystkie narodowe układy, trzyma Polskę jako nieprawny przywłaszczyciel, prawem mocniejszego. Poparto go i złożono petycję w sprawie Polski.

Ale odpowiedź wywołanego do zabrania głosu ministra Palmerstona była wymijająca i blada, jego wysokie czoło i zimne oczy pozostały obojętne i nieporuszone. Powiedział jedynie kilka

ogólników pochlebnych dla Polski. Odmówił jednak dyskusji o sprawie polskiej ze względu na relacje angielsko-rosyjskie.

Wtedy głos zabrał przyjazny księciu i spokrewniony z nim poseł O'Connell.

– Panowie, przecież prawa Polaków nie polegają na traktacie wiedeńskim! – mówił z mocą. – Traktat ten jest pogwałceniem praw, które mieli przedtem. A kongresowi wiedeńskiemu nie więcej przystało oddać Polskę Rosji, jak bandzie rabusiów dzielić między sobą chudobę wydartą podróżnikom. Car Mikołaj to złoczyńca! Okrutnik! Tyran! Czy godzi nam się tolerować jego postępkę, gdy tak się chlubimy naszą wolnością i praworządnością?

Po izbie obrad przebiegł szmer.

Lord Palmerston powstał i wyraził stanowczo żal, że takich nieprzystojnych słów użyto w parlamencie wobec panującego monarchy sprzymierzonego z Anglią.

Ale nastroje zostały już podgrzane i niełatwo je było teraz wyciszyć.

– Car Rosji jest potworem w ludzkiej postaci! – padało z parlamentarnej mównicy. – Dopuszcza się czynów zdrady i wiarołomstwa!

– Jesteśmy uczestnikami tych traktatów, więc i my także jesteśmy obrażeni w krzywdach i zniewagach Polski. Tutaj, w Izbie Gmin, oburzeniu naszemu przeciw postępowaniu Rosji dajmy głos pełny i stanowczy! Stąd, z tej Izby, rzucamy w świat ziarna. Z nich następnie wyrosną drzewa potężne i dojrzeją owoce, z których Polska powinna spodziewać się poruszenia i naprawy krzywd swoich!

– Tego, kto na Sybir gna całe osady – brzmiało, gdy emocje sięgały zenitu – co nie szczędzi ni płci, ni wieku, tego, co głowy starców ogałacać każe z siwych włosów, co pastwi się nad

niewiastami, co herodową dłonią wdziera się w kolebkę dziecięcia polskiego, tego nie łotrem powinniśmy nazwać, ale zawołać: O! gorszym ty jesteś niż mowa ludzka określić cię może!

Książę Adam i hrabia Zamoyski byli zadowoleni z tej debaty, zwłaszcza że dyskusja przeszła z Izby do dzienników, stanowczo potępiając system przyjęty przez ciemżyciela ku zagładzie narodowości polskiej.

A dwa dni przed debatą parlamentarną przybiegła do księżnej Anny dawna znajoma, lady Grey, żona lorda Greya, który wspierał księcia jeszcze w czasie kongresu wiedeńskiego. Teraz ich zięć, młody lord Durkham, miał być członkiem brytyjskiego poselstwa nad Newą. Lady Grey chciała osobiście przekazać Annie dobrą nowinę – jej zięć wybierał się właśnie do Petersburga upomnieć się, jak mówiła, o polskie prawa i interesy.

Wobec tego książę Adam zaprosił lorda Durkhama na herbatę.

Młody lord od razu zadeklarował księciu swoje gorące uczucia wobec Polski. Prosił o jak najwięcej informacji.

– Drogi książę – zapewnił – jedną z głównych pobudek przyjęcia przeze mnie misji do Petersburga była sprawa polska. Pragnąłbym stać się Polsce użytecznym. Zamierzam spokojnie, ale z całą otwartością powiedzieć carowi Mikołajowi rzeczy, których pewnie nigdy nie słyszał.

I pewnie książę, Władysław i Anna cieszyliby się bardzo z tych zapewnień, gdyby nie traf, który przydarzył się kilka dni później, po wizycie lorda.

Władysław Zamoyski szedł w południe londyńską ulicą i natknął się przypadkiem na dawnego znajomego, Walewskiego. Przywitali się, przystanęli, zaczęli rozmawiać. Okazało się, że ów Walewski był dawnym kolegą szkolnym lorda Durkhama i pozostawał z nim wciąż w bliskich kontaktach. I wiedział

z pierwszej ręki, że lord Durkham nie zamierza wcale zająć się sprawą polską w Petersburgu, bo uważa to za całkiem daremne, a w instrukcjach dyplomatycznych, które otrzymał, nie ma nawet słowa o Polsce.

Gdy Władysław Zamoyski opowiedział o swoim spotkaniu z Walewskim przy kolacji, przy stole zrobiło się cicho. Książę Adam nie wydawał się szczególnie zaskoczony. Zdążył przywyknąć do rozmaitych afrontów i braku lojalności.

Ale Anna nie kryła oburzenia:

– Mój Boże, cóż to za obłudni ludzie! – Nie mogła się nadziwić. – I po cóż nas mamia i zwodzą swymi obietnicami? Czy nie lepiej już milczeć?

– To jest dyplomacja, moja droga... – powiedział książę znużonym głosem. Wiedział doskonale, jak często mamiono go w życiu politycznym i ile usłyszał obietnic bez pokrycia.

Po twarzy Anny przebiegł cień odrazy.

– Nie chcę mieszkać w tym okropnym kraju – powiedziała z przekonaniem. – Źle się tu czuję. Tak często pada, jedzenie niesmaczne. Nikomu nie można ufać. Wracajmy do Paryża!

Książę westchnął głęboko. Miał nadzieję namówić Annę na przeprowadzkę do Anglii na stałe.

PARYŻ, SIERPIEŃ 1832

Sierpień w Paryżu był gorący i suchy, czarne powozy i dwukonne omnibusy wzniecały tumany kurzu, od których przechodniów drapało w gardle. Kto tylko mógł, opuszczał stolicę i przenosił się na wieś, najlepiej nad błękitny ocean lub do lawendowej Prowansji. Ale nie dotyczyło to grupy polskich emigrantów, którzy zamiast letnią kanikułą zajęci byli zupełnie innymi sprawami.

Oto ścigało do Paryża coraz więcej polskich znakomitości, a grupa nieszczęsnych wygnańców niczego nie potrzebowała tak bardzo jak celebrowania narodowych symboli oraz poczucia wielkości i słuszności swojej ofiary. I nadarzyła się właśnie wspaniała okazja, by tę niedawną ofiarę wspominać, uhonorować i nadać jej sens. Pojawił się bowiem w stolicy Francji generał Józef Dwernicki, dawny bohater wojen napoleońskich odznaczony krzyżami *Virtuti Militari* i dowódca zwycięskich kampanii w ostatnim powstaniu. Szczególnie wygrana pod jego dowództwem bitwa pod Stoczkiem i zdobycie wielu rosyjskich armat odbiły się szerokim echem i podniosły morale w walczącym kraju. A teraz, gdy bohater pojawił się w stolicy Francji, wydano na jego cześć polski obiad.

Juliusz Słowacki właśnie się tam wybierał. W białym surducie z kwiecistą kamizelką, wspierając się na mahoniowej laseczce z główką z kości słoniowej, szedł lekkim krokiem pustymi Polami Elizejskimi, zanurzony w cieniu platanów. Od czasu do czasu spoglądał z zadowoleniem na swoje odbicie w szybach okien, prostował się wtedy i ujmował laseczkę z jeszcze większą gracją.

Był podekscytowany. Nie tylko ze względu na obecność bohatera i nie z powodu perspektywy spotkania ponad stu ziomków. Był inny powód. Od niedawna bowiem przebywał w Paryżu także Adam Mickiewicz, którego poetycką wielkość Juliusz potrafił ocenić jak nikt inny. Doszły Juliusza słuchy, że Adam o niego rozpytywał. Z pewnością trafiły już w jego ręce dwa wydane świeżo tomiki poezji, więc Juliusz płonął ciekawością usłyszenia opinii pierwszego romantyka. Jednak żaden z nich nie złożył jako pierwszy wizyty drugiemu. Na szczęście nadarzyła się ta narodowa feta, naturalny wspólny grunt.

Na miejsce uroczystości wybrano dość skromny dom, ale

położony w obszernym ogrodzie otoczonym starymi drzewami, w pobliżu Pól Elizejskich. Ten cienisty skrawek zieleni, dający wytchnienie w upalnym dniu, mógł przypominać uczestnikom opuszczone litewskie dworki, bo choć położony w centrum Paryża, sprawiał wrażenie wiejskiego ustronia.

Sala jadalna udekorowana była dookoła biało-karmazynowymi flagami, a przez jej środek biegł długi stół zdolny pomieścić ze sto osób. U jego szczytu przewidziano miejsce dla bohatera wieczoru, obok niego usadzono innych generałów.

Tym razem nie zaproszono żadnych cudzoziemców, od progu słyhać więc było tylko polską mowę, a w ciepłym powietrzu od kuchni dobiegał aromat barszczu, bigosu, zrazów i innych domowych potraw.

Wśród gości byli sami mężczyźni, dużo wojskowych. Juliusz, jeden z najmłodszych, zajął skromnie miejsce przy końcu stołu. Wpatrywał się w Mickiewicza witanego przez wielu przybyłych jak drugi bohater, ściskającego dłonie, rozdającego uśmiechy.

Już go kochają, a nawet czczą! – pomyślał. Tak, jesteśmy braćmi w poezji, ale ja do ciebie nie podejść pierwszy i ręki nie podam...

Gdy wszyscy zajęli już miejsca przy stole, a ci, dla których miejsc zabrakło, tłoczyli się pod ścianami, zaczęto wnosić potrawy – takie, które na każdym rodzinnym obiedzie w kraju mogły być podane. Rozlano wino do kielichów.

Wstał wtedy poseł Jan Ledóchowski, ten, który w powstańczym sejmie 1830 roku pierwszy złożył projekt detronizacji cara, i w imieniu rodaków słał bohatera tego spotkania i dziękował za jego czyny wojenne, które taką nadzieją wypełniały polskie serca. A w dowód wdzięczności i uznania wszystkich zebranych ofiarował wodzowi złoty pierścień.

Generał Dwernicki, pokaźnej tuszy, ale wielkiej energii człowiek,

był wyraźnie wzruszony. Podniósł się z krzesła, ujął swój kielich i powiedział:

– Drodzy rodacy, dziękuję wam serdecznie za pamięć i za tę pamiątkę. Ale nie mnie się one należą, tylko temu świetnemu wojsku, którym miałem honor dowodzić! Szczególnie tym trzem tysiącom żołnierzy spod Stoczka, którzy tak dzielnie moskiewską butę starli!

Te słowa wywołały rozrzewnienie na twarzach starych wiarusów, których nie brakowało wśród zebranych – w niejednym oku zakręciła się łza na wspomnienie tamtych dni. Potem siedzący obok Dwernickiego generał Jan Umiński wzniósł toast na cześć pamiętnego powstańczego sejmu. Byli na sali także posłowie.

– Niech żyje Ledóchowski! – krzyknął ktoś.

Wypito i za niego.

Po jakimś czasie wstał Franciszek Grzymała z pełnym kielichem.

– Panowie! – powiedział uroczyście. – Pragnę wznieść toast za poległych za ojczyznę! Jak to pięknie powiedział Schiller: niech żyją umarli!

Wypito więc i za umarłych.

Z każdym kolejnym toastem gości ogarniało coraz większe rozrzewnienie. Nie było mowy o żadnych sporach, waśniach, podziałach – wszystko to odpłynęło. Rozbitkowie poczuli się znów jedną polską rodziną, kochającą się i gotową przebaczać wszelkie przewiny i słabości.

Służba zmieniała talerze, wnoszono kolejne dania. Z głów zaczynało się kurzyć.

– Panowie! – wstał ktoś po chwili. – Wypijmy i za Lelewela jako literata i profesora! Wszak on pierwszy swymi naukami usposabiał młodzież do rewolucji.

Wypito.

Obiad powoli zbliżał się do końca, wniesiono ciasta i owoce. Wzmianka o Lelewelu skierowała oczy wielu obecnych na Mickiewicza, jego najwybitniejszego studenta, a teraz przyjaciela.

– Wiersz, wiersz... – zaczęto szeptać. – Improwizacja, prosimy!

Adam Mickiewicz nie dał się długo prosić. Wstał. Gwar rozmów przy stole ucichł. Zarumienione, uśmiechnięte twarze zwróciły się ku niemu. Słuchano, gdy mówił:

*Wesoło tutaj i chęć we mnie szczerą
Łyknąć za zdrowie Stoczków Bohatera,
Lecz czem tu strzelać, bracia, przyjaciele,
I cienkie wino i tego niewiele...
Cóż robić – cierpmy, a może Bóg zdarzyć,
Że przyjdzie jeszcze ta rocznica błoga,
Gdzie znów Dwernicki będzie gospodarzyć,
Kiedy nie wino, krew popłynie wroga.
A tymczasem zdrowie twoje,
Coś wodził Polaki w boje.
Tak warto krzyknąć donośnie,
By nad Wisłą było głośno!*

Szmer podziwu przebiegł wśród zebranych, a potem zerwały się oklaski. Mało kto z obecnych był dotąd świadkiem improwizacji Mickiewicza, więc ta sztuka przemawiania wierszem bez wcześniejszego przygotowania niejednego wprawiła w zdumienie. Ale Juliusz także potrafił to doskonale, piękne słowa spojone mową wiążaną płynęły z jego ust bez trudu, lekko jak oddech. Jednak nie wstał i nie próbował konkurować z Adamem, wokół którego, czuł to dobrze, formował się znów krąg wielbicieli, admiratorów i pochlebców jak dawniej w Wilnie. A on, Juliusz,

choć nie mniej utalentowany, był zawsze sam, osobny. Ach, zaćmi go kiedyś, zaćmi choćby po śmierci!

A gdy wybrzmiały już oklaski i zachwyty nad improwizowanym wierszem Adama, według Juliusza takim sobie, kiedy zjedzono znakomity tort z brzoskwiniami i wypito kawę, padła propozycja, by wyjść na przechadzkę do ogrodu. Biesiadnicy zgodzili się na to z ochotą – po tym wieczorze pełnym narodowych wzruszeń, obfitego jedzenia, wina i gorzałki wszystkim przyda się orzeźwiający powiew wieczornego powietrza.

Wyszli więc przed dom. Zapadł już wieczorny zmierzch, a z nim zrobiło się trochę chłodniej. Lekki wiatr pachnący kwiatami chłodził rozgrzane twarze. Wzruszenie, błogość, poczucie braterstwa i lekki rausz udzieliły się wszystkim.

Wtedy to, w ciemnościach wieczoru rozświetlonych z daleka światłem gazowych latarni, do Juliusza podszedł Adam Mickiewicz.

– Miło mi widzieć i powitać znakomitego poetę! – powiedział z uśmiechem i wyciągnął rękę.

Pod wpływem tych słów w Juliuszu jakby roztopiło się serce, cała duma i dawna nieprzystępność rozpuściły się jak lód w promieniach słońca. Podał mu dłoń i uścisnął.

– To ty jesteś znakomitym poetą, nigdy nie miałem co do tego wątpliwości! – zapewnił szczerze.

Zaczęli się przechadzać wspólnie.

– Pamiętam cię jako dziecko w Wilnie... – rzekł Adam.

– Tak. Bywałeś u nas w domu. I ja to pamiętam – odrzekł Juliusz.

– A razu jednego spotkałeś u nas Jana Śniadeckiego, który perorował przeciw twojej poezji. Nie mogłem tego znieść!

Adam Mickiewicz roześmiał się serdecznie na to wspomnienie, pewien już swojego triumfu nad starym mędrcom.

– Doszły mnie słuchy, że biedak umarł – powiedział.

– Tak, w Jaszunach. Przed samym powstaniem. Może i dobrze, że go nie dożył. Dopiero by pomstował na skutki romantycznej poezji...

Zamilkli obaj. Dwaj poeci kochający słowa. Świadomi, że słowa mogą sprowokować czyny, które zmieniają rzeczywistość. Nieodwracalnie.

– A mnie Malewski twoje wiersze za granicę przysłał – powiedział po chwili Adam.

Juliusz nadstawił uszu. To był moment, na który czekał cały wieczór. Niczyjej opinii o swojej poezji nie był tak ciekaw jak tego człowieka. I niczyja się tak nie liczyła.

– Och, moje wiersze... To ciebie uważam za pierwszego z polskich poetów.

A wtedy jak spod ziemi wyrósł im za plecami jakiś znajomek z Wilna, którego Juliusz ledwo pamiętał. Musiał iść za nimi i przysłuchiwać się ich rozmowie, bo teraz klepnął go w plecy i ledwo trzymając się na nogach, zionąc zapachem wina, gorzałki i bigosu, wykrzyknął:

– Nadto jesteś skromny, panie Juliuszu, nadto skromny!

Ten incydent zburzył nastrój rozmowy i poeci nie podjęli już tematu. Pożegnali się serdecznie i Juliusz wkrótce opuścił przyjęcie, by wrócić do swojej samotni.

Dopiero po paru dniach doszła do niego powtórzona przez znajomego opinia Mickiewicza o jego dwóch nowych tomikach. Adam powiedział, że jego poezja jest śliczna, że jest to gmach piękną architekturą stawiony, jak wzniosły kościół – ale w kościele Boga nie ma...

Zdanie to wydało się Juliuszowi śliczne i poetyckie. Był z niego bardzo zadowolony.

AWINION, GRUDZIEŃ 1832

W grudniu nawet w słonecznej Prowansji zrobiło się ponuro. Zmrok zapadał wcześniej, wieczory dłużyły się w nieskończoność. Setki żołnierzy emigrantów czekały pierwsze święta na obczyźnie, z dala od rodzinnego domu i kręgu bliskich twarzy. W pozostawionych dworach, domach i chatach trwały już przygotowania do Wigilii: nastawiano ciasto na pierniki, kiszono buraki na barszcz, dzieci robiły świąteczne ozdoby. Palono adwentowe świece. Wszystkich ogarniały te wspomnienia i wywołana nimi nostalgia wyciszyła trochę tych rozdyktowanych zwykle i skłonnych do sporów i waśni mężczyzn. Jakby z zimnych murów koszar uciekali myślą pod bliskie ich sercom dachy, do rodziców, do rodzeństwa, do dzieci i żon.

Dziś jednak wyjątkowo wszyscy byli obecni i skupieni na tym, co właśnie się działo. Największa sala zakładu w Awinionie była wypełniona po brzegi. Nie było w niej słychać zwykłego gwaru ani gorączkowych dyskusji i sporów. Mężczyźni siedzący na krzesłach i ławkach albo na podłodze byli skupieni i milczący. Wsłuchani w silny głos jednego z nich, czytającego uroczystym tonem tekst niewielkiej broszury, która wczoraj dotarła do zakładu z Paryża:

Duszą Narodu polskiego jest pielgrzymstwo polskie.

*A każdy Polak w pielgrzymstwie nie nazywa się tułaczem,
bo tułacz jest człowiek błędzący bez celu;*

*Ani wygnańcem, bo wygnańcem jest człowiek wygnany
wyrokiem urzędu, a Polaka nie wygnał urząd jego.*

*Polak w pielgrzymstwie nie ma jeszcze imienia swego, ale
będzie mu to imię potem nadane, jako i wyznawcom Chrystusa*

imię ich potem nadane było.

A tymczasem Polak nazywa się pielgrzymem, iż uczynił ślub wędrowki do ziemi świętej, Ojczyzny wolnej, ślubował wędrować póty aż ją znajdzie.

Maurycy siedział pod ścianą, na podłodze, bo zabrakło już krzeseł, i wspominał podziwianego poetę swojej młodości, który wówczas zdobywał sławę w Wilnie, a teraz był znany nie tylko na całych ziemiach polskich, ale i tu, na uchodźstwie we Francji. Adam Mickiewicz, choć nie walczył w powstaniu, to przecież siłą swojej poezji miał w nim swój udział i znalazł się wraz z innymi żołnierzami na francuskiej ziemi. Maurycy jeszcze w czasie wileńskich studiów, jako filareta zauroczony rodzącą się romantyczną poezją Adama, obiecał sobie, że przeczyta wszystko, co kiedykolwiek wyjdzie spod jego pióra. I dotrzymywał tego zobowiązania. A teraz Adam Mickiewicz napisał do nich wszystkich, żołnierzy tułaczy, przesłanie w biblijnej stylistyce, jak jakiś patriarcha. I słuchali go tak właśnie – jak swojego duchowego przywódcę. Bo zwracał się bezpośrednio do nich.

Pielgrzymie polski, byłeś bogaty, a oto cierpisz ubóstwo i nędzę, abys poznał, co jest ubóstwo i nędza; a gdy wrócisz do kraju, abys rzekł: Ubodzy i nędzarze współdziedzicami moimi są.

Pielgrzymie, stanowiłeś prawa i miałeś prawo do korony, a oto na cudzej ziemi wyjęty jesteś spod opieki prawa, abys poznał bezprawie; a gdy wrócisz do kraju, abys wyrzekł: Cudzoziemcy razem ze mną współprawodawcami są.

Pielgrzymie, byłeś uczony, a oto nauki, któreś cenił, stały ci się nieużyteczne, a te, któreś lekceważył, cenisz teraz, abys poznał, co jest nauka świata tego; a gdy wrócisz do kraju, abys rzekł:

Prostaczkowie współuczniami mymi są.

Maurycy słuchał tych słów i uświadamiał sobie, że jego starszy kolega Adam celowo obejmuje właśnie duchowe przywództwo narodu. Mówi do nich jak ojciec. Krytykuje, co złe, ale wskazuje dobre ścieżki i słuszne kierunki. Po ojcowsku poucza i napomina. Radzi, zachęca, prowadzi. I wie doskonale, choć mówi z oddali, jakie są ich rzeczywiste problemy i trudności:

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się, mówiąc: Waleczni byliśmy, a nie mamy starszeństwa i znaku! A czyż walczyliście dla starszeństwa i znaku? Kto dla starszeństwa i znaku walczy, niech idzie do Moskala.

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się, mówiąc: Oto ten, który stoi na prawo, lękliwy jest, a wziął znak; oto ten, który stoi na lewo, niemądry jest, a wziął starszeństwo? A czyliż żołnierz dobry, biegnąc na nieprzyjaciela, ogląda się na prawo, na lewo? Nie ogląda się, ale naprzód idzie. Bo kto ogląda się na prawo i na lewo, tchórz jest. Oglądać się i oglądać jest rzecz naczelnika.

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się, mówiąc: Naczelnik nasz pomylił się, dając znaki, wybierając na starszeństwo ludzi złych. Bo widzi każdy łatwo wadę w naczelniku, a nie widzi przymiotu; i widzi zasię w sobie przymiot, a nie widzi wady. A często to dobre, które jest w naczelniku, potrzebniejsze jest dla dobra Narodu, niżeli to dobre, które w nas jest.

Więc jakie były te pouczenia i ojcowskie nauki Adama? Maurycy wsłuchiwał się w jego słowa. Poeta apelował o zgodę i jedność, oczywiście. Gołym okiem widać, jak ta zgoda jest potrzebna wobec narastających waśni, sporów i wzajemnych oskarżeń.

Maurycy zrozumiał też, że Adam Mickiewicz znów odpowiedział mu na pytanie, jakie na próżno sam sobie zadawał. O sens tego, co się wydarzyło. Adam potrafił im, życiowym rozbitkom, ten sens wskazać. Oto nazwał ich pielgrzymami w drodze do wolnej ojczyzny i tymi słowami jak gdyby uświęcił ich drogę. A polski los nazwał ofiarą, przyrównując ją do ofiary Chrystusa cierpiącego na krzyżu. I wierzył, że ta ofiara przyniesie kiedyś zbawienie, czyli wolność. A do tego przyzywał w końcowej modlitwie powszechną rewolucję, która ma wyzwolić ludy Europy:

O wojnę powszechną za Wolność Ludów!

Prosimy Cię, Panie.

O Broń i orły narodowe.

Prosimy Cię, Panie.

O śmierć szczęśliwą na polu bitwy.

Prosimy Cię, Panie.

O grób dla kości naszych w ziemi naszej.

Prosimy Cię, Panie.

O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej.

Prosimy Cię, Panie.

W zapadającym szybko grudniowym zmroku, w blasku rozstawionych na stołach świec, w całkowitym milczeniu wyrwani ze zwykłego życia mężczyźni słuchali tych słów jak zahipnotyzowani.

PARYŻ, GRUDZIEN 1832

Ach, za ciasny Paryż dla nich obu, za ciasny!

Juliusz Słowacki chodził wzburzony po swoim pokoju. Obie dłonie zanurzył we włosy i ścisnął swoje skronie. Zupełnie, jakby

w głowie mu się nie mogło pomieścić to, co właśnie przeczytał.

Na stoliku obok fotela leżała rzucona książka. Na okładce: Adam Mickiewicz, *Dziady, część III*.

Za oknem grudniowa noc, na stole świece, w głowie burza myśli. Zamęt. W sercu zachwyty, podziw, sprzeciw i ból.

Juliusz wiedział od dawna o powstaniu III części *Dziadów* z listów Odyńca, który towarzyszył Mickiewiczowi w Dreźnie. Odyniec umieścił nawet Adama w tym samym pokoju, który Słowacki zajmował ponad rok temu, gdy zatrzymał się tam w drodze z Warszawy do Paryża, czekając na instrukcje powstańczego rządu. Dawny wileński przyjaciel domu państwa Bécu donosił mu o pracach poetyckich własnych i swojego przyjaciela. Juliusz czekał więc na ten dramat, który odnosił się do wileńskich *Dziadów*, ale powstał w zupełnie innych warunkach – gdy powstanie upadło, rzucając tysiące żołnierzy na niepewną tułaczkę. Jak Adam o tym opowie, jak się do tego odniesie? Bo przecież odnieść się musi.

Ten tom drukowany był w Paryżu w drukarni sióstr Pinard, tej samej, gdzie Juliusz wydrukował swoje poezje. Zaprzyjaźnił się z siostrami, najmłodsza, szesnastoletnia Kora, kochała się w nim poważnie, a jemu to schlebiało. Bywał tam często i wiedział o druku *Dziadów*. I teraz wreszcie, gdy książka była gotowa, kupił ją jako jeden z pierwszych i nie mogąc pohamować ciekawości, czytał ją, aż zapadł zmrok, ale i wtedy czytał dalej przy blasku świec.

A więc najpierw – zachwyty! Otwarta, faustowska forma dramatu. Pełno duchów i aniołów. I zaskoczenie – Mickiewicz wrócił do dawnych wileńskich wypadków, do aresztowań młodzieży. Jakby nie biorąc sam udziału w powstaniu, chciał przypomnieć tę kartę swojej młodości i z lokalnego procesu uczynić wielką

metaforę polskiego losu. Tym bardziej było to dla Juliusza poruszające, że osobiście znał wielu ukazanych tam bohaterów. Czytał to dzieło z wypiekami na twarzy, przeżywał uniesienia Konrada, jego wadzenie się z Bogiem i własną pychą. Jego upadek i ratunek odnaleziony w pokorze księdza Piotra.

Juliusz zrozumiał natychmiast, że to dzieło wybitne, niezwykle, o większej wadze niż inne, co wyszły spod pióra Adama. Ta lektura była tak intensywna, że o mało nie dostał gorączki.

A potem...

Juliusz dotarł do sceny, w której pojawił się Doktor. Czytał rozszereżonymi z niedowierzania oczami. Czy to możliwe, że chodziło Adamowi o jego ojczyzna, doktora Bécu? Juliusz pochłaniał wzrokiem kolejne wersy tego arcydramatu i wzbierało w nim oburzenie: jakież to niesprawiedliwe! Jakie niezasłużone! Jak on mógł?!

Doktor został przedstawiony jako postać służalcza wobec znieawidzonego w Wilnie Nowosilcowa. A przecież tak nie było! Ojczym Juliusza był zasłużonym dla miasta lekarzem, prezesem Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego, pogromcą epidemii ospy, prekursorem szczepień ochronnych i wykładowcą uniwersyteckim. Leczył pacjentów i krzewił wiedzę medyczną w Wilnie. A nadto przyjmował młodego Adama w swoim domu. Czymże sobie zasłużył na takie potraktowanie?

Tliła się w nim jeszcze nadzieja, że nie wszyscy czytelnicy będą kojarzyć tę postać z jego ojczymem. Przecież doktorów w Wilnie było znacznie więcej. Ale kiedy uczeplił się tej myśli, dotarł do sceny, gdy Doktor ginie nagle od uderzenia pioruna, przyciągniętego srebrnymi rublami w szufladzie...

Teraz nikt nie będzie miał żadnych wątpliwości! Ta sprawa była słynna w całym Wilnie. Juliuszowi natychmiast stanął przed

oczami obraz sprzed ośmiu lat.

Upalne, późne lato. Ma piętnaście lat. Jest w ogródku ich kamienicy przy ulicy Zamkowej, zrywa kwiaty, by ofiarować matce pachnący bukiet. Sine chmury wiszą nisko nad miastem. Duszno. Nagle błysk i ogłuszający, potężny grzmot gdzieś bardzo blisko. Pewnie zaraz się rozpada, myśli, więc szybko biegnie na górę z bukietem pachnącego groszku. Część kwiatów chce zostawić w pokoju ojczyma. W mieszkaniu bierze porcelanowy wazon, nalewa wody, wstawia kwiaty i niesie do pokoju. Stawia wazon na szafce przy łóżku. Mąż jego matki leży na nim nieruchomo. Oczy ma otwarte. Jakby zastygł w tej pozie. Nie mruga. Nie oddycha... Wiedziony złym przeczuciem Julek dotyka jego ręki. Jest jeszcze ciepła, ale jakaś bezwładna.

Idzie do salonu zawiadomić matkę, która spokojnie gra na fortepianie. Pamięta jej krzyk. Przerażliwy...

Właśnie, matka! Jak ona zniesie to upokorzenie? Przecież prędej czy później trafi do niej książka Mickiewicza, którego tak podziwiała, lubiła i przyjmowała chętnie w swoim salonie. Jakże mógł, niewdzięcznik, tak ją poniżyć?

Juliuszowi napłynęły do oczu łzy bezsilnej wściekłości. Pojedynek! To jako pierwsze przyszło mu do głowy. Musi wyzwać Adama na pojedynek, by krwią zmazał tę zniewagę wyrządzoną całej rodzinie.

Ale nawet jeśli będą się strzelać, to przecież nazwisko jego matki zostało już poniżone na wieki. I on sam, Juliusz, także. Dlatego Paryż stał się dla nich dwóch za ciasny. Musi stąd wyjechać! Zwłaszcza że wokół Mickiewicza uformował się już krąg wielbicieli – wyznawców, którzy widzą w nim narodowego wieszca i czczą jak żywy pomnik. Spijają słowa z jego ust, choć nie rozumieją wszystkiego. A jego, Juliusza, choć przecie jako jedyny dorównuje

mu talentem, kompletnie ignorują.

Dopiero po czasie dotarł do Słowackiego zabójczy sens oceny Mickiewicza, który porównał jego poezje do pięknego Kościoła bez Boga. To określenie obiegło szybko całą polską emigrację w Paryżu. Skoro w tym Kościele żadnego Boga nie ma, to pewnie i czytać nie warto – zdawali się sądzić paryscy Polacy i przestali się interesować jego dwoma tomikami.

Juliusz czuł, że tu, w Paryżu, nic dobrego go już nie spotka. Musi wyjechać! Musi uciec z tego miasta, gdzie najwyraźniej go nie chcą.

Na szczęście Juliusz miał dobry pretekst do wyjazdu. Jako członek Towarzystwa Literackiego w Paryżu zaangażował się wcześniej w projekt wybicia złotych medali... A teraz Cezary Plater powierzył mu misję do Genewy, gdzie miał dopilnować powstania medali. A zatem wyjedzie do Genewy. Wywiąże się z zadania. Jednak do Paryża już nie wróci!

KRZEMIENIEC, GRUDZIEŃ 1832

Spokojne i senne nieco życie Krzemieńca trochę się ostatnio ożywiło. Wprawdzie po upadku powstania zamknięto wspaniałe Liceum Krzemienieckie, owe Ateny Wołyńskie promieniujące gruntowną wiedzą i świetnym wychowaniem uczniów na całą okolicę, ale profesorowie pozostali w mieście i zaczęli nauczać młodzież prywatnie. Znając ich świetną reputację, zaczęły ściągać do Krzemieńca dobre rodziny szlacheckie mające synów w wieku szkolnym. W zaborze rosyjskim porządna edukacja była utrudniana przez władze, więc wielu rodziców wybierało to słynne z nauk galicyjskie miasteczko.

Tym też kierowała się Ewa Felińska, matka trzech synów i trzech córek, świeżo owdowiała. Po śmierci męża puściła w dzierżawę

swoje dwa majątki i osiadła z dziećmi w Krzemieńcu, który przyjął ją ciepło ze względu na wciąż żywą pamięć o Alojzym Felińskim, bracie jej męża i świetnym dyrektorem tutejszego liceum.

Salomea Słowacka poznała ją dość prędko. Ewa Felińska była kobietą czterdziestoletnią, tak jak Salomea, ale pomimo wdowieństwa i obciążenia szóstką dzieci miała w sobie niezwykłą energię. Początkowo Salomea sądziła, że to jest jedna z tych praktycznych szlachcianek, co to żelazną ręką trzymają całe gospodarstwo i od świtu do nocy zajęte są doglądaniem kur, przędzeniem lnu, wyrobem świec i mydła, smażeniem konfitur i tysiącem podobnych czynności, od których Salomea uciekała do swoich lektur, listów, fortepianu i księżycy. Wkrótce się jednak okazało, że Ewa Felińska, wprawdzie praktyczna i zorganizowana, jest też bardzo odcytana, nieźle wykształcona i rozumna. Zaprzyjaźniły się szybko i chętnie spędzały razem czas, wymieniając się wspomnieniami z młodości i wrażeniami z lektur.

Ta nowa przyjaźń wniosła trochę ożywienia w spokojne życie Salomei, nie przegnała jednak całkiem jej żalu za przeszłością, tęsknoty za utraconymi bliskimi i melancholii.

Któregoś przedpołudnia, gdy dzieci Ewy pobierały nauki, siedziały obie przy herbacie w saloniku Salomei.

– Ach, nie wiesz, doprawdy, jakie to nieszczęście tracić wciąż najbliższych, ukochanych ludzi! Wolałabym chyba sama umrzeć wreszcie, niż wciąż kogoś opłakiwać – powiedziała Salomea. – Nie dość, że straciłam obu mężów i brata, to jeszcze niedawno umarła przy porodzie nasza kochana Olesia, a za nią jej synek. I jakby tego nie było dość, odeszła też Melanka, córeczka Hersylii i mego brata, dziecko, któreśmy tak wszyscy pokochali...

Salomea przycisnęła do oczu haftowaną w niezapominajki chusteczkę.

Ewa Felińska popatrzyła na nią ze współczuciem i odrzekła:

– Nie można żyć przeszłością. Musimy znosić wyroki losu i iść dalej z nurtem życia.

– Łatwo ci mówić, skoro masz wszystkie dzieci przy sobie. I z mężem przeżyłaś dwadzieścia lat. A ja? Wieczne straty, wiecznie kogoś opłakuję i za kimś tęsknię.

Ewa Felińska spoważniała, wyjrzała przez okno i zapatrzyła się w jakąś nieodgadnioną dal. Może w przeszłość.

– Sądzisz, że łatwo? – zapytała po chwili, przenosząc uważny wzrok na twarz Salomei. – Czwooro moich dzieci najstarszych umarło w niemowlęctwie. Jedno po drugim, tuż po narodzinach. Myślisz, że to nic? Że łatwo nosić w sobie i rodzić kolejne, i drzeć, by nie umarły?

– Wybacz mi, nie wiedziałam...

– Wszyscy tracimy tych, których kochamy. Przecież taki jest porządek tego świata. Trzeba żyć dalej i być pożytecznym, bo zamykanie się w cierpieniu nic nie daje. Rozejrzyj się wokół, ilu ludzi mogłabyś pomóc, zamiast użalać się nad swoim losem – rzekła Ewa dość surowym tonem.

Salomea popatrzyła na nią zaskoczona. Nikt wcześniej tak do niej mówił. Dzieci, rodzina i przyjaciele pochylali się zawsze ze współczuciem nad jej cierpieniem.

– Tak tęsknię za przeszłością, która była dobra, ale minęła tak prędko... – powiedziała cicho. – Dzieci daleko, a ja sama... A tylu ludzi mnie otaczało i kochało dawniej!

Salomea sięgnęła po swój sztambuch, ten nowszy, oprawny w pąsową skórę. Najdroższe wspomnienie dawnych, utraconych dni. Podała go Ewie trochę z żalem, a trochę z dumą.

– Spójrz tylko, kto bywał u mnie w Wilnie! A teraz tylko ta książeczka została. I listy, ale i tych już nie wszyscy chcą pisać...

Szczęście, że kochany Julek pisze wciąż do mnie z Genewy. I tak pięknie wszystko opisuje, że jakbym tam z nim była. I taki jest lubiany wszędzie...

Ewa wzięła sztambuch i zaczęła przeglądać.

– O, Mickiewicz, Zan, Odyniec, Korsak... – odczytywała podpisy pod wierszami. – Piękna pamiątka! Pomyśl, jakim bogactwem są te wspomnienia. Ale nie można żyć, patrząc wciąż wstecz. Według mnie trzeba być w życiu wciąż użyteczną i pomocną dla innych, wtedy na żale i rozpamiętywania czasu brak.

Co za silna i dzielna kobieta z tej Felińskiej! – pomyślała Salomea z mieszanią podziwu i zazdrości.

Dolała jej i sobie herbaty z porcelanowego imbryka.

I po raz pierwszy od bardzo dawna zadała sobie pytanie, czy i ona mogłaby być użyteczną i pomocną dla innych. W jaki sposób?

1836

AWINION, ZIMA 1836

Pierwsze miesiące i lata emigracji upłynęły wielu powstańcom w oczekiwaniu na sygnał powrotu do kraju z bronią w ręku. Wydawało się, że wrócą lada moment – oni, żołnierze niepodległości, bojownicy przeciw despotyzmowi, hufiec wolnych bohaterów! Jeśli nie myśleli o tym, walcząc w kraju, to uświadomił im to triumfalny przemarsz przez Niemcy: tam ich czczono, polskie guziki od mundurów i orzełki u czapek traktowano jak relikwie, a ich powstanie widziano jako czyn w obronie wolności europejskiej. W wielu z nich rosło więc poczucie misji wobec Europy. Jakże łatwo było rozmaitym werbownikom grać na tym poczuciu – werbując polskich ochotników do zaciężnych armii, ruchawek i lokalnych rewolucji. Wielu, zgłaszając się do obcych wojsk, wyobrażało sobie swój triumfalny powrót do kraju i do domu, sądząc, że każda walka przybliży wyzwolenie ludów i w konsekwencji także Polski.

Maurycy pożegnał wielu kolegów przystających do wyprawy Zaliwskiego do kraju, ulegających werbunkowi do Portugalii, Algierii, Hiszpanii, przystających do lokalnych ruchów w różnych częściach Europy. Sam jednak pozostał wierny swojemu postanowieniu, by nie walczyć z bronią w ręku nigdy więcej – wiedział już, że to nie dla niego. Wierzył, że muszą być inne metody osiągnięcia celów politycznych niż wojna i wzajemne

zabijanie.

Gdy z czasem zobaczono, że rozmaite pomysły zbrojne nie przynoszą żadnej zmiany w sytuacji emigrantów, a perspektywa powszechnej wyzwolicielskiej rewolucji w Europie oddala się i rozpływa jak senne urojenie, zaś obywatele francuscy pod rządami Ludwika Filipa zajmują się spokojnie handlem i rzemiosłem, a nie obalaniem tronów, wówczas stało się jasne, że trzeba myśleć o urządzeniu się na obczyźnie na dłużej. Niektórzy z emigrantów, nieliczni, wierzyli w amnestię, dlatego wybierali powrót do kraju i błaganie cara Mikołaja o łaskę. Większość jednak zdecydowała się pozostać we Francji i musiała znaleźć pomysł na dalsze życie. Zwłaszcza odkąd w 1833 roku dekretem rządowym zostały rozwiązane wielkie zakłady dla polskich żołnierzy w Awinionie, Besançon i innych miastach. Musieli opuścić koszary i radzić sobie sami, choć wciąż przysługiwał im niewielki, głodowy niemal żołd.

Maurycemu zostały w pamięci słowa Adama z jego broszury o pielgrzymstwie polskim zalecającej emigrantom, by uczyli się rzemiosł i rzeczy przydatnych. Uznał to za radę sensowną. Kiedy więc zbliżał się termin opuszczenia zakładu, Maurycy zaczął się zastanawiać, jakiemu rzemiosłu mógłby się poświęcić. Co lubił najbardziej? Historię, bieg dziejów, przemiany następujące w czasie... Czas! Zatem może zegary? Zegarmistrzostwo?

A dlaczego by nie?

Maurycy wybrał się któregoś dnia na samotną przechadzkę po miasteczku i odszukał zakład zegarmistrzowski. Wszedł do środka.

Tykanie dziesiątek, a może i setek zegarów. Rozmaitych: wiszących, oprawnych w drewniane rzeźbione szafki i stojących, mających zdobić kominki i komody. Zegary były najróżniejsze,

zadziwiały wielością materiałów i form. Prócz zwykłych drewnianych także metalowe, z mosiądzu, srebra, miedzi, porcelanowe, gipsowe, zdobione figurkami ludzi i zwierząt, rzeźbione, inkrustowane kamieniami, powlekane emalią. Oraz dostojne, duże, stojące na podłodze jak mebel, o złotonych lub srebrzonych tarczach. A w szklanej gablocie – małe, kieszonkowe zegarki w zdobionych pięknie kopertach, na złotych lub srebrnych łańcuszkach. Cały odrębny świat mechanizmów wskazujących rozmaite godziny. Choć kilka z nich pokazywało zgodnie dwie minuty przed jedenastą.

Maurycemu spodobało się to miejsce, bogactwo form i kształtów zegarów. Oglądał je wszystkie jak okazy w muzeum, niektóre widział po raz pierwszy. A gdy po chwili wskazały godzinę jedenastą, niektóre z nich zaczęły to obwieszczać z zapałem: kukułki wyskakiwały ze swoich budek i kukały jedenaście razy; metalowe serca stojących i wiszących zegarów zaczynały oznajmiać donośnym biciem upływ godziny jedenastej. Zrobiło się głośno i uroczyście. Maurycy stał pośrodku tego zgiewku i uśmiechał się. Oto tykająca historia oznajmiająca donośnym biciem upływający czas!

– Czym mogę szanownemu panu służyć? – usłyszał Maurycy, gdy minęła jedenasta i wszystkie zegary ucichły, a pozostało jedynie jednostajne tykanie.

Za kontuarem pojawił się starszy, siwy mężczyzna z czarną opaską na czole, do której przymocowane było silne szkło powiększające.

– Życzy pan sobie naprawić zegarek czy nabyć nowy? Mamy duży wybór... – Zegarmistrz wskazał szklaną gablotę, a w niej różne modele kieszonkowych zegarków.

– Nie, nie, dziękuję... – powiedział pośpiesznie Maurycy. – Nie

chcę nic kupować, ale zastanawiam się, czy... czy nie potrzebuje pan może pomocnika i ucznia?

Maurycemu nie przyszło to łatwo. Nigdy wcześniej nie szukał pracy. Tam, gdzie się urodził, uważano, że praca fizyczna jest dla szlachcica dyshonorem i degradacją. Ale przecież tamtego świata już nie ma.

Zegarmistrz mierzył go wzrokiem, jakby chciał wyczytać z jego twarzy, oczu i sposobu trzymania głowy, czy może mu zaufać i wpuścić go pod swój dach.

– Jest pan Polakiem? Jednym z tych z *dépôts*? – zapytał.

– Tak. Wkrótce mają je rozwiązać. Więc musimy szukać jakiegoś zajęcia.

Przez tykanie zegarów dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi od strony zaplecza czy też pracowni. Po chwili za plecami mężczyzny pojawiła się młoda dziewczyna w niebieskiej sukience i szarym fartuchu z burzą czarnych włosów wymykających się lokami spod białego czepka.

– Sophie, jestem zajęty... – powiedział do niej zegarmistrz.

Dziewczyna, nie zważając na te słowa, stanęła obok niego i zaczęła się przyglądać Maurycemu.

– Pan jest Polakiem? – zapytała.

– Tak.

– Podobno wy, Polacy, bardzo lubicie się bić. To prawda?

– Ludzie są różni, panienko – odpowiedział spokojnie Maurycy. – Owszem, brałem udział w naszym powstaniu, dlatego się tu znalazłem. Ale nigdy więcej nie chciałbym już walczyć.

– Więc co by pan chciał robić dalej? – zapytała.

– Może na przykład naprawiać zegary? Zastanawiam się właśnie, czy nie potrzebowaliby państwo pomocnika i ucznia?

Zegarmistrz wciąż przyglądał mu się w milczeniu.

– Ojczy, jak to się dobrze składa! – zawołała Sophie i klasnęła w ręce. – Czy nie narzekałeś ostatnio przy obiedzie, że masz za dużo pracy? I czy nie mówiłeś, że przydałby ci się pomocnik? Zobacz, Bóg cię wysłuchał i zsyła ci go w osobie tego młodego oficera!

Stary mężczyzna popatrzył na nią z czułością.

– Zdaje się, że moja córka już podjęła decyzję za mnie – zwrócił się do Maurycego. – No dobrze, niech będzie. Przyjmę pana na próbę i zobaczymy, czy pan się do tego nadaje. To zawód dla cierpliwych. Miał pan kiedyś do czynienia z zegarami?

– Miałem w domu rodzinnym różne zegary. Najpierw ojciec je nakręcał, a potem ja...

Zegarmistrz uśmiechnął się.

– To już coś... Dobrze, niech pan przyjdzie do nas ze swoimi rzeczami. Może pan u nas mieszkać, mam wolny pokój. Dam panu wikt i opierunek i zacznę pana uczyć. Ale będę płacił dopiero, jak pan się czegoś nauczy i sprawdzi. Zgoda?

– Zgoda, dziękuję panu bardzo!

Maurycy wyszedł od zegarmistrza bardzo zadowolony.

Jeszcze zanim zamknięto zakład dla żołnierzy, zameldował komendantowi chęć dobrowolnego oddalenia się. Pożegnał się z kolegami i przeniósł do domu zegarmistrza, by zamieszkać w pokoiku na poddaszu, a od rana rozkręcał pod jego okiem stare zegarki, by poznać i zrozumieć ich mechanizmy. Rzeczywiście wymagało to cierpliwości, spokoju i uważności, a także precyzji i delikatności. Było to jednak znacznie lepsze niż bezproduktywne trwonienie czasu w zakładzie, pośród niekończących się jałowych dyskusji, sporów politycznych, oskarżeń i wybuchów znużonych i zawiedzionych młodych ludzi, do których docierała smutna prawda o ich trwałej życiowej degradacji.

Maurycy polubił to zajęcie, opanował dobrze nowy fach,

a nawet, dopuszczony do samodzielnej pracy przez swojego mistrza, zaczął zarabiać całkiem przyzwoicie. Sophie patrzyła na niego życzliwie i przychylnie, uśmiechała się zalotnie i strzelała swoimi wesołymi czarnymi oczami. Choć przecież od początku powiedział jasno jej i jej ojcu, że na Litwie zostawił żonę i małe dzieci i że zamierza do nich wrócić, gdy tylko sytuacja na to pozwoli. Kiwali głowami, ale zdawali się niezbyt wierzyć w ten powrót. On wciąż wierzył.

Nadszedł jednak dzień, w którym Maurycy przekroczył próg gościnnego domu zegarmistrza po raz ostatni, ucisnął smutną Sophie i ruszył w drogę.

Jadąc na północ wozem pocztowym, wciąż słyszał w uszach tykanie wielu zegarów, które towarzyszyło mu codziennie przez ostatnie trzy lata. Początkowo cieszył się, że może poznać ich mechanizmy, naprawiać je i jeszcze przy tym zarabiać. Potem jednak regulowanie i nakręcanie zegarów przestało mu wystarczać. One tylko mechanicznie, bezdusznie odmierzają czas. A wszechświat nie jest przecież tylko sprawnym matematycznym mechanizmem, jak to mu dawno temu w Wilnie klarował profesor Śniadecki.

W upływie czasu, w dziejach świata, w historii musi być ukryty sens. Tylko jaki, jak go dociec? Maurycy pomyślał, że jeśli ma ten sens kiedykolwiek odszukać, to będzie to łatwiejsze w Paryżu, w samym centrum świata, wśród wielu osiadłych tam rodaków. Może oni, rzućni przez historię do obcego świata, pomogą mu ten sens odnaleźć.

GENEWA, ZIMA 1836

Juliusz Słowacki powrócił do swojego pensjonatu w Genewie

po kolejnej wycieczce w szwajcarskie góry przepełniony wrażeniami z cudownych widoków i upojony alpejskim powietrzem. Pokojówka przyniosła mu pakiet listów. Rzucił na nie okiem, ciekaw, co u matki w Krzemieńcu, ale gdy zobaczył leżącą na wierzchu błękitną kopertę, zalała go fala emocji... List był pisany jej ręką. Sięgnął po niego, schował do kieszeni i wyszedł do ogrodu, by przeczytać go spokojnie w samotności. Usiadł na ławce w kwiecistej altanie. I zamknął oczy.

Zdarzało się, że Juliusz z tą czy z inną kobietą nawiązywał bliższą relację. Umiał się podobać, potrafił czarować słowem. Ubierał się starannie, z wyszukaną elegancją. Niektóre panny zakochiwały się w nim po uszy, jak młodziutka Kora Pinard z drukarni w Paryżu czy starsza znacznie Eglantyna Pattey, córka właścicielki pensjonatu, w którym tu mieszkał. Schlebiało mu to, ale żadnej z nich nie traktował poważnie. Jak gdyby wszystkie głębokie uczucia, które złożył u stóp tej pierwszej i jedynej, spłonęły nieodwołalnie po jej odmowie.

Ludwisia...

Znał ją od dziecka. Mieszkała po sąsiedzku u profesorów Śniadeckich, przy ulicy Zamkowej w Wilnie. Zimą, bez nakładania płaszcza i ciepłych butów, mogła przyjść swobodnie w odwiedziny do jego sióstr, córek profesora Bécu. I przychodziła – często razem ze starszą siostrą Zofią. Zwykle do tych panien dołączała niewiele starsza od nich jego matka, Salomea. Opowiadały sobie o książkach, o muzyce, o balach i o swoich adoratorach – lekko, ze śmiechem, jakby ich życie było pasmem rozrywek, zabaw i przyjemności.

Ale Ludwika była inna. Najpoważniejsza z nich. Skupiona, uważna. Jej blada, szczupła twarz okolona ciemnymi włosami przywodziła na myśl bizantyjską ikonę albo raczej czarno-białą

rycinę. Unikała kolorów. Zawsze, nawet na bale, wkładała suknie białe lub czarne. Z cieniem drwiny w oczach patrzyła na kolorowe wstążki we włosach sióstr, na ich loki, falbany i afektacje przed każdym wieczornym wyjściem. Jakby jej w ogóle nie dotyczyły te karnawałowe, przedmałżeńskie rewie. Jakby wolała zaszyć się gdzieś i czytać w spokoju ukochanego Byrona.

Julek przyglądał się od dziecka tej poważnej pannie, słuchał jej rozumnych słów i coraz bardziej wyczuwał w niej bratnią duszę. Widywali się często – w jego domu, w mieszkaniu profesorów Śniadeckich albo w ich wiejskiej posiadłości w Jaszunach, gdzie rodzina profesorów spędzała lato i święta i zapraszała chętnie państwa Bécu.

Ludwika – tak jak Salomea, jak on – żyła głównie literaturą i poezją. W Jaszunach najczęściej widywał ją z książką. Wydawało mu się, że ta mądra, wrażliwa, odcytana panna jest wprost stworzona dla niego – poety. Że mogłaby być zarówno natchnieniem, jak i nagrodą dla jego twórczego trudu.

Profesor Jędrzej Śniadecki zalecał swoim córkom kształcenie umysłu przez kontakt z literaturą, jednak z całą surowością wyłączał z niej romanse. Uważał je za źródło nieszczęść. Juliusz słyszał parokrotnie, jak przy stole w Jaszunach z pasją perorował:

– Te francuskie romanse! To gatunek literacki w starożytności nieznan, prawdziwa choroba i prawdziwa naukowa klęska naszego wieku! Kobiety, które raz w tym rodzaju czytania zasmakowały, są zgubione na całe życie... Zagrzebane w tym literackim barłogu wydobyć się z niego nie mogą, najdroższe chwile życia poświęcają temu czytaniu, roztkliwiają się, płaczą, czują i żyją w owym zmyślonym świecie, z którego im na nasz wrócić niepodobna.

Juliusz słuchał go grzecznie, jak wszyscy zgromadzeni, ale

wiedział doskonale, że każda z kobiet siedzących przy kolacji ma w swoim bagażu jedną z takich właśnie książek, którymi się zresztą wymieniały i o których rozprawiły żywo. *Paweł i Virginia*, *Nowa Heloiza*, *Cierpienia młodego Wertera* czy rozmaite *Malwiny*, *Matyldy* i *Walerie* – znały, czytały i przeżywały to wszystko.

Bratu swojemu, Jędrzejowi, wtórował przy takich okazjach profesor Jan Śniadecki:

– Niechby kobiety zajmowały się lekcjami języków, to pożyteczna praca, albo ogrodnictwem, a nawet i modami, byle nie poezją, byle nie Walterem Scottem i Byronem! Te książki nazwać można próżniactwem literackim zapalającym dość wrażliwą w kobietach imaginację.

A Juliusz patrzył na bladą, zaciętą twarz Ludwiki i marzył o tym, by w niej właśnie tę wrażliwą imaginację rozpalić. Uśmiechał się do niej tym swoim ironicznym uśmiechem, bo odezwać się głośno z polemiką było niepodobnym, ale w tym uśmiechu, skierowanym tylko do niej, chciał jej przekazać, że całym swoim młodym, poetyckim i bajronicznym sercem jest za jej kobiecą imaginacją, a przeciw nudnym wykładom z suchej historii.

Przez całą wileńską młodość Ludwika Śniadecka była jego aniołem, jego ideałem i marzeniem. A także – nieznośnym bólem i zawodem, odkąd w letnią księżycową noc w Jaszunach odtrąciła jego chłopięce wyznanie miłości. Czy nie mógł tego przewidzieć? Była od niego starsza o siedem lat, ale Julek uważał, że skarby jego ducha i talentu rekompensują tę różnicę. Wiedział też, bo wszyscy bliscy o tym wiedzieli, że Ludwika kocha się w Moskalu, Władimirze Korsakowie. Juliusz go szczerze nie znosił, choć młody oficer rosyjski był powszechnie lubiany i chętnie zapraszany do polskich domów w Wilnie. Gdy zdarzała im się wspólna wizyta czy bal, Juliusz widział, jak Ludwika pochłania go wzrokiem,

dostrzegał namiętność płonącą w jej czarnych oczach. I cierpiał w milczeniu.

Pamiętał dokładnie dzień, w którym widział ją po raz ostatni. Był czerwiec, ukończył właśnie nauki na Uniwersytecie Wileńskim i niebawem miał wyjechać do Krzemieńca, do matki. Poszedł do Śniadeckich, by złożyć im pożegnalną wizytę. Ludwisia także tego dnia wyjeżdżała z ojcem na całe lato na wieś.

Przyszedł do nich o trzeciej po południu. Myśl, że być może widzi ją po raz ostatni w życiu, była nie do zniesienia. I choć wzruszenie szarpało mu serce i nienawistny obraz Korsakowa przelatywał przed oczami, to powiedział sobie, że żadnego wzruszenia na twarzy nie ukaże. Podano lody. Z filiżankami w rękach oboje stali przy oknie, gdy reszta rodziny zajęta była pakowaniem.

Ludwika, patrząc na ulicę za oknem, gdzie zajeżdżały już powozy, powiedziała mu parę słów zdawkowych, obojętnym tonem. Wmawiała, że jeszcze się zobaczą.

Juliusz pocałował ją w rękę.

– Nie zobaczymy się już nigdy może... – powiedział, chcąc nadać głosowi ton lekki, ale poczuł, że zachwiał się i o mało nie upadł, jakby mu nogi nagle odmówiły posłuszeństwa. Lecz nie mógł przecie zemdleć jak panna!

Na jej twarzy tylko zwykła, zdawkowa uprzejmość i obojętność. Żadnego rumieńca, żadnej bladości, ni zawahania. Juliusz wkrótce odzyskał zmysły i zszedł z nią na ulicę, jednak nie podał jej ręki przy wsiadaniu do koczka. Konie ruszyły, patrzył za odjeżdżającym powozem, widział tylko unoszący się woal jej kapelusza, i to wszystko. Powóz stanął na chwilę. Czy ona... wróci? Powie mu jakie słowo na pożegnanie? Nie... zatrzymano powóz jedynie dla poprawy uprzęży i wnet woźnica wszedł na kozioł i ruszył dalej.

Nie obejrzała się.

W tamtej chwili Juliusz wiedział z całą pewnością, że nigdy żadnej kobiety nie obdarzy taką miłością, że bez niej wulkan jego serca obróci się w popiół zimny, a jak żyć ze spopielonym sercem?

Świat uczuć przestał dla niego istnieć. Pozostał mu tylko świat jego poezji.

Rzeczywiście nie zobaczył jej więcej. Wyjechał wkrótce do Warszawy, a z listów od matki i sióstr dowiedział się o jej nieszczęściu. Młody Korsakow zginął na wojnie rosyjsko-tureckiej! I to jakże głupio zginął: gdzieś pod Szumlą, od zabłąkanej kuli, już po podpisaniu rozejmu. Ludwisia wpadła w czarną rozpacz i melancholię. Nie wychodziła ze swojego pokoju tygodniami. Nie chciała jeść ani z nikim rozmawiać.

Każda myśl o niej była rozdzierająco bolesna. Każda wiadomość o niej pogłębiała ten ból. Jej bliscy wierzyli, że czas żałoby minie i panna wróci do normalnego życia. Jednak jej uczucia były tak głębokie i silne, że nie poddawały się konwencjonalnym zwyczajom. Stan rozpacz i pustki nie mijał latami. Och, jak dobrze ją rozumiał! W tej wierności uczuciu też była mu bliska. Choć wspomnienie odtrącenia jego miłości piekło go nadal jak smagnięcie biczem.

A teraz napisała do niego list. Spojrzał na adres nadawcy: Odessa... Odessa?

PARYŻ, WIOSNA 1836

W Paryżu wiosenne słońce osuszyło błoto na ulicach i pomogło rozkwitnąć bzmom i hiacyntom, których zapach dominował nad wonią rynsztoków. Zielone listki platanów, topoli i kasztanowców dopiero się rozwijały i drżały lekko na wietrze, nadając miastu

wrażenie świeżości i niewinności.

Maurycy Kamienicki wiedział, że to iluzja – wielu jego rodaków nazywało Paryż miastem piekielnym, grzesznym, okrutnym. Dotąd trzymał się od niego z daleka, czytając jedynie w prasie i polskich broszurach echa tutejszych kłótni i sporów między rodakami. Teraz jednak to centrum świata, jak się wielu zdawało, a z pewnością centrum polskiego życia na uchodźstwie, przyciągnęło i jego.

Maurycy skończył właśnie lekcję z dwoma chłopcami, z którymi czytał balladę Mickiewicza *Powrót taty*. Był zadowolony, bo udało mu się przykuć ich uwagę, a nawet w oczach młodszego zobaczył przez chwilę łzy. Po lekcji poruszonych wciąż chłopców francuska bona zabrała do ogrodu. Byli synami kapitana, który stracił w powstaniu oko i chodził w czarnej opasce. Kapitan pochodzący z majątnej hrabiowskiej rodziny wyemigrował i osiadł w Paryżu razem z żoną, dziećmi i sędziwą matką.

I to właśnie stara hrabina, z upiętymi starannie siwymi włosami i w czarnej aksamitnej sukni, zatrzymała teraz nowego guwernera swoich wnuków, mówiąc do niego ze swojego fotela w przytulnym saloniku:

– Panie Maurycy! Może się pan napije ze mną herbaty i dotrzyma towarzystwa starej kobiecie?

– Z przyjemnością, pani hrabino, bardzo dziękuję. – Maurycy ukłonił się damie.

Hrabina wskazała mu dłonią miejsce na zielonej kanapie. Nalała mu herbatę do filiżanki i podsunęła kryształową salaterkę z konfiturami.

– Konfitury domowe, z wiśni. Niech pan skosztuje. Musimy tu sobie tworzyć jakąś namiastkę domu, prawda?

– Tak, dziękuję bardzo. Moja siostra też robiła takie – powiedział, nakładając porcję konfitur do kryształowej miseczki.

Hrabina przyglądała mu się badawczo swoimi bystrymi oczami.

– Pan był w powstaniu? – zapytała.

– Tak, na Litwie. Potem przedostaliśmy się do Królestwa.

– A potem?

Dama wydawała się naprawdę życzliwie zainteresowana jego losem, jak nikt inny od dawna, więc Maurycy opowiadał dokładnie:

– Kapitulacja w Galicji. Przemarsz przez Saksonię i Czechy. Trafiłem do zakładu w Awinionie. A gdy rozwiązano zakłady, pojąłem, że muszę się nauczyć jakiegoś fachu, by przetrwać. Był tam zegarmistrz, u niego praktykowałem. Nauczyłem się nowego zawodu, zarabiałem. Ale zawsze pociągała mnie historia, jej zrozumienie...

Maurycy sięgnął po filiżankę z herbatą, wypił łyk i mówił dalej:

– Więc odłożyłem pieniądze i przyjechałem do Paryża, do swoich. Chciałem być między Polakami. Miałem dużo szczęścia, że spotkałem tu kolegę z uniwersytetu w Wilnie, który mnie państwu polecił na nauczyciela chłopców. Studiowałem historię i całe życie próbuję ją zrozumieć.

Hrabina uśmiechnęła się, a jej szare oczy błysnęły rozbawieniem w sieci zmarszczek.

– Jest pan jeszcze młody. Kiedy pan osiągnie mój wiek, sam pan się stanie żywą historią, jak ja... I przyjdzie zrozumienie.

– Być może, pani hrabino. Ale zanim to nastąpi, chciałbym pozbierać relacje uczestników ostatnich wydarzeń, świadków. Mam poczucie, że trzeba to spisać, utrwalić, żeby móc to wszystko przeanalizować. I wyciągnąć wnioski.

– Spisać, powiada pan... Skoro nie było pana w Paryżu zaraz po powstaniu, to może chciałby pan posłuchać, jak tu było? Mówiłam panu, jestem żywą historią...

– Ależ bardzo chętnie! Proszę mi tylko pozwolić notować.

Maurycy sięgnął do wewnętrznej kieszeni nowego surduta, który sprawił sobie w Awinionie, wydobył kajet i ołówek i zamienił się w słuch.

Hrabina wzięła do ust łyżeczkę wiśniowej konfitury, uśmiechnęła się, rozkoszując się jej smakiem, popiła herbatą i zaczęła mówić:

– Wydaje mi się, panie Maurycy, że my, Polacy, nigdy dobrze Francji nie znaliśmy i wyobrażaliśmy ją sobie inną, niż ona jest rzeczywiście. Zawsze jednak mieliśmy szczególną do niej skłonność i patrzyliśmy na nią ze ślepym i czułym uwielbieniem młodego kochanka dla dojrzałej kokietki. A taka miłość zaślepia! Od rozbiorów Francja była najjaśniejszą gwiazdą wszystkich naszych nadziei. Krew polska pod francuskimi orłami szcudrze wylana zjednała Polsce nazwę młodszej siostry Francji, a Polakom miano Francuzów północy. A ilekroć to miano połechta nam ucho, ogon nasz pawi puszy się rozkosznie. Z czasem jednak błędy i klęski nasze trwały nad Sekwaną i zaczęły Francuzów nużyć. Przestaliśmy być Francuzami północy. Jesteśmy dziś dla nich, co tu kryć, trochę uciążliwi.

Maurycy notował skrętnie. Hrabina miała na ustach półuśmiech, a w oczach widać było zamyślenie.

– Przybyliśmy tu z moim synem i jego rodziną w grudniu tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku – mówiła dalej. – Wyczuliśmy prędko, że król, rząd i wyższe sfery nas nie lubią, za to w burżuazji i pospółstwie jesteśmy prawdziwie kochani. Nowy rząd francuski chciał zachować sympatię przywódców Świętego Przymierza, dlatego wążale nasi, cuchnący prochem i rewolucją, nie byli tu mile widziani. Chociaż dawało się zauważyć objawy popularności w modzie. Paryżanki nosiły kapelusze damskie

stylizowane na wzór polskich rogatywek, modne były też polskie kontusiki. W teatrach dawano sztuki z polskimi akcentami. Byliśmy na przykład w Cirque Olympique, gdzie prawdziwe tłumy przyciągało widowisko *Les Polonais* w czterech aktach i dwunastu obrazach ułożonych na tle naszego powstania. Spotkaliśmy tam Lelewela i wielu innych naszych. Niektórzy się puszyli, że o nas mowa, ale wielu zgodziło się, że to straszne głupstwo.

– Chętnie bym zobaczył tę sztukę – wtrącił Maurycy. – Grają ją jeszcze?

– Och, nie. Dawno zesłała z afisza i nie ma czego żałować. Nie poznałby pan ani Polski, ani powstania.

– Tak, nie jest łatwo pojąć do głębi kulturę innego narodu – powiedział Maurycy. – Narody różnią się od siebie, jak ludzie...

– Z pewnością – przyznała hrabina. – Jednak byli Francuzi, którzy prawdziwie troszczyli się o przybywających wciąż Polaków. Szczególnie sędziwy, kochany pan La Fayette. I jego niestrudzony pomocnik, pan Cassin, który wieczorami spraszał do siebie Polaków na herbatę, pożyczał im pieniądze, organizował wielką loterię, a znamienici artyści Paryża dawali występy. Kilkadziesiąt pań modnego świata sprzedawało bilety. Powstało wiele towarzystw dobroczynnych propolskich. Czasem i zwykli ludzie czynili wzruszające gesty: przygarnęli kogoś pod swój dach, nakarmili, obdarowali, czym mogli. A w wojsku jeden dzień żołdu składano na potrzeby Polaków wśród gwardii narodowej. Na wielu przyjęciach i obiadach wznoszono toasty za Polaków i powodzenie Polski. Zdarzało się czasem i tak, że wesółą kompania w kawiarni zebrana przy bilardzie urządzała grę, a zbiorowy dochód przeznaczala dla Polaków.

– To piękne świadectwo, pani hrabino – przyznał Maurycy, kiedy kobieta umilkła. – Nie byłem świadom takich przychylnych

gestów Francuzów. Na prowincji, w okolicach Awinionu, traktowali nas z dużym dystansem, a nawet pisali podobno skargi do Paryża.

– Ludzie są różni, drogi panie. I często reagują emocjonalnie. Wtedy byli jeszcze pełni uniesienia nad własną rewolucją lipcową, nad niepodległością Belgii i przy okazji nad nami.

– A teraz czuje pani nadal ślady tamtej sympatii?

– Czuję raczej znużenie nami, niezrozumienie, obcość. Czytał pan Villona? „Ach, gdzież są niegdysiejsze śniegi?”. Otóż roztopiły się te śniegi sympatii do nas już dawno i wsiąkły w piach.

Maurycy dopił herbatę, podziękował hrabinie i poczuł, że zyskał w tej damie prawdziwie życzliwą duszę. Pocałował ją w rękę, pożegnał się i wyszedł na paryską ulicę.

Znów ogłuszył go stukot końskich kopyt, które ciągnęły omnibusy, karety i zwykłe wozy z zaopatrzeniem dla tego miasta molocha. Nigdy w życiu nie słyszał takiego nieustannego hałasu! Będzie musiał przywyknąć. Bo zamierzał zostać w tym mieście na dłużej – projekt spisywania wspomnień, wrażeń i stanowisk polskich emigrantów pociągał go coraz bardziej. Zaczynał czuć się prawdziwym historykiem – dziejopisem. To przynajmniej nadawało sens jego pobytowi w Paryżu, tak daleko od domu. Za którym wciąż tęsknił, a który rozwiewał się z wolna w jego pamięci jak senny majak, coraz bardziej nierzeczywisty i coraz odleglejszy.

RZYM, MAJ 1836

Pensjonat pani Pattey w Genewie był miejscem przyjaznym i wygodnym, Juliusz spędził w nim spokojne trzy lata na pisaniu, miłych pogawędkach z innymi gośćmi i przyjemnych rozmowach

z jawnie zakochaną w nim córką właścicielki, Eglantyną. Jednak z czasem mieszczańska atmosfera tego domu i miasta zaczęła nużyć poetę. Zdążył już odbyć wiele górskich wycieczek, nasycić oczy alpejskimi krajobrazami i błękitem Jeziora Genewskiego, opisać pięknie te widoki. Zdążył opowiedzieć Eglantynie o swojej matce, o swoich stronach rodzinnych, o poetyckich marzeniach i planach. Panna patrzyła na niego z podziwem i uwielbieniem, pani Pattey obniżyła mu czynsz i traktowała jak syna. Pomimo tych wszystkich korzystnych okoliczności Juliusz zaczynał się nudzić. Wcześniej pisał tu z pasją – szczególnie *Kordian*, wydany anonimowo w Paryżu, wydawał się wielu kolejnym utworem Mickiewicza, co mu pochlebiało. Ostatnio jednak nie przychodził do niego żaden temat. Ogarnęły go apatia i jakaś niemoc twórcza...

Juliusz czuł, że jego wyobraźnia domaga się nowych przestrzeni i nowych krajobrazów. Tęsknił za zmianą, ruchem, podróżą. Łaknął wrażeń i nowego towarzystwa. Okazja do podróży nadarzyła się sama – oto do Włoch zjechali niedawno Teofil i Hersylia Januszewscy, czyli brat matki Juliusza ożeniony z jego przybraną siostrą. Stracili niedawno swoją małą córeczkę Melankę. Hersylia zapadła na zdrowiu i tak długo nie mogła dojść do siebie, że lekarze zalecili jej wyjazd do wód, najlepiej we Włoszech, by zażyła też słońca i ciepła. I tak powstał projekt włoskiej podróży Teofilów Januszewskich, do których Juliusz miał dołączyć, gdy tylko otrzyma paszport.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Warszawy mógł się więc znaleźć w kręgu najbliższej rodziny. Cieszył się z tego bardzo. A zatem – do Rzymu! W równym stopniu pociągało go spędzenie czasu z najbliższymi, jak i sam klimat Włoch, które od dawna chciał zobaczyć.

Na paszport musiał czekać długo, lecz doczekał się go wreszcie.

Spakował swoje rzeczy, uściskał zapłakaną Eglantynę i z radością puścił się na południe. Nareszcie!

Spotkanie z Hersylią i Teofilem go wzruszyło. Zwłaszcza że ich rodzina poniosła w ostatnich latach dotkliwie straty: zmarła śliczna Olesia, która wyszła za mąż, urodziła synka i zaraz przypłaciła to życiem, zmarło także jej dziecko, potem kilkuletnia Melanka, a następnie ukochana Babunia – matka Salomei. Jedna żałoba rodzinna przechodziła w drugą. Matka Juliusza skarżyła się w listach, że nie ma już łez, by płakać, i nie ma sił, żeby znosić kolejne straty tych, których kocha. Juliusz żałował bardzo, że nie mógł być z nią i pocieszać jej osobiście. Ale teraz, będąc z jej bratem i przybraną córką, czuł, że przez nich przekaże jej prawdziwą część siebie. A oni przywieźli mu jej słowa, jej uczucia i błogosławieństwo. Nie mógł się więc nacieszyć ich towarzystwem.

Juliusz zamieszkał w Rzymie w ich mieszkaniu, zajął niewielki pokój. Znowu jadali razem, rozmawiali, wymieniali się lekturami, jak dawniej w Wilnie. Przywieźli mu książki, o które prosił.

Była wśród nich wydana niedawno książka Lamartine'a, opisująca barwnie i sugestywnie jego podróż na Wschód. Czytali ją z Hersylią na zmianę.

Któregoś wieczoru siedzieli po kolacji w ciepłym kręgu światła lampy. Teofil zamyślony palił fajkę. Na stole, obok talerza dojrzałych moreli, leżała książka Lamartine'a *Voyage en Orient*.

– To niezwykle, że w naszym uczonym wieku na Wschodzie wciąż istnieje niewolnictwo! – powiedziała Hersylia. – Chociaż piękne niewolnice abisyńskie na targach w Egipcie bardzo się podobały panu Lamartine'owi...

Juliusz uśmiechnął się do niej.

– Jakżebym chciał pojechać jego śladem – powiedział –

i zobaczyć te pustynie, piramidy, Ziemię Świętą, te cuda na wschodnich bazarach...

– Wtedy i ty mógłbyś sobie kupić na targu egipskim taką abisyńską niewolnicę – odparła Hersylia. – Może by cię uczyniła wreszcie szczęśliwym?

Juliusz się rozmarzył.

– Pamiętacie ten album z rycinami, który leżał u nas w Wilnie na fortepianie? Rysunki piramid, ruiny dawnych świątyń, piaski pustyni z karawaną Beduinów, wszystko tam było. Czy nie byłoby cudnie zobaczyć to na żywo?

– Mało ci Rzymu? – zapytał Teofil. – Rzym – Wieczne Miasto! Zresztą Salomea umierałaby ze strachu o ciebie, gdybyś się wypuścił w taki wjazd.

– Tak, Rzym jest piękny. Ale powiedz, Teofilu, nie ciągnie cię dalej w świat, w nieznane krainy, na morza, pustynie, do palm i piramid?

Teofil popatrzył na swoją żonę Hersylię, po której czarnych włosach ślizgało się światło lampy, uśmiechnął się i odparł krótko:

– Nie.

Juliusz pokiwał głową. Rozumiał go, może nawet trochę mu zazdrościł. Lecz wiedział już, że nie jest stworzony do spokojnego, rodzinnego życia, że wypełnia go dziwna tęsknota nie wiadomo za czym, że pragnie, potrzebuje nowych wrażeń, nowych krain, nowych widoków i zapachów. Wtedy jego poezja ma pokarm, by żyć. A cóż ma ważniejszego od niej?

Od czasu tej rozmowy i od lektury Lamartine'a to marzenie nawiedzało Juliusza często. Czyż może być coś bardziej romantycznego? Tajemniczy Wschód, gwar orientalnych bazarów, wschodnie czarnookie piękności... I ślady wielkich starożytnych cywilizacji: greckie świątynie, amfiteatry i gaje oliwne, egipskie

piramidy, posągi i oazy, Jerozolima i Ziemia Święta z pamiątkami Chrystusa chodzącego po ziemi... Juliusz pragnął zobaczyć to wszystko, znaleźć się w tych niezwykłych miejscach i posłuchać, co szepną mu wieki historii zaklęte w tych przestrzeniach.

Hersylia i Teofil Januszewscy prowadzili we Włoszech spokojne małżeńskie życie, wypełnione głównie kąpielami leczniczymi i przechadzkami. Świeża strata ich małej córeczki była wciąż bolesną, ledwie zablizniającą się raną, nie mieli więc ochoty na szerokie towarzyskie kontakty.

Juliusz jednak, znudzony swoim genewskim odosobnieniem, pragnął być wśród ludzi i rozglądał się za polskimi turystami. W Rzymie poznał Zygmunta Krasińskiego – młodego pisarza, erudyte i bystrego obserwatora świata. Mógł z nim wreszcie rozmawiać o rzeczach prawdziwie go interesujących w literaturze, w świecie i we własnej duszy. Przyjaźń z tym wrażliwym poetą i uroczym człowiekiem podziałała na Juliusza ożywczo. Ich nocne, oświetlone blaskiem księżyca spaceru po rzymskich wzgórzach i ruinach, pośród cyprysów i pachnących róż, ich głębokie rozmowy o rzeczach najistotniejszych dla obu sprawiały Juliuszowi prawdziwą radość. Ciepłe, pachnące kwiatami włoskie powietrze przywracało mu siły. Znowu chciało mu się żyć i tworzyć! Zwłaszcza że Zygmunt Krasiński, wyrefinowany czytelnik, znawca sztuki i autor, obdarzył twórczość Juliusza niekłamany podziwem. A jego samego – głęboką przyjaźnią. Juliusz zaczął pisać zupełnie nowy, na wskroś oryginalny dramat *Balladyna* – czytał Zygmunutowi jego fragmenty, a ten umacniał go tylko w swoim zachwycie i szacunku dla jego twórczości. Życie Juliusza znowu nabierało barw.

PARYŻ, WIOSNA 1836

Maurycy wynajął w Paryżu pokój na najtańszym, piątym piętrze. W dzielnicy dość odległej od centrum, niemal na przedmieściach, w okolicach bulwaru Batignolles. Ale wokół było sporo Polaków, na których relacjach zależało mu najbardziej.

Przekonał się szybko, że najlepszym miejscem do nawiązywania kontaktów z rodakami są niedrogie jadłodajnie. Szczególnym powodzeniem cieszyła się niemiecka restauracja Steinhausera z serwisem *table d'hôte* w okolicach Pont Neuf, gdzie można było jadać obiady za trzydzieści franków miesięcznie. Już kilkadziesiąt metrów przed nią snuł się po ulicy zapach gotowanej kiszzonej kapusty. Podobno przed wydaleniem z Paryża stołował się tam Lelewel, który, jak wielu innych emigrantów, wolał kapustę z kiełbasą od kuchni francuskiej. Szybko się okazało, że gastronomia była jednym z problemów polskich uchodźców – szczególnie nie lubili francuskich nóżek baranich, *pieds de mouton*, w białym zawieszistym sosie.

– Ależ u nas to się daje tylko chartom i innym psom myśliwskim, nie ludziom do jedzenia! – mawiali z niesmakiem.

Za to w żadnej garkuchni nie mogli dostać kołdunów litewskich, bigosu ani dobrego barszczu czy wędzonego półgęska. Jakże im tego brakowało!

Wkrótce pani Winiarska, żona nauczyciela języka francuskiego z Warszawy, otworzyła polską garkuchnię przy Saint-André des Arts. Pełniła ona funkcję polskiego klubu, gdzie można było zjeść po polsku i spotkać rodaków, nie można było jednak dyskutować za wiele o polityce. Dyskusje polityczne i spory ideowe toczono namiętnie przy 12, rue Taranne, czyli – jak mawiano – „na Taranie”. Z czasem zaczęło przybywać polskich punktów gastronomicznych, powstała na przykład Patisserie Polonaise, gdzie sprzedawano *les babas* i *les ponchkis*.

Maurycy odwiedzał wszystkie te miejsca i wiele innych. Przysiadał się do rodaków, zagadywał, dzielił własnymi wspomnieniami. Czasem stawiał kolejkę niedrogiemu winu. A gdy wyczuwali w nim wdzięcznego słuchacza, ci samotni mężczyźni, których nie mogły słuchać z czułym uśmiechem ich matki, żony, siostry ani osoby zaprzyjaźnione – zaczęli opowiadać jemu, obcemu, ale przecież połączonemu z nimi wspólnotą wygnańczego losu, o tym, co im leżało na sercu. Opowieści płynęły. Maurycy wyciągał niepostrzeżenie swój kajet i notował.

Przed wszystkim okazywało się szybko, że Paryż, tak z daleka ponętny, niewielką im dawał pociechę. Życie ich nie było ani wesołe, ani przyjemne. Po zaspokojeniu pierwszej ciekawości zaczęli się nudzić śmiertelnie. I rozpaczliwie tęsknili za krajem.

– U karmelitów w więzieniu w Warszawie lepiej czas mi płynął niż tutaj – mówił jeden z nich Maurycemu. – Tu, w tej „stolicy świata”, wciąż jestem słaby, znudzony, zmartwiony. Żyjemy tu w próżni serca, w smutku. I bez nadziei.

Maurycyego interesowały ich losy, przemyślenia i decyzje, które towarzyszyły im od samego początku, od kapitulacji w kraju. Wysłuchał więc kilku opowieści o składaniu broni w Prusach, o łzach i upokorzeniu klęski. O przetrzymywaniu powstańców w pruskich aresztach na Pomorzu, w okropnych warunkach. I o trudnych decyzjach tam podejmowanych – wracać do domu czy iść na Zachód? Okazało się, że starsi często woleli zaryzykować i skorzystać z amnestii, bo żal im było porzucać rodziny i gospodarstwa, natomiast młodszy, zwłaszcza kawalerowie, częściej wybierali podróż w nieznaną, jak nową przygodę. Pytani o motywacje, niektórzy przyznawali, że ruszyli na Zachód bez głębszego analizowania skutków, robili to, co wszyscy czy większość kolegów, wreszcie, wierzyli, że to tylko tymczasowe

rozwiązanie. Niektórzy szli wręcz z ciekawości, jak po odmianę od monotonnego życia we własnym majątku czy na jakimś urzędzie.

W pierwszych latach emigracji większość z nich wciąż czekała na nową rewolucję, na sygnał wymarszu do kraju. Dlatego nie szukano praktycznych zajęć i zawodu. Teraz jednak, po pięciu latach, nic nie wskazywało na to, by wyczekiwana wojna europejska miała rzeczywiście wybuchnąć ani by „ludy Europy” miały ochotę upomnieć się o wolną Polskę. Przeciwnie – widziano wyraźnie, że ludy te są zajęte głównie dorabianiem się i urządzaniem sobie dostatniego, spokojnego i bezpiecznego życia.

Jakie więc były pierwsze doświadczenia tych, którzy znaleźli się najwcześniej w Paryżu? Bieda!

– Nie miałem w kieszeni ani jednego *sou*, nie stać mnie było nawet na szklankę wina do obiadu! – wspominał ktoś. – Zbierałem niedopalone cygara, przecinałem na pół, i to na dzień cały musiało mi wystarczyć... Nie chciało się ani grać w karty, ani czytać, ani gadać z nikim, bo wciąż głodno, tęskno i beznadziejnie...

Mogłoby się wydawać, że wspólny smutny los zbliży do siebie rozbitków i zintegruje. Jednak ta emigracja zrodzona z klęski przyniosła raczej dezintegrację i podziały.

– Przekonaliśmy się, że wspólne cierpienie nigdy ludzi nie brata – mówił Maurycemu w zadumie inny emigrant. – Łączyć i bratać może tylko radość i zwycięstwo.

Zresztą skład tej emigracji był bardzo zróżnicowany. Byli wśród niej wytworni arystokraci z rodzinami, generalicja, wielcy artyści, młodzi niedouczeni, a już zdeklasowani, oficerowie z powstańczego awansu i wreszcie prości żołnierze, biedota bez zawodu, samo dno drabiny społecznej. W kraju żyli w odrębnych światach i mogliby nigdy się nie zetknąć. Tutaj, w Paryżu, wielki pan i prosty żołnierz

zostali niejako zrównani swoim losem – wszyscy znaleźli się na emigracji z tego samego powodu: udziału w powstaniu i świadomej decyzji o opuszczeniu kraju.

Słuchając ich opowieści, Maurycy zauważył, że częste były w tej społeczności rozmaite odstępstwa od normy, jakby wszyscy trawieni byli jakąś wspólną chorobą, która przejawiała się na różne sposoby. Bardzo częste były wśród nich fizyczne choroby, szczególnie gruźlica zbierała obfite żniwo. Ale zdarzały się też różne desperackie czyny, pojedynki, samobójstwa. Nagły przeskok od udziału w heroicznej walce w nimbie bohaterów do wegetacji na nędznym zasiłku, od wiary w zwycięstwo do utraty wszystkiego, często skutkowało załamaniem nerwowym, apatią, melancholią. Jedni strzelali sobie w łeb, inni skakali do Sekwany z kieszeniami pełnymi kamieniami...Wielu szukało pociechy i zapomnienia w tanim winie, w hazardowej grze w karty, w ramionach dziewczyn ulicznych. Żołnierzom wolności z przetrąconymi życiorysami psuły się charaktery, dawne zasady i normy przestawały obowiązywać.

Ci przegrani, samotni mężczyźni chorowali fizycznie i usychali z tęsknoty za domem, za stabilnością, za rodzinnym ciepłem i bliskimi kobietami. Zamiast tego mieli swoje polskie kluby, czytelnie, kawiarnie i zebrania. Braterską wspólnotę pełną burzliwych dysput i gwałtownych wybuchów niełagodzonych obecnością kobiet. Pełną upokorzenia, biedy i poczucia społecznej deklaszacji. Wielu z nich skazanych było całą dobę na ten szczególny męski kolektyw – często w celu oszczędzenia kosztów wynajmowali razem kwatery ze wspólnym wyżywieniem.

Nadzieja na rychły, triumfalny powrót do kraju rozpływała się jak poranna mgła nad Sekwaną w południowym słońcu. Skoro więc nie mogli czerpać sił z przyszłości, kierowali swoją uwagę

wstecz, w przeszłość. Utracona ojczyzna stała się ich świętością, ich relikwią, opowieścią o niezrównanym, minionym, doskonałym szczęściu. Idylliczną Arkadią.

Szczególnie odkąd dwa lata wcześniej Adam Mickiewicz opublikował nostalgiczny poemat pod tytułem *Pan Tadeusz*. Adam, znowu Adam! Nikt nie potrafił wyrazić tęsknot i uczuć swojej generacji tak jak on. Maurycy przeczytał ten utwór niedługo po premierze, jeszcze w Awinionie. I płakał nad nim w swoim pokoiku na poddaszu, widząc jak żywe obrazy ze swojego dzieciństwa. Teraz przekonał się, jak ważna była ta idylliczna wizja kraju dla wszystkich emigrantów, nie tylko tych z litewskich zaścianków.

Obiecał sobie, że gdy tylko nadarzy się okazja, odnajdzie Adama w Paryżu i spróbuje z nim porozmawiać. Adam był wprawdzie najśłynniejszym, podziwianym powszechnie polskim poetą, ale może zechce spotkać się z dawnym wileńskim ziomkiem, który nie tylko uczestniczył w filareckich majówkach, ale też rozmawiał z nim w więziennej celi klasztoru Bazylianów podczas procesu filomatów. Maurycy miał wielką nadzieję na to spotkanie.

FLORENCJA, LIPIEC 1836

Ojciec Władysława, ordynat Stanisław Zamoyski, który ku rozpacz i głębokiemu wstydnowi części rodziny w czasie powstania pojechał do Petersburga oświadczyć carowi swoją lojalność, nie miał jednak odwagi, by osiąść potem na ziemiach polskich. Choć ocalił swoje majątki, nie ocalił honoru. Wolał zamieszkać z dala od spojrzeń pełnych wyrzutów albo i pogardy. Wybrał Florencję.

Po zamknięciu swoich majątkowych i dobroczynnych spraw

w kraju dołączyła do niego żona z dwójką najmłodszych dzieci. Siostra księcia Adama, piękna Zofia, powszechnie uwielbiana za urodę, dobroć i wdzięk. Zdrada polityczna męża była dla niej, wychowanki patriotycznego domu, prawdziwym ciosem. Ale trwała przy nim lojalnie. A on, który nie potrafił zachować twarzy, gdy ona zawsze potrafiła, odpłacał jej potem wzgardą.

Teraz Zofia Zamoyska umierała w długiej, suchotniczej agonii. W męczarniach, które nieznacznie tylko mogli złagodzić najlepsi lekarze wezwani na konsylium przez syna.

Władysław Zamoyski po raz pierwszy od lat zawiesił swoją służbę publiczną, by towarzyszyć matce. Wyglądała źle. Pamiętał ją z dzieciństwa, piękną jak bogini, zachwycającą na portretach, które chętnie malowali jej najwięksi malarze, a jeszcze bardziej zachwycającą na żywo, w bezpośrednim kontakcie. Zawsze łagodna, uśmiechnięta i wyrozumiała, zupełnie inna niż surowy i wymagający ojciec. Otoczona gromadą dzieci. Władysław nigdy się nie nasycił jej opieką i troską. Wcześniej musiał opuścić rodzinny dom, by pobierać nauki w Europie. Jego piękna matka była zawsze zajęta – otoczona młodszymi dziećmi, gotowa na każde skinienie męża, aby służyć mu i pomagać.

Władysław opłacił najlepszych włoskich i francuskich lekarzy, by ją ratowali. Badali ją długo, a potem powiedzieli zgodnie:

– Pańska matka przeszła dziesięć porodów. Organizm ma wycieńczony. A i radość życia ją opuściła. Tu nie pomoże nawet wyjazd do wód. To gruźlica. Nie możemy już nic zrobić. Bądźcie przy niej. To może potrwać.

Lata poświęceń dla dzieci i męża odbiły się na twarzy Zofii śladem mimowolnego rozgoryczenia, żalu i smutku. Jej piękne, czarne niegdyś włosy – posiwiały. Różanomleczna dawniej twarz pożółkła i poszarzała. Czasem na policzki wypływał ciemny,

suchotniczy rumieniec. Żywe, ciemne oczy przygasty. Leżała w białej pościeli swojej sypialni z widokiem na ogród różany. Widać było, że cierpi. Opadła z sił.

Nie było przy niej męża. Byli za to na zmianę jej syn Władysław i rodzeństwo: Adam i najstarsza z nich – Maria.

Władysław nigdy nie pozwalał sobie na łązy. Umiał i chciał być twardy. Coś jednak ścisnęło go w gardle, gdy trzymał wychudzoną rękę matki w swoich dłoniach i słuchał, jak mówi cicho. Nie śmiał jej przerywać.

– Ach, Władysiu, nie wiesz nawet, jak panicznie bałam się o was wszystkich w powstaniu. Tyle dni, tyle tygodni bez żadnej wieści od was. A potem jeszcze bombardowanie Puław przez Rosjan, nocna ucieczka z naszą starą matką... Ale ciosem prawdziwym był mi wyjazd waszego ojca do cara. Błagałam go, by tego zaniechał. Nigdy mnie nie słuchał...

Władysław podniósł jej rękę do ust i pocałował. Dla niego także ten asekurancki postępek ojca był godny ubolewania i potępienia. Wstydlivy. Nigdy jednak nie pozwolił sobie na słowa głośnej krytyki pod adresem ordynata. Wolał raczej uczynić wszystko, by swoją służbą i oddaniem księciu Adamowi zmasać choć po części hańbę, która przyłgnęła do ich nazwiska.

– Twój ojciec nie lubił, bym oddawała się przyjemnościom takim jak muzyka czy literatura. Uważał to za zbytki i folgowanie próżności.

Władysław słyszał w głosie matki smutek. Czyżby zebrało jej się na podsumowanie życia? Musiał tego wysłuchać, choć jej słowa sprawiały mu ból.

– Moją rolą miało być tylko surowe wychowywanie dzieci – mówiła dalej. – Mój Boże, nie chciałam was wysyłać w świat tak wcześnie! Wolałam, by was kształcono w domu, jak to było

w Puławach... Ale nie słuchał mnie przecież. Nie lubił Puław, uważał je za miejsce płóche i zepsute. A ja przyjechałam, że kobieta żyje tylko dla męża... Jednak to ślepe posłuszeństwo i zatracenie siebie nie dało mi ani szczęścia, ani miłości, ani nawet jego szacunku. Żyłam jak w zakonie, tylko z mężem i dziećmi. Pozostała mi jedynie dobroczynność, pomoc ubogim, sierotom, weteranom wojennym.

Umilkła. Popatrzyła w okno na swój różany ogród w pełnym rozkwicie gorącego lata. Zapach róż napływał do sypialni przez uchylone drzwi tarasowe.

– Wiem, że umieram – powiedziała. – Ale bez wielkiego żalu...

– Nie mów tak, mamu... Jeszcze wyzdrowiejesz – zapewniał ją, choć w to nie wierzył.

– Nie, mój drogi... – uśmiechnęła się do niego słabo. I dodała: – Chciałam wierzyć, że życie kobiety nie musi być udręką. Lecz moje często jednak było.

Zofia Zamoyska opadła z sił. Dawno już nie mówiła tak dużo. Na jej czole perliły się kropelki potu, które jej syn otarł wilgotnym ręcznikiem. Po chwili zakrztusiła się i zaczęła kaszeć. Długo, spazmatycznie. Biała batystowa chusteczka z wyhaftowanym monogramem, którą przycisnęła do ust, była zboczona krwią. Zmęczona atakiem, chora opadła na poduszki i zamknęła oczy.

Może zaśnie? – pomyślał Władysław i wyszedł na palcach z jej sypialni.

Był poruszony słowami matki. Powtórzył część z nich wujowi Adamowi, który siedział nad gazetą w sąsiednim salonie. Wuj odłożył gazetę, zamyslił się, zapatrzył w dal za oknem jakby w jakieś obrazy z przeszłości. I rzekł cicho:

– W rodzinie naszej jakiś los dziwny nie pozwala nam na szczęście...

Przez kilka kolejnych dni Zofia Zamoyska czuła się trochę lepiej. Siedziała w swoim łożu wsparta na poduszkach i rozmawiała z najstarszą siostrą Marią. Choć obie miały za sobą trudne życie, teraz wspominały czasy beztroskiego dzieciństwa. Śmiały się i młodniały między przywoływanymi obrazami z dalekiej przeszłości w warszawskich Powązkach i w Puławach. Wycieczki, domowy teatr, żywe obrazy, wieczorne tańce. Układanie wierszy, czytanie francuskich powieści, gra na fortepianie, śpiew. Kolekcje sztuki. Artyści i ciekawi goście, dużo gości! Dom pełen ludzi, pełen życia i zabawy. A pośrodku tego domu ich ukochana matka, księżna Izabela, wokół której kręciło się wszystko jak planety wokół Słońca. Niemal czuły, że duch ich zmarłej nie tak dawno matki był tam i śmiał się razem z nimi.

W tym czasie Władysław Zamoyski na prośbę księcia udał się do Rzymu, by prowadzić dalsze prace dyplomatyczne w Watykanie. Trudna to była misja, bo encyklika papieża Grzegorza potępiająca powstanie listopadowe i nawołująca Polaków do posłuszeństwa prawowitym monarchom łamała mu serce. Ale zarazem ani książę Adam, ani Władysław nie wyobrażali sobie swojej działalności publicznej bez choćby próby przekonania papieża do swoich racji i planów.

Władysław wrócił, zdążył przywitać się z matką, zdążył zdać sprawozdanie ze swoich rozmów wujowi. Siedzieli teraz obaj przy herbacie. Nie mieli złudzeń, że poprawa stanu Zofii jest tylko chwilowa. Rozumieli też obaj, że polityka Watykanu wspiera zaborcze rządy, a nie uciśniony katolicki naród.

Władysław odstawił swoją filiżankę na marmurowy stół i powiedział:

– Spotkałem się w Rzymie z Zygmuntem Krasieńskim, wuju. Przesyła wujowi ukłony.

– Dziękuję. I cóż powiada?

– Mówi, że poznał tego poetę, Słowackiego. Bardzo go podziwia. Hipolit Błotnicki czytał nam kiedyś w Paryżu jego dramaty wieczorem. Zygmunt uważa, że on jeden z naszych literatów dorównuje Mickiewiczowi.

– Doprawdy? I cóż u niego? Zniknął nam z Paryża – rzekł książę.

– Tak, podobno Mickiewicz tak mu dopiekł swymi *Dziadami* i postacią ojczyrna, że wolał zniknąć. Siedział w Szwajcarii, robił wycieczki po górach i pisał. Ale przecież nie za czyny ojców nas sądzą, lecz za własne... W każdym razie koledzy Zygmunta zaproponowali mu wspólną podróż na Wschód. Ruszają niebawem.

– Na Wschód, powiadasz? – Książę się zamyślił. – Wiesz co, zaproś go do mnie kiedy na wieczór, chcę z nim pomówić.

Gdyby książę był młodszy, może i sam by pojechał. Słowo „Wschód” od dawna działało mu na wyobraźnię. Coraz częściej był przekonany, że jeśli ma nadejść zbawienie dla jego kraju, to nadejdzie właśnie ze Wschodu.

Bliski Wschód! Tam coraz częściej kierowała się uwaga księcia Adama Czartoryskiego. Wracały do niego słowa Talleyranda, że warto połączyć sprawę polską z wypadkami w Turcji i na Kaukazie. Stary lis francuskiej dyplomacji miał rację – przez ostatnie lata książę przekonał się wielokrotnie i boleśnie, jak mało kwestia wolnej Polski obchodziła zachodnie dwory. Tyle co nic. No, może tyle, co krew polskich żołnierzy gotowych przelewać ją „za wolność waszą i naszą” na rozmaitych frontach, przy mglistych nader i nieprecyzyjnych obietnicach. Nawet rodzina księcia nie bardzo wierzyła już w powodzenie jego dyplomatycznych działań – jego żona bezwiednie machała ręką, gdy zaczynał o tym mówić, i interesowały ją tylko codzienne, praktyczne sprawy: dzieci

i potrzeby bytowe emigrantów. A jej matka, księżna Sapieżyna, ten „minister finansów” rodziny, wprost odmówiła księciu finansowania jego politycznych projektów, argumentując, że żadnych pożytków z nich nie ma nigdy i lepiej przeznaczyć fundusze na pomoc ubogim, by mieli choć na chleb i opał.

Księżę starał się rozumieć obie kobiety, którym wrodzony zmysł praktyczny dyktował takie myślenie, jednakże nie mógł się uwolnić od ciężaru swojej misji. Bo któż jak nie on może podołać wyzwaniom tego czasu?

A zatem Bliski Wschód. I ten młody, zdolny poeta Słowacki, który tam właśnie się wybiera. Można mu zaufać, księżę przekonał się już o tym przed laty, gdy młodzieniec pracował w warszawskim biurze powstańczym, a potem wywiązał się bez zarzutu z powierzonej mu misji dostarczenia papierów dyplomatycznych do Londynu i Paryża. Został jeszcze w Warszawie przeszkolony co do podstawowych zasad pracy wywiadowczej i dyplomatycznej. Sprawdził się. No i polecił go przed laty księciu poczciwy profesor Śniadecki. Chłopak nadaje się idealnie do tego, by zebrać dla księcia potrzebne mu informacje, a jego literacka podróż będzie wyśmienitą przykrywką.

Księżę wiedział doskonale, że w Egipcie znalazło się wielu polskich oficerów, których wicekról Egiptu Muhammad Ali wykorzystywał do szkolenia i organizowania egipskiego wojska. Czy ci oficerowie byliby skłonni działać pod rozkazami księcia? Kto z nich nadawałby się na agenta? I co obecnie Muhammad Ali sądzi o rosnącej potędze Rosji? Podobnych pytań związanych z polską obecnością na Wschodzie było znacznie więcej. Przynajmniej na część z nich powinien ten drobny, niepozorny chłopiec poeta umieć odpowiedzieć. Wydawał się wprost stworzony na skutecznego agenta, którego nikt by się w nim nie domyślił.

PARYŻ, SIERPIEŃ 1836

Lato tego roku było w Paryżu prawdziwie gorące. Nie tylko na ulicach i skwerach, ale także w najgwarniejszym i najbardziej rozdyktowanym lokalu polskiej emigracji, na Taranie.

Maurycy upodobał sobie to miejsce i w nim bywał najczęściej ze swoim nieodłącznym kajetem, w którym pragnął uchwycić i zapisać „ducha czasu” – to modne ostatnio pojęcie. Zwykle materiału miał pod dostatkiem, spotykał tam bowiem tłum mężczyzn, jakieś kilkadziesiąt osób, dyskutujących żywo. Bywalcy lokalu powiedzieli mu, że dawniej było tu spokojniej i bardziej apatycznie, teraz jednak demokraci szykowali nowy manifest polityczny, który przed zredagowaniem ostatecznej wersji był żywo omawiany w klubach polskich w całej Francji. A na Taranie – najgłośniej.

Gdy Maurycy pytał bywalców o początki Towarzystwa Demokratycznego, kilku z nich wskazało na pierwsze miesiące emigracji w Paryżu. Rodacy z Taranu wracali do wydarzenia uważanego wówczas za skandal. Maurycy słyszał tę opowieść z wielu ust, gdyż wspomnienie było wciąż żywe, nawet po czterech latach.

Rzecz miała miejsce w drugą rocznicę wybuchu powstania, 29 listopada 1832 roku. Świeżo przybyli polscy emigranci, a także życzliwi im Francuzi, pragnęli uczcić tę datę stosowną uroczystością. Zawiązał się specjalny komitet polsko-francuski z wybitnymi generałami: Dwernickim, Ostrowskim i La Fayette'em. Zaproszono różne znakomitości życia publicznego, w tym cudzoziemców. Stare opactwo przyległe do kościoła Saint-Germain-de-Prés wypełnił tłum uczestników i sympatyków polskiej rewolucji.

O piątej po południu przemówieniem generała Dwernickiego

rozpoczął się długi cykl wystąpień. Potem Juliusz Słowacki w imieniu Towarzystwa Litewskiego wręczył La Fayette'owi świeżo wybity na pamiątkę powstania medal. W uroczystych mowach wzywano do zgody i jedności.

Gdy głos zabrał polityk i publicysta Tadeusz Krępowiecki, ku zdumieniu wielu obecnych zupełnie zmienił ton tej heroiczno-sentymentalnej dotąd opowieści.

Mówił o niewoli, ale nie politycznej, mówił o niewoli polskiego chłopca traktowanego okrutnie i wyzyskiwanego przez polską szlachtę. Uznał jego los za gorszy od zwierząt i gorszy od murzyńskich niewolników na plantacjach. Oskarżał carski despotyzm, ale oskarżał też polskich panów, a także Kościół katolicki za przyniesienie do Polski idei niewolnictwa i poddaństwa. Chwalił zemstę ludu, w tym ukraińskie powstanie Chmielnickiego i kozackie bunty. O powstaniu listopadowym powiedział, że było podchwyczone przez szlachtę, która dlatego tylko chciała zmienić władzę cara Mikołaja, żeby móc jeszcze swobodniej i mocniej gniesć chłopca, ażeby cały despotyzm cara odziedziczyć mogła.

Wszystko to Krępowiecki powiedział po francusku. Cudzoziemcy wyglądali na zgorszonych tym, co widzą i słyszą. Polacy wobec obecności Francuzów nie chcieli interweniować. A demokraci – gotowi na wszystko, upojeni tym brawurowym wystąpieniem jednego z nich, oklaskiwali go w zapamiętaniu. Wszystko to skończyło się gorszącą awanturą, karczemną wrzawą i skandalem.

Cztery lata po tym wydarzeniu Maurycy przysłuchiwał się dyskusjom demokratów. Niektóre z ich argumentów słyszał już w Awinionie.

Pamiętał dokładnie, jak któregoś dnia Sophie przyniosła z targu broszurę, którą przekazał mu jakiś Polak. Zapamiętał jej tytuł: *Akt*

z roku 1834 przeciw Adamowi Czartoryskiemu, wyobrazicielowi systemu polskiej arystokracji. Maurycy przeczytał w niej ze zdziwieniem, że demokraci oskarżają rodzinę Czartoryskich o próbę wprowadzenia w wolnej jeszcze Polsce monarchii absolutnej, na wzór innych europejskich krajów, z dziedzicznym tronem dla swojego rodu. Zarzucano im sprowadzenie wojsk moskiewskich do Polski, co w dalszej perspektywie skutkowało kontrolą dworu carycy Katarzyny nad Polską, a w końcu, zamiast upragnionej korony dla Czartoryskich, przyniosło kolejne rozbiory i pełną utratę niepodległości.

Maurycy odłożył tę broszurę z niesmakiem. Jednak członek Towarzystwa Demokratycznego, od którego ją dostał, nie poprzestał na tym i osobiście odwiedził Maurycego wieczorem. Usiedli przy drewnianym stole w ogrodzie zegarmistrza na tyłach domu, a Sophie podała im dzbanek domowego cydru.

– Zbieramy podpisy pod tym aktem – powiedział gość, gdy zostali sami. – Podpiszesz? Liczymy na ciebie!

– Dlaczego miałbym podpisać? Bardzo szanuję księcia Czartoryskiego, widzę, że on próbuje wziąć odpowiedzialność za nasz los, a ma do tego możliwości i doświadczenie jak nikt inny. Skąd pomysł na bunt, na to wotum nieufności? – pytał Maurycy.

– Nie zrozumiałeś? Wszystko jest w tej broszurze. Czartoryski i inni arystokraci chcą tylko władzy i przywilejów dla siebie! Przehandlowaliby za to naszą krew i nasze życie! Przecież oni żyją kosztem zwykłych ludzi, zwłaszcza chłopów, których wyzyskują! Czas z tym skończyć! – I agitator demokrata, który zdążył już wypić szklankę cydru, uderzył mocno pięścią w stół.

Maurycy patrzył na jego zapalczywość z dystansem.

– Zgadzam się, że pańszczyzna to przeżytek i niesprawiedliwość. Sam uwolniłem chłopów w swoim majątku – powiedział. – Ale

księcia Czartoryskiego znam jeszcze z Wilna, kiedy był kuratorem naszego uniwersytetu. Był wspaniałym kuratorem. A podczas procesu filomatów, kiedy siedzieliśmy w więzieniu, książę starał się nam pomóc i wstawiał się za nami u cara Aleksandra. Potem to wstawiennictwo przypłacił ostateczną utratą carskich względów. I złożył honorową dymisję z urzędu kuratora.

– I tak by go car wyrzucił. – Demokrat nie miał wątpliwości. – Nowosilcow już się szykował na jego miejsce. Więc podpiszesz?

– Nie chodzi tylko o tę dymisję – odparł Maurycy. – Pamiętam też wcześniejsze wizyty księcia kuratora na uniwersytecie. Wiesz, że przychodził na nasze wykłady, słuchał ich i rozmawiał z nami? Książę słuchał nas uważnie, choć miał najwyższą władzę i był wielkim panem. Wiem, że to mądry, porządny i uczciwy człowiek. Więc nie podpiszę przeciwko niemu żadnego pisma. I wam tego nie radzę robić, bo książę to najlepszy człowiek, jakiego możemy mieć teraz jako przywódcę.

To oświadczenie tak zdenerwowało demokratę, że nagle wstał, zabrał ze stołu broszurę i powiedział:

– E, głupiś!

Odwrócił się gwałtownie i wyszedł bez pożegnania.

Maurycemu przypomniawszy się ta scena, gdy siedział teraz wśród demokratów na Taranie, w obłokach dymu z wypalanych cygar, w oparach taniego wina, słuchał ich argumentów i notował je spokojnie:

– Aby odzyskać niepodległość, należy znieść przywileje i nierówności społeczne, przekształcić Polskę w ojczyznę milionów wolnych obywateli. To uruchomi olbrzymie siły wewnętrzne i przysporzy sprawie sojuszników wśród ludów Europy – mówili z przekonaniem.

– Należy się chłopom prawem własności ziemia, którą

uprawiają. Uwolnieni od pańszczyzny nie będą biedni, należą im się oświecenie i uczestnictwo w stanowieniu praw. Droga do niepodległości wiedzie tylko przez uwłaszczenie chłopów – dodawali.

– A jeśli dotychczasowe powstania nie przywróciły niepodległej Polski, to przyczyn tych niepowodzeń szukać należy nie w czynnikach zewnętrznych: sile nieprzyjaciół, braku pomocy z Zachodu czy nawet błędach wojennych, ale w zatamowaniu i nadaniu wstecznego kierunku ruchowi przez tych, co woleli sprawę ojczystą zabić, niż rozstać się ze swymi przywłaszczeniami.

Maurycemu, choć cenił i podziwiał księcia Czartoryskiego, bliskie było takie myślenie. Sam pojął za żonę prostą dziewczynę z lasu, strażniczkę pradawnej słowiańskiej wiedzy, która potrafiła leczyć ludzi ziołami i widziała rzeczy niewidzialne dla innych. Rozumiał dobrze dzięki niej, jak wiele wartości może kryć się w zwykłych ludziach, którym społeczeństwo odmawia nie tylko edukacji i praw, ale także wolności. Zgadzał się z demokratami, że Polska, podnosząc ich do rangi wolnych obywateli, stałaby się dużo silniejsza.

Już po pierwszych wizytach na Taranie Maurycy widział wyraźnie, jak wspólny powstańczy los zdemokratyzował znaczną część emigrantów. Zastanawiał się jednak, czy gdyby nadal siedzieli w swoich majątkach albo na posiadach, też byłiby tak radykalni i tak chętnie przywoływaliby rewolucję społeczną? I przyplłynęła do niego obrazoburcza myśl: czy to nieszczęście powstania, jego klęska i wygnanie tak wielu ludzi nie było konieczne do zmiany ich myślenia o Polsce? Jak gdyby bez tego wspólnego, zrównującego ich nieszczęścia nie byli w stanie wyzbyć się wiary w naturalność i niezmiennność swoich szlacheckich przywilejów.

Teraz wielu z nich uwierzyło, że nowa, odrodzona Polska musi być demokratyczna i republikańska. Musi zapewnić wolność wszystkim swoim obywatelom. Bo tylko wtedy będzie mogła spełnić swoje posłannictwo, rozerwać przymierze absolutyzmu, demokratyczną ideę wśród Słowian rozszerzyć i dać przykład prawdziwej wolności i demokracji ludom Europy.

1837

JEROZOLIMA, STYCZEŃ 1837

Juliusz Słowacki już od miesiący zanurzony był w swojej wschodniej podróży. Oddalił się bardzo od niedawnych przechadzek z Teofilem i Hersylią w Rzymie i Neapolu, od nocnych spacerów i namiętnych rozmów z Zygmuntem Krasińskim, od Europy. Statkiem, czółnem, na ośle, na wielbłądzie, na koniu, jak się dało, posuwał się wciąż dalej na południe i na wschód, w krainy coraz bardziej odległe, obce, tajemnicze. Jakże to niezwykle, wspaniałe i nieporównywalne z niczym doświadczenie: podróż!

Do tej pory podróżował sporo – od dziecka przemieszczał się między Wilnem a Krzemieńcem, stamtąd wyjechał do Warszawy. Misje powierzone mu przez księcia Czartoryskiego skierowały go do Londynu i Paryża. Potem: Szwajcaria i Włochy. Wszystko to jednak były podróże w obrębie świata, który znał i rozumiał, o którym czytał i który poznawał w swoich szkolnych i studenckich latach.

Europa początkowo zaimponowała mu swoimi instytucjami, dostatnim życiem i wolnością obywateli, rozwojem nauki i wynalazkami. Mógł w niej żyć swobodnie. Potrafił korzystać z jej dobrodziejstw: część funduszy od matki zainwestował korzystnie w akcje lyońskiej kolei żelaznej i z satysfakcją patrzył, jak zyskują na wartości. Z czasem jednak zaczęło go ogarniać przekonanie

o jałowości zachodniego życia. Ten bezustanny ruch na ulicach Paryża, pogoń za swoim interesem, burżuazyjne wartości i zabiegi o pomnażanie kapitałów – to wszystko go nużyło. Napawało smutkiem. Paryż wydawał mu się molochem, Lewiatanem, bestią! Stolicą kraju, który uwierzył w prymat rozumu nad duchem. I stał się interesowny, wyrachowany, kupiecki. Genewa, gdzie przyjęto go serdecznie, gdzie miał spokój i dobre warunki do pisania, także znudziła go serdecznie swoim mieszczańskim klimatem. W tej dostatniej, bezpiecznej, dobrze urządzonej Europie dopadało go poczucie pustki i jałowości własnej egzystencji. Chciał z niej uciec i doświadczyć innego świata.

I oto zrzędzeniem łaskawego losu wyruszyć mógł na Wschód! Dzięki finansowej pomocy dawnego kolegi z Krzemieńca, Zenona Brzozowskiego, wziął udział w niezwyklej wyprawie. Była to podróż nie tylko w przestrzeni, ale także w czasie. Juliusz wkroczył bowiem w świat starożytnych pamiątek. Greckie świątynie i posągi, krajobrazy – scenerie zmagañ dawnych herosów, pola zwycięskich i przegranych bitew opiewanych w dawnych eposach. Mityczna Grecja przemówiła do niego śladami swojej heroicznej przeszłości. Odwiedzane grobowce przypominały o ulotności ludzkiego życia.

A potem – Aleksandria i Egipt. Bajeczna, orientalna różnorodność typów ludzkich, odmienność wszystkiego: widoków, kolorów, zwierząt, muzyki, zapachów, języków, twarzy. Świat obcy, inny i fascynujący. Podróż czółnem po Nilu pozwoliła Juliuszowi poznać bezkresne piaski pustyni, zobaczyć karawany Beduinów, palmowe gaje i oazy, dawne pałace, świątynie i grobowce, gwarne bazy, wreszcie – piramidy. Wobec ich majestatu dawne ambicje i marzenia ukazywały swoją marność. Czymże są bowiem te rzeczy, o które niegdyś Juliusz zabiegał: poetycka sława, popularność,

wykwintny strój, powodzenie na salonach – wobec niewzruszonego trwania przez wieki tych pomników przeszłości?

Słowacki czuł, że ta podróż go zmienia. Doświadczał innego tak intensywnie, że nie mógł pozostać dawnym sobą. Chłonał nowe wrażenia i pozwalał im się transformować. Obserwował, rozmyślał, pisał dużo. Notował spostrzeżenia, a lekkie strofy płynęły spod jego pióra z łatwością. Rysował te widoki i pejzaże, które trudno było opisać.

A teraz czekało go uwieńczenie jego podróży – Ziemia Święta, kraina biblijnych wydarzeń, teren narodzin, życia i śmierci Chrystusa. U bram Jerozolimy Juliusz poczuł niezwykle wzruszenie. Wiedział, że to nie tylko podróż w przestrzeni, nie tylko w czasie, ale także wyprawa w krainę Ducha, o którym w przyziemnej, pragmatycznej Europie zapomniał.

Tradycją wśród europejskich pielgrzymów było spędzenie nocy w bazylice Grobu Pańskiego. Administrujące Jerozolimą władze tureckie nie zezwalały na otwieranie świątyń przed świtem. Katolicy mogli odprawiać msze u Grobu Pańskiego wcześniej rano, ale kto chciał uczestniczyć w takiej mszy, musiał przyjść do świątyni wieczorem i spędzić tam całą noc. Juliusz Słowacki tak właśnie uczynił. Wszedł tam bardzo poruszony przebywaniem w świętych miejscach, tych dokładnie, po których przed wiekami chodził Zbawiciel. W Europie jego dziecinna i młodzieńcza wiara przygasła, zagłuszona zgiełkiem innych spraw. Tu jednak, wśród murów, ścieżek, kamieni i drzew oliwnych, które mogły pamiętać żywego Chrystusa – wiara ta odżyła i czyniła powoli z Juliusza nowego człowieka.

Wczesnym wieczorem klęknął przy grobie sam. Czytał Biblię. I porwało go takie wzruszenie, że poczuł łzy na policzkach płynące coraz intensywniej, niepowstrzymane, a potem jego drobnym

ciałem wstrząsnął głęboki szloch. Płakał długim, oczyszczającym płaczem, nie bardzo rozumiejąc, co się z nim dzieje. Kiedy się uspokoił, zobaczył, że jest razem z nim para młodych małżonków patrzących na niego z szacunkiem. Musieli wziąć go za świętego męża, bo podeszli do niego, pochylili się i po kolei ucałowali jego rękę. Juliusz był tak zaskoczony i zmieszany tym niespodziewanym gestem, że nie wiedział, jak zareagować, i nie powiedział im ani słowa.

Wybiła północ. Tuż po niej odprawiono przy grobie mszę w obrządku greckim. Potem – mszę ormiańską. I wreszcie przed świtem przyszedł czas na mszę katolicką, odprawioną przez polskiego księdza w intencji ojczyzny. Ksiądz zaczął od tego, że zakrył rosyjskiego orła umieszczonego nad carskimi wrotami jako symbol opieki sprawowanej przez Rosję nad Greckim Kościołem Prawosławnym. Juliusz wiedział o rosyjskich pretensjach do opieki nad Grobem Pańskim, ale teraz o tym nie myślał. Służył do mszy jako ministrant. Oczy miał wciąż wilgotne, serce ściśnięte. Co się z nim działo? Nie był pewien, jednakże czuł, że staje się nowym człowiekiem.

A kiedy o świcie otworzono drzwi kościoła, Juliusz wyszedł, popatrzył na wschodzące słońce i poszedł do swojej celi w klasztorze Franciszkanów. Wziął pióro i zanotował słowa, które z niego wypływały:

*I porzuciwszy drogę światowych omamień,
I wysłuchawszy serce, gdy rzekło: Jam czyste!
To rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym martwy trzy dni leżałeś, o Chryste!
Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była
Ani przeciwko ludziom, ani przeciw Bogu...*

KRZEMIENIEC, LUTY 1837

Salomea Słowacka nieczęsto opuszczała swój dom, zwłaszcza teraz, gdy śniegi zasypały Krzemieniec tak, że ulice zamieniły się w wąwozy otoczone wysokimi zaspami. Dziś jednak postanowiła wyjść z domu – otrzymała właśnie długi i piękny list od Julka, który dostarczył jej tylu emocji, że musiała się nimi z kimś podzielić. Otuliła się popielatą szubą, wzięła złożony arkusz papieru i wyszła na zewnątrz. Mroźne powietrze owiało ją orzeźwiającym chłodem. A jemu tam teraz gorąco! – pomyślała z czułością. I ostrożnie, by się nie poślizgnąć, skierowała swoje kroki do domu bliskiej sąsiadki i przyjaciółki, Ewy Felińskiej. Życie towarzyskie toczyło się w Krzemieńcu prościej i zwyczajniej niż w Wilnie – nie wymagało zapowiadania się, nie używano nawet biletów wizytowych.

Zastała ją siedzącą przy biurku przysuniętym do okna. W kominku płonął ogień, pachniało świeżo parzoną kawą, a plecy Ewy Felińskiej były pochylone. Była tak zajęta pisaniem, że nie usłyszała kroków za sobą ani otwierania drzwi.

Salomea stanęła za nią i spojrzała jej przez ramię.

– A cóż to, oszczędzasz na inkaucie? – zażartowała.

Ewa Felińska podniosła na nią wzrok.

– To krochmal – powiedziała, odkładając naostrzone pióro na brzeg słoiczka z przejrzystą, gęstą cieczą. – Zobacz: można pisać między wierszami zwykłego, obojętnego listu. A kiedy odbiorca posmaruje papier jodyną, wtedy ukążą się moje litery!

– Twój odbiorca wie o tej sztuczce?

– Oczywiście – uśmiechnęła się Ewa. – Ale cenzor nie wie. To zagraniczna korespondencja stowarzyszenia.

Ewa wstała zza biurka.

– Mam świeżą kawę i ciepłe rogaliki – powiedziała. – Skusisz się?

Salomea skinęła głową. W pokoju pachniało apetycznie, a Ewa była znakomitą gospodynią.

– Ale czy to nie jest trochę niebezpieczne? – zapytała Salomea, siadając na kanapie na zaproszenie Ewy. – Masz przecież sześcioro dzieci na utrzymaniu, nie powinnaś tak ryzykować...

– Moja droga, nie można być całe życie taką lękliwą! Zresztą jestem kobietą, nie żadnym żołnierzem czy spiskowcem, cóż mogą mi zrobić? Moja płęć mnie chroni. Któż by podejrzewał samotną wdowę, matkę szóstki sierot o wywrotową działalność? – mówiła Ewa, krzątając się wokół zastawy, kawy i rogalików. – A przecież ktoś musi robić tę pracę oświatową, podtrzymywać w ludziach świadomość, edukować. Inaczej wynarodowią nas zupełnie i nasze wnuki zapomną mowy ojczystej. I kim się staną? Obcymi?

Przyniosła na tacy do stolika filiżanki z kawą, śmietankę i rumiane rogaliki na talerzu. Usiadła obok Salomei.

– I ty byś mogła dawać, dajmy na to, lekcje literatury i historii Polski ubogim dziewczętom – powiedziała. – Kiedyś zostaną matkami, to ważne, co przekażą swym dzieciom...

Salomea machnęła na to ręką.

– Ach, ja nie byłam porządnie uczona za młodu... Czytam, co mi w ręce wpadnie, ale systematycznej edukacji mi nie dano, niestety. Dlatego może tak chciałam Julka dobrze kształcić w Wilnie...

– A co tam u niego? – zapytała Ewa, maczając rogalik w kawie i podnosząc do ust.

Wszyscy w Krzemieńcu wiedzieli, że to ukochany temat pani Salomei, o którym mogła rozprawiać bez końca. Teraz też na to pytanie jej wielkie, ciemne oczy rozbłyły prawdziwą pasją.

– Nie uwierzysz! Pojechał na wojaż!

– Jakiż to wojaż?

– Na wschód! Do Grecji! W piaski pustyni, do Egiptu! I do Ziemi

Świętej! Drzę wciąż o niego, bo tam i zbójców można napotkać, i zarazę. A on taki delikatny... Zresztą posłuchaj sama, właśnie list mi przysłał stamtąd.

I Salomea, jakby właśnie na tę chwilę czekała, rozsiadła się wygodnie na kanapie, wyciągnęła binokle na szylkretowej ręczce, rozłożyła arkusz papieru i zaczęła czytać:

– „(...) na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Przybyliśmy na małych osiołkach – i dziwnie na tym stworzeniu maleńcy wydawali się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mnie zadziwiły ogromem. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników, i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne, granitem wykładane korytarze aż do małych pokoików, we wnętrzu piramid będących, w których stały dwie niegdyś, dziś jedna tylko granitowa trumna. Wyszędłszy z ciemnych piramid, zacząłem się drzeć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższej piramidy – cudowny widok!”.

Salomea podniosła wzrok, żeby sprawdzić, czy Ewa słucha uważnie – słuchała. Więc czytała dalej:

– Piszę potem, że mi płaszczyk kupił z białej wełny zwany burnus. Kochany chłopiec! A dalej o Nilu, słuchaj tylko: „Wziąwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszej katarakcie, chcąc spotkać się z przyjaciółmi, którzy nie doczekawszy się, puścili się przed nami w tę drogę... Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnóstwo żurawi lecących po błękicie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi unoszących się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściej

w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy wielkości człowieka siedzące o zachodzie słońca na górach. Nareszcie przy Siut pierwszy krokodyl leżący na piasku, dla którego porwali się od stołu, aby mu się z bliska przypatrzeć. Wszystko to tworzy teraz w imaginacji sen bardzo piękny”.

Salomea zamilkła. Jej syn pisał tak sugestywnie i pięknie, że czuła się, jakby sama tam była, wśród palm, piasków pustyni i piramid. Wyobrażała sobie to wszystko i jego tam, w tej scenerii, dzielnego podróżnika w swoim burnusie, na małym osiołku, myślącego o niej. Wszak obiecał, że w najpiękniejszych miejscach będzie myślał o niej właśnie, o swojej matce, jakby była tam z nim razem. I wielkie, ciemne oczy Salomei znów zwilgotniały ze wzruszenia...

– Prawdziwy poeta z tego twojego Julka – powiedziała łagodnie Ewa, widząc poruszenie przyjaciółki. – Dzieci są pociechą naszego serca.

O tak, przyznała w duchu Salomea, zwłaszcza gdy są tak wybitne, niezwykle i uzdolnione jak mój syn.

KLASZTOR BETCHESZBAN, GÓRY LIBANU, WIOSNA 1837

Po tamtej jerozolimskiej nocy potrzebował samotności. Jego towarzysz ruszył w dalszą podróż do Konstantynopola, a Juliusz ostatnie dni pobytu w Ziemi Świętej spędził w górach Libanu, w odludnym klasztorze ormiańskim zwanym Betcheszban, co przetłumaczono mu jako „spoczynek umarłych”. Nazwa wydała mu się bardzo trafna. Z okna jego celi rozciągał się wspaniały widok na morze, a okoliczne zbocza gór pokryte były wiosennymi kwiatami.

Jednostajne klasztorne życie bardzo mu odpowiadało – natłok

wrażeń, przeżyć i silnych emocji, w które obfitowała podróż, domagał się teraz spokoju i czasu. Juliusz patrzył na morze i rozmyślał. Śnił o matce, śnił o Ludwice, a te sny były wyraziste i plastyczne jak nigdy dotąd.

I w tej ciszy odludnego klasztoru przyplłynął do niego poemat, którego zręby powstały wcześniej. Z emigracyjnych obserwacji, z dawnych przemyśleń, ze świeżych mistycznych doświadczeń, z ewangelicznych krajobrazów i biblijnego nastroju, który przenikał tę ziemię.

Ostatnio czytał głównie Biblię i *Boską komedię* Dantego. Więc choć dawno osiągnął biegłość w sztuce poetyckiej i budowanie kunsztownych strof wierszem nie sprawiało mu trudności, to teraz jednak sięgnął po biblijną stylistykę i frazę. Podobnie jak Adam w swoich *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego*.

Juliusz przeczytał je w Paryżu, zaraz gdy się ukazały. Z wypiekami na twarzy, jak wszystko, co wychodziło spod pióra Adama. I z irytacją! Bo ten jego mesjanistyczny optymizm wydawał mu się niedorzeczny. Jego nadzieje związane z polskim „pielgrzymowaniem” uważał Juliusz za nieskończenie naiwne, a ich głoszenie – za wręcz szkodliwe! Bo jakże ta garść skłóconych ze sobą, rozgoryczonych i zniechęconych emigrantów miałyby być nadzieją i odkupieniem dla Polski? Juliusz poznał ich przecież w Paryżu i widział, jak bardzo są zrozpaczeni, niezdolni do czynu, zagubieni. Jak często wychodzą z nich słabości i ludzka małość. Czyż idealizowanie ich nie jest zgubną naiwnością?

Po tej niezwykłej podróży rysował się Juliuszowi w głowie poemat, który będzie jego odpowiedzią na niedorzeczny mesjanizm Adama zapisany w *Księgach*...

Najpierw pojawiła mu się w wyobraźni postać czystego młodzieńca, anielskiej duszy, odkupiciela. Anhelli. Tak się będzie

nazywał.

A potem, na tej gorącej, spalonej słońcem ziemi pokrytej pustynnym piaskiem przypląnął do niego obraz białego syberyjskiego piekła, krainy śniegów i skutych lodem pustkowi. Czy może być lepszy symbol polskiego wygnańczego losu? Syberia – isticie dantejski obraz cierpień polskiego narodu. I właśnie w to białe piekło Juliusz wrzucił swojego anielskiego Anhellego.

Pisał jak w natchnieniu. Piękną poetycką frazą. Każdego dnia.

Adam Mickiewicz wierzył w powszechną europejską rewolucję, która przyniesie wolność ludom Europy. I wierzył, że pielgrzymstwo polskie odegra w tej rewolucji główną rolę.

Juliusz nie miał takich złudzeń. Nie idealizował swoich ziomków. Nie wierzył, że są jeszcze zdolni do znaczącego czynu. Rozdrabniają się przecież w sporach i wzajemnych oskarżeniach. Zbyt często przyglądał się temu, jak cierpienie i nieszczęście wydobywają z nich najgorsze cechy. Dlatego w jego *Anhellim* wygnańcy są źli i szkodliwi.

A gdy pierwszy szkic poematu był gotowy, Juliusz spakował swój niewielki dobytek i zaczął się szykować do powrotu do Europy. Wiózł wełniany burnus i komplet szklanych naczyń i skórzanych węży do palenia nargili, co bardzo mu się spodobało. Ormiańscy mnisi podarowali mu prowiant na drogę i ogromną butlę doskonałego wina. Bagaż ten ledwo zmieścił się na osiołku służącym do transportu.

Juliusz z żalem opuszczał swoją samotnię, dobrze mu było w tym spokojnym, niespiesznym rytmie pustelniczego życia. A gdy odjeżdżał w stronę portu, obejrzał się na stojący na litej skale klasztor i zobaczył małe figurki mnichów, którzy, stojąc na dachu, odprowadzali go wzrokiem. Czuł się innym człowiekiem. Bogatszym, nie w skarby materialne, raczej duchowe. Żegnał się

z tą ziemią z wdzięcznością za przemianę, jaką w nim dokonała.

1838

KRZEMIENIEC, LIPIEC 1838

Początek lipca tego roku był w Krzemieńcu prawdziwie upalny, a drzewa w sadach uginały się pod ciężarem owoców. Szczególnie wiśnie obrodziły obficie – słodkie i soczyste owoce barwiły kobietom czubki palców karminem.

Salomea Słowacka przez cały dzień zajęta była smażeniem wiśniowych konfitur, jej palce także nosiły ślady drylowania. Dopiero wieczorem, gdy rzędy słoików wypełnionych wiśniową słodyczą stały równo ułożone na półkach spiżarni, Salomea wyszła przed dom, by odpocząć i zażyć wieczornego chłodu. Powietrze było tak przyjemne i aromatyczne, że postanowiła przejść się swoją ulubioną drogą do pobliskiego ogrodu botanicznego, który służył niegdyś uczniom Liceum Krzemienieckiego.

Celem tej przechadzki była zazwyczaj ławeczka pod leciwą topolą. Siedząc na niej, można było podziwiać niezrównanie piękny widok na Górę Zamkową wraz z panoramą miasteczka. Salomea lubiła siadywać na tej ławeczce i wspominać dawne spacery po okolicznych wzgórzach z małym Julkiem, trzymanym za rękę albo niesionym na biodrze, gdy jego małe nóżki były zbyt zmęczone, by iść dalej. Czasem przynosiła go z tych spacerów śpiącego, z główką wtuloną w jej ramię. Uśmiechnęła się błogo na to wspomnienie. Czemuż czas mija tak szybko?

Zanim jednak dotarła do swojej ławeczki, usłyszała monotonne

dźwięki pocztowego dzwonka. Potem w kłębie kurzawy ukazała się pędząca pocztowa trójka, a na niej – dwaj umundurowani żandarmi. Rzadki był to widok w Krzemieńcu, zwiastujący jakąś nadzwyczajną sytuację. Zaintrygowana Salomea szła dalej wolnym krokiem. Wkrótce ujrzała miejscową policję i paru żołnierzy pod domem Ewy Felińskiej, w towarzystwie tychże nowo przybyłych żandarmów. Prawdziwe zbiegowisko sił mundurowych, jakiego nie widywało to senne miasteczko.

Salomea dotarła do ławeczki pod topolą, usiadła, ale zamiast wypatrywać wschodzącego nad Górą Zamkową bladego księżyca, patrzyła z niepokojem na mężczyzn w mundurach czekających pod domem przyjaciółki.

Ewa Felińska, otoczona szóstką swoich dzieci, wróciła wkrótce z wieczornego spaceru, niosąc naręcze polnych kwiatów. Weszła do domu razem z żandarmami. Salomea nie widziała, co tam się działo, nie mogła dosłyszeć żadnych głosów. Widziała tylko, że po jakiejś godzinie Ewa, spokojna i blada, jakby cała krew odpłynęła z jej twarzy, wyszła z domu z niewielkim tylko sakwojazem w ręku, w towarzystwie dwóch przyjezdnych żandarmów pod bronią. Takiego widoku Salomea była świadkiem ostatnio przed laty w Wilnie, gdy żandarmi prowadzali na śledztwo studentów w pamiętnym procesie filomatów. Nigdy jednak nie widziano, by potraktowano tak kobietę, do tego samotną matkę.

Żandarmi posadzili aresztantkę na wozie, usiedli po jej obu stronach i ruszyli w drogę. Otoczył ich zaraz tuman kurzawy, a po chwili zostało tylko wspomnienie i niedowierzenie.

Gdy policjanci i żołnierze opuścili już podwórko przed domem Ewy Felińskiej, Salomea poszła do jej mieszkania. Nie dawała jej spokoju myśl o pozostawionych samotnie dzieciach.

Weszła do pokoju, w którym polne kwiaty leżały rzucone na stół, młodsze dzieci przestraszone płakały, a najstarsza, siedemnastoletnia córka Paulina próbowała je uspokoić. W porządnie utrzymanym i zawsze schludnym mieszkaniu teraz rozmaite sprzęty, ubrania, papiery i książki leżały na podłodze powywlekane z szaf, komód i półek.

– I cóż się tu wydarzyło? – zapytała spokojnie Salomea Paulinę.

Na twarzy dziewczyny pojawiła się ulga, jakby obecność znajomej dorosłej kobiety dodała jej sił.

– Aresztowali mamę! – krzyknęła. – Mówili, że wykryli spisek! Zrobili rewizję. Nie wiem, czego szukali, ale zabrali mamy listy. I co my teraz zrobimy?...

Salomea Słowacka często ulegała egzaltacji, napadom niezwyklej wrażliwości i marzeniom. Teraz jednak, widząc tę bezradną, przestraszoną dziewczynę, obarczoną drobnym rodzeństwem, czuła, że nie może sobie pozwolić na emocje i słabości, musi pomóc tym dzieciom. Wzięła w ramiona córkę przyjaciółki i przytuliła ją mocno.

– Nie bój się, moja kochana, nie jesteś sama – powiedziała zdecydowanym głosem, który ją samą, tak często rozedrganą, zadziwił siłą i stanowczością. – Twoja mama nie robiła nic złego, może wszystko się wyjaśni i wróci do nas prędko. A tymczasem pomożemy wam. Tu, w Krzemieńcu, dużo dobrych ludzi, nie damy wam zginąć.

Salomea pogładziła ją po plecach i wypuściła z objęć.

Paulina spojrzała na nią z taką ufnością i nadzieją, że Salomea zdziwiła się, skąd znalazła w sobie tyle spokoju, bo przecież przywykła litować się wciąż nad swoją słabością. Ach, silniejsi jesteśmy, niż nam się zdaje – pomyślała.

– A teraz musimy tu posprzątać i dać dzieciom kolację. Pomogę

ci.

Kiedy Paulina zajęła się szykowaniem kolacji, Salomea utuliła młodsze dzieci, dała im książeczki z ilustracjami do oglądania i zajęła się zbieraniem z podłogi rozwleczonych sukni Ewy. Jednocześnie zastanawiała się, kto jeszcze z jej znajomych i bliskich jest narażony. W Wilnie przed laty jedno aresztowanie pociągnęło za sobą setki kolejnych, choć nikt się przecież tego nie spodziewał. A tu? Wiedziała, że kilku jej znajomych działało wspólnie z Ewą, nawet jej własny brat Teofil. Jak również dobry znajomy, świetny lekarz Antoni Beaupré. Któregoś dnia poznała u Ewy ich przywódcę. Był podobno emisariuszem demokratów z Paryża. Nazywał się Szymon Konarski.

PARYŻ, SIERPIEŃ 1838

Obecne mieszkanie rodziny księstwa Czartoryskich było znacznie większe, wygodniejsze i bardziej reprezentacyjne niż pierwsze lokum. Było to głównie zasługą matki Anny, księżnej Sapieżyny, której niezwykły talent do interesów pozwolił nie tylko ocalić część rodzinnych dóbr, ale także znacznie je pomnożyć. Księżna potrafiła skutecznie walczyć z urzędnikami o majątek należny jej i córce, jak również trafnie inwestować na europejskich giełdach, zapewniając rodzinie bezpieczeństwo finansowe, a z czasem coraz większy dostatek. Anna Sapieżyna w pełni zasługiwała na przydomek „ministra finansów”, którym ją obdarzono. Prowadziła rachunki skrupulatnie, zarządzała pieniędzmi z głową, wręcz z prawdziwą pasją. Wszyscy jej ufali – wypłacała miesięczną pensję nawet księciu Adamowi. Gdy przekonała się ostatecznie, że Anna nie wróci do kraju, sama postanowiła osiąść na stałe w Paryżu i wspomagać swoją jedynaczkę. Wiedziała, że jej

szanowny zięć w ogóle nie ma do tego głowy.

Korzystając z dobrobytu i stabilizacji rodziny, w Paryżu osiadła na stałe najstarsza siostra Adama, księżna Maria Wirtemberska. Ją także dosięgło to dziwne zrządzenie losu, które nie pozwalało członkom rodziny Czartoryskich zaznać osobistego szczęścia. Marię spotkał los szczególnie okrutny – rodzice, kierujący się dynastycznymi ambicjami, wydali ją za mąż za księcia Ludwika Wirtemberskiego, siostrzeńca króla Prus, choć Ludwik miał opinię hulaki, pijaka i okrutnika. Rzeczywiście był bezpośrednio skoligacony z największymi dworami Europy – jego siostry zasiadły z czasem na cesarskich tronach w Rosji i Austrii.

W małżeństwie z Marią wyszła na jaw jego brutalna i sadystyczna osobowość. Młodziutka Maria znosiła w milczeniu ból i upokorzenia i nie skarżyła się, nie chcąc martwić rodziców. Gdy jednak w czasie wojny polsko-rosyjskiej w 1792 roku jako generał polskiego wojska okazał się zdrajcą zależnym od obcych dworów, wszyscy zrozumieli, że to małżeństwo było pomyłką. Maria przysłała mu list rozwodowy.

Ludwik odebrał jej ich rocznego synka Adama i wychował go w głębokiej nienawiści i pogardzie dla matki, dla rodziny Czartoryskich i dla wszystkiego, co polskie. Po latach Adam Wirtemberski wstąpił do służby rosyjskiej i brał udział w tłumieniu powstania – to on wydał rozkaz ostrzału artyleryjskiego Puław, w których schroniły się księżna Izabela z córkami Zofią i Marią. Musiały uciekać nocą pod ostrzałem bomb.

Księżna Maria Wirtemberska żyła samotnie, cierpiąc z powodu rozłąki z jedynym dzieckiem. Zajmowała się głównie literaturą i filantropią. Była wdzięczna bratu za możliwość życia pod jego dachem w późnych latach swojego życia. Zresztą zawsze kochała go

bezgranicznie i wspierała jak mogła.

A teraz trzy księżne siedziały w obszernym, wygodnym salonie i pod wodzą najmłodszej Anny wyszywały serwetki, makaty i obrusy na kolejny dobroczynny kiermasz. Anna była niestrudzona w tych pracach i z niesłabnącą energią organizowała wciąż nowe imprezy. Najpiękniejsze damy paryskiej socjety sprzedawały rozmaite polskie wyroby, przyciągając tłumy.

– Jak się będziemy uwijać, to niedługo zabraknie w Paryżu domów bez naszych haftów! – mówiła Anna z uśmiechem.

Był wieczór, dzieci już spały. Księżnym towarzyszył w salonie Hipolit Błotnicki, domownik zatrudniony jako guwerner dzieci, który pomagał także księżnej Sapieżynie administrować finansami.

– I cóż nam pan dziś przeczyta, panie Hipolicie? – zwróciła się do niego Maria Wirtemberska, która sama w młodości parała się literaturą i krytyką literacką.

– Mam coś zupełnie nowego. Oto ukazał się właśnie nowy poemat Juliusza Słowackiego.

– O, to świetnie! Od dawna uważam, że ten autor nie dość jest ceniony – powiedziała Maria z przekonaniem i przestała na chwilę haftować, patrząc z ciekawością na Hipolita. – Jak się nazywa ten utwór?

– *Anhelli.*

– To niech pan zaczyna. Prosimy!

Hipolit usiadł wygodniej w fotelu, włożył na nos druciane binokle i otworzył niewielką broszurę z nowym poematem swojego dawnego ucznia. Odchrząknął i zaczął czytać:

– *Przyszli wygnańcy na Ziemię Sybirską i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i w miłości braterskiej; było zaś ich około tysiąca ludzi z różnego stanu.*

A rząd dostarczył im niewiast, aby się żenili, albowiem dekret mówił, że posłani są na zaludnienie.

Przez jakiś czas był między nimi wielki porządek i wielki smutek, albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą ojczyzny; chyba Bóg zechce...

A gdy już zbudowali dom i każdy się zajął swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli, aby je nazywano mądrymi, i zostawali w beczynności, mówiąc: Oto myślimy o zbawieniu ojczyzny; ujrzeli raz wielką gromadę ptaków czarnych, lecącą z północy...

Igły z jedwabnymi niciami śmigały w palcach trzech księżnych, wąski sierp księżycy wisiał na ciemnym niebie za otwartym oknem, do salonu wpadał podmuch ciepłego wiatru, a spokojny głos Hipolita brzmiał w zupełnej ciszy, przywołując obrazy śnieżnych krain i nieszczęśliwych, zdesperowanych ludzi.

Gdy Hipolit skończył czytać, w salonie wciąż było cicho. I smutno – bo właśnie smutek przede wszystkim wypływał z tych poetyckich obrazów. Trzy kobiety odłożyły na chwilę swoje robótki i podniosły znad nich wzrok.

Pierwsza odezwała się księżna Anna Sapieżyna:

– Mam wrażenie, że ten Słowacki trzeźwiejszy ma sąd o naszych rodakach niż fantasta Mickiewicz. Mickiewicza wszyscy kochają, ale te marzenia jego o wielkości i roli narodu to czyste fantazje. A Słowacki to widzi i rozumie. Podoba mi się. I też się zna na giełdzie podobno. Jakbyś go zaprosiła kiedy na wieczór do nas, Anno, tobym go zapytała, jakie akcje obstawia.

– Chętnie go zaproszę znowu, mamu, skoro już wrócił do Paryża na dobre – zgodziła się Anna. – My tych biednych zesłańców syberyjskich mamy za męczenników i niemal świętych, a on w nich widzi małość i zło: że słabi, że skłóceni, że do czynu niezdolni. A jeszcze się pozjadali na koniec nawzajem!

Księżna Maria Wirtemberska zdawała się najbardziej poruszona utworem.

– A może to nie jest wcale o tych nieszczęsnych Sybirakach, tylko o nas tu? O naszej emigracji? Mało to naszych memu bratu do oczu skacze? Jakby niejeden chciał go zjeść żywcem!

– No skaczą, skaczą, skoro się na króla chciał upozować – powiedziała trochę drwiącym tonem Anna Sapieżyna, która знаła księcia Adama od dziecka, lubiła go i ceniła, ale śmieszyła ją dość jego królewska poza i jako trzeźwa realistka nie wierzyła ani trochę w jego „polityczne mrzonki”.

– A co pan o tym sądzi, panie Hipolicie? – zapytała Anna. – To przecież pański uczeń.

Hipolit Błotnicki zastanowił się chwilę. Ten nieznośny dawniej Julek, psotny i bystry zarazem, któremu nauka przychodziła bez trudu, zaskakiwał go już wielokrotnie.

– Wiele w tym pięknych fragmentów, księżno – powiedział – ale celu całości i jednej myśli nie widzę. Pełno tu ciemności. Krytykuje nas, osądza, to pewne. Ale Bóg jeden wie, czego żąda, co radzi.

– Ja też nie wiem, co on radzi, ale sama wam coś poradzę – powiedziała praktyczna księżna Anna Sapieżyna. – Skoro nasz książę Adam już chce być tym „królem de facto”, to przydałby mu się królewski dwór! A i rodzina mogłaby się rozłożyć swobodniej w wygodniejszym lokum. Trzeba się rozejrzeć za jaką wygodną rezydencją w Paryżu. Ostatnio poszły w górę akcje kolei indyjskich i amerykańskich. Mamy też sześcioprocentowe obligacje kanadyjskie. Kapitały nam pracują, można szukać nowego lokum.

Księżna Anna Czartoryska popatrzyła na matkę z wdzięcznością. Zrozumiała już dawno, że jej mąż, książę Adam, jest człowiekiem wybitnym, szlachetnym, mądrym, ale zupełnie niepraktycznym. Za to jej matka, dokładnie w wieku Adama, jest wcieleniem

praktyczności, zapobiegliwości i finansowych talentów. To dzięki niej Anna myślała ze spokojem o przyszłości swojej i swoich dzieci. Posłała matce ciepły uśmiech i wróciła do wyszywania srebrnej lilii na swojej makatce.

PARYŻ, WRZESIEŃ 1838

Maurycy Kamienicki zrealizował swój plan spotkania z Adamem Mickiewiczem dopiero teraz, późnym latem 1838 roku. Czekał na jego nowe dzieło od czasu *Pana Tadeusza*, ale Adam publikował jedynie krótkie, bieżące artykuły w prasie emigracyjnej. Mówiono, że się ożenił z Celiną Szymanowską. Żartowano, że młoda żona zaraz go od poezji odwiedzie. Wkrótce pojawiła się wieść o pierwszym dziecku Adama, córce Marysi, więc Maurycy nie chciał zakłócać wizytami spokoju młodej rodziny. A teraz niedawno okazało się, że narodził się też syn Władysław. Zatem Maurycy zwlekał i zwlekał z odwiedzinami aż do momentu, gdy jeden z litewskich ziomków powiedział mu, że Adam bardzo chętnie przyjmuje u siebie gości, a szczególnie dawnych kolegów z Wilna, bo mu jego najlepszy czas w życiu przypominają.

Usłyszawszy to Maurycy, przestał się wahać, dowiedział się, na której mszy niedzielnej Adam bywa zazwyczaj, i którejś niedzieli po skończonym nabożeństwie podszedł do poety otoczonego przed kościołem grupką rodaków. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę niezauważony. Jakże się zmienił od wileńskich czasów!

Maurycy widział Adama Mickiewicza po raz ostatni w Wilnie jesienią 1824 roku, na pożegnalnym przyjęciu wydanym ku czci filomatów mających wkrótce wyjechać do Petersburga. Mickiewicz, choć po miesiącach spędzonych w więziennej celi

i po procesie, z wyrokiem skazującym na wieczne wygnanie, był wtedy wciąż jeszcze pełnym życia młodzieńcem, z blaskiem w oczach, z żywym rumieńcem, z gęstą czupryną lśniących czarnych włosów, z energią i żywiołowością wypełniającą jego krzepkie ciało. Maurycy wciąż go takim pamiętał i takiego spodziewał się zobaczyć.

Jakże poeta zmienił się w ciągu tych minionych czternastu lat! Choć przecież los jego nie wydawał się aż tak ciężki: w Rosji miał wielu przyjaciół, podziwiano go i podejmowano chętnie w znakomitych domach, mógł podróżować i bywać u ciekawych ludzi. Potem także, po wydostaniu się z Rosji, jeździł po Europie, pisał, publikował i był podziwiany i uwielbiany przez powiększające się wciąż kręgi publiczności.

A jednak postarzał się widocznie. Przedwcześnie. Utył. Jego wciąż gęste włosy miały teraz kolor popiołu, rumieniec ustąpił miejsca szarżółtej karnacji, jego rysy wyostrzyły się, a ciemnozielone oczy straciły blask i dawną żywotność. W jego postaci wyczuwało się jakiś rodzaj rezygnacji, cała dawna energia i żywiołowość ulotniły się gdzieś.

Teraz przed kościołem otaczali go ludzie, którzy chcieli zamienić z nim parę słów. Odpowiadał im z uśmiechem, ale w jego matowych oczach widoczny był smutek. Wreszcie krąg wokół niego przerzedził się, kolejni rozmówcy żegnali się i odchodzili. Kiedy odszedł ostatni z nich, Adam Mickiewicz rozejrzał się wokół i wtedy jego wzrok padł na Maurycego. Poeta przyglądał mu się przez chwilę, jakby usiłował sobie przypomnieć, czy zna tego człowieka, czy tylko myli go z kimś dawno niewidzianym. Maurycy podszedł do niego z uśmiechem, zdjął kapelusz, ukłonił się.

– Chyba mnie nie pamiętasz, Adamie – powiedział. – Maurycy

Kamienicki. Rozmawialiśmy kiedyś na majówce pod Wilnem, a potem w twojej celi u bazylianów...

Mickiewicz patrzył na niego zmrużonymi oczami, jakby przeglądał w pamięci długi rejestr wileńskich studentów, kolegów i uczniów.

– A, wiem! – wykrzyknął wreszcie uradowany. – Teraz pamiętam! Maurycy od Słowian! Którego chwalił Jan Czeczot! Czy tak?

– Tak, to ja! – ucieszył się Maurycy. – Jak dobrze cię widzieć! Czytam wszystko, co wychodzi spod twego pióra...

Adam Mickiewicz machnął lekceważąco ręką.

– ...i wciąż ciekaw jestem, co nowego nam powiesz. Bo nikt inny jak ty...

– Dajże spokój, Maurycy – przerwał mu poeta. – Nie wiem wcale, czy jeszcze co mądrego napiszę. Nie kupisz muzy... Rad bym bardzo pomówić z tobą dłużej, ale wracać muszę do domu, żona czeka na mnie z obiadem. Przyjdź do nas kiedy wieczorem, powspominamy wileńskie czasy, opowiesz mi, coś robił przez ten czas. Nikogo tu nie widuję tak chętnie jak dawnych ziomków z Litwy. Więc przyjdź koniecznie. Może we wtorek?

I Adam podał Maurycemu swój adres, uścisnął go serdecznie na pożegnanie, po czym odszedł w swoją stronę.

Maurycy był uradowany. Perspektywa prywatnego spotkania z podziwianym od tak dawna Adamem była najlepszą rzeczą, jaka przydarzyła mu się od jakiegoś czasu. Pochwalił się tym hrabinie po poniedziałkowej lekcji.

– O, to cudownie! Gratuluję panu – powiedziała z uśmiechem starsza dama. – Niechże go pan pozdrowi ode mnie serdecznie i proszę mu przekazać moje podziękowania za *Pana Tadeusza*. Dawno nic mnie tak nie wzruszyło jak te dwanaście ksiąg!

A we wtorek Maurycy kupił dobre wino, bukiet róż dla Celiny,

porcelanową lalkę dla Marysi i grzechotkę drewnianą dla Władzia i poszedł pod wskazany adres.

Mieszkanie Adama i Celiney było niewielkie, położone w kamienicy przy rue du Val-de-Grâce, skromnie umeblowane. Drzwi otworzyła Celina z maleńkim dzieckiem na rękach, które zanosilo się płaczem, i z małą dziewczynką uczepioną jej spódnicy. Żona Adama wyglądała na zmęczoną i bynajmniej nieucieszoną z tej wizyty. Maurycy rozważał przez chwilę, czy nie powinien wręczyć jej bukietu róż, po czym przeprosił, odejść i wrócić kiedy w stosowniejszej porze, ale na szczęście za jej plecami pojawił się zaraz Adam z szerokim uśmiechem i fajką w zębach i zawołał zza obłoku siwego dymu:

– Witaj, witaj, mój Maurycy! Chodź do środka! Celino, to mój dawny kolega z wileńskich czasów. Zróbcie nam kawę, bo posiedzimy pewnie do późna!

Celina wolała zająć się płaczącym synkiem, więc Adam sam zaparzył kawę, ułożył na talerzu trochę ciasta, postawił na stole miskę pełną moreli. Maurycy rozglądał się po skromnym mieszkaniu i ze wzruszeniem dostrzegł nad biurkiem poety pejzaż przedstawiający Wilno. A także portret Tadeusza Kościuszki.

Po krótkim zamieszaniu Celina zniknęła z dziećmi za drzwiami sypialni. Na stole pojawiła się gorąca kawa i kieliszki z winem, a dwaj dawni koledzy siedzieli w ciepłym kręgu lampy i patrzyli na siebie, próbując zobaczyć w swoich twarzach minioną młodość.

– I cóż się z tobą działo, mój Maurycy, przez te lata, opowiadaj! – poprosił poeta.

Maurycy opowiedział mu o swojej żonie i dzieciach, o gospodarowaniu na wsi, o uwolnieniu chłopów z pańszczyzny („zupełnie jak twój pan Tadeusz!”), o udziale w powstaniu mimo niewiary w zwycięstwo nad Rosją, o emigracji, o pobycie

w zakładzie w Awinionie, o pracy u zegarmistrza i wreszcie o swoich historycznych zapiskach.

Mickiewicz słuchał go w zadumie.

– Więc i ty założyłeś rodzinę... – rzekł. – A nie myślałeś, żeby tu żonę z dziećmi sprowadzić? Jakże to tak żyć całkiem osobno?

Adam dotknął największego dylematu Maurycego.

– Widzisz, rozważam to wciąż i biję się z myślami – odparł. – Początkowo myślałem, że to potrwa tylko chwilę. Teraz, zdaje się, że jednak dłużej... Ale myślę, że moja żona nie czułaby się dobrze tu, w Paryżu. Nie rozumiałaby chyba tego świata. Lepiej jej i dzieciom w naszym majątku na wsi. Zresztą i pieniędzy nie mam tu za wiele, ledwie sam się utrzymuję. A tam, w kraju, majątkiem naszym zajmuje się sąsiad, więc mogą żyć spokojnie.

Adam westchnął głęboko.

– Rozumiem cię, pewnie, że w kraju najlepiej, a zwłaszcza na wsi litewskiej – powiedział. – Gdybym tylko mógł, wróciłbym tam natychmiast. Paryżem brzydzę się jak piekłem! Francuskich polityków mam za zgraję egoistów zdemoralizowanych i wcale na nich nie liczę. Francja, według mnie, to są Ateny za czasów Demostenesa: będą wrzeszczeć, odmieniać mówców i wodzów, ale się nie ulecą, bo rak toczy ich serca. Ja pokładam wielkie nadzieje w naszym narodzie i w biegu wypadków nieprzewidzianych żadną dyplomatyką. Naszemu dążeniu należałoby nadać charakter religijno-moralny, różny od finansowego liberalizmu Francuzów. Może nasz naród jest powołany opowiadać ludom ewangelię narodowości, moralności i religii, wzgardy dla budżetów, jedynej zasady teraźniejszej polityki prawdziwie celniczej. Najuczeńsi Francuzi nie czują patriotyzmu ani zapału dla wolności, jedynie rozumują o nim.

– Tak, masz rację, oni są różni od nas, kierują się czym innym niż

my. Dlatego tak wielu z nas trudno się tu odnaleźć... Da Bóg, że kiedyś wrócimy. Sam o tym pisałeś w *Księgach*...

Mickiewicz znów machnął ręką.

– Tak mi się wtedy zdawało. Ale teraz już sam w to wątpię... Może to mrzonki i żadnej rewolucji ludów tak prędko nie będzie?

Maurycy popatrzył na twarz poety pożłobioną przedwczesnymi zmarszczkami, które utrwaliły na niej wyraz zwątpienia. Słowa poezji Adama tak często dawały mu nadzieję. Czyżby teraz poeta tę nadzieję utracił?

– Pisał do mnie onegdaj Odyniec, który rozważał, czy by tu, w Paryżu, ze swą żoną Zosią nie osiąść – dodał Mickiewicz. – Alem mu to serdecznie odradziłem. Napisałem mu, że emigracja nasza jest w takim położeniu, że miałby tu wiele nieprzyjemności. A w kraju mógłby być użyteczniejszy. Przecież tam też potrzebują poezji, a nasze książki tam zakazane.

– Widzę, że naprawdę nie lubisz Paryża, skoro Odyńcowi go odradzasz...

– Nie znoszę! – przytaknął Adam. – W tym mieście, jak w karczmie zajezdnej, ciężko znaleźć kątek spokojny i codziennie jakiś hałas myśli rozrywa. Jak podróżnemu na morzu śni się ląd, tak mnie ustawicznie dom ze strzechą w lesie, ale niewiele mam nadziei, abym go kiedy na jawie zobaczył. Przeznaczenie przykuwa mnie zawsze do bruków, których nienawidzę. Tutaj wszystko, co nas otacza, bardzo jest smutne i przyszłość ciemna...

Maurycy uniósł swój kieliszek wypełniony winem.

– Więc wypijmy za lepsze czasy, za przyszłą wolność! – powiedział.

Wypili.

– Zawsze nas twoje wiersze krzepiły i dawały nadzieję – wypowiedział Maurycy swoją myśl głośno. – Wierzyliśmy im

i czekaliśmy na tę wieszczoną przez ciebie jutrzenkę swobody. Wielu wciąż czeka.

– Wszyscy mieliśmy dawniej więcej nadziei. – Adam pokiwał głową w zadumie. – Ale co począć, gdy nasze tu położenie nic nie rokuje na przyszłość pomyślnego, zaciąga się dookoła niebo jak na deszcz długi i chłodny. Co gorsza, nasi niewiele dotąd skorzystali z wędrówki i z doświadczenia biedy i sama emigracja z wewnątrz siebie jeszcze nie wypuściła światła, które by za jutrzenkę nadziei wziąć można było.

Pomilczeli chwilę. Zza drzwi znów dał się słyszeć płacz dziecka. Adam podniósł się i zajrzał do sypialni. Po chwili wrócił.

Maurycy nie chciał, by to spotkanie upłynęło im na narzekaniu i nostalgii tylko. Mając przed sobą wybitnego poetę, chciał porozmawiać z nim także o literaturze. Więc gdy Mickiewicz wrócił z sypialni, napełnił ich kieliszki winem i usiadł przy stole, Maurycy zagadnął:

– Słyszałem nieraz na Taranie skargi demokratów tamtejszych, żeś powinien zamiast *Pana Tadeusza* opisać naszą wojnę trzydziestego pierwszego roku.

– Wiem, wiem – odparł Adam i zawiesił wzrok na swoim ulubionym obrazku nad biurkiem, z panoramą Wilna. – I stary Niemcewicz, gdym go spotykał u księcia, mówił mi to samo. Ale nie mogłem inaczej. Uciekałem z tego Paryża przeklętego do Litwy, do naszych lasów, karczm, szlachty, Żydów...To jedynie mnie ratowało. Tyś przecież z naszych stron... Jakże ci to wyjaśnić? Może tak... poczekaj, coś ci pokażę.

I Adam podszedł do biurka, i wyciągnął z szuflady kartkę papieru z rękopisem. Podsunął gościowi.

Maurycy wziął rękopis i zaczął czytać:

O tem że dumać na paryskim bruku,

*Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Za poznych żalów, potępieńczych swarów?...
Biada nam, zbiegi, żeśmy w czas morowy
Lękliwe nieśli za granicę głowy!
Bo gdzie stąpili, szła przed nimi trwoga,
W każdym sąsiedzi znajdowali wroga,
Aż nas objęto w ciasny krąg łańcucha
I każą oddać co najprędzej ducha.
A gdy na żale ten świat nie ma ucha,
Gdy ich co chwila nowina przeraża,
Bijąca z Polski jak dzwon smętarza,
Gdy im prędkiego zgonu życzą straże,
Wrogi ich wabią z dala jak grabarze,
Gdy w niebie nawet nadziei nie widzą –
Nie dziw, że ludzi, świat, sobie ohydzą,
Że utraciwszy rozum w mękach długich,
Plwają na siebie i żrą jedni drugich!*

Maurycy czytał rękopis w milczeniu.

– To chyba najbardziej gorzkie słowa, jakie u ciebie dotąd przeczytałem – powiedział cicho. – A zwłaszcza to:

*O, Matko Polsko! Ty tak świeżo w grobie
Złożona! – niema sił mówić o tobie!...
Ach! czyjeż usta śmią pochlebiać sobie,
Że znajdą dzisiaj to czarowne słowo,
Które rozczula rozpacz marmorową,
Które z serc wieko podejmie kamienne,
Rozwiąże oczy, tylą łzą brzemiennie,
I sprawia, że łza przystygła wypłynie?*

Nim się te usta znajdą, wiek przeminie.

Maurycy odłożył rękopis na stół.

– Naprawdę sądzisz, że wiek cały trzeba czekać, aż nasz los ktoś dobrze opisze? – zapytał cicho.

Mickiewicz zaciągnął się dymem z fajki, zakaszłał i powiedział:

– Widzisz, wydaje mi się, że cała dotychczasowa poezja nie ma dość wysokiego tonu, nie odpowiada moralnym żądaniom czasu. Mnie się zdaje, że poematy historyczne i w ogóle wszystkie formy dawne są już na wpół zgniłe i można je ożywić tylko dla zabawy czytelników. Prawdziwa poezja naszego wieku może jeszcze się nie urodzić.

– Jaka by to miała być poezja, jak myślisz? – dopytywał Maurycy.

– Mnie się zdaje, że wrócą czasy takie, że trzeba będzie być świętym, żeby być poetą, że trzeba będzie natchnienia i wiadomości z góry o rzeczach, których rozum powiedzieć nie umie, żeby obudzić w ludziach uszanowanie dla sztuki, która nadto długo była aktorką, nierządnicą lub polityczną gazetą. Te myśli często budzą we mnie żal i ledwie nie zgryzotę; często zdaje mi się, że widzę ziemię obiecaną poezji, jak Mojżesz z góry, ale czuję, że niegodzien zająć do niej. Wiem przecie, gdzie leży. Nie znajdziesz jej w teatrach ani w gazetach, ani w pochwałach publiczności.

– A literatura francuska? Teraz w księgarniach paryskich pełno powieści...

Mickiewicz roześmiał się drwiąco.

– Ech, powieści! – powiedział nieomal szyderczo. – Ci nowi pisarze pełnią funkcję notariuszy współczesności albo zgoła przepisywaczy. Gdyby nowy Omar spalił dwie trzecie drukujących się w Paryżu książek, nie byłoby czego żałować. Zresztą tak im właśnie powiedziałem.

– Co powiedziałaś? Komu?

– Zaprosiła mnie kiedyś na obiad pani Sobańska, która jest żoną tutejszego artysty. I zaprosiła też jednego z tych modnych obecnie powieściopisarzy francuskich. Pan Balzak się nazywał, bodajże. I to mu powiedziałem, że te ich powieści niewiele warte.

Maurycy słuchał go w milczeniu.

– Czuję, że zamknęła się jakaś karta poezji. Ale dla tych utworów pisanych w nowym stylu nie mam zrozumienia. Wydaje mi się, że artyści tutejsi przyszli do takiego stopnia upodlenia moralnego, że ich sztuka stała się tandetą i jakimś kupieckim interesem tylko.

Maurycy był wstrząśnięty stopniem pesymizmu i zwątpienia, jakie okazywał Adam w tej rozmowie.

– Skoro tak sądzisz, to jak dalej żyć będziesz? I co zamierzasz? – zapytał.

Mickiewicz popatrzył mu w oczy.

– Próbuję się tu urządzić, ale mi to za dobrze nie idzie... Czasem dam jaki artykuł do naszych gazet. Napisałem też dla chleba dwa dramaty po francusku: *Jakub Jasiński* i *Konfederaci barscy*. Ale choć mnie popierała bardzo tutejsza pisarka George Sand, to żaden paryski teatr ich dotąd nie chciał wystawić.

Maurycemu zrobiło się smutno i żał niewymownie, że ten wybitny człowiek nie mógł sobie znaleźć dobrego miejsca w nowym położeniu ani źródła nadziei. Szukał w głowie słów pociechy, gdy usłyszał jeszcze:

– A ostatnio znalazłem w gazecie ogłoszenie o wakującej katedrze łacińskiej w Lozannie, więc może pojedę tam i jak mi ją dadzą, to będę uczył łaciny w Szwajcarii.

To brzmiało zupełnie dobrze.

Przez resztę wieczoru Maurycy starał się rozpogodzić poetę wspomnieniami z dawnych wileńskich czasów. Rozmawiali więc

o starych znajomych i wspólnych kolegach. Wymieniali się informacjami o nich: kto na Syberii i gdzie, kto powrócił do kraju, a kto na emigracji we Francji i Belgii.

Maurycy nie śmiał wyciągnąć przy Adamie swojego kajetu i notować jego słów, ale gdy wizyta dobiegła końca, rozstali się z mocnym uściskiem i z życzeniem kolejnych spotkań, wyszedł na pustawą już i ciemną ulicę, znalazł w pobliżu całonocny lokal i wszedł do środka. Usiadł przy stole, zamówił herbatę i nie zważając na głośny dźwięk fortepianu ani na ochrypły trochę śpiew rudej kobiety z akordeonem, a nawet na umizgi i propozycje tutejszych dziewczyn, zaczął na świeżo notować przebieg ich rozmowy i swoje wrażenia.

Zakończył dramatycznym pytaniem: „Czy Adam napisze jeszcze coś wielkiego?”.

Zamknął kajet, zostawił na stole monetę i wyszedł w ciepłą, sierpniową, paryską noc.

KIJÓW, GRUDZIEN 1838

Wezwanie do stawienia się przed komisją śledczą w Kijowie nie zaskoczyło Salomei Bécu. W lipcu aresztowano Ewę Felińską, wkrótce po niej Antoniego Beaupré, a we wrześniu Teofila Januszewskiego. I jeszcze kilku sąsiadów. Spodziewała się, że jej aresztowanie jest tylko kwestią czasu, przecież oni wszyscy znali ją dobrze i nie sposób było się tego wyprzeć.

Salomea straciła tak wiele bliskich i kochanych osób, że zupełnie nie bała się śmierci. Czasem nawet marzyła o niej. Myśl, że mogłaby gdzieś w zaświatach spotkać swoich obu mężów, Olesię i jej synka, Melankę i swoich zmarłych niedawno rodziców, napełniała ją spokojem i błogością. Tęskniła za nimi wszystkimi.

Tu jednak, na ziemi, trzymała ją mocno, najmocniej, jedna myśl: Julek! Cóż stałoby się z nim, gdyby jej zabrakło? Musiała przecież wysyłać mu regularnie zapisaną przez ojca rentę, z której się utrzymywał. Tak jej dziękował pięknie za te pieniądze w listach! Jakżeby sobie poradził bez nich w Paryżu? Kto by się zajął ich sprawami majątkowymi? Musiała zatem żyć dla Julka. Ale o sobie nie bała się wcale.

Salomea spakowała ciepłą bieliznę i zimowe suknie. Któż może wiedzieć, na jak długo ją zatrzymają? Ewa Felińska nie wróciła od lipca, podobnie Teofil, Beaupré i inni. Zimą w areszcie na pewno będzie chłodno. No to jeszcze wełniany szal i kaszmirowa chusta. Kilka książek. Co więcej? Jej wzrok padł na dwa ukochane sztambuchy pełne wierszy, rysunków i wpisów bliskich jej osób. Dwie książeczki, zielona i pąsowa, z zakłętą w nich piękną przeszłością. Nie rozstawiała się z nimi nigdy. Na myśl, że jakiś urzędnik mógłby je skonfiskować albo nawet czytać, przekładając kartki poślinionymi paluchami, robiło jej się słabo. Owinęła je w szal i ukryła na dnie szafy.

Gdy podróży sakwojaż był już spakowany, Salomea usiadła przy biurku i napisała majątkowe pełnomocnictwa dla Hersylii, by siostra mogła wysyłać Julkowi pieniądze do Paryża. To najważniejsze! Co poza tym? Przygotowała trochę prowiantu na drogę, bo podróż do Kijowa zajmie parę dni. Wreszcie uprzątnęła mieszkanie, zamknęła je na klucz i ruszyła w drogę na postój pocztowego dyliżansu.

Jadąc traktem przez Równe, Nowogród i Żytomierz, patrzyła przez okno na pokryte śniegiem wzgórza i stepy Wołynia. Wśród wszechobecnej bieli błyskały gdzieś złote i miedziane kopuły cerkwi i srebrne dzwonnice kościołów. Choć dawne kościoły i klasztory katolickie likwidowano lub zamieniano siłą

na cerkwie. Zamknięto polskie szkoły, Liceum Krzemienieckie, Uniwersytet Wileński. Salomea była świadoma tego, że polskiej narodowości na jej rodzinnej ziemi wydano wojnę, bo za nic innego, jak właśnie za obronę i krzewienie polskości aresztowano jej bliskich, a teraz także ją.

W młodości nie dostrzegała zupełnie tego zagrożenia – pamiętała dobrze powszechne uwielbienie dla cara Aleksandra i bliskie stosunki towarzyskie z rosyjskimi urzędnikami i wojskowymi. A senator Nowosilcow użyczył nawet Salomei swojego mieszkania przed jej wyjazdem z Wilna. Nie widziała w tym wówczas nic złego. Zawsze uważała, że ze wszystkimi trzeba żyć dobrze, bez względu na ich religię i narodowość. Wychowana na pograniczu kultur miała życzliwą otwartość wobec wszystkich.

Czemu jednak rosyjskie władze nie chciały podejść z podobną otwartością do Polaków z ziem zabranych? Czemu odmawiały żywołowi polskiemu prawa do rozwoju? W czymże polska kultura zagrażała temu potężnemu, bezkresnemu, zdawałoby się, imperium?

Po kilku dniach monotonnej podróży i kilku nocach spędzonych w przydrożnych zajazdach Salomea wjechała wreszcie do Kijowa. Złote kopuły wieńczące cerkwie były większe i bardziej olśniewające niż w mniejszych miastach, ale tutejszy areszt mieścił się w wyjątkowo ponurym gmachu z czerwonej cegły. Woźnica uprzejmie podwiózł ją na miejsce. A tam dyżurny w poplamionym mundurze czytał długo jej wezwanie, oglądał dokumenty i konsultował się nawet z naczelnikiem. Wreszcie zaprowadził ją do celi – całkiem dużej, z zakratowanym oknem, drewnianym łóżkiem i stołem.

Gdy tylko oswoiła się trochę z nowym lokum, powiesiła na wieszaku popielatą szubę, ułożyła na stole francuskie książki,

usłyszała pukanie do swojej celi.

– Proszę wejść – odpowiedziała, jakby była w swoim mieszkaniu.

Za drzwiami stał sam naczelnik aresztu z trochę zakłopotaną miną.

– Miło mi powitać w naszych progach prawdziwą damę, do tego wdowę po radcy stanu – powiedział, kłaniając się z uszanowaniem.

– Dołożymy starań, żeby pobyt u nas nie był dla szanownej pani uciążliwy. Może herbaty? Mamy tu w korytarzu samowar, w każdej chwili woźny przyniesie pani wrzątek i czaj. Wystarczy poprosić.

– Dziękuję, panu, chętnie napiję się herbaty.

– Wyśmienicie. A za pół godziny przyniesiemy szanownej pani obiad. Salomea poczuła się, jakby jej mąż, August Bécu, noszący dumny tytuł radcy stanu, opiekował się nią z za grobu w tym ponurym miejscu. Obiad, który jej przyniesiono, był zaskakująco dobry, obfity, a nawet elegancko podany, jakby naczelnik zaprosił ją do własnego stołu.

Dopiero po kilku dniach wezwano ją przed oblicze komisji śledczej. Przewodniczący komisji, Bibikow, chudy mężczyzna o wodnistych oczach i rzadkich włosach, zadawał jej pytania osobiście, a młody, rudawy sekretarz notował.

– Pani Bécu, radczyni stanu, wdowa, czy tak? – powitał ją Bibikow.

– Tak.

– Zechce pani spocząć i odpowiadać na moje pytania.

Salomea usiadła na podsuniętym jej krześle.

– Czy wie pani, czemu się tu znalazła?

– Nie, ponieważ nie zrobiłam niczego niewłaściwego.

Bibikow sięgnął po papier leżący na stole i zerkając na niego,

powiedział:

– Komisja śledcza ma w posiadaniu zeznania Ewy Felińskiej, która powiedziała w śledztwie, że Salomea Bécu była wśród kobiet wspierających akcję Szymona Konarskiego. Komisja wezwała więc panią jako podejrzaną do złożenia zeznań.

Salomea skinęła głową, uznając to wyjaśnienie.

Bibikow chrząknął, poprawił okulary na nosie i zaczął pytać:

– Jakiego jest pani wyznania?

– Rzymskokatolickiego.

– Czy przyjmuje pani komunię?

– Tak, co roku.

– Czy była pani zamieszana w spisek i rozruchy?

– Nie, nie brałam udziału w żadnych rozruchach. Byłam wtedy chora w Krzemieńcu i niezdolna do żadnej działalności.

Bibikow zanotował coś w swoim kajecie.

– A czy zna pani emisariusza Szymona Konarskiego?

Salomea była całkowicie spokojna. Ścisnęła tylko mocniej trzymaną w rękach chusteczkę.

– Nie, nie znam żadnego emisariusza – odpowiedziała pewnym głosem.

– A co pani wie o tajnym stowarzyszeniu rozwijającym się nielegalnie w Krzemieńcu?

– Nic nie wiem o żadnym tajnym towarzystwie.

Szło zupełnie dobrze, śledczy nie był ani napastliwy, ani nieprzyjemny. Salomea poczuła się pewniej. Po chwili jednak Bibikow odsunął szufladę i wyciągnął z niej książkę oprawną w płótno, z wytłoczonymi złotymi literami: Juliusz Słowacki *Poezje*. Serce Salomei drgnęło. Wzruszenie, duma, radość, tęsknota! Wszystko to i jeszcze więcej zakotłowało się w niej gwałtownie, ale nic z tego nie mogło się odbić na jej twarzy. Wiedziała dobrze,

że wiersze jej syna były w kraju zakazane. Nielegalne. Starła się panować nad swoją twarzą i najmniejszym drgnieniem nie zdradzić wzruszenia.

– Czy znane są pani te wiersze? – zapytał Bibikow, patrząc badawczo w jej twarz.

– Nie.

– Czy posiada pani w domu poezje swojego syna Juliusza Słowackiego?

– Nie, nigdy nie czytałam wierszy mojego syna. Nie wiem, o czym pisze. Syn opuścił dom i kraj jakieś dziesięć lat temu, przebywa odtąd za granicą.

– Czy wobec tego przekazywała pani jego książki, poezje, utwory swojemu bratu Teofilowi Januszewskiemu?

– Nie. Nigdy nie rozmawialiśmy z bratem o poezjach mojego syna. Widzi pan, on nas opuścił, porzucił...

Salomea odgrywała swoją rolę tak przekonująco, że Bibikow schował książkę z powrotem do szuflady i nie wracał już do tego wątku. Wiele ją to jednak kosztowało. Wyparcie się związków z ukochanym, najważniejszym dla niej człowiekiem, jej jedynym synem, było dla niej bardzo ciężką próbą. Przez moment bała się nawet, że zaraz zemdleje. To by jednak mogło podważyć wiarygodność jej zeznań. Trochę więc pobladła, ale siedziała nadal wyprostowana na krześle.

– No dobrze, na dziś wystarczy, dziękuję pani.

I śledczy Bibikow przywołał mosiężnym dzwonkiem woźnego, który odprowadził Salomeę do celi.

Weszła tam na ugiętych nogach, położyła się na łóżku bez sił. Dopiero wtedy łzy puściły się strumieniami z jej oczu. Wybacz mi, synku, wybacz... – szeptała w więzienną poduszkę.

Nie wiedziała, że w celi przyjdzie jej spędzić jeszcze prawie rok...

PARYŻ, GRUDZIEN 1838

Grudniowy zmrok zapadł wczesnie. Padający w Paryżu śnieg z deszczem nie zachęcał do wychodzenia z domu. Księżna Anna kazała solidnie napalić w piecach, żeby nikt z rodziny się nie przeziębił przed zbliżającymi się świętami. I bez pielęgnowania chorych miała mnóstwo pracy.

Kobiety z rodziny księcia Adama Czartoryskiego siedziały jak zwykle w salonie zajęte haftami, dobroczynnym jarmarkiem świątecznym, Wigilią dla ubogich rodaków i świeżymi plotkami z życia emigracji. Książę doceniał ich działania, wiedział, że jego żona sprawdziła się nad podziw dobrze w roli pierwszej damy emigracji, że jest powszechnie szanowana i otoczona wdzięcznością. A także skuteczna w organizowaniu imprez dobroczynnych i pozyskiwaniu funduszy dla potrzebujących. Naprawdę to doceniał.

A jednak bywało dla niego bolesne, że obie Anny, jego żona i teściowa, w tym swoim praktycyzmie życiowym, odnosiły się do jego pracy z kompletnym lekceważeniem. Jakby był chłopcem, który zabawia się wizjami politycznymi, które są jedynie wytworem jego fantazji. Jakby mówiły z pobłażliwym uśmiechem: zostawmy go, niech się bawi... Jedynie jego siostra Maria zawsze w niego wierzyła i popierała w ciemno wszelkie jego działania i projekty. Niemniej i jej nie interesowała specjalnie polityka, tylko literatura i dobroczynność.

Książę siedział w ten grudniowy wieczór w swoim gabinecie, przy ogniu płonącym w kominku. Fotel stał blisko ognia, aby ciepło obejmowało stare kości. Czuł, że się starzeje, że sił wciąż mu ubywa.

Przydałby się godny następca – myślał, obracając w palcach kieliszek z koniakiem. Patrzył od dawna z nadzieją, a potem z coraz

większym niepokojem na swojego pierworodnego syna Witolda. Cóż... wpajano chłopcu od najmłodszych lat, by podziwiał ojca i starał się kroczyć jego śladami. By brał z niego przykład i go naśladował. Pocziwy guwerner Hipolit Błotnicki, matka, babka – wszyscy powtarzali młodemu księciu, by patrzył na ojca i starał się być taki jak on.

Wicio jednak nie zdradzał ku temu szczególnego zapału. Nie garnął się do nauki, nie lubił książek. Nie interesowały go specjalnie polityczne strategie, w które ojciec próbował go wtajemniczać. Skończył niedawno lat szesnaście i wrócił właśnie do domu na święta z niemieckiego gimnazjum w Münsterze, do którego wysłano go za radą Władysława.

– I jakże ci się podobają nauki w tej szkole, Wiciu? Co cię interesuje najbardziej? – pytał ojciec po powrocie syna na ferie świąteczne.

Milczenie. Książę Witold, już wyrosnięty jak mężczyzna, ale wciąż z twarzą chłopca, spuścił głowę. Adam Czartoryski się niecierpliwił.

– No, cóż to jest? Literatura? Historia? Matematyka? Astronomia? Co cię zaciekawia najbardziej?

Gdy już nie sposób było milczeć dłużej, Wicio powiedział pod nosem:

– Tak po prawdzie, proszę papy, to nic... Wszystko mnie nuży w równym stopniu.

Książę Adam się zirytował. Jego krew?!

– Jakże to tak? Coś ci się musi podobać przecież!

Witold podniósł wzrok i popatrzył na ojca. Na dnie jego oczu zamigotały wesołe iskierki.

– A, owszem, proszę papy. Niedaleko mojej szkoły jest znakomita gospoda. Podają tam wyśmienity sznycel i dobre wino

reńskie. A wieczorami gra orkiestra i przychodzą na tańce niemieckie panny. Niektóre prześliczne. Więc ta gospoda podoba mi się szalenie.

Księżę Adam popatrzył na swojego pierworodnego niemalże z odrazą. Nie mógł uwierzyć, że to jabłko padło tak daleko od jabłoni. Stracił ochotę do rozmowy i odesłał syna do matki.

Na szczęście był jeszcze Władysław! Jego ukochany siostrzeniec, tak mu oddany, a przy tym poważny, roztropny i chętny do podejmowania ambitnych politycznych misji. Na niego księżę zawsze mógł liczyć. I jemu ufał najbardziej.

I właśnie Władysław miał go odwiedzić niebawem mimo okropnej słoty za oknem. Ale młody Zamoyski był twardy, nie zważał na takie przeciwności, przyzwyczajony od dziecka do spartańskiego wychowania ojca.

Jakoż i po kilku minutach Władysław stanął w drzwiach gabinetu, wyprostowany jak struna, z tą nieco wyniosłą miną, która drażniła niektórych współpracowników księcia. Cóż, może bywał trochę wyniosły, ale czyż nie przewyższał zaletami wszystkich innych?

– Wejdz, mój drogi, wejdz! – powitał go księżę. – Siądź tu przy ogniu i ogrzej się trochę.

– Dziękuję – powiedział Zamoyski, siadając naprzeciwko gospodarza. – To o czym wuj chciał ze mną rozmawiać?

Zuch chłopak, pomyślał księżę, nawet herbaty nie wypił, a już do pracy gotowy!

– Turcja, mój drogi, myślę wciąż o Turcji! – powiedział. – Według mnie Turcy jedyńi wiedzą, co Polska warta, i są jej szczerze przychylni. Ale, ale... Może chcesz gorącej herbaty?

Władysław przystał na tę propozycję, więc księżę przywołał dzwonkiem na służącego i zamówił świeżą herbatę. Całe szczęście,

że Anna Sapieżyna miała głowę do interesów i talent do pomnażania fortuny. Książę był gotowy na rozmaite wyrzeczenia, ale jednak sprawna służba znacznie ułatwia życie człowiekowi zajętemu poważnymi sprawami. I dobrze, kiedy jest na swoim miejscu.

– Więc gdyby Turcja trochę niepodległości zyskała, z nią się trzeba wiązać i w niej prawdziwego przyjaciela należy szukać – kontynuował Czartoryski. – Wschód i Turcja są naszą nadzieją. Stamtąd przyjdzie inicjatywa naszego wskrzeszenia. Turcy zowią nas braćmi i zrozumieli nierozdzielność sprawy polskiej i tureckiej.

Zamoyski słuchał uważnie i kiwał głową.

– Tak jest, wuju – przytaknął. – Mówiłem już ambasadorowi Turcji w Londynie, że Polska jest sprzymierzeńcem państwa otomańskiego w przyszłej wojnie z Rosją. Wszak gdyby wojna turecka i nasze powstanie listopadowe były podjęte równocześnie, a nie kolejno, inny miałyby przebieg. I Turcja to rozumie, jak sędzę.

– Tak, lecz nie tylko Turcja, mój drogi. Kaukaz, Kaukaz! – W rozmowie z Władysławem oczy księcia młodniały i nabierały blasku. Dawał się porwać własnej wizji i marzeniom. – Ci górale kaukascy są dumni i bitni i za nic nie chcą rosyjskiego panowania przyjąć. Wciąż walczą z Rosją. A ja wciąż myślę o tym, że to bardzo przydatny teren do zorganizowania polskich oddziałów. Podobno konsul francuski w Tbilisi szacuje liczbę Polaków w rosyjskim korpusie kaukaskim na dwadzieścia pięć, a może i trzydzieści tysięcy! Część z nich to przecież nasi powstańcy wcieleni tam siłą. Czy nie stanęliby chętniej ramię w ramię z góralami przeciwko Rosji?

– Z pewnością, wuju – przytaknął Władysław. – Zgadzam się całkowicie. Uważam od dawna, że należałoby utworzyć

na Kaukazie wojsko polskie. Głównie z jeńców i dezertersów, ale i z ochotników. Jest dość naszych na Wschodzie.

Służący wszedł bezszelestnie z serwisem herbacianym na srebrnej tacy. Postawił tacę na stoliku, nalał herbatę z imbryka do filiżanek, postłodził zgodnie z upodobaniami obu panów, ukłonił się i wyszedł.

Książę podał filiżankę siostrzeńcowi, sięgnął po drugą i powiedział:

– Tak, Turcja i Kaukaz to teraz kluczowa arena w naszej sprawie. Przydałaby się stała placówka na Wschodzie do obsługi naszych działań w Turcji i na Bałkanach. I przydałby się nam stały agent, który by sprawami Agencji kierował. Masz pomysł, kto by się nadał do takiej misji?

– Byłoby dość chętnych. Mamy tu przecież pod dostatkiem wyszkolonych oficerów. – Władysław zawiesił wzrok na ciemnej szybie okna, jak gdyby sporządzał w głowie listę kandydatów. – Muszę o tym pomyśleć.

– To trudne zadanie – odpowiedział książę. – Człowiek musi być odpowiedni: zaufany, oddany. Odważny i doświadczony.

– Poszukam takiego.

Książę odetchnął głęboko. Jak dobrze mieć tak niezawodnego pomocnika jak Władysław. Bliska rodzina, sumienny, a do tego świetnie wykształcony, rozumy i sprawny. I ta niewyczerpana energia młodości, ambicja i zapał! Takiego właśnie pomocnika potrzeba było księciu najbardziej.

Obaj panowie siedzieli przez chwilę w milczeniu. Pili herbatę. Złączeni więzami krwi, zaufania i przyjaźni. Złączeni wspólną wizją i jednym celem.

Ciszę przerwał książę:

– I jeszcze jeden aspekt mnie nurtuje: sprawa słowiańska. Tylu

Słowian na Południu jest uciskanych przez Rosję, a także przez Turcję i przez Habsburgów. Gdyby te wszystkie ludy słowiańskie chciały wystąpić razem i zrzucić z siebie jarzmo despotów, jakież silne mielibyśmy wsparcie w naszej sprawie.

Tu jednak Władysław Zamoyski był bardziej sceptyczny:

– To prawda, wuju, lecz te ludy słowiańskie wydają się uśpione. Gniecione od dawna przez mocarstwa nie mają jeszcze poczucia swej siły ani jedności.

– Właśnie! Dlatego myślę o tym, że trzeba nam obudzić tę świadomość słowiańskiej siły, odrębności i wartości – odparł książę. – Pokazać to zjawisko, jakim jest słowiańszczyzna, także tutejszej publiczności.

– Ale jak? Sądzi wuj, że Francuzów to obchodzi cokolwiek?

Książę Adam uśmiechnął się, jakby miał asa w rękawie.

– Zależy, kto i jak to poda. Myślę, że jeden człowiek jest w stanie zrobić to dobrze i z pożytkiem dla nas.

– Kto taki?

– Mickiewicz!

Oczy Władysława Zamoyskiego otworzyły się szeroko.

– Chce wuj mu zlecić poemat o Słowianach dla Francuzów? – zapytał.

– Nie! Chcę, żeby dawał wykłady o kulturze i historii Słowian dla francuskiej publiczności. On jeden to udźwignie.

– Ale gdzie? – Tym razem Władysław wyglądał na zaskoczonego nowym konceptem swojego wuja.

– Choćby w Collège de France. Cenią go tu. Został właśnie profesorem w Lozannie. Ale łacinę i grekę może wykładać wielu, a historii Słowian on jeden podoła.

– A Francuzi zgodzą się na to? To pionierska dziedzina. Nie wiem, czy oni w ogóle uznają kulturę słowiańską. – Zamoyski wciąż nie

był przekonany.

– Nie uznają, bo nic zgoła o niej nie wiedzą – odparł książę. – Ale czytają już Mickiewicza i słuchają Chopina. Dlatego właśnie musimy ich tego nauczyć. A w Collège de France lubią pionierskie dziedziny wiedzy. Znałem w Wilnie zapaleńca od kultury starożytnych Słowian, Dołęga-Chodakowski się nazywał. Ale przepadł gdzieś na Wschodzie, podobno już umarł. Jednak mamy Mickiewicza. On podoła.

– Wie już o tym?

– Jeszcze nie. Ale go znam, podejmie się.

1840

LONDYN, ZIMA 1840

Kwestia wschodnia zaprzętała umysł księcia Adama Czartoryskiego coraz mocniej. Zdawało mu się, że wreszcie okoliczności kształtują się w Europie w sposób, który daje nadzieję na konflikt, a dzięki temu na powrót do sprawy polskiej. Księżę był przekonany, że musi powstać specjalna Agencja Wschodnia, która będzie na miejscu koordynować polską działalność dyplomatyczną, wywiadowczą, a z czasem i wojskową.

Wcześniej księżę wysyłał swoich agentów do kraju, na ziemię Rzeczypospolitej, by pozyskiwać przyszłych zaufanych współpracowników, gdyby wobec poważnego konfliktu z Rosją trzeba było wywołać na ziemiach polskich powstanie. Jednak ku jego rozczarowaniu okazało się, że sytuacja zupełnie temu nie sprzyja. Działo tam bowiem wielu emisariuszy demokratów, którzy przywozili do kraju paryskie spory polityczne i malowali bardzo negatywny obraz księcia i jego ugrupowania.

Nieszczęsna idea „króla Polski de facto”, która miała zjednoczyć rozproszoną i podzieloną emigrację, stała się zarzewiem konfliktu i była przez demokratów bezlitośnie krytykowana, a nawet wyszydzana. Dochodziły do księcia głosy mówiące o tym, że także w kraju została źle przyjęta, jak gdyby polskie rody szlacheckie obawiały się jego zewnętrznego, paryskiego zwierzchnictwa. Ach, jakże trudną i niewdzięczną rzeczą bywa służba publiczna – gdy

chce się służyć dla dobra i wolności narodu, który nie potrafi tego należycie zrozumieć ani docenić. To jednak ksiązę wiedział od dawna – przez całe niemal dorosłe życie zmagał się z różnymi zarzutami. Zawsze dźwigał ciężar odpowiedzialności i zawsze był poddawany ostrej krytyce.

Teraz emisariusze demokratów oskarżali go o handlowanie polską krwią. Mówili i pisali w broszurach, że głównym celem księcia Czartoryskiego jest zdobycie pełnej władzy i że gotów jest płacić za to życiem polskich żołnierzy.

Cóż, powiedział sobie już dawno, że jego sędzią będzie Bóg, jego własne sumienie i historia. Więc w zgodzie z sumieniem robił to, co uważał za najlepsze dla sprawy polskiej, której czuł się patronem, obrońcą i jedynym ambasadorem.

A zatem Wschód! I Kaukaz. Ostatnio objawił się tam nowy przywódca górali kaukaskich, Szamil, który stawiał zacięty opór rosyjskiej ekspansji. Pozyskanie Szamila do współpracy wydawało się teraz zasadniczym celem. Ksiązę wierzył, że masowa dezercja Polaków z carskiego wojska na linii kaukaskiej mogłaby wydatnie wzmocnić oddziały Szamila. A potem? W dalszej przyszłości ksiązę wyobrażał sobie wielkie wspólne powstanie uciśnionych ludów słowiańskich, bałkańskich i kaukaskich, od Bałtyku po Morze Czarne i od Morza Czarnego po Kaspijskie. Takiej potędze Rosja nie będzie w stanie się oprzeć! I z tego wolna, niepodległa Polska może wreszcie powstać.

Byle tylko przekonać Londyn i Paryż o potrzebie i możliwości wspólnej polityki wschodniej.

Ksiązę niechętnie się ruszał, coraz trudniej mu było podróżować. Zwykle wysyłał Władysława z różnymi misjami. Teraz jednak kwestia turecka wydawała mu się sprawą najwyższej wagi, szansą, na jaką czekał od lat. Dlatego postanowił pojechać do Londynu

osobiście, by rozmówić się z dawnym znajomym, ministrem spraw zagranicznych, lordem Palmerstonem.

A kiedy znalazł się wreszcie w gabinecie Palmerstona, poczęstowany przez niego znakomitym cygarem i podjęty aromatyczną herbatą z mlekiem, Czartoryski przekonywał, że we współczesnej dyplomacji nie ma spraw odrębnych, każda powinna być włączona w system europejskiej polityki, także sprawa polska.

– Panie ministrze, widzimy wszyscy, że Rosja dominuje coraz bardziej Turcję i Persję, posuwa wciąż dalej swoją ekspansję – argumentował książę. – W tej sytuacji jedynie zmobilizowanie wszystkich narodów uciskanych i zniewolonych przez carat do zdecydowanej, wspólnej walki uratuje Turcję, da samodzielność Polsce i pozwoli Europie uniknąć nieszczęść.

Lord Palmerston siedział w swoim fotelu nieporuszony. Jakby pozował do posągu sfinksa. Miał w tym sporą wprawę.

Książę Czartoryski spokojnie przekonywał go dalej:

– Dlatego utworzenie niepodległego liberalnego państwa polskiego jako zapory przeciw potędze Rosji leży w interesie Europy. Dodatkowo odbudowa Polski pomogłaby zbliżyć się Wielkiej Brytanii do Austrii i Francji w celu uzgodnienia wspólnej polityki w sprawach wschodnich.

Sfinks przemówił.

– Uprzedzałem już pana, książę, że Wielka Brytania nie wyciągnie miecza do zmiany fatalnej sytuacji Polaków, a podjęcie rozmów na tematy polskie z pewnością nie ułatwi nam zbliżenia z Wiedniem.

– Panie ministrze, byłbym zaszczycony, gdybym mógł przedstawić naszą perspektywę bezpośrednio królowej Wiktorii – odrzekł Czartoryski. – Jej Wysokość z pewnością zainteresuje plan

osłabienia pozycji Rosji w rywalizacji z Królestwem Brytyjskim na Wschodzie. Czy pomoże mi pan w zorganizowaniu audiencji na dworze?

Spojrzenie Palmerstona było zimne i twarde jak stal.

– To niemożliwe, książę – powiedział bez ogródek. – Każda audiencja wymaga dokonania oficjalnej prezentacji przez ambasadora danego państwa. Obawiam się, że ambasador rosyjski może nie zechcieć pana przedstawić.

To było jak policzek. Książę przełknął ślinę i zapytał:

– Czy nie ma innego sposobu dotarcia do królowej?

– Jest. To przedstawienie listu rekomendacyjnego legalnego władcy, czyli w pańskim wypadku cara Mikołaja. Nie spytam nawet, czy jest pan w posiadaniu takiego listu, książę.

Adam Czartoryski westchnął mimowolnie.

– Zawsze byliśmy dobrymi sojusznikami, panie ministrze. A Rosja jest przecież naszym wspólnym wrogiem.

Lord Palmerston popatrzył na mapę świata wiszącą na ścianie jego gabinetu.

– Wielka Brytania nie ma wiecznych sojuszników ani wiecznych wrogów. Wieczne są tylko interesy Wielkiej Brytanii i obowiązek ich ochrony – powiedział.

Książę opuścił pałac Palmerstona, czując na podniebieniu smak doskonałej herbaty, a zarazem jakąś gorycz, jakby kroplę żółci. A więc nic, najmniejszego gestu...

Jechał kareta w milczeniu, wpatrzony w krople deszczu na szybie. Spływały jak resztki nadziei. Spoglądał na moknących na rogach ulic żebraków z wysuniętymi czapkami, czekających na najskromniejszy choćby datek. Sam, siedząc dziś w wykwintnym, pachnącym gabinecie Palmerstona, w obłoku wonnego dymu z najdroższych cygar, czuł się podobnie.

Wiedziony nagłym impulsem stuknął dwa razy laską w ściankę powozu. Stangret zatrzymał konie. Księżę wysiadł i omijając kałuże, podszedł do siedzącego na trotuarze mężczyzny. Leżała przed nim czapka, w niej ledwie kilka miedziaków, a obok – drewniana kula. Mężczyzna miał odjętą nogę powyżej kolana, kikut owinięty szmatami. Księżę sięgnął do swojego pugilaresu i wydobył srebrną monetę. Wrzucił ją do czapki.

– *God bless you* – wymamrotał żebrak, a po chwili, gdy dostrzegł wartość daru, podniósł na księcia zdumiony wzrok i wyszeptał bezwiednie:

– Bóg zapłać, panie!

Księżciu wzruszenie ścisnęło gardło. Widywał ich tak wielu, w Paryżu, w Londynie, w Belgii... Początkowo pytał, w którym pułku służyli. Krzepił nadzieją na rychły powrót do kraju. Na walkę i zwycięstwo. Potem przestał. Nie był w stanie pomóc każdemu z nich z osobna. Ale teraz sięgnął znów po pugilares i wydobył kolejną monetę.

– Zjedz dziś dobrą kolację – powiedział cicho, rzucając pieniądz do czapki.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Wielki pan z karety i uliczny żebrak. Dwaj polscy emigranci.

PARYŻ, ZIMA 1840

Po wschodnich wozach i po odpoczynku we Włoszech Juliusz Słowacki postanowił powrócić do Paryża. Czuł się zupełnie kim innym niż w chwili, gdy opuszczał stolicę Francji. Przed wszystkim opromieniała go sława podróżnika, która czyniła na damach duże wrażenie, jak mógł się przekonać na salonach Florencji. Zapraszany na obiady i na herbaty musiał wciąż od nowa

opowiadać o orientalnych miastach, arabskich bazarach, ciemnoskórych kobietach spowitych w barwne szaty od stóp do głów i o bezkresnej pustyni. Z przyjemnością patrzył w rozszerzone ciekawością i przejęciem oczy pięknych pań, w których czasem dostrzegał podziw lub ekscytację. Schlebiało mu to i łagodziło jak balsam tylekroć podrażnioną i zranioną miłość własną.

Ponadto Juliusz wydał kilka dzieł, które, jak sądził, ugruntowały jego poetycką pozycję wśród paryskiej emigracji. Szczególnie *Anhelli* wywołał poruszenie wśród niektórych czytelników, a Zygmunt Krasiński był tak zachwycony tym poematem, że po lekturze napisał Juliuszowi, że na jego nagrobku powinno się umieścić jedynie: „Autor *Anhellego*”. No a do tego Adam Mickiewicz od czasu *Pana Tadeusza* nie wydał nic znaczącego, nie licząc kilku wierszy, podczas gdy on, Juliusz, regularnie publikował nowe poematy, dramaty i wiersze. Z tym wszystkim Juliusz mógł się poczuć w Paryżu dużo pewniej teraz niż przed wyjazdem do Genewy. Postanowił jednak odpocząć jeszcze we Włoszech, będąc atrakcją miejscowej socjety jako nieustraszony podróżnik po obcych, niebezpiecznych lądach i jako tajemniczy poeta zarazem.

Byłby w pełni zadowolony z takiego stanu rzeczy, gdyby nie wiadomość, która spadła na niego jak grom. Oto Zygmunt Krasiński po swojej wizycie na Podolu i Wołyniu doniósł mu o aresztowaniu wuja Teofila i matki. Juliusz zamarł. Jakże ona, ta delikatna, krucha, nadwrażliwa kobieta, żyjąca poezją, muzyką fortepianową i zapatrzona w księżyc, wytrzyma trudy więzienia? I jak to w ogóle możliwe, czym mogła się narazić komukolwiek w cichym, prowincjonalnym Krzemieńcu? Ten Anioł Dobroci? Jak ją tam traktują i co jej grozi? Czy mogą ją skazać? Te pytania tłukły

się w głowie Juliusza i sprawiały, że nie mógł zaznać spokoju. Najgorsza była niepewność i jednocześnie bezsilność. Nic przecież nie mógł dla niej zrobić!

Aresztowanie Teofila i Salomei nim wstrząsnęło. Wszyscy, razem z Ewą Felińską, o której wcześniej pisała mu matka, zostali aresztowani w związku z rzekomym spiskiem. Och, Juliusz znał tych wiecznych paryskich konspiratorów, którzy ślali do kraju emisariuszy, by wciągali ludzi do swoich spisków. Rozmowy o buntach i konspiracji w kraju prowadziło się świetnie we francuskich kawiarniach, jak jednak można było uwikłać w to kogoś takiego jak jego matka? Z troski o nią Juliusz prawie nie mógł spać. Prawdziwy wstrząs nastąpił, gdy dotarła do niego wiadomość, że przywódca spisku, Szymon Konarski, został stracony w Wilnie. Przez rozstrzelanie, po procesie pełnym tortur. Podobno grób Konarskiego stratowano końmi, by nikt go nie odnalazł. Juliusz odchodził od zmysłów, wyobrażając sobie, że w więzieniu ktoś mógłby tknąć jego matkę. Miał tylko nadzieję, że nie ośmielą się stosować przemocy wobec damy.

Poza wielkim niepokojem i cierpieniem emocjonalnym uwięzienie matki miało dla Juliusza także inny przykry skutek. Oto wysłana po kijowskim śledztwie do twierdzy w Żytomierzu Salomea nie była w stanie przesyłać mu regularnie jego renty po ojcu. Hersylia zaś skupiona była na próbach ratowania męża. Zatem po kilku miesiącach Juliusz znalazł się w sytuacji, w której zajrzało mu w oczy widomo biedy. Znudzony nielicznym florenckim towarzystwem, przynaglany do powrotu do Genewy niecierpliwymi listami Eglantyny Pattey, postanowił osiąść w Paryżu. Tam łatwiej było o wiadomości o matce, tam też była jego czytelnicza publiczność.

Kiedy Juliusz znalazł się ponownie w stolicy Francji, wśród

swoich, zaczął się rozglądać za możliwościami wydawniczymi. Oddał już do druku *Anhellego* i *Balladynę*. Zabiegał o sprzedaż swoich poematów w kraju, w Wielkim Księstwie Poznańskim. A Konstanty Gaszyński przełożył właśnie jego *Anhellego* na francuski.

Szansa pokazania poematu francuskiej publiczności bardzo pociągała Juliusza, jednakże widział, jak niewiele polskie książki obchodziły Francuzów, a nawet większość Polaków. Drukarnia i Księgarnia Polska, która wydała *Pana Tadeusza*, straciła na tym ponoć, bo nie sprzedała tylu egzemplarzy, ilu się spodziewano. Choć Mickiewicza otaczała od dawna ugruntowana sława pierwszego wieszca!

Popularność wśród emigracji zdobył z kolei autor powieści Michał Czaykowski. Dwa jego ostatnie romanse, *Wernyhora...* i *Kirdźali...*, były chętnie czytane i dyskutowane, a prorocze wizje ukraińskiego Wernyhory o rychłym zwycięstwie i wolności idącej ze Wschodu niektórzy brali całkiem poważnie i czerpali z nich nadzieję. A jednak, gdy Księgarnia Polska zamówiła tłumaczenie *Kirdźali* na francuski i wydrukowała tysiąc pięćset egzemplarzy, nie zdołała sprzedać ani jednego! Jakże więc mógł Juliusz przypuszczać, że jego poematy po francusku sprzedadzą się lepiej?

Paryż powitał go po latach zgiełkiem, bieganiną i zwykłym pośpiechem. Ogród Luksemburski rozkwitał i pachniał jak dawniej. W mieście czuło się ożywienie, a tematem, który prawdziwie elektryzował Francuzów, było planowane sprowadzenie zwłok Napoleona z Wyspy Świętej Heleny do Paryża. Miano go eskortować z całym ceremoniałem wojskowym i z wielką pompą, by pochować w specjalnym sarkofagu w kościele Inwalidów – sanktuarium weteranów i żołnierzy Wielkiej Armii.

Juliusz przeczytał w prasie opinię uwielbianego Lamartine'a,

który chciał się zdystansować od narastającego po latach kultu Napoleona: „Nie pokłonię się przed tym wspomnieniem; nie jestem zwolennikiem napoleońskiej religii, kultu siły, która przez pewien czas chciała zastąpić w duchu narodu prawdziwą religię wolności. Nie sądzę także, że dobrym jest nieustannie ubóstwiać wojnę, aby zachęcić te porywcze bulgoty we francuskiej krwi, które czynią nas tak niecierpliwymi, by zniszczyć nas po dwudziestopięcioletnim rozejmie – jak gdyby pokój, który jest szczęściem i chwałą świata, mógłby być wstydem narodów”.

Juliusz Lamartine’a czytywał, cenił i wędrował przecież na Wschodzie jego śladami, jednakże zarówno dla niego, jak i dla wielu Polaków Napoleon był symbolem tak obrosłym emocjami, kultem i legendą, że nie podzielał tego dystansu. Ogromne zamieszanie wokół sprowadzenia i pochówku prochów cesarza Francuzów, liczne dyskusje w prasie i na salonach tak podziały na wyobraźnię Juliusza, że poświęcił temu pierwszy wiersz, jaki napisał po powrocie do Paryża:

I

*I wydarto go z ziemi – popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał ze sławy aniołem,
Gdzie był sam, nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu jak na krzyżu rozbity.*

II

*Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewicu, dowódco korabli? –
Czy ręk dwoje miał krzyżem na sobie?
Czy z ręk jedną miał przez sen na szabli?*

*A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Powiedz, czy trup zadrżał, czy się wzdrygnął?*

III

*On przeczuwał, że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy;
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy,
I łańcuchy zeń zdejmie zabójcze,
I na ojca proch zawoła: – Ojcze!*

IV

*Ale przyszli go z grobu wyciągać,
Obce twarze zajrzały do lochu;
I zaczęli prochowi urągać,
I zaczęli nań wołać: – Wstań, prochu!
Potem wzięli tę trochę zgnilizny
I spytali – czy chce do ojczyzny? –*

V

*Szumcie! szumcie więc morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie na góry
I patrzajcie nań wieków oczyma!
Tam! – na morzach! – mew gromadka szara
To jest flota z popiołami Cezara.*

VI

*Z tronów patrzą szatany przestępne,
Car wygląda blady spoza lodów,
Orły siedzą na trumnie posępne*

*I ze skrzydeł krew trzęsą narodów.
Orły, niegdyś zdobywczę i dumne,
Już nie patrzą na słońce – lecz w trumnę.*

VII

*Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
Gdy usłyszysz trąby wśród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pacierzy – lamentu...
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
I zwyciężysz – lecz zwycięstwem Golgoty.*

VIII

*Ale nigdy, o nigdy! choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś wśród jęku
Z tak ogromną litości powagą,
Z taką mocą... i z tak dumnym obliczem,
Jak dziś, wielki! gdy powracasz tu niczem.*

Spotkanie z paryską Polonią było dla Juliusza przykrym doznaniem. Odniósł wrażenie, że część jego dawnych kolegów trwa w dziwnym letargu. Wydali mu się zupełnie zepsuci biedą i brakiem nadziei, a ich życie – nieznośne i niemiłe. Słowacki odniósł wrażenie, że są znudzeni i zmęczeni sobą nawzajem, że nie potrafią i nie chcą już mówić o niczym ciekawym, że odcięli się kompletnie od realnego życia i żyją we własnym świecie jak wyklęci.

Tym bardziej wracał myślą do swoich rodzinnych stron, do pozostawionych tam najbliższych. Jego matkę po niemal roku aresztu i śledztwa zwolniono. Zdecydowały podobno zeznania

Konarskiego, który oczyścił ją z zarzutów. Jakaż to była ulga, gdy Juliusz otrzymał wreszcie list z wiadomością o jej powrocie do Krzemieńca! Jednakże inni mieli mniej szczęścia: jej brat Teofil, Ewa Felińska i zaprzyjaźniony doktor Beaupré – wszyscy zostali uznani za winnych udziału w spisku Szymona Konarskiego i skazani na osiedlenie na Syberii. A ponieważ Hersylia zdecydowała się towarzyszyć mężowi na zesłaniu, Salomea została w Krzemieńcu zupełnie sama. Pisała do syna przejmująco o swojej samotności i tęsknocie. Serce ścisnęło mu się z żalu, gdy czytał jej skargi.

Gdy Juliusz myślał o niej, kiedy trzymał w ręku jej list lub pisał do niej, często łzy wzruszenia napełniały mu oczy. Teraz już wiedział, że szeroki świat, do którego niespokojnie wyrывał się w młodości z jej ramion, nie przyniósł mu spełnienia, nie zaspokoił pragnień, nie wywołał także żadnego wielkiego uczucia, które mogłoby równać się z tym pierwszym. Przychodziło mu często do głowy, że najszczęśliwszy byłby u boku matki, gdyby mógł ją mieć przy sobie i żyć spokojnie w niewielkim domku, czy to w Galicji, wśród bżów i malw, czy we Włoszech wśród róż i pomarańczy. Na to jednak ich fundusze nie były wystarczające.

A gdy myśl Juliusza biegła do odległych młodzieńczych czasów i miejsc, napotykała często także tę drugą kobiecą postać, drobną, czarnowłosą, równie mu drogą. Ludwika... Wspomnienie o niej było jeszcze bardziej bolesne. Pamięć jej stanowczego odrzucenia uczuć młodego Julka paliła go do dziś, a wspomnienie jej wielkiej, namiętnej miłości do Korsakowa, za jego życia i długie lata po jego śmierci, wciąż sprawiała mu fizyczny niemal ból. Ta miłość, bliska obłądki, budziła jednocześnie podziw i zgrozę. Juliusz od dziecka był świadom siły charakteru i umysłu Ludwiki, to właśnie w niej podziwiał, ale nie spodziewał się, że potęga uczucia tak ją odizoluje

od zwykłego biegu życia. Jej żałoba trwała już ponad dekadę!

Ostatnie lata Ludwika spędziła w Odessie, zaprzyjaźniona z żoną księcia Woroncowa, Elżbietą z Branickich. Pisała stamtąd do Juliusza kilka razy listy dziwne, jak z jakiejś głębokiej czeluści. Ale czytała jego utwory i pisała mu, co o nich myśli. To przecież wokół poezji, a zwłaszcza wspólnego umiłowania Byrona, wyrosła ich dawna przyjaźń. A teraz podobno wybiera się dalej na południe, aż do Stambułu, bo umyśliła sobie odszukać na polu bitwy pod Szumlą, gdzie zabłąkana kula dosięgła Korsakowa, jego mogiłę. I chce przenieść jego prochy do Rosji i pochować je w poświęconej ziemi, pod opieką cerkwi. I posadzić na tej mogile róże. Tak wyjaśniała w listach swój plan.

Wyprawa taka podjęta przez samotną kobietę do muzułmańskiego kraju wydała się Juliuszowi czystym szaleństwem, podobnie jak jej wileńskim krewnym i dawnym przyjaciołom. Któż jednak byłby w stanie odwieść ją od tego zamiaru? Ludwika Śniadecka od dawna miała za nic rady i przestrogi otoczenia i kierowała się wyłącznie własnym sercem i własnym osądem. Co przy całym bólu, jaki sprawiła Juliuszowi, trochę mu imponowało. W głębi serca miał nadzieję, że nic złego jej w Turcji nie spotka i że kiedyś odnajdzie wreszcie spokój i pogodzi się z losem.

PARYŻ, 22 GRUDNIA 1840

Na ten wtorek Maurycy Kamienicki czekał tak niecierpliwie!

Powiedział mu ostatnio w rozmowie Adam Mickiewicz, że ksiączę Czartoryski przekonał wreszcie francuskiego ministra edukacji, a Zgromadzenie Narodowe przegłosowało utworzenie w Collège de France nowej Katedry Literatury Słowiańskiej.

I Adam Mickiewicz miał na niej wykładać nieistniejący dotąd przedmiot: literaturę słowiańską. Adam Czartoryski podobno wsparł ten projekt własnymi funduszami.

Maurycy znał i cenił tę instytucję, niepodobną do uniwersytetu. Do Collège de France nie trzeba się zapisywać, nie ma tam studentów, egzaminów ani seminariów. Na wykłady przychodzi, kto chce i kiedy chce, ale nie dostaje żadnych świadectw ni dyplomów. Maurycy korzystał chętnie z tego dobrodziejstwa, słuchając tu prelekcji z historii i filozofii.

Adam Mickiewicz, który od roku wykładał literaturę łacińską w Lozannie, urządził się w Szwajcarii bardzo wygodnie i mógłby z łatwością tam pozostać. A jednak zrezygnował z tej posady, by wrócić do Paryża, którego nie lubił. Tłumaczył Maurycemu, że zrobił to głównie dlatego, by jego miejsca na katedrze słowiańskiej nie zajął któryś z niemieckich uczonych, którzy śladem Herdera zainteresowali się słowiańszczyzną, ale którzy z politycznych powodów mogliby ją w znacznie gorszym świetle przedstawić. No i dlaczegóż by to jakiś Niemiec miał kulturę słowiańską przedstawiać i tłumaczyć, a nie prawdziwy słowiański profesor i poeta?

Obaj, i Adam, i Maurycy, zetknęli się z pismami Herdera jeszcze na uniwersytecie w Wilnie, słuchając wykładów jego ucznia, profesora Grodka, który pomimo protestów Jana Śniadeckiego przekazywał wileńskim studentom niemiecką fascynację kulturą ludową. Grodek tłumaczył im za Herderem, że Słowianie mają szczególną misję, świat musi bowiem zacząć cenić pokój, pracę, spokojny handel i rolnictwo, czyli te wartości i zajęcia, które zawsze szanowali Słowianie. Herder wierzył w świetną przyszłość ludów słowiańskich i w zwycięstwo wyróżniających ich cech: pracy na roli, spokojnego współżycia, życzliwości wobec innych.

Maurycy Kamienicki, który od wczesnej młodości interesował się dziejami dawnych Słowian i który z wypiekami na twarzy czytał w bibliotece Uniwersytetu Wileńskiego pracę Zoriana Dołęgi-Chodakowskiego *O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem*, nie mógł się wprost doczekać, co o słowiańskim dziedzictwie powie jego podziwiany kolega – poeta, zwany już przez wszystkich bez ogródek wieszczem. Doskonale rozumiał, jak trudne to zadanie i jaka pionierska praca. Bo przecież literatura narodów słowiańskich nie została jeszcze przez nikogo zbadana i opisana tak gruntownie jak pisma dawnych Greków i Rzymian.

Dzień był zimny i wietrzny, ale w Dzielnicy Łacińskiej dało się zauważyć ruch większy niż zazwyczaj. Już od południa z różnych stron zaczęli ściągać elegancko ubrani ludzie, kobiety i mężczyźni, Francuzi, Polacy, Rosjanie. A wśród nich Maurycy.

Wraz ze strumieniem słuchaczy wszedł do dużej, zimnej auli z amfiteatralnie wznoszącymi się ławkami. Na godzinę przed planowanym wykładem sala była szczelnie wypełniona ludźmi; prelekcje Mickiewicza były zapowiadane w prasie, wieść o nich rozeszła się błyskawicznie w środowisku całej paryskiej Polonii. Przybyły tłumy.

Maurycy znalazł miejsce z boku, usiadł i rozejrzał się wokół. Adam zjednoczył podzieloną emigrację: na drewnianych ławkach siedzieli demokraci i konserwatyści, paryscy poeci: Słowacki, Witwicki, Goszczyński. Dostrzegł rodzinę swoich pracodawców – jednookiego kapitana z żoną i matką, hrabiną. A także wielu polskich emigrantów różnych stopni, zawodów i kondycji, których poznał w polskich klubach i barach podczas swoich wywiadów. W pierwszych ławkach, tuż przy katedrze, zasiadł książę Czartoryski z rodziną i współpracownikami, a obok – sędziwy Julian Niemcewicz. Było to niewątpliwie wydarzenie bez precedensu

w dotychczasowych dziejach polskiej emigracji, więc kto żyw, ciągnął do auli.

Adam Mickiewicz pojawił się punktualnie, gdy sala była już wypełniona po brzegi. Powitały go gromkie oklaski. Ale wszedł smutny, przybity. Opanowany, bez widocznego entuzjazmu. Maurycy wiedział o ciężkiej chorobie jego żony Celiny, uniemożliwiającej jej nawet opiekę nad dziećmi – trzeba je było oddać pod dach przyjaciół. Tym bardziej Maurycy podziwiał Adama, że w bardzo trudnym okresie osobistego życia nie uchylił się od tego obowiązku.

Gdy oklaski ucichły, poeta zaczął mówić spokojnym, pewnym głosem, płynną francuszczyzną, z lekkim jedynie polskim akcentem. Mówił o trudnościach swojego wykładu: że przyszło mu mówić w języku dla siebie obcym o literaturach tworzonych w językach publiczności nieznanymi, że łatwiej byłoby mu rzec się tego zadania. Jednakże nie mógł tego zrobić, czując ciężar odpowiedzialności, jaki na nim spoczywał – miał zabrać głos w imieniu literatury ludów, z którymi jego naród przez swoją przeszłość i przyszłość ściśle jest połączony. A stan umysłowy i moralny tych ludów jest do dziś Europie Zachodniej niemal nieznanymi. On zaś, Adam Mickiewicz, dzięki szczególnym okolicznościom swojej biografii, to jest dzięki długiemu pobytowi w różnych krajach słowiańskich, dzięki wielu poznanym tam ludziom i nawiązanym przyjaźniom, ma poczucie absolutnej jedności narodów słowiańskich. I wierzy, że być może on jeden jest w stanie podołać zadaniu przedstawienia zarysu dziejów, piśmiennictwa i charakteru tych narodów francuskiej publiczności.

Przyznał, że zastanawia się od dawna, co było początkiem poróżnienia i wrogości w obrębie tych narodów. Tej wrogości, którą Europa mogła od lat obserwować na różnych frontach, gdzie

polskie orły ścierały się z rosyjskimi, a naprzeciw siebie stawały wciąż od nowa dwie armie: polska i rosyjska. Skąd wzięła się ta wrogość? I co może ją zażegnać? Co mogłoby znów połączyć oba narody?

Dalej zwrócił uwagę na ogrom Słowiańszczyzny pod względem liczbowym i geograficznym. Siedemdziesiąt milionów ludzi mówi dialektami tego języka w krajach zalegających połowę Europy i trzecią część Azji. A polem, na które wszystkie ludy słowiańskie znoszą plody swojej działalności moralnej i umysłowej, jest właśnie literatura.

Adam skończył dwie minuty przed czasem. Zamilkł i ukłonił się widowni. I znów zerwały się oklaski, ale inne niż na początku – tamte miały powitać i dodać odwagi prelegentowi, teraz publiczność dziękowała mu za wykład i dawała wyraz swojej aprobacie, a wręcz zachwytowi. Oklaski brzmiały i brzmiały, Mickiewicz kłaniał się.

– *Bravo! Bravo!* – dało się słyszeć z klaszczącej widowni.

Maurycemu także wykład bardzo się podobał. Adam znów go nie zawiódł swoimi słowami, co więcej, zachwycił: pokazał się tu, podczas pierwszej prelekcji, nie tyle jako historyk literatury, ile jako historiozof. Bo tak zarysował przyszłe zagadnienia swoich wykładów, że stało się jasne: nie poprzestanie na omawianiu poszczególnych tekstów, ale będzie dociekał istotnych pytań o ducha narodów, o sens dziejów, a zwłaszcza o sens i cel historii Słowian. Tak więc piśmiennictwo słowiańskie będzie jedynie materiałem i pretekstem do uprawiania filozofii dziejów.

Miał Mickiewicz mówić o tym, co i dla Maurycego było od dawna najciekawszym zagadnieniem. Maurycy już wiedział, że kolejne wtorki i piątki od godziny 13.45 do 14.45 spędzi tu, w tej auli Collège de France. Po tym wykładzie znów poczuł się nie tylko

Polakiem, ale także Słowianinem. A razem ze swoją słowiańską tożsamością poczuł nagłą tęsknotę za swoją żoną, słowiańską strażniczką pamięci, której nie widział od blisko dziesięciu lat. I za swoim pierworodnym synem. Ścisnął go żal straszny, że chłopiec wychowuje się bez niego. Od dawna zadawał sobie pytanie, czy lepiej mu tam, na Litwie, w rodzinnym majątku, pod opieką matki, czy lepiej byłoby mu z ojcem w Paryżu.

Teraz jednak Maurycy był ciekaw opinii publiczności o wystąpieniu Mickiewicza. Wierna grupa Litwinów, ze Stefanem Zanem, bratem Tomasza, wydawcą Januskiewiczem i innymi dawnymi studentami z Wilna, wiwatowała najgłośniej i zaraz otoczyła Adama kręgiem, by mu pogratulować.

Usłyszał, jak poeta Seweryn Goszczyński powiedział w uniesieniu, że ta prelekcja to najwspanialszy poemat Adama. Ale nie wszystkim wykład się podobał – uszu Maurycego doszły urażone rosyjskie głosy o obrazie ich narodu, a także jakiś polski głos mówiący z przekąsem o rusofilstwie Mickiewicza. Jednak ogólnie widać było, że międzynarodowa publiczność jest poruszona i zainteresowana. Słysząc było zapewnienia uczestników, że przyjdą na kolejne prelekcje.

Kiedy Maurycy wychodził z auli, natknął się w tłumie na rodzinę swoich pracodawców. Ukłonił się im z szacunkiem, a życzliwa mu hrabina wzięła go pod rękę i powiedziała, gdy prowadził ją korytarzami kolegium:

– Ach, panie Maurycy! Co za szczęście, że mamy w naszej emigracji nie tylko różnych wykolejeńców i desperatów, ale także Mickiewicza! On nas najlepiej Francuzom tłumaczy, nie sądzi pan?

– Tak jest, pani hrabino, z całą pewnością – zgodził się szczerze. – Adam nas najlepiej tłumaczy nawet nam samym.

– Tak, ma pan rację. Do zobaczenia, panie Maurycy.

– Do zobaczenia, pani hrabino.

PARYŻ, 25 GRUDNIA 1840

Juliusz Słowacki siedział przy biurku w swoim pokoju i pisał, rzucał rymy na arkusz papieru, przekreślał i poprawiał. Został poproszony przez swojego wydawcę i księgarza, Eustachego Januszkiewicza, o wygłoszenie improwizacji na cześć Adama Mickiewicza podczas wieczornego przyjęcia wydanego na jego cześć – z okazji imienin, urodzin, a przede wszystkim w celu uczczenia triumfalnego rozpoczęcia wykładów.

Juliusz musiał to przyznać: Adam triumfował. Choć dawno nie wydał nic nowego, to jednak otrzymanie Katedry Literatury Słowiańskiej w Collège de France i inauguracyjny wykład okazały się prawdziwym sukcesem. Prasa paryska rozpisywała się o tym szeroko, wabiąc na kolejną prelekcję jeszcze większe tłumy. Entuzjazm ogarnął polską emigrację, od dawna pogrążoną w marazmie i spragnioną uznania.

Juliusza także to cieszyło. Miał wrażenie, że sprawa polska i polska literatura nikogo już nie obchodzą w Europie, dlatego doceniał inicjatywę księcia, wykonanie Adama, a zwłaszcza przychylną, wręcz entuzjastyczną reakcję publiczności. Pragnął szczerze, prosto z serca, pogratulować swojemu rywalowi. Pragnął puścić w niepamięć dawne spory i oddać hołd roli, twórczości i dokonaniom Adama. Dlatego przygotowywał się starannie, dobierał rymy i kunsztowne metafory. A kiedy był już pewien tego, co chce powiedzieć, kiedy głowę miał pełną pięknych obrazów i porównań, wybrał najlepszą batystową koszulę z szerokim kołnierzem, ubrał się elegancko i poszedł piechotą na rue de l'Échaudé de St Germain w VI dzielnicy Paryża.

Eustachy Januskiewicz, dawny wileński kolega Juliusza, był jednym z niewielu polskich emigrantów, którzy odnieśli w Paryżu finansowy sukces. Choć na co dzień żył skromnie, lubił od czasu do czasu wydawać wystawne przyjęcia. Niedawno wynajął dwa piętra w porządnej kamienicy w centrum Paryża i tam właśnie zaprosił czterdziestu rodaków na ucztę. Rzec można śmiało: samą artystyczną i intelektualną elitę, prawdziwą śmietankę polskiej emigracji.

Słowacki przybył dość wcześnie, by być gotowym do wygłoszenia swojej improwizacji. Wszedł na drugie piętro.

– O, Juliusz! – rozpromienił się gospodarz. – Świetnie, że jesteś. Rozgość się!

W salonie zbierali się goście, usłyszał kilku cudzoziemców. Przywitał się ze znajomymi. Przy fortepianie ktoś grał jeden z mazurków Fryderyka Chopina, który nie pojawił się na przyjęciu, choć był zaproszony. Juliusz przeczuwał, że Chopin świadomie izolował się trochę od polskiego środowiska emigracyjnego. I rozumiał go, zwłaszcza że muzyka, którą tworzył, nie znała barier języka. Obok fortepianu Stefan Zan, muzykalny jak jego brat Tomasz, grał na wiolonczeli.

Ponieważ zebrało się trochę dawnych filaretów, wkrótce muzyka Chopina ustąpiła miejsca filareckim pieśniom, śpiewanym chórem, z zapałem i z rozrzuwaniem zarazem. Tym większym, że z dołu zaczęły dochodzić powoli smakowite zapachy domowych litewskich potraw. Obraz cudownej, idealizowanej łątwo młodości stanął przed oczami zebranych jak żywy. Dawne grono filareckie połączyło się znów mocą wspólnych wspomnień. Ale Juliusz, choć spędził w Wilnie całą młodość, choć widywał w dzieciństwie wielu z nich, czuł, że do nich nie należy, nie jest ich częścią. Osobny, zawsze sam i osobny! Czuł też, że ci Litwini czczą Adama

Mickiewicza jako swojego proroka i wieszczka, nawet jeśli nie w pełni rozumieją, co pisze. Czy są w ogóle gotowi uznać istnienie i wartość drugiego poety?

Wreszcie Eustachy Januszkiewicz zaprosił zebranych do stołu. Mężczyźni ruszyli chętnie, wabieni zapachami rodzimej kuchni.

Sala jadalna mieściła się piętro niżej, była udekorowana biało-czerwonymi flagami, kotylionami i wieńcami. Długi stół nakryto białym obrusem i zastawiono świątecznymi specjałami kuchni polskiej i litewskiej. Generał Michał Mycielski przyniósł znakomitego węgryzna, skądś wynaleziono zacny miód litewski, były też francuski szampan i wódka. Przygotowano to wszystko, by wznosić toasty, świętując i składając hołd Adamowi, który tak pięknie i ku podziwowi wielu cudzoziemców, nawet Francuzów i Moskali, mówił o Słowianach, że serca słuchaczy były zupełnie rozmiękczone.

Na honorowym miejscu Januszkiewicz posadził włoskiego krytyka literackiego, profesora Josepha Ottaviego d'Ajaccio. Po prawicy Ottaviego – Mickiewicza, a naprzeciwko Adama – Juliusza Słowackiego.

Gdy usługujący chłopcy napełnili kielichy zebranych miodem, pierwszy toast wzniosł profesor Ottavi, znajomy Mickiewicza z Rzymu, i wygłosił na jego cześć długą laudację. Potem ktoś chwycił gitarę i zaczął grać melodię „Mazurka Dąbrowskiego” i improwizować wariacje na jej temat. Wzruszeni goście bili brawo.

A gdy Adam podziękował po francusku włoskiemu profesorowi za mowę pochwalną, Juliusz uznał, że to najlepszy moment, by teraz on zabrał głos. Wstał z krzesła. Zebrani uciszyli się i skierowali na niego wzrok.

Słowacki mówił jak w natchnieniu, ale to natchnienie wzmocnione było świetnym przygotowaniem. Panował doskonale

nad językiem, formą, a także wiedział dokładnie, co chce powiedzieć. Jego słowa były pełne godności, poważne i szczerze: potwierdził wielkość Mickiewicza, jednak nie umniejszał własnej. Pięknie, barwnie i błyskotliwie opowiadał o swoim wejściu w świat poezji i o zimnym, niesprawiedliwym przyjęciu, również ze strony Adama, jakie go spotkało. Oświadczył stanowczo, że zasługuje na ważne miejsce w parnasia narodowej poezji.

Widać było wyraźnie, że występ ten kosztował go wiele. Słuchali go wszyscy w absolutnej ciszy. Wreszcie, wyczerpany długą przemową, Juliusz zakończył, zwracając się znów do Adama:

– Kiedy w Grecji miał jaki mąż historyczny upaść, bogowie schodzili z Olimpu, obnażali mu bok i pokazywali miejsce, a śmiertelni tam oręż topili, tak i ty pokazałeś, gdzie mnie przeszyć.

Gdy skończył, jego czoło okrywał perlisty pot. Padł wyczerpany na krzesło. Dostał oklaski, choć raczej nikłe. Po nich, tknięty nową myślą, wstał jeszcze raz i dodał, patrząc Mickiewiczowi prosto w oczy:

– Na łodydze mego życia wyrosły dwa kwiaty, jeden zazdrości i dumy, ten więdnieje, drugi miłości ku tobie, świeżo rozkwitły. Schył się i zerwij go...

Po tych słowach dopiero zerwały się oklaski naprawdę huczne i długie. Zrobiło się uroczyście. Był to jeden z tych momentów, gdy w polskim zgromadzeniu wzruszenie ogarnia zebranych, a wspólne uczucie, podbudowane silnie wypitymi wspólnie trunkami, jednoczy wszystkich i szkli oczy zebranych łzami ogólnego rozrzewnienia.

Adam Mickiewicz siedział przez chwilę zasłuchany i zamyślony. Potem nalał sobie wina, wstał z krzesła, uniósł kielich i podziękował obecnym za serdeczne uczucia.

Nie improwizował już od dawna, tym bardziej czekano na jego

słowa. Nie zawiódł: mówił płynnie i poruszająco. Otaczało go uwielbienie i wzbudzał podziw wielu zebranych, łzy płynęły obficie po zarumienionych twarzach. Adam z wielką delikatnością odmalował pierwsze lata Słowackiego i swoje dla niego współczucie. Wspominał, jak matce jego w Wilnie już dawno przepowiadał wielką poetycką przyszłość syna. Ale powiedział też, że jemu, Mickiewiczowi, w poezji Bóg sprzyja, a Słowackiemu – nie, bo nie starcza mu wiary i miłości. I zakończył w uniesieniu jak za najlepszych swoich twórczych lat:

*Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam,
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.
W piersi tylko uderzę, wnet zdrój słów wytryśnie,
A jeśli na tym prądzie iskra boża błysnie,
Nie wynik to rozumu, ani płód marzenia:
Od Boga ją przyjąłem na skrzydłach natchnienia;
Niem widzę przyszłość, chwytam myśli, czuciem rządzę,
Niem silny, grzechy nasze i przyszłość osądzę.*

*Wiedźcie, że dla poety jedna tylko droga!
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga!*

A gdy Mickiewicz skończył, wszystkich obecnych ogarnęło uniesienie, jakiego żadne jeszcze emigracyjne zebranie nie widziało. Obecni pisali potem o prawdziwych cudach: że jakieś uczucie wzajemnej miłości wypełniło serca wszystkich, ludzie ściskali się, obiecując sobie wieczną przyjaźń i poświęcenie. Wielu zaczęło łkać. Dla niektórych wzruszenie okazało się zbyt silne: Słowacki szlochał, krytyk Stanisław Ropelewski dostał spazmów, inni omdleli. Niektórzy później dodawali, że w chwili tej chorzy pozdrowieli, a artyści na nowo poczuli przypływ sił twórczych.

Byli jednak tacy, co musieli ten wieczór, w łóżku leżąc, odchorować.

W całym tym zamieszaniu Adam i Juliusz uścisnęli się jak bracia, wzięli się pod rękę i spacerując po sali w najlepszej komitywie i porozumieniu, opowiadali sobie dzieje swoich zatargów, śmiejąc się przy tym serdecznie. Nagle zastąpił im drogę Franciszek Grzymała, który, zdrzemnąwszy się wcześniej przy bufecie, wytrzeźwiało, wstał i zażądał, aby Mickiewicz wysłuchał i jego improwizacji. Adam jednak poklepał go po królewsku ze słowami: „Kochany pan Franciszek”. I dalej wspominał z Juliuszem wileńskie czasy.

1841

PARYŻ, WIOSNA 1841

Słowacki odchorował ucztę u Januszkiewicza i swoją konfrontację z Mickiewiczem. Przeżycie było ogromne: tak długo czuł się niesprawiedliwie pomijany, lekceważony i spychany w cień wielkiego Adama, że kwestia uznania wartości jego poezji stała się jedną z najważniejszych rzeczy w jego życiu. Lecz choć emocje jego zostały pobudzone w najwyższym stopniu, to przecież wyszedł z przyjęcia zadowolony, w poczuciu serdecznego porozumienia i wzajemnego szacunku. Nie pragnął niczego więcej, nie chciał pokonać starszego poety i uwielbianego wieszca. Chciał tylko potwierdzenia wartości swojej poezji i swojego talentu, czego tak często mu dotąd odmawiano. I wyszedł z mieszkania Januszkiewicza z przekonaniem, że to właśnie otrzymał, że z pojedynku poetów obaj wyszli zwycięsko.

A jednak przekonał się szybko, że zgromadzona na ucztę publiczność nie tego oczekiwała! Ledwie parę dni później, w początkach stycznia, organizatorzy spotkania poprosili go, by na kolejnym przyjęciu wręczył Mickiewiczowi srebrny puchar jako znak jego mistrzostwa, a własnej niższości. Zirytowany odmówił.

Wszystko, czego Juliusz pragnął, to uznanie otoczenia dla swojej twórczości.

Przeliczył się srodze. Bo choć sam Adam w ich pojedynku

improwizacyjnym przyznał, że Juliusz jest obdarzony poetyckim talentem, i wspominał swoje pochwały dla jego młodzieńczych wierszy, choć obaj pojednali się serdecznie i docenili wzajemnie swoją wielkość, to inni chcieli widzieć to zupełnie inaczej, żądali chwały jednego i upadku drugiego, jakby w polskim parnacie miejsca dla nich obu nie mogło wystarczyć. I krytycy literaccy w pismach rozmaitych, krajowych i emigracyjnych, zaczęli w opisach uczyć rozgłaszać triumf Mickiewicza oraz upadek pełen ponizenia Słowackiego. Pisali: „Adam oświadczył, że Juliusz nie jest poetą, oto że nie ma wiary i miłości”.

Juliusz nie mógł na to pozwolić, wiedząc, że nie tak było. Jak mógł się bronić? Słowem jedynie. Więc posłużył się nim po mistrzowsku jak bronią. Korzystając z pojemnej formy poematu dygresyjnego, zwrócił się do publiczności, do Adama, a także do tych zajadłych krytyków, którzy kpina, szyderstwem i zwykłą potwarzą wciąż odmawiali mu należnego miejsca w panteonie polskiej poezji.

A posłużył mu do tego nowy poemat: *Beniowski*. Pisał go z prawdziwą pasją. Tymczasem w prasie krajowej i emigracyjnej raz po raz pojawiały się kąśliwe, krytyczne, a niekiedy pogardliwe opinie o jego twórczości.

Taki Ropelewski, na przykład, który na pamiętnej uczcie dostał prawdziwych spazmów, zamieścił recenzję *Balladyny*, w której napisał tak: „W czym te kilkadziesiąt scen bez logicznego związku między sobą, bez względu na czas i miejscowość, bez poezji, bez stylu, bez historycznej prawdy; w czym ten dialog pełen niedorzeczności i krwi ma rozjaśniać starożytne dzieje Polski? Nie wiem”. I dalej: „(...) nie znajdujemy, z czym by *Balladynę* porównać. Nie jest to tragedia grecka ani szekspirowska, ani hiszpańska, ani z tych wyrodzona niemiecka; w całej książce,

wyjawszy przedmowy, nie widać nawet życzenia poety, aby to była tragedia polska (...). *Balladyna* jest tragedią, jakiej drugiej nie ma, nie było i nie będzie – jeśli pan Słowacki zechce nam nie dotrzymać obietnicy i wyrzeczy się pięciu zapowiedzianych jej rówiennic”.

Czytając z prawdziwym bólem takie i podobne opinie, Juliusz dopiero teraz uświadomił sobie w pełni, jak bardzo na odbiorze jego dzieł zaważył dawny sąd Mickiewicza. Bo w recenzji Ropelewskiego znalazł i taki fragment: „Pierwsze powieści, choć więcej w poezję zewnętrzną, a może w nią tylko samą bogate, są jeszcze w naszym przekonaniu szczytem twórczości Słowackiego. Kiedy wyszły, mistrz doświadczony, gruntując tę poezję, nazwał ją piękną świątynią, w której nie było Boga; od owej chwili wziął się Słowacki do reform; na trafny wpadł pomysł, złoto i emalię zastąpił warstwą wapienną, ale nie sprowadził bóstwa do swej świątyni”.

A zatem to rzucone przed dziesięciu laty zdanie Adama o pięknej świątyni bez Boga stało się dla Juliusza piętnem, przekleństwem skazującym go na pogardę i zimną obojętność. Publiczność miała już swojego wieszczka, chciała go czcić, nie szukać innego. Słowacki zrozumiał, że liczyć może jedynie na sprawiedliwy osąd potomnych. Jak gdyby spełnić się miała jego dziecięca modlitwa o sławę pośmiertną.

Na koniec swojego poematu rzucił więc Mickiewiczowi takie oto wersy:

*(...) Taka moja zbroja!
I takie moich myśli czarnoksiężstwo!
Choć mi się oprzesz dzisiaj – przyszłość moja! –
I moje będzie za grobem zwycięstwo!...
Legnie przede mną twych poetów Troja,*

*Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył:
Zabiję – trupa twego będę włóczył! –*

*A sąd zostawię wiekom. – Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny Boże.
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu
I pokazałem, że na twojej korze
Pęknięcie serca znać – a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze.
Bądź zdrów! – A tak się żegnają nie wrogie,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych – Bogi.*

PARYŻ, CZERWIEC 1841

Słowacki wyniósł krzesło na niewielki balkon swojego mieszkania na szóstym piętrze kamienicy przy 11, rue de Castellane. Choć wysoko położone, mieszkanie to cieszyło Juliusza – mógł widzieć z góry dachy Paryża, szarobłękitne wody Sekwany, trochę zieleni drzew i niebieski horyzont. Zawsze lubił kwiaty, na balkonie miał w doniczkach pelargonie, groszek pachnący i trochę ziół.

Siedział więc teraz na krześle, wystawiał twarz do słońca i wdychał zapach tymianku i groszku. Był podekscytowany. Przed oczami raz po raz pojawiała mu się piękna twarz i kształtna kibić Joanny Bobrowej, którą odwiedził właśnie we Frankfurcie. Ta kobieta, dawna miłość Zygmunta Krasieńskiego, sprawiła, że krew raźniej krążyła w jego żyłach i bardziej chciało mu się żyć. Wprawdzie miał czasem wrażenie, że Joanna bawi się nim jak rozkapryszona panna, a jej serce wciąż zajmuje Zygmunt, ale i tak miłosne uniesienie było przyjemną odmianą. Jednak to nie pani

Bobrowa była teraz powodem ekscytacji i uśmiechu na jego twarzy.

Oto ukazał się właśnie drukiem jego nowy poemat *Beniowski*. Juliusz czuł, że wzniósł się w nim na prawdziwe wyżyny swoich możliwości twórczych. Wiedział też, że takiego utworu polska literatura jeszcze nie widziała. Poemat skrzył się dowcipem, olśniewał wirtuozerią języka, zaskakiwał ciągłymi zmianami konwencji literackich i stylów.

Juliusz pisał go lekko, ironicznie, dowcipnie, bawiąc się słowem i skojarzeniami. Fragmenty powstawały jeszcze w czasie jego wschodniej podróży, gdy notował na bieżąco wierszem swoje wrażenia i refleksje. Część jednak dopisał już po powrocie do Paryża. Jakąż miał wówczas nadzieję, że jego nowe prace poetyckie, tak różnorodne i coraz doskonalsze, spotkają się wreszcie z życzliwym przyjęciem...

A teraz siedział na balkonie, grzał się w czerwcowym słońcu i czekał na reakcję.

Nie musiał czekać długo. Usłyszał mocne pukanie do drzwi. Poszedł otworzyć.

Za drzwiami stał elegancki młodzieniec, którego Juliusz znał z widzenia, jeden z grupy Litwinów. Był trochę zziębnięty, ocierał zaczerwienioną twarz chusteczką, a przy tym minę miał urażoną i dumną. Juliusz zaprosił go do środka, zaproponował miejsce na kanapie, ale gość odmówił. Wyprostowany sztywno, stojąc wciąż w salonie, przemówił oficjalnym tonem:

– Jestem sekundantem pana Ropelewskiego, któregoś pan obraził i spotwarzył w swoim ostatnim utworze. W imieniu mego mocodawcy żądam od pana odwołania obrazy wyrządzonej panu Ropelewskiemu w pieśni trzeciej *Beniowskiego*. Mam tu

przygotowany tekst, który możesz pan podpisać. W przeciwnym wypadku, jeśli pan odmówi, będę musiał wyzwać pana na pojedynek!

Mówiąc to, wręczył Juliuszowi stosowny bilet podpisany przez Ropelewskiego, a w drugiej ręce trzymał gotowy do podpisu tekst.

A więc do tego przyszło, pomyślał Juliusz. Chcą się strzelać z powodu jego słów! Zbladł trochę... Ale przecie nie po to je napisał, by teraz odwoływać.

Przeczytał bilecik, schował go do kieszeni i odpowiedział stanowczo:

– Tego papieru nawet widzieć nie chcę. Będę się strzelał, przyjmując wszystkie warunki, jakie mi podacie.

– Jak pan sobie życzy.

Młodzieniec skłonił się, odwrócił się i wyszedł. Juliusz uchwycił jeszcze wyraz zaskoczenia na jego twarzy.

Wrócił na swój balkon. Słońce schowało się za białym obłokiem. Usiadł na krześle i zapatrzył się w paryską dal.

Ropelewski! Zjadliwy, ironiczny, szyderczy, wymachujący złośliwym słowem jak szpadą krytyk, który pod pseudonimem Z. K. stwierdził w piśmie „Młoda Polska”, że najnowsze poematy Juliusza są „śmieszne i cudaczne”. Jak łatwo rzucać oskarżenia i słowa krytyki na innych, jak trudno znieść te skierowane pod własnym adresem. I cóż go tak zabolalo, że gotów się strzelać? Może ten fragment z pieśni trzeciej?

*(...) krytyka owa, która co rok
Tyle wad w moich utworach wytyka
Jako ostrowidz lub jako nosoróg,
Bo widzi ostro i rogiem przenika;
Szczęśliwa – gdybym dbał i był gorący
I włożył imię jej w poemat drwiący.*

*Imię krytyki? – nie, krytyków, – A! bah!
Któż z nich ma imię? Z. K., S. K., E. K..
Mówią, że Młodą Polskę pisze – baba,
Ale ja, widząc, jak kęsa i szczeka,
Sądzę, że jezuita – a ma draba,
Który tłumaczy na język człowieka
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcje
W diabelskim napisane dyjalekcie.*

Juliusz siedział na swoim balkonie i rozważał zaistniałą sytuację. Wiedział, że Ropelewski jest młodszy od niego i jako szesnastolatek walczył w powstaniu. Jest zatem dobrze obeznany z bronią. Podczas gdy Juliusz, słaby i chorowity, swoją powstańczą służbę odbył w biurze dyplomatycznym księcia Czartoryskiego i prochu nigdy nie powąchał.

Jeśli Ropelewski w starciu okaże się równie zajadły jak w swoich rozprawach krytycznych, będzie miał niewątpliwą przewagę. To oznaczało, że poeta może zginąć. Jak Puszkina. Juliusz doskonale to rozumiał.

Może myśleli o nim z pogardą, że jest tchórzem? Że się wycofa, podpisze poddańcze pismo i ukorzy? Ale nie znają go, jak widać. Niedoczekanie ich.

Wstał, podszedł do swojego biurka i wyjął trzy czyste arkusze papieru. Usiadł przy biurku, umoczył pióro w kałamarzu i zaczął pisać pożegnalne listy. Pierwszy, najtrudniejszy, do matki. Był dla niej całym światem, więc rozumiał dobrze, jaki ból sprawiłby jej swoją śmiercią. Tym bardziej nie mógł jej zostawić bez słowa wyjaśnienia i pociechy. Drugi do przyjaciela, Zygmunta Krasieńskiego, który jako jedyny potrafił zrozumieć i ocenić właściwie jego twórczość. Potrafił też wbrew powszechnej krytyce

umieszczać w prasie teksty i recenzje broniące wartości utworów Juliusza. Zasłużył na podziękowanie i pożegnanie. I trzeci do Joanny Bobrowej, która zajmowała ostatnio jego myśli i serce.

Pisał listy jak w transie, jeden za drugim. Stracił poczucie czasu. Gdy wstał od biurka, słońce było już niżej. Zobaczył przelotnie swoją twarz w lustrze. Był blady jak upiór. Musiał się położyć.

Następnego dnia obudził się wcześnie. Pierwszą jego myślą było to, że miał przedziwny sen o pojedynku. Gdy jednak oprzytomniał zupełnie, a zwłaszcza gdy znalazł bilet Ropielewskiego, a potem swoje trzy listy, stało się jasne, że naprawdę miał się bić. Poczł w ustach smak prawdziwej goryczy.

Musiał przede wszystkim poszukać sekundanta, osobę przy pojedynkach nieodzowną. Zgodził się spełnić tę funkcję jego dawny kolega Ludwik Nabelak. A ponadto Juliusz postanowił nie dać po sobie niczego poznać. Jadał obiady w tym klubie co zwykle, z tymi samymi kolegami, którzy żadnej zmiany w nim nie spostrzegli.

Sekundanci wyznaczyli termin pojedynku na 15 czerwca, w Ogrodzie Luksemburskim, o poranku. Tego dnia Juliusz przespał noc spokojnie, wstał o piątej rano. Ubrał się cały na czarno, zjadł kilka ciasteczek i wypił szklankę starego wina.

Na miejsce spotkania szedł przez miasto piechotą, świadomy, że być może to jego ostatni spacer. Wstąpił do kościoła, potem na targ kwiatowy, gdzie kupił piękną różę. Nikogo przy nim nie było, nikt go nie żegnał. Czy ktokolwiek pożałuje go, gdy zginie?...

W Ogrodzie Luksemburskim spotkał się w umówionym miejscu ze swoim sekundantem.

– I cóż, czy przychodzą? – zapytał go spokojnie.

– Ach, słuchaj! – Nabelak był podekscytowany. – Nowa rzecz się stała! Zjawili się tu obaj Platerowie, Ludwik i Cezary, są teraz

u Ropelewskiego i chcą łagodzić sprawę! Zaraz tu mają do ciebie przyjechać!

Po kilku dniach gotowania się na śmierć Juliuszem wstrząsnęła wściekłość. Krew w nim zawrzała. Cóż to? Żarty sobie robią z cudzego życia?

– Czekam ich na placu boju – powiedział zimno. – Naciskom ulegać nie będę.

Wkrótce przybyli obaj rozjemcy. Ludwik Plater wziął poetę pod ramię, zaczął z nim spacerować ogrodową aleją i mówił do niego spokojnym, perswadującym tonem:

– Panie Juliuszu kochany, ten Ropelewski, gorączka, wykazał się nierozwagą dziecinną. Pan się tu dzielnie stawił i honor swój obronił. Wszyscy jesteśmy pełni podziwu dla pana. Ale przecież nie chcemy tu żadnego rozlewu tak cennej krwi polskiej, prawda? A do tego pojedynki w Paryżu zabronione są prawem i nielegalne. Po cóż się narażać na kłopoty i tyle nieprzyjemnych konsekwencji? Może gdyby upoważnił nas pan do mediacji, to moglibyśmy...

Tego jednak było Juliuszowi za wiele. Zatrzymał się na środku alejki, stanął naprzeciwko Ludwika Platera i wykrzyknął:

– Nie upoważniam panów do żadnej mediacji! Jestem na placu boju. Jeżeli przeciwnik, który mnie wyzwał, odstępuje od pojedynku, to ja go przymusić do bicia się nie mogę, ale nie pozwolę na to, aby mnie każdy błazen wyzywał, a potem zwlekał i na plac mnie wyprowadzał na próżno!

I Juliusz zwrócił się bezpośrednio do swojego sekundanta:

– Panie Nabelak, proszę, aby mi wyznaczona była dziś albo jutro godzina pojedynku. Ja na nią stanę i będę czekał.

Nabelak, widząc wzburzenie Juliusza, powiedział:

– A z kimże ty się bić chcesz, chyba z wiatrem? Oni już dawno odstąpili.

Juliusz popatrzył na Ludwika Platera, rozjemcę.

– Czy to prawda? – zapytał go. – Czy się cofnęli?

Plater mimowolnie spuścił oczy, patrząc w żwir na alejce.

– Tak – musiał przyznać – już się cofnęli...

Juliusz odczuł jednocześnie i ulgę, i wzgardę. Więc wiedząc o rezygnacji Ropelewskiego, Platerowie chcieli jeszcze wytargować dla niego jakieś ustępstwa, może przeprosiny. Oto przyjaciele, co dbają bardziej o życie niż o honor człowieka!

W tym momencie Słowacki poczuł się triumfotorem.

– Ale rozumie pan – powiedział mu jeszcze Plater – że o tak zakończonym pojedynku pod słowem honoru milczeć należy.

Słowacki zmierzył go wzrokiem.

– Słowa honoru na to dać nie mogę – powiedział spokojnie – bo do paru już osób pisałem o pojedynku. Gdybym dalej milczał, a te osoby nie usłyszałyby strzałów pistoletowych, mogłyby myśleć, że się upokorzyłem i dałem mu jaką wymówkę na piśmie. Więc będę mówił i pisał o pojedynku jak mi się podoba.

Triumf. Głęboki oddech...

Juliusz chciał wracać do siebie.

Podszedł do nich Cezary Plater.

– W tej sytuacji, drogi panie Juliuszu, zapraszam do siebie na śniadanie – powiedział. – Trzeba koniecznie, żebyście się panowie teraz zobaczyli, pogodzili i pokochali.

– Kochać można tylko człowieka, którego się szanuje, a ja do pana Ropelewskiego szacunku jeszcze mieć nie mogę. Ale oczywiście będę z nim rozmawiać grzecznie i nie dam odczuć mi wzgardy w towarzystwie. Jednak z kochaniem go wstrzymam się, aż pan Ropelewski co dobrego zrobi. Za śniadanie bardzo panu dziękuję, zjem u siebie.

Wtedy włączył się Nabelak:

– Jako twój sekundant, Juliuszu, mam prawo rozporządzać twoim czasem. Zatem nalegam, abys poszedł z nami na śniadanie do pana Cezarego Platera. Nie możesz odmówić.

Rzeczywiście nie mógł. Więc bez specjalnego entuzjazmu, choć z podniesioną głową, Juliusz poszedł z nimi do ładnego mieszkania braci Platerów, w którym już czekał nakryty do śniadania stół, a w salonie – blady, drżący krytyk Ropelewski i jego sekundant.

Ludwik Plater stanął na środku salonu i przemówił do zebranych:

– Panowie! Od początku uważałem, że do tego nieszczęsnego pojedynku racji żadnych nie było. Dlatego wpoilem to przekonanie w serce pana Ropelewskiego, który się wzruszył i dał się nakłonić do cofnięcia swego wyzwania. Cieszymy się z tego wszyscy! Dlatego pogódźcie się, panowie, i zapomnijmy o całej sprawie. Nasza nieszczęśliwa ojczyzna dość ma podziałów i wewnętrznych sporów, a niczego tak jej nie potrzeba jak naszej zgody i współpracy.

Ludwik Plater teatralnym gestem uniósł ramiona, jakby wszystkich obecnych chciał objąć i przycisnąć do serca. Ropelewski wciąż blady i przejęty podszedł do Juliusza z wyciągniętą ręką.

– Dobrze, zapomnijmy o tym, ale jeżeli mamy zapomnieć, zapomnijmy na zawsze – powiedział Juliusz, podając przeciwnikowi rękę.

Ropelewski rozplakał się na te słowa, wyciągnął białą chustkę, wytarł nią oczy i głośno wydmuchał nos.

– No, panowie, zgoda buduje! Siadajmy do stołu. Zapraszam! – wykrzyknął Cezary Plater. – Znakomity pasztet nam kucharz upiekł, spróbujcie!

Wieść o pojedynku rozeszła się w polskim środowisku szybko. Gdy Juliusz udał się wieczorem do swojego klubu na kolację,

koledzy o wszystkim już wiedzieli. Podchodzili do niego z szacunkiem, a może i podziwem w oczach, gratulowali niezłomności i odwagi, poklepywali po ramieniu z braterską sympatią. Wszyscy chcieli czytać jego nowy poemat, a zwłaszcza tę strofę, którą gotów był pieczętować własną krwią. Stał się bohaterem wieczoru.

Podszedł również zaprzyjaźniony z nim Niedźwiecki, sekretarz Władysława Zamoyskiego, i powiedział:

– Gdyby cię dziś nieszczęście spotkało, to już planowałem cię na wieki zabalsamować, jak jaką mumię faraona, włożyć ci szklane oczy i złożyć cię w ołowianej trumnie, żebyś mógł kiedyś do Polski cały i z otwartymi oczyma powrócić.

Juliusz uściskał go serdecznie. Czuł, że naprawdę wraca do życia.

PARYŻ, LATO 1841

Maurycy nie opuścił żadnej prelekcji Mickiewicza o literaturach słowiańskich. Podziwiał jego erudycję, rozległą historyczną i literacką wiedzę, a przede wszystkim siłę wizji – która pozwalała dostrzec niezauważane przez Zachód wartości słowiańskiego świata. Któregoś popołudnia przy herbacie, po skończonych lekcjach, zagadnęła go na ten temat hrabina:

– Wie pan, panie Maurycy, przyjaźnię się od lat z pewną francuską damą. I ona wybrała się wreszcie na wykład Mickiewicza. Jest nim zachwycona i oczarowana. Mówi, że po jego prelekcji pojechałaby chętnie na wojaż po krajach słowiańskich i sprawdziła na miejscu, czy Mickiewicz ma rację.

– A cóż jej się tak spodobało, pani hrabino?

– Przede wszystkim sam Mickiewicz! A poza nim chyba to, że słowiańszczyzna, jaką przedstawia, nie stoi u progu

cywilizowanej Europy, czekając na wejście do niej. U niego ta słowiańszczyzna od zamierzchłych dziejów może pochwalić się żywiołem cywilizacji i kultury. A to dla mojej znajomej kompletne novum! Mam wrażenie, że te wykłady nie tylko trafiają w gusta słuchaczy, ale zaspokajają w tej kwestii rosnącą coraz bardziej ciekawość Francuzów. A może i nasza obecność w Paryżu, tak liczna, przyczynia się do tego, że chcą nas lepiej zrozumieć?

Maurycy dodał sobie do filiżanki herbaty odrobinę wiśniowej konfitury, którą hrabina zwykle go częstowała. Znowu ten smak przeniósł go na chwilę do rodzinnego domu na Litwie.

– Bardzo dobrze, że chcą nas zrozumieć, pani hrabino – powiedział. – I świetnie, że mają takiego znawcę do tego tłumaczenia.

– Panie Maurycy drogi, i moje wnuki mają szczęście do dobrego nauczyciela. Przecież pan studiował na tym samym uniwersytecie co Mickiewicz – uśmiechnęła się hrabina.

Maurycy uklonił się starszej damie. Rzeczywiście bardzo lubił lekcje historii i literatury w tym domu. Synowie kapitana byli pojętni, chętni do nauki i zainteresowani jego opowieściami. Babcia chłopców polubiła Maurycyego, prowadziła z nim chętnie pogawędki po skończonych lekcjach i musiała polecać go znajomym, ponieważ otrzymywał kolejne propozycje nauczania polskich dzieci, które rodziły się i dorastały w Paryżu. Temat edukacji i odpowiedniego kształtowania patriotycznego polskich dzieci wychowywanych w otoczeniu francuskiej kultury był powszechnie dyskutowany w polskim środowisku.

Maurycy rozmawiał o tym także z Mickiewiczem, u którego bywał niekiedy wieczorami. Teraz trochę częściej, ponieważ żona poety przebywała na leczeniu w zakładzie, a dziećmi zaopiekowali się znajomi. Zresztą i Adama ten problem dotyczył – jego syn

Władzio miał dopiero trzy lata, ale lada moment będzie potrzebował szkoły.

Oczywiście zdecydowaną większość polskiej emigracji stanowili samotni mężczyźni, w znacznej części wojskowi. Byli jednak i tacy, do których przyjechały z kraju żony czy narzeczone, oraz tacy, którzy ożenili się tu z Francuzkami. Dzieci, które zaczęły się rodzić, potrzebowały pilnie porządnej polskiej edukacji – i coraz częściej uświadamiano sobie tę potrzebę.

– O tym, że polska szkoła w Paryżu jest niezbędna, rozmawiał ze mną niedawno generał Dwernicki – powiedział Mickiewicz Maurycemu – i sporo innych osób.

– A może ty byś w niej uczył literatury, jak dawniej w Kownie? – zapytał Maurycy półżartem.

– Więzienie u bazylianów uwolniło mnie od tej męki. Wyznam ci, że straszliwie mnie męczyła ta praca nauczycielska – mówił Mickiewicz. – W towarzystwie filomatów rozpierały nas ambicje, czytaliśmy książki na wyścigi. Ale w Kownie okazało się, że szkolna większość to uczniowie tępi, leniwi, mało lotni. Umęczyłem się tam potwornie. Ale ty, zdaje się, lubisz tę pracę.

– Tak, rzeczywiście – przyznał Maurycy. – Lubię opowiadać dzieciom ciekawe historie. I sam lubię się nad historią zastanawiać, dociekać jej sensu.

Mickiewicz dolał wina do ich kieliszków.

Maurycy wychylił parę łyków.

– Wiesz, że mój ojciec chciał ze mnie zrobić medyka? – zapytał. – Ale ja usłyszałem o wykładach Lelewela w Wilnie i koniecznie chciałem studiować historię.

– Więc słuchałeś wykładów Lelewela? Był wtedy prawdziwym objawieniem, przyciągał tłumy...

– Właściwie to on mnie zachęcił do zajmowania się historią.

– Słuchaj, Maurycy! – powiedział nagle Adam, jak pod wpływem nowego olśnienia. – A może ty byś chciał uczyć historii w polskiej szkole? Bo my tu rozmawiamy o tym projekcie całkiem poważnie.

– Jest aż tylu chętnych?

– Tak, i będzie przybywać. Są polskie rodziny, są i tacy, co pożenili się z Francuzkami i teraz dzieci ich po francusku gadają. Ci zwłaszcza mówią o polskiej szkole, bo ich dzieci akurat do wieku szkolnego dorastają.

– Mam trochę uczniów, ale nie myślałem dotąd o uczeniu w szkole. Nie sądziłem, że powstanie.

– A widzisz! A tymczasem powstało już Towarzystwo Narodowego Wychowania Dzieci Wychodźców. Jest tam generał Dwernicki, zaprosili i mnie do niego. Chodzi o wychowanie dzieci w duchu narodowym.

– No dobrze, ale kto da na to pieniądze? Potrzebny budynek, nauczyciele...

– Chcieliśmy zbierać przez różne akcje – wyjaśniał Adam. – Chopin obiecał dać koncert na ten cel. Francusko-Polski Komitet generała La Fayette’a też coś dołożył. A Jan Ledóchowski dostał właśnie spadek po ciotce i obiecał dać nam na szkołę dwadzieścia dziewięć tysięcy franków, kiedy projekt będzie już realny.

– To ogromna suma.

– Tak, na początek wystarczy. Mógłby przehulać, ale patriota prawdziwy, więc woli dać na polską naukę dla dzieci.

– Podoba mi się coraz bardziej ten pomysł – powiedział Maurycy, który już zaczął sobie wyobrażać, jak zostaje zawodowym nauczycielem historii i literatury. Marzenie jego młodości! – A co jeszcze ustaliliście w sprawie tej szkoły? Jest jakaś jej wizja?

– Jest, jest... – przytaknął Mickiewicz. – Uczniowie mają realizować program szkoły francuskiej z dodatkowymi zajęciami z języka i historii Polski. Dwernicki upiera się, żeby jako mundurki nosili kopie munduru warszawskiej gwardii narodowej z okresu powstania listopadowego, z guzikami z Orłem i Pogonią. Do tego rogatywki. No, niech mu będzie... Ważniejsze, że ma być równość wszystkich uczniów bez względu na pochodzenie i pozycję rodziców. Ma być wysoki poziom. I oczywiście polski język wykładowy, kultywowanie polskich tradycji, obchodzenie świąt religijnych, rocznic narodowych. W ogólności: krzewienie polskiego ducha narodowego w najmłodszym pokoleniu.

Maurycy oczami wyobraźni już widział, jakby to było, gdyby stał przed klasą chłopców ubranych w polskie mundury i rogatywki i opowiadał im ojczyście dzieje... Tak, chciał tego coraz bardziej. I zobaczył w tym prawdziwy sens swojego pobytu na obczyźnie. Bo dobrze rozumiał, że możliwość przetrwania narodu polskiego leży właśnie w edukacji nowych pokoleń.

PARYŻ, WRZESIEŃ 1841

Idea szerokiego frontu słowiańskiego skierowanego przeciw Rosji coraz bardziej zaprzętała głowę księcia Adama Czartoryskiego. Zwłaszcza że znalazł się wreszcie odpowiedni człowiek, któremu można było w przyszłości powierzyć misję kierowania Agencją Wschodnią. Michał Czaykowski. Postawny, wysoki brunet o czarnych oczach, śniadej cerze i krogulczych rysach, od którego emanowały taka siła, determinacja i odwaga, że książę pomyślał, iż bez obaw mógłby w potrzebie powierzyć temu człowiekowi własne życie.

Czartoryski spotkał go jeszcze w powstaniu, gdy Czaykowski

służył pod rozkazami Karola Różyckiego w wołyńskiej dywizji kozaków. Po kapitulacji Warszawy księżę dołączył do oddziałów Różyckiego, które zmierzały do Galicji, do Krakowa. Już wtedy zwrócił uwagę na młodego, rzutkiego oficera, który przy obozowych ogniskach śpiewał mocnym głosem ukraińskie dumki i pieśni, otoczony wyraźnym uwielbieniem swoich kozaków.

Na emigracji w Paryżu Michał Czaykowski przystał początkowo do demokratów, ale także dał się poznać jako pisarz, swoją tęsknotę za kozacką ojczyzną przelewał bowiem na papier i tworzył historyczne powieści kozackie opiewające jego ojczyste strony. Książki te budziły prawdziwe poruszenie i aplauz w polskim świątku, szczególnie powieść *Wernyhora*, która wieszczyla rychłe zwycięstwo i wolność dla Polski nadchodzącą ze Wschodu. Jednak pisarska sława nie wystarczyła młodemu Czaykowskiemu – czuł przemożną potrzebę działania.

Początkowo związał się wprawdzie z obozem demokratów, ale rozczarowany ich jałowymi dyskusjami doszedł do przekonania, że tylko monarchia jest ustrojem zdolnym uratować Polskę i wszyscy Polacy powinni oddać się pod władzę księcia Czartoryskiego.

Był człowiekiem statecznym, miał młodą francuską żonę i troje małych dzieci. Ale i entuzjastą wielkich projektów księcia. Początkowo Adam Czartoryski powierzył mu pewną misję w Watykanie – rzecz była delikatna, bo potępienie przez papieża powstania listopadowego wywarło na Polakach fatalne wrażenie, a księżę nie wyobrażał sobie swoich działań bez papieskiego poparcia i błogosławieństwa. Czaykowski miał więc wyjaśnić w Watykanie sytuację polskich księży, a także zorientować się w możliwościach kontaktów z krajem przez Polaków licznie zjeżdżających do Rzymu. Wywiązał się z tej misji sumiennie.

Pewien jego oddania, szczerego zapału, a także zdolności organizacyjnych, książę Czartoryski wysłał go w czerwcu 1841 roku do Stambułu, by kierował tam Agencją Wschodnią. Czaykowski miał prowadzić działania polityczne pod pretekstem studiów etnograficznych i historycznych o Słowianach. Gdy książę powiadomił go o tym na osobistym spotkaniu, zobaczył błysk entuzjazmu i czyste oddanie w jego oczach. I usłyszał to, czego mniej więcej się spodziewał.

– Jestem gotów na wszystkie niebezpieczeństwa i poświęcenia – zapewnił gorąco Czaykowski. – Niechaj książę na mnie nie zważa, tylko na sprawę. Ja księcia kocham jak Polskę, bo w moim mniemaniu księcia i Polskę wiąże węzeł nierozdzielny.

Czaykowski ruszył natychmiast, powierzając swoją żonę i dzieci opiece księcia, a odkąd stanął na tureckiej ziemi, regularnie, co dziesięć dni, słał Czartoryskiemu szczegółowe raporty ze swoich dokonań.

W jednym z pierwszych donosił: „Z tego, co widzę i co słyszę od rozmaitych ludzi, państwo otomańskie gorzej jak cherlawe, zesłabło i znikczemniało, lud, straciwszy wiarę, traci uczciwość. Rząd niedołączny, urzędnicy, aż do ministrów, sprzedajni. Jeśli Turcja nie będzie mogła się ostać, niechże przynajmniej z jej rumowiska jakieś siły Polska dla siebie wyprowadzi. Ja chęć mam, na tym mi nie zabraknie, wiarę mam, że potrafię”.

Okazało się szybko, że Czaykowski umiał olśnić tych „cherlawych”, „sprzedajnych” i „niedołącznych” tureckich urzędników swoją energią, pomysłowością i zdolnościami organizacyjnymi. Jego perswazja była tak skuteczna, że na sułtańskim dworze zaczęto wkrótce dostrzegać korzyści płynące z obecności polskiego wojska, zdatnego i chętnego do walki przeciw Rosji.

W swojej inicjatywie Czaykowski posunął się jeszcze dalej – rzucił pomysł utworzenia w okolicach Sztambułu polskiej osady, w której z czasem mogliby się osiedlać polscy dezercerzy z carskiej armii oraz polscy jeńcy pojmani przez kaukaskich górali. Okazało się, że wielu z tych nieszczęśników było sprzedanych tureckim panom na czarnomorskich targach niewolników i latami zmuszanych do niewolniczej pracy. Po latach bywali uwalniani – wtedy jednak błakali się jak włóczędzy czy żebracy po całym imperium osmańskim. Bo nawet gdy wolni – dokąd by mieli wracać? We własnym kraju pod rządami cara czekałaby ich kara za dezercję, a w najlepszym razie ponowne wcielenie do carskiej armii.

Nie mogąc więc wrócić do domu, tułali się po tureckiej ziemi, najczęściej w nędzy, zwątpieniu, a często i w chorobach, i słabościach. Czy nadawali się na żołnierzy nowego wojska polskiego? Może nie w tym stanie, ale tym bardziej potrzebowali przyjaznej polskiej osady, w której mogliby osiąść wśród swoich, zbudować dom, uprawiać ziemię, wydobrzeć, a z czasem, gdy będzie taka potrzeba i możliwość, przywdziać polski mundur i znów upomnieć się o Polskę.

Takie wizje słał do Paryża Michał Czaykowski, a książę, czytając te raporty, miał wreszcie poczucie, że jego projekty i marzenia zaczynają się powoli materializować z pomocą i nieocenionym udziałem tego energicznego i odważnego piewcy kozaczyzny. A gdy jego agent główny na Wschodzie po wstępnym rozpoznaniu sytuacji wskazał lokalizację osady na azjatyckim brzegu Bosforu, na ziemi dzierżawionej od francuskich księży lazarystów, i zaproponował jej nazwę – Adampol – wtedy starego księcia, wytrawnego dyplomata i człowieka, który przeżył naprawdę wiele wzlotów i upadków, chwyciło za gardło prawdziwe wzruszenie.

Adam Czartoryski wierzył, że stopniowe usamodzielnienie i uwolnienie ludów słowiańskich jest nieuchronne i z czasem zmieni układ sił w Europie. Wzywał Turcję do ustępstw na rzecz Słowian południowych. I niestrudzenie, choć bezskutecznie, zabiegał o poparcie dla swoich proslowiańskich projektów wśród zachodnich polityków.

Ktoś ze znajomych powtórzył mu kiedyś opinię Zygmunta Krasieńskiego o dyplomatach: „Są to ludzie o małych widokach, o miodowych słówkach, goniący za orderem, za urzędem dworskim, poświęceni całą duszą rozkazom, choćby najpodlejszym”. Niestety, po latach spędzonych w dyplomacji księżę musiał przyznać mu rację, choć sam zawsze kierował się zupełnie innymi zasadami. Czasem odnosił wrażenie, że jego współpracownicy na Zachodzie stali się ostrożni, jakby obawiali się, że współpraca z nim może być dla nich kłopotliwa i stanowić przeszkodę w dalszej karierze. Za plecami oskarżano bowiem księcia i jego agentów o sianie zamętu i rewolucyjną agitację wśród poddanych sułtana. A mącicieli i rewolucyjnych agitatorów nie lubią żadne rządy ani dwory.

PARYŻ, 27 WRZEŚNIA 1841

Jakiś nieznany nikomu prorok z Litwy pojawił się w Paryżu i siłą swojego spojrzenia, a może siłą słów, uzdrowił Celinę Mickiewiczową! Taka wieść obiegła błyskawicznie i zelektryzowała całą polską emigrację w Paryżu.

Już od dawna szeptano po polskich klubach, barach i kwaterach, że z żoną Adama jest coraz gorzej. Nie była nawet zdolna do opieki nad własnymi dziećmi, które ludzie z litości przygarnęli pod dach swój, gdy ona trafiła do zamkniętego zakładu. Dla obłąkanych –

dodawano ze zgrozą i ze współczuciem dla wieszca. Czy to był obłąd, zwykła zgryzota i brak sił, czy zły duch, nikt tego nie wiedział. Dość, że Adam chodził przygnębiony i smutny, a oczy jego straciły blask i nadzieję.

I nagle – cud! Uzdrawienie! Gdy tylko ów prorok do niej przemówił, Celina spojrzała, otrząsnęła się z odrętwienia, uścisnęła męża i gotowa była wracać do domu. Adam odżył, rozpromienił się i zaufał uzdrowicielowi. Spędzał z nim długie godziny na rozmowach. A bliższych i dalszych znajomych przekonywał, że to prawdziwy prorok, który jeszcze na Litwie doznał objawień i zna prawdy zmieniające życie.

Nazywał się Andrzej Towiański. Mówił, że przyjechał do Paryża na pogrzeb Napoleona i że ma specjalną misję i naukę dla tutejszych Polaków. Adam osobiście pisał do wielu rodaków, odwiedzał ich i zapraszał na specjalną mszę świętą w katedrze Notre Dame, po której Mistrz, bo tak go poeta nazywał, miał przemówić do paryskiej Polonii.

Maurycy także znalazł się wśród zaproszonych bezpośrednio przez Mickiewicza. Wrześniowe słońce błyszczało na wodach Sekwany, gdy Maurycy szedł kamiennym mostem w kierunku katedry na wyspie. I znów, jak w drodze na prelekcje Adama, widział nadchodzących z różnych stron miasta Polaków gotowych uczestniczyć w kolejnym narodowym wydarzeniu. Czyż nie byli jedną wielką rodziną? Owszem, skłóconą trochę i podzieloną, ale przecież złączoną wiecznymi więzami na dobre i na złe na tej wciąż obcej ziemi... Cóż im pozostało, prócz siebie nawzajem, wspólnych marzeń i wspólnej pamięci? Więc zmierzali tu tłumnie, by znów przeżyć coś razem, skoro sam Adam Mickiewicz zapraszał i przekonywał. Nie zważali na stragany rozstawione na placu katedralnym, na nawoływania sprzedawców i ulicznych handlarek.

Szli prosto do celu.

Maurycy zanurzył się w znajomy mrok katedry Notre Dame. To wspaniałe, strzeliste wnętrze, kierujące wzrok i myśli ku górze, zawsze trochę go onieśmiało. Majestat kamiennych kolumn, rzeźb i witraży, barwiących promienie słońca na kolor purpury i błękitu, był zupełnie inny niż atmosfera wileńskich kościołów, które Maurycy podziwiał w młodości. Wyczuwał w tym wnętrzu ogromną pasję, niezwykły kunszt i wiedzę dawnych budowniczych, a także ich wielką dumę z tworzenia takiego pomnika, który, bez wątpienia, miał olśnić świat. Nie czuł tu jednak przyjaznego ciepła, które tak lubił w świątyniach w Wilnie. Monumentalny ogrom katedry raczej go przytłaczał, niż olśniewał.

Wchodząc, przeżegnał się, przyklęknął, ukłonił się znajomym. Usiadł w głównej nawie, niedaleko ołtarza, by wszystko widzieć dokładnie. Wsłuchiwał się w potężny dźwięk organów na rozpoczęcie mszy.

Kiedy msza dobiegła końca i kapłan pobłogosławił zebranych, Francuzi opuścili katedrę, a polscy emigranci siedzieli nieporuszeni w ławkach. Najciekawsze miało dopiero nadejść.

Wtedy na schody ołtarza wszedł niewysoki czterdziestoletni mężczyzna w staromodnym brązowym surducie i w drucianych okularach. Przyklęknął przed ołtarzem, wstał i odwrócił się do zebranych. Ależ był podobny do Napoleona! – ta myśl uderzyła Maurycyego, bowiem gdy niedawno sprowadzono prochy cesarza do kościoła Inwalidów, cała francuska i emigracyjna prasa pisała o cesarzu, umieszczając w artykułach jego podobizny i portrety. Andrzej Towiański być może zdawał sobie sprawę z tego podobieństwa, bo prawą rękę wsunął napoleońskim gestem między poły surduta. Słońce stanęło wysoko nad katedrą i witraże rzucały purpurowo-błękitno-złote promienie na jego sylwetkę.

Towiański przemówił w zupełnej ciszy, owiany lekko dymem mszalnych kadzideł.

– Bracia! Rodacy! – powiedział mocnym głosem, który, jak potem mówiono, niektórych wręcz zahipnotyzował. – Stając po raz pierwszy przed wami, składam najpierw korne dzięki Bogu za to miłosierdzie jego, że pomimo licznych przeciwności raczył doprowadzić mnie do was i że dziś, w tej świątyni, pozwala mi wobec was rozpocząć powołanie moje. Od dawna serce moje gorąco pragnęło zbliżyć się do was, kochani rodacy, i oddać wam to, co z góry otrzymałem dla was, ale teraz dopiero wybiła na to godzina Boża.

Niech wyrażenie to z góry nie zadziwia was, bracia moi. Nie przynoszę wam bowiem ani mądrości rzeczy ludzkich, ani nauki, umiejętności, talentów – tych więcej ode mnie posiadacie. Z wyżej idzie to, co wam przynoszę, bo idzie to z woli i z łaski Bożej, idzie ze źródła otworzonego przez Chrystusa Pana. Z woli Bożej opuściłem ziemię urodzenia i przychodzę do was, rodacy, aby wam złożyć poleczone mi dla was słowo pociechy i radości; aby wam pierwszym zapowiedzieć, że wypełniły się już czasy i wybiła godzina zlitowania Bożego, że przybliżyło się Królestwo Boże; aby zapowiedzieć wam epokę chrześcijańską wyższą, która otwiera się dziś na świecie, i Sprawę Bożą, która do tej epoki wprowadza człowieka. Przychodzę do was na koniec, aby wam przedstawić i razem z wami spełniać ważne powołanie nasze, do którego podobało się Bogu w dziesięcioletniej rekolekcji na obcej ziemi przygotować was jako synów narodu wysoko chrześcijańskiego.

Dziś powołanie to ogólnie tylko objaśniam wam. Czujecie, bracia, jak smutny jest stan chrześcijaństwa na świecie, jak bardzo oddalił się świat od drogi zbawienia, jak zniża się w duszy, a podnosi się w samym tylko postępie ziemskim. Zdeptana

prawda, sprawiedliwość... powszechną stała się niewola, złe rządzi światem... Otóż kiedy tym sposobem złe dochodzi do szczytu i godzi już na zupełną zagładę chrześcijaństwa, Bóg w niewyczerpanym miłosierdziu swym, dla ratunku człowieka, otwiera mu w sprawie swojej źródło światła i siły chrześcijańskiej, aby człowiek tym światłem i tą siłą poznał i spełnił wezwanie Boże, aby z manowców swych wszedł na prostą drogę chrześcijańską...

A wy, bracia, jesteście pierwsi powołani do udziału w tej wielkiej sprawie miłosierdzia Bożego, sprawie ratunku i postępu człowieka. Czynię wam, bracia, ten wylew duszy mojej w przekonaniu, że nosząc w duszach przecucie i tęsknotę do zbliżającego się dnia Bożego, wierzycie nie mnie – prochowi, ale głębszemu uczuciu, które żyje w was!

Maurycy słuchał tych słów i był pod silnym wrażeniem tego człowieka, od którego biły siła, pewność siebie, a także trudna do określenia, lecz mocno odczuwalna dobroć i prawość. Łatwo mu było zaufać. I chciało się wierzyć jego słowom. Odnowa chrześcijaństwa? Nowa epoka? Zawrócenie z manowców? Och, jakże tęsknili ci rozbitkowie do nowej, lepszej epoki, w której mogliby żyć w spokoju serca, w wolności i w zgodzie ze sobą i światem.

I jeszcze powiedział ten podobny do Napoleona człowiek, że to oni właśnie, zapomniani już przez świat dawni żołnierze wolności, „hufiec wolnych bohaterów”, są powołani do udziału w sprawie miłosierdzia Bożego, w sprawie ratunku i postępu człowieka. Czyż nie to właśnie zapowiadał im Mickiewicz, ich wieszcz, przed dekadą w swoich *Księgach*... – że będą pielgrzymami, odnowicielami moralności zepsutej Europy?

Więc słuchali teraz tego nowego proroka, którego Adam im

przyprowadził i za którym stanął, a w chłodnym powietrzu katedry pachnącym dymem kadzideł wyczuwało się napięcie, skoncentrowaną uwagę i pełen wzruszenia, uroczysty nastrój.

Prorok mówił dalej:

– W ciągu usługi mojej przekonacie się, rodacy, że ta sprawa, którą wam zapowiadam, jest Sprawą Bożą, którą Chrystus Pan czynił. Niczego nie zmieniam, co Kościół święty naucza. Ewangelia jest jedynym światłem i prawem moim, nic wyższego nad to nie zejdzie na ziemię. Powołany służyć człowiekowi w epoce wyższej, na drodze chrześcijaństwa prawdziwego i praktykującego na wszelkim polu życia człowieka, usiłować będę okazywać to chrześcijaństwo w spełnieniu, w czynie, w życiu moim. Służąc wam, niczego pragnąć nie będę oprócz spótki waszej bratniej w umiłowaniu i spełnianiu jednej dla nas wszystkich woli Bożej. Zapewniam was, że tych granic powołania mojego nie przekroczę, że na stanowisku przeznaczonym mi wolą Bożą trwać będę i w poświęceniu się i w pracy mojej nie ustanę. Oby raczej pasmo dni moich przecięte zostało, niżbym w postępowaniu moim dopuścić miał co nieczystego i przeciwnego temu, co zapowiadam!

Kończę dzisiejsze przemówienie moje, obiecując wam, że co dziś zapowiedziałem najogólniej, to postaram się wyjaśnić w usługach, które wam ofiaruję. Dodam tylko dla pociechy waszej, bracia rodacy, że naród nasz powołuje się dziś przez Sprawę Bożą, aby objawił chrześcijaństwo w życiu swoim prywatnym i publicznym, aby przez to stał się w epoce tej wyższej narodem – sługą Bożym, wzorem życia chrześcijańskiego dla świata. Wspólne to nam powołanie z niektórymi innymi narodami, ale Polska, jako znakomita część plemienia słowiańskiego, które czyściej i goręcej niż inne plemiona przechowało w duszy skarb ognia Chrystusowego, skarb miłości, czucia, jest znakomitym węgielnym

kamieniem podnoszącej się Sprawy Bożej, sprawy zbawienia świata!

Głosem uroczystym i donośnym tak, że można go było słyszeć w każdym zakątku katedry, Towiański dodał:

– A teraz, odwołując się do czynnego uczestnictwa, do którego z woli Bożej wezwałem, zapowiadam w obliczu Boga, którego wolę spełniam, że Sprawa Boża i epoka chrześcijańska wyższa rozpoczęte zostały!

Następnie padł na twarz i ze łzami najgłębszego wzruszenia zawołał:

– Boże miłosierny! Dzięki Tobie za ten początek spełniania się woli. Błogosław początkowi temu i doprowadź nas do naznaczonego końca, do całkowitego spełnienia woli Twojej.

Wzruszenie było powszechne. Jedni mieli łzy w oczach, inni szlochali w głos, jeszcze inni modlili się głośno. Andrzej Towiański wstał i razem z Adamem Mickiewiczem wyszedł bocznym wyjściem. A zgromadzeni posiedzieli jeszcze chwilę pośród kamiennych kolumn i witraży, by wchłonąć słowa, które wybrzmiały ze stopni ołtarza. Wielu miało poczucie, że uczestniczyli właśnie w czymś wyjątkowym i wzniosłym. Po czym rozeszli się w ciszy do siebie. Niektórzy z całkiem nową nadzieją w sercu.

PARYŻ, PAŹDZIERNIK 1841

Księżę Adam Czartoryski wrócił do Paryża z Anglii, a pierwsza nowina, jaką usłyszał, dotyczyła nowego proroka z Litwy. Jego słowa wstrząsnęły całą emigracją, a najbardziej, podobno, Mickiewiczem, który mówi o nim „Pan nasz i Mistrz”. Trochę to zaniepokoiło księcia. Postanowił przyjrzeć się sprawie bliżej.

W związku z tym zaprosił do siebie na niedzielny obiad Adama Mickiewicza, by z nim porozmawiać. Chciał mieć też przy sobie Władysława, z którego chłodną i trzeźwą opinią zawsze się liczył.

Adam Mickiewicz stawiał się punktualnie. Wyglądał znacznie lepiej niż ostatnio, wszystkie guziki jego surduta były starannie przyszyte, co mogło świadczyć o tym, że z jego żoną było rzeczywiście lepiej. Miał zwyczaj obrywania guzików, a gdy Celina przebywała w zakładzie, chodził czasem w poplamionym ubraniu i z nitkami w miejscu guzików.

– Jakże się miewa pańska żona, panie Adamie? – zapytała z troską księżna Anna, gdy poeta pojawił się w salonie.

– Dzięki Bogu dużo lepiej, księżno! – odpowiedział z zapałem. – Zawdzięczamy to temu niezwykłemu mężowi, którego nie zawaham się nazwać „Panem i Mistrzem”, a który uratował nie tylko moją żonę, ale i dla nas wszystkich ma ratunek.

Władysław Zamoyski zmarszczył brwi, patrzył na poetę badawczo, nieufnie, ale milczał.

– Czy rzeczywiście tak do Napoleona podobny, jak mówią? – dopytywała księżna.

– Uderzająco! On kroczy śladami Napoleona – mówił w uniesieniu Mickiewicz. – Napoleon był poprzednikiem Sprawy Bożej, niósł idee zdemokratyzowania świata. Był powołany dla jego odnowy, jednak zmarnował tę szansę. Zbyt zaplątał się w sprawach ziemskich. Ale teraz Sprawa Boża znalazła się z łaski niebios w odpowiednich rękach!

Księżę Czartoryski przysłuchiwał się temu z niepokojem. Bardzo cenił umysł, wiedzę i talent Adama Mickiewicza, otaczał go opieką i dyskretną pomocą jeszcze w dawnych, wileńskich czasach. Liczył na jego pomoc przy swoich politycznych projektach.

Z Napoleonem z kolei miał księżę swoje dawne zatargi: nie

poparł go w czasach Księstwa Warszawskiego, trwając wówczas u boku cara Aleksandra, wbrew całemu niemal środowisku polskiej arystokracji, w tym własnej rodziny. Księżę nigdy nie uległ czarowi napoleońskiej legendy. W głębi serca uważał cesarza Francuzów za obdarzonego talentem wojskowym parweniusza, uzurpatora, któremu uderzyła do głowy nagła władza i jej wierna towarzysząca, pycha. Nie widział w tym nic wzniosłego, dostrzegał raczej tragizm historii i tych milionów żołnierzy wykrwawionych na polach bitew od Półwyspu Iberyjskiego do Moskwy aż po Egipt i San Domingo. Teraz więc egzaltowane wywody Mickiewicza na temat Napoleona i pana Towiańskiego były dla księcia podwójnie przykre.

W drzwiach pojawił się kamerdyner i dał księżnej Annie dyskretny znak, że stół jest nakryty i gotowy do obiadu.

– Zapraszam państwa do stołu! – powiedziała księżna, wstając. – Proszę za mną!

I poprowadziła gości i domowników do sąsiedniej jadalni z pięknie nakrytym stołem, pełnym stołowych sreber, płonących w lichtarzach świec i jesiennych kwiatów.

Gdy wszyscy zasiedli, służba podała czerwony barszcz z kołdunami, który Mickiewicz uwielbiał. Zaczęto jeść, a księżę siedzący u szczytu stołu zapytał:

– No dobrze, panie Adamie, rozumiem, że ten litewski prorok chce kroczyć śladami Napoleona, ale cóż on właściwie mówi, czego chce i czego żąda?

Mickiewicz przełknął następną łyżkę barszczu. Choć uwielbiał i barszcz, i kołduny, odłożył łyżkę, bo wyjaśnienie sprawy Czartoryskiemu wydało mu się znacznie ważniejsze.

– Rzecz w tym, księżę, że Towiański zwiastuje nam nową, doskonalszą moralnie epokę. On widzi rozwój świata jako

wznoszenie się duchów ku Bogu w szeregu kolejnych wcieleń. Dzieje świata to plan opatrności realizowany przez genialne jednostki, a poprzez nie – narody. Bóg działa za pośrednictwem jednostek i narodów. Ale czasem jeden żywot nie wystarczy człowiekowi, by wypełnił planznaczony mu przez Boga. Wtedy duch musi dokończyć zadanie w kolejnym żywocie albo jeszcze w kolejnym...

– Toż to czysta herezja! – nie wytrzymał Władysław Zamoyski.

Ale Mickiewicz nie zwrócił na niego uwagi i tłumaczył dalej księciu:

– Towiański widzi świat jako jednolitą, rozwijającą się stopniowo zbiorowość nieśmiertelnych duchów, które przebywają różne fazy ewolucji, częściowo w żywotach cielesnych, częściowo w bezcielesnych. To jest metempsychoza, inaczej zwana reinkarnacją. W Indiach i w ogóle w Azji uznają ją za coś oczywistego. Sens jej najgłębszy jest taki, że jest możliwość doskonalenia się dzięki reinkarnacji, ale zarazem człowiek jest absolutnie odpowiedzialny za każdy swój czyn.

– Zatem pan rzeczywiście wierzy, panie Adamie, że żyjemy kilka razy w różnych ludzkich ciałach? – dopytywała księżna Anna.

– Ha! Nie tylko w ludzkich, księżno. Bo forma, jaką duch przybiera na ziemi, jest skutkiem jego wcześniejszych żywotów: niższa, jak zwierzęta, rośliny, a nawet kamienie, jest człowiekowi za karęznaczona, a wyższa, czyli ludzka, o większej świadomości, jest nagrodą. Duch przebywa kolejne żywoty, dopóki nie wzbije się ponad świat materii. Istota ducha jest więc określona przeszłością metempsychiczną. Mistrz mawia, że człowiek każdy na to stworzony, aby urósł na wielkiego człowieka. Jedno życie na ziemi nie wystarczy jednak na to, by osiągnąć doskonałość. Toteż duch wciela się kilkakrotnie, przyjmując warunki nowego

życia takie, na jakie zasłużył poprzednim.

– Niechże pan zje trochę barszczu, panie Adamie – zatroszczyła się księżna Anna – bo całkiem panu wystygnie. A my tu przemyślimy sobie pańskie słowa.

– Dziękuję, księżno – powiedział Mickiewicz, zajął się kołdunami i poprosił o drugą porcję. Bo choć Celina ozdrowiała i przyszyła mu guziki, to jednak kucharką nigdy nie była dobrą.

A kiedy służba zabrała talerze, w przerwie między daniami poeta wyjaśniał dalej:

– Andrzej Towiański jest przekonany, że teraz następuje nowy, wyższy okres w chrześcijaństwie. Że Opatrzność powierzyła mu misję prowadzenia na ziemi Sprawy Bożej. Ma ona polegać na zorganizowaniu wyznawców, wśród których należy pracować nad wewnętrznym doskonaleniem duchowym. Ono z kolei ma prowadzić do odnowy świata w nowym duchu, bez wojen, we wzajemnej harmonii. Kolumny ciemnych duchów, co się nagromadziły nad ziemią, mają pierzchnąć, odstąpić przed kolumnami duchów jasnych. Przez nie urzeczywistni się łączność z niebem. Moc piekła i szatana będzie wygasła. Czy nie na to czekamy wszyscy z nadzieją, książę?

Adam Czartoryski rozważał jego słowa i milczał.

– A czy ten pański prorok, panie Adamie, wypowiada się także w kwestiach politycznych? – zapytał czujnie Władysław Zamoyski.

– Czy jego wizje dotyczą także losów naszego kraju? Wszyscyśmy ciekawi, jaką on przyszłość Polsce wróży.

Jakby na potwierdzenie tej ciekawości wszyscy zgromadzeni przy stole popatrzyli na Adama Mickiewicza, czekając, co powie.

– Według Mistrza nie można być prawdziwym chrześcijaninem, nienawidząc innego człowieka – odpowiedział poeta. – A do walki potrzebna jest nienawiść. Jak zatem pogodzić chrześcijaństwo

z patriotyzmem? Oto przed nami patriotyzm nowej epoki. Jeśli w stosunki międzynarodowe wprowadzi się zasady chrześcijańskie, nie będzie uciskanych i uciskających, nie będzie przeciwko komu się buntować i walczyć. To nie bunty przeciwko drugiemu wyzwalają z mąk, ale praca nad zwalczaniem własnych słabości. Wojna, jaka by była, zawsze jest dziełem szatana. Niesie ze sobą rozkład moralny społeczeństw – codziennością są gwałty, kradzieże, bo skoro można zabijać, to można wszystko. A przecież żadne położenie człowieka nie usprawiedliwia połamania prawa Chrystusowego. Dlatego Polacy muszą oddzielić świętą narodowość naszą od tego fałszywego pierwiastka, który za sprawą złego przymieszał się do niej, skaził ją i poczytany został za cnotę, za charakter polski. Autorytet, sławę, a nawet władzę budowało się przecież na patriotyzmie utożsamianym z nienawiścią do innych narodów. Mistrz mówi o miłości do Moskali i w ogólności do wszystkich. Bo Mistrz dzieli ludzi nie według ras czy narodowości, ale na tych, co służą złu lub dobru. Uważa, że łagodne i ludzkie obchodzenie się z nieprzyjaciółmi jest wielkim czynem. Bowiem tylko braterstwo powszechne przyniesie pokój i zakończy niedolę człowieka.

Władysław Zamoyski, zaprawiony w dyplomacji, wysłuchał tych wyjaśnień spokojnie, z jak zawsze chłodną i opanowaną twarzą, pełną dystansu i rezerwy. Jedynie księżna Anna dostrzegła, że podczas wywodu gościa minimalnie drgała mu prawa powieka, co było znakiem nadzwyczajnego wewnętrznego wzburzenia.

Po obiedzie podano kawę i lody. Gospodarze wyglądali na nieco przytłoczonych ilością proroczych rewelacji, ale Adam Mickiewicz delectował się deserem. Wypalił też z przyjemnością zaproponowane mu cygaro.

– Drogi księżę, cóż tu opowiadać dalej – powiedział, gdy nie

było już dalszych pytań. – Ja sam mu wierzę! Ale Mistrz do księcia przyjdzie osobiście, wtedy się ksiązę przekona, co to za człowiek, i sam go ksiązę oceni. A wówczas, z księcia łaskawym poparciem, dopiero cała nasza emigracja się zjednoczy i odnowi. I jeśli Bóg pozwoli, naznaczoną sobie przez Boga rolę wypełni.

Kiedy Mickiewicz pożegnał się i wyszedł, zapadło milczenie. Jakby wszyscy mierzyli się z tymi rewelacjami i jakby wciąż się zastanawiali, jak mają się do nich odnieść. Ciszę przerwała księżna Anna:

– I cóż, mój drogi, przyjmiesz tego proroka? Z pewnością tu zawita.

Ksiązę popatrzył na żonę, potem na Władysława.

– Raczej nie – powiedział ostrożnie. – Nie przyjmę go, bo skoro taki duch jak Mickiewicz mu uległ w zupełności i dał się omotać, to ja nie będę ryzykować. Ktoś przecież musi zachować trzeźwość i niezależność sądu.

– Bardzo słusznie, wuju! – poparł go Władysław. – Według mnie to jakiś hochsztapler, a w najlepszym razie heretyk! Kościół z pewnością go nie uzna, choć się powołuje na chrześcijaństwo. A to nawoływanie do pojednania z Rosjanami pachnie mi zwyczajną zdradą! My się tu sposobimy do wojny z Rosją, a on się chce z nimi jednać i kochać! Któż to wie, czy go ambasada moskiewska nie opłaca i nie inspiruje. Ja także nic z nim wspólnego mieć nie chcę i widywać go nie mam zamiaru!

PARYŻ, PAŹDZIERNIK 1841

Wielki ferment, jaki wywołał Andrzej Towiański wśród paryskich emigrantów, miał swoją kontynuację dzięki zaangażowaniu Adama Mickiewicza w tę sprawę. To w jego mieszkaniu odbywały

się pierwsze spotkania tych, którzy uwierzyli Mistrzowi, a przynajmniej pragnęli lepiej zrozumieć jego nauki.

W jednym z takich spotkań uczestniczył także Maurycy Kamienicki. Prócz niego przy stole w salonie poety zasiadło jeszcze kilku znajomych Litwinów.

Celina Mickiewiczowa wyglądała dużo lepiej niż ostatnio, była uśmiechnięta i spokojna, w jasnoszarej sukni. Zdążyła już położyć dzieci do snu i ustawić na stole owoce, ciastka i wino. Usiadła razem z nimi, wpatrzona w Towiańskiego, który przywrócił jej zdrowie i siły.

– Bracia! – zaczął uroczyście Adam, wstając. – Zaprosiłem was tu, abyście mogli wysłuchać, zrozumieć lepiej i przyjąć nauki Mistrza, tak jak i ja je przyjąłem. Wiecie dobrze o cudownym uzdrowieniu mojej żony. Lecz to nie jest jedyny powód, dla którego mu zaufałem. Oto chcę wam powiedzieć, że nauki Mistrza zgadzają się głęboko z tym, com ja sam przeczuwał już dawno, jeszcze w wileńskich czasach. A kto by się dobrze wczytał w moją poezję, to by tam znalazł tego potwierdzenie. Słuchajcie zatem nauki Mistrza, bo w jego słowach jest prawda mu objawiona. To wielki dar dla nas. Mistrzu! Prosimy!

Mickiewicz usiadł. Andrzej Towiański dopił swój kieliszek wina, dokończył ciastko z orzechami i miodem. Wstał i objął siedzących przy stole uważnym spojrzeniem i ciepłym, ojcowskim niemal, uśmiechem. I zaczął mówić...

Maurycy słuchał tego litewskiego proroka z uwagą. Bardzo chciał zadać mu pytanie, które nurtowało go od zawsze i dla którego wybrał przed laty studia historyczne zamiast zalecanej przez ojca medycyny. Dlatego kiedy Andrzej Towiański skończył swój wywód i zagadnął, czy są jakieś pytania, Maurycy zgłosił się jako pierwszy. Podniósł rękę. Wtedy spoczął na nim przenikliwy,

hipnotyzujący wzrok Mistrza, błękitne spojrzenie zza drucianych okularów. Zachęcające i uważne.

Maurycy poczuł dziwną siłę tego spojrzenia. Odchrząknął.

– Rozumiem koncepcję wędrówki duchów przez kolejne wcielenia w czasie – powiedział. – Ale jaki jest cel i wyższy sens tej wędrówki? A szerzej: jaki jest właściwie sens i cel historii, tych wydarzeń, w których uczestniczymy? Po co przeżywamy to, co nam się przytrafia? Po co rozbiory Polski, po co chwała i upadek Napoleona, po co nasze powstanie i emigracja? Po co tyle cierpienia? Jaki jest tego sens?

Towiański uśmiechnął się do niego ciepło.

– Ważne pytania, bracie – przyznał. – Ostatecznym celem świata, celem jednostek, narodów i całej historii jest osiągnięcie takiej doskonałości przez wszystkie duchy, aby mogły powrócić do źródła, do Boskiej miłości. A więc ewolucja ducha, nauka przez doświadczenia i doskonalenie. Jednak droga do tego długa i pełna ofiar. Dopiero ucieleśnienie ducha stwarza mu możliwość postępu, ponieważ duch, doskonaląc siebie, przemienia zarazem ziemię i przybliża panowanie na niej Królestwa Niebieskiego. Świat to drabina od nicości do Boga wiodąca. Na początku „słowo ciałem się stało” – duch zmaterializował się w rzeczywistości ziemskiej. Wędrówka dusz przez kolejne wcielenia daje nieskończone możliwości doskonalenia się.

– Więc czemu ten świat wciąż jest taki niedoskonały? Czemu ciągle tu tyle zła, obojętności, cierpienia? – zapytał dramatycznym tonem jeden z gości.

Andrzej Towiański przeniósł na niego wzrok.

– Aby na ziemi zapanowało Królestwo Niebieskie, ludzie muszą najpierw zrezygnować ze swych egoistycznych dążeń – odrzekł. – Nie jest łatwo panować nad skłonnością do złego, dlatego nazywa

się to ofiarą. A do tego potrzebna jest pokora, czyli wyrzeczenie się pychy. Pokora realizuje się w ofierze. Kto bowiem chce odrodzić życie od podstaw, ten musi troszczyć się o wykorzenie zła w samym źródle działania, czyli w duszy ludzkiej, musi więc położyć nacisk na wewnętrzne przemiany. Dlatego nie ma dla nas nic ważniejszego niż naprawa życia moralnego, uczynienie początku praktyki chrześcijaństwa w całym życiu człowieka, prywatnym i publicznym. Służba Bogu, bliźniemu i ojczyźnie.

Maurycy wysłuchał odpowiedzi Towiańskiego i nagle wszystko to wydało mu się proste, naturalne i oczywiste. Jak to możliwe, że sam na to nie wpadł? Przecież ciągła nauka, poszerzanie świadomości i doskonalenie ducha są najprostszym wytłumaczeniem porządku świata! Czymże ma być nasze życie tu, jeśli nie nauką i ciągłym dążeniem do boskiej doskonałości?

Słowa Towiańskiego były Maurycemu bliskie. Zaskakująco bliskie temu, co słyszał często z ust swojej żony Kaliny. Koncepcja reinkarnacji, wielokrotnego wcielania się nieśmiertelnej duszy w ludzkie ciała, była jedną z pierwszych, jakie przyjął w młodości, gdy zaczął odwiedzać w leśnej pustelni Kalinę i jej ojca – strażników dawnej słowiańskiej wiedzy. Z czasem uznał za zupełnie naturalne to, w co wierzyła jego pogańska, jasnowidząca żona, pamiętająca swoje dawne wcielenia: że duch uczy się, zbiera życiowe lekcje i doskonali się w kolejnych żywotach. Teraz Maurycy zrozumiał, że to samo dotyczyło też narodów i dziejów świata. I pojął wreszcie, że w tym właśnie, w nauce i doskonaleniu moralnym jednostek, narodów i świata, leży sens dziejów i sens ziemskiego doświadczenia. W tysiącach, w milionach odmian pojedynczych ludzkich losów...

– A Polska? A nasze cierpienie? – dopytywał ktoś, komu wciąż jeszcze słowa Mistrza nie połączyły się w całość.

– Pytasz, bracie, jaki jest sens naszych polskich cierpień – mówił dalej Towiański. – Odpowiem i na to. Aby Polska mogła spełnić swoją misję w całej Słowiańszczyźnie, Polacy będą musieli wyzbyć się nienawiści do Rosji, zrezygnować z walki rewolucyjnej, podjąć działalność wyłącznie duchową. Nie ma dla nas innej drogi niż odnowa moralna i wzniesienie się na wyższy poziom, tam, gdzie miłość, wybaczenie i pojednanie...

Gdy Andrzej Towiański zaczął mówić o koniecznym pojednaniu z wrogami, Maurycy rozumiał go doskonale. Maurycy, który nie znosił rzeczywistości wojny i pola walki, przymusu zabijania wrogów, w którym zanurzył się w czasie powstania, rozumiał głęboko i przyjmował to przesłanie bez zastrzeżeń. On również marzył o czasach, w których wzajemne zabijanie się ludzi nie będzie już uważane za tytuł do chwały. I wciąż pamiętał słowa młodego Korsakowa o przyszłym braterstwie Polaków i Rosjan, o wygaśnięciu narodowych waśni. Czekał na to z nadzieją.

Ale jednocześnie rozumiał, że na emigracji znalazło się wielu dawnych wojskowych, dla których ich bohaterstwo wojenne oraz związane z tym stopnie wojskowe, odznaczenia i medale były wielkim powodem do dumy i istotą ich tożsamości. Wiedział o tym dobrze, słuchał i notował ich opowieści od lat. I nie zamierzali wcale dać sobie odebrać tego przekonania o własnych nadzwyczajnych zasługach na wielu polach bitew.

Zatem gdy padły słowa o konieczności pojednania z Rosjanami, o miłości bliźniego także wobec wrogów, o wyrzeknięciu się zemsty i dalszej walki, Maurycy rozumiał, że nie wszyscy z paryskich rodaków będą gotowi je przyjąć. Przewidywał, że gdy rozniosą się szerzej, będą wywoływać niezadowolenie, oburzenie, a nawet posądzenie o zdradę – oskarżenie w tej społeczności najcięższe.

A jednak sam, w głębi serca, czuł, że Andrzej Towiański ma rację: że jedyną drogą dla świata jest doskonalenie moralne ludzi, dążenie do pokoju, miłości i pojednania między narodami. I sam marzył o takim świecie, w którym nikt nie walczy, nikt nikogo nie uciska, nie prześladowa, nie nadużywa władzy i w którym wszyscy uznają wolność, pokój, miłość i szacunek do innych za nadrzędne prawa.

Postanowił, że jeśli ten prorok rzeczywiście zamierza rozpocząć dzieło Sprawy Bożej tu, w Paryżu, to on, Maurycy, stanie u jego boku i weźmie w tym dziele udział.

1842

PARYŻ, MAJ 1842

Tego dnia Juliusz nie planował pisania poezji, chciał raczej przeczytać świeżo odebraną korespondencję i na nią odpowiedzieć.

Pierwszy list, od Zygmunta Krasińskiego, poruszył go bardzo. Juliusz zwierzył się przyjacielowi ze swoich uczuć do Joanny Bobrowej. Ta piękna kobieta wciąż szarpała jego serce swoimi kapryсами. Zygmunt, który kochał ją dawniej, a potem pozwolił swojemu despotycznemu ojcu zniszczyć ten związek, teraz zajęty był już kim innym – kochał się szaleńczo w Delfinie Potockiej. A o Joannie Bobrowej napisał Juliuszowi tak: „Istota, którą oczy Twe ujrzały, a na którąś oczyma już duszy był spojrział od dawna, jest najśłodsza, najlepsza, najszlachetniejszą z dusz, którym ta planeta jest czyśćcem i męką ciągłą. Ona nigdy a nigdy szczęścia nie zaznała: niesprawiedliwość, oto jej był pokarm ciągły, chleb powszedni... Stąd też wszystkie jej smętki i boleści. Jej, nade wszystko teraz przyjaznej, męskiej, a jednak, że tak powiem, siostrzanej ręki potrzeba; bo zupełnie męska dłoń tylko by palce te białe i miękkie przełamała!”.

A potem Zygmunt radził mu wprost: „Wierz mi, jeśli sam nie chcesz gorzko żałować kiedyś przeszłości, stań się jej przyjacielem, a nie chciej, by serce, które pękło i umarło, zmartwychwstając dla ciebie, stało się upiorem... W przyjaźni będziesz szczęśliwy, kochany, odwzięczony, ale miłość, miłość taka, stanie się goryczą

dla was obojga”.

Juliusz ufał Zygmunutowi jak nikomu innemu, sądził, że on jeden potrafi w pełni zrozumieć i jego samego, i jego poezję. Ale tę radę trudno mu było przyjąć, nade wszystko bowiem pragnął właśnie odwzajemnionej miłości tej kobiety. A jednocześnie, ilekroć ją odwiedzał w jej paryskim mieszkaniu, miał wrażenie, że jest dla niej jedynie bolesnym wspomnieniem jej dawnej, gorącej, brutalnie przerwanej miłości do Zygmunta, że to o nim właśnie, o utraconym Zygmuncie Krasińskim, Joanna rozmawiałaby z nim najchętniej. A na nim samym, na Juliuszu, nie zależy jej ani trochę. Ta bolesna prawda pukała czasem do jego świadomości, ale nie chciał jej wpuszczać. Dopiero teraz ukazała się w całej pełni, wsparta słowami przyjaciela. Czy w tej sytuacji Juliusz chciał pocieszać się „przyjaźnią” tej kobiety? Już chyba nie...

I porwany nagłym impulsem wstał, odłożył list, zbiegł po schodach i wyszedł na gwarną ulicę. Postanowił nie przedłużać swojej udręki i pożegnać się z Joanną na zawsze, nieodwołalnie. Chciał jej to oznajmić osobiście, więc skierował się prosto na Champs-Élysées, gdzie wynajmowała mieszkanie. W ogrodach przy domach rozkwitały bzy i tulipany, na ulicach przekupki sprzedawały pierwsze truskawki, które pachniały rozgrzane słońcem, a Juliusz czuł w sercu smutek, chłód i mrok. Tak, musi zakończyć relację z tą kobietą, która więcej przysparza mu bólu niż radości.

Szedł spiesznie, układając w głowie zdania, które miał zaraz wypowiedzieć, gdy w pobliżu domu Joanny zobaczył na ulicy jej służącą. Ukłoniła mu się.

– Pani w domu? – upewnił się Juliusz.

– Nie, panie. Pani pojechała tam, gdzie się woda leje – powiedziała dziewczyna.

– Pewnie do studni artezyjskiej? – domyślił się Juliusz. – Dobrze, poczekam na nią w mieszkaniu, choćby do obiadu.

Ale dziewczyna pokręciła głową.

– Nie, panie. Obiad gdzie indziej jest obstalowany, pani wróci dopiero na wieczór.

Wtedy Juliusza olśniło, że miejsce, „gdzie się woda leje”, to musi być Wielka Kaskada w ogrodach pałacu Saint-Cloud pod Paryżem. Rozmawiali ostatnio o tym miejscu; Juliusz proponował, żeby pojechali tam razem obejrzeć kunsztowną kamienną konstrukcję połączonych fontann ze strumieniami wody spływającymi po kamiennych stopniach. Joanna Bobrowa widać wolała pojechać tam ze swoim francuskim towarzystwem.

Juliusz odwrócił się na pięcie i wrócił do siebie. Wszedł po schodach na górę, usiadł przy biurku i zamiast odbyć ostatnią rozmowę, napisał pożegnalny list. Był wzburzony. Ale poezja i wierszowane strofy same układały mu się w głowie i pchały pod pióro. Juliusz wziął więc czysty arkusz papieru i napisał na górze:

Do pani Joanny Bobrowej

A niżej:

*O! gdybym ja wiódł Panią do kaskady!
To tak jak ludzie przyjaciołom wierni,
Aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci blady
Śród leszczyn w Gisbach – a śród laurów w Terni.*

*Dzیکie bym zrywał na murawie kwiaty,
A Pani w skałach siadłabyś myśląca,
Jak anioł skrzydłem kaskady skrzydlaty –
Czekając znad skał śpiewu – i miesiąca.*

Opisywał dalej to urokliwe miejsce, a potem rzucił jej w twarz te słowa prosto ze swojego zranionego, odrzuconego serca:

*Dzisiaj siedzącej przed kaskadą w koczku
Sumnienie Pani powie samo głuche...
Że niegdyś łzy się tak sączyły z oczu!
A dzisiaj! oczy patrzą – takie suche!*

*Czyś tym przeklęta, czy błogosławiona,
Że serce zimne – oczy łez nie leją?
Powie ci kiedyś mogił druga strona
Gdzie serca pękną – albo się rozgrzeją.*

*Co do mnie – wiem ja, jak to praca pusta
Serce kobiece na czas prze-anielić!
Dlatego odtąd – wiecznie zamknę usta
I wolę nie być z Panią – niż zgon dzielić.*

*Bo to okropnie! rany pozamykać,
Zagoić wszystkie dawne serca blizny!
Iść – i aniołów już nie napotykać!
Już nie mieć ani serca! – ni ojczyzny!*

Nagle ta kobieta o cudnych, błękitnych oczach, o której marzył tak często, którą adorował od dawna, za którą pojechał nawet do Frankfurtu, wydała mu się obca, daleka i półmartwa jak kamienny posąg – cóż z tego, że piękny, gdy zimny i pozbawiony życia. Zygmunt znów się nie mylił: przynosiła mu tylko gorycz.

Drugi list przyszedł od matki. Jej samotność, gdy w Krzemieńcu zabrakło Ewy Felińskiej i Teofila z Hersylią, napawała Juliusza głębokim smutkiem, nieledwie rozpaczą. Wiedział, że jest teraz jej

jedyną pociechą, a jego dobro jest tym, co ją zajmuje najbardziej. Dlatego pisał do niej listy przepełnione miłością i tęsknotą, pełne marzeń o spotkaniu i wspólnym życiu. Namawiał ją, by podjęła wysiłek i zorganizowała podróż do wód, gdzie mogliby się spotkać. Ale na takie propozycje Salomea odpisywała zawsze, że wciąż jest zbyt słaba.

Po dniu spędzonym nad korespondencją Juliusz wyszedł wieczorem, by przewietrzyć głowę i zjeść kolację z kolegami w klubie polskim. Pamięć o jego zatargu z Ropelewskim wciąż była żywa, a pozycja towarzyska Juliusza znacznie wzrosła. Koledzy powitali go przyjaźnie, bo i popularność *Beniowskiego*, któremu niedoszły pojedynek przysporzył sławy, była znaczna. Zjadł więc dobrą kolację, napił się wina, spełniając czyjś toast „za Beniowskiego!”.

Po kolacji podszedł do niego zaprzyjaźniony z nim od dawna Niedźwiecki, sekretarz Władysława Zamoyskiego, i poczęstował go cygarem.

– Jak tam twoje relacje z panią Bobrową, Juliuszu? – zapytał poufałym tonem, bo był powiernikiem poety i orientował się w meandrach tej delikatnej relacji.

– Och, dajże spokój! Bawi się mną i zwodzi! – poskarżył się Juliusz, zapalając cygaro od płomienia świecy w mosiężnym lichtarzu. – Raz przyzywa, to znów odpycha i się dąsa. Albo udaje, że nie zna. A potem znów pełna słodyczy... Wymęczyła mnie strasznie.

Niedźwiecki roześmiał się.

– Dawno już ci mówiłem, że z kobietami najlepiej ważyć się na wszystko.

– Próbowałem, z najgorszym skutkiem! Nie chciała mnie widzieć potem.

– Może nie tak się do tego zabrałeś, jak trzeba... – śmiał się dalej Niedźwiecki.

Juliusz Słowacki, który wciąż przeżywał boleśnie kaprysy Joanny i huśtawkę emocji, jaką mu fundowała, miał dość tych indagacji. Wolał zmienić temat.

– Powiedz mi lepiej, cóż tam słychać w świecie wielkiej polityki? – zapytał.

– Wschód, wciąż Wschód! – odpowiedział sekretarz Zamoyskiego, zaciągając się cygarem. – Twoje informacje z Egiptu ze spotkania z Muhammadem Paszą były bardzo cenne dla księcia i dla pana Władysława. Ale od jakiegoś czasu mamy w Stambule własnego agenta, i to Agencja Wschodnia jest teraz oczkiem w głowie księcia.

– Rozumiem. A któż to taki, jeśli można zapytać? Znasz mnie, będę milczał jak grób.

– Znamy się i ufam ci w pełni – uśmiechnął się Niedźwiecki. – Niejaki Michał Czaykowski.

– Ten od Wernyhory i kozaków? – dopytywał Juliusz.

– Ten sam. Może go znasz, też pochodzi z Ukrainy.

– Spotkałem go przelotnie dopiero tu, w Paryżu. Czytałem jego powieści, straszny to fantasta, ale książki jego bardziej się ludziom podobają niż moje.

– Na razie skończył z literaturą, pisze za to sumiennie raporty do księcia i pana Władysława, które przez moje ręce przechodzą. Wyobraź sobie, że umyślił budować nad Bosforem osadę dla Polaków rozrzuconych na Wschodzie, by ci nieszczęśni dawni jeńcy i niewolnicy, zamiast włóczyć się i żebrać, mogli osiąść legalnie w polskiej wsi. Nazwał ją Adampol.

– I cóż książę na to?

– Początkowo zżymał się trochę, że Czaykowski taki samowolny

i podejmuje decyzje bez aprobaty i zgody księcia – wyjaśniał Niedźwiecki. – Ale ten się tłumaczy, że listy długo idą, a on tam działać musi. Rzeczywiście energię ma niespożytą. To urodzony wojskowy i organizator. Podobno już dwór sułtański omotał i zachwyił swoją pasją działania.

– To widać odpowiedni człowiek na to stanowisko. Pewnie lepszy z niego oficer niż literat.

– Tak się wydaje – przytaknął Niedźwiecki. – A teraz powiem ci najlepsze: wiesz, kto tam do niego dołączył i kto z nim mieszka?

– Skąd mógłbym wiedzieć? – odrzekł Juliusz, tknięty nagle jakimś dziwnym przeczuciem.

– Córka profesora Śniadeckiego, Ludwika. Mogłeś ją spotykać w Wilnie. Cóż ona tam robi sama, Bóg raczy wiedzieć. W każdym razie podobno zamieszkali razem.

Juliuszowi pociemniało w oczach. Czy ją spotykał? Mój Boże...

Więc ona, którą miał dawniej za anioła, której mógłby życie swoje poświęcić, która kochała Byrona, ale wzgardziła młodym poetą, wołała silnych wojskowych, krzepkich i energicznych oficerów, którzy lepiej władali szablą niż piórem. Juliusz bezwiednie skulił się jak pod ciosem.

– A czy ten Czaykowski nie ma przypadkiem francuskiej żony? – zapytał i słyszał, jak głos mu się zmienił.

– Ma – roześmiał się Niedźwiecki. – Żonę i trójkę dzieci! Powierzył je opiece księcia i pojechał. Widać wcale im to nie przeszkadza...

O Boże! Kimże ona się stała? Przecież to zszarga zupełnie jej reputację. Ale o reputację, o zewnątrz pozory Ludwika nigdy szczególnie nie dbała. Zawsze była samowolna i robiła, co chciała, choć obaj Śniadecy, ojciec i stryj, załamywali nad tym ręce. Ale żeby pojechać samej aż do Turcji, by zamieszkać tam z jakimś

energicznym oficerem, miłośnikiem kozaczyzny? Któż mógłby przewidzieć taką przyszłość, znając za młodu tę poważną, odczytaną i tak, zdawało się, rozsądną pannę?

Juliuszowi dość było tych rewelacji. Zdecydowanie dosyć miał też kontaktów z kobietami, przynajmniej na dziś. Chciał zostać sam. Pożegnał się z Niedźwieckim i wyszedł z klubu prosto w majową paryską noc. Skierował kroki w stronę rzeki, by patrzeć, jak srebrna tarcza księżyca odbija się w czarnych wodach Sekwany.

PARYŻ, LIPIEC 1842

O Andrzeju Towiańskim w polskim Paryżu słyszeli już chyba wszyscy. Mówiono o nim bardzo różnie. Jedni mieli go za szalonego mistyka, inni za rosyjskiego agenta mającego podzielić i skłócić polską emigrację, jeszcze inni za chorego na umyśle. Byli jednak i tacy, którzy zobaczyli w nim nowego Mesjasza zwiastującego ludziom wyższe prawdy, nie wszystkim dostępne.

Juliusz Słowacki przyglądał mu się z dystansu. Bliskie były mu słowa tego proroka o koniecznej odnowie moralnej. Sam marzył o „przeanieleniu” rodaków. Jeszcze bowiem zanim Andrzej Towiański pojawił się w Paryżu, Juliusz napisał w jednym ze swoich najważniejszych wierszy:

*Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic, tylko czoło zdołi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba – w aniołów przerobi.*

A więc w chęci przerabiania zjadaczy chleba w aniołów Juliusz był zgodny z Towiańskim. Dlatego przysłuchiwał się jego słowom

uważnie. Chciał go spotkać osobiście. Stało się to możliwe właśnie teraz, w lipcu, dzięki rekomendacji Ludwika Nabelaka, dawnego sekundanta Juliusza w niedoszłym pojedynku z Ropelewskim. Nabelak przystał do towiańczyków i Koła Sprawy Bożej.

Juliusz Słowacki stał naprzeciwko Mistrza Towiańskiego w paryskim pokoju, umeblowanym skromnie, bez przepychu. I ta prostota otoczenia, stroju, ale i obejścia proroka, jego bezpośredniość, uważne, przenikliwe spojrzenie i wyczuwalna wokół niego dobroć ujęły Juliusza już od pierwszych chwil. Nie wyczuwał żadnego fałszywego tonu. Przyglądali się sobie długo, z zainteresowaniem, z prawdziwą chęcią wzajemnego rozpoznania i zrozumienia.

– Czytałem twój wiersz o Napoleonie – powiedział wreszcie Towiański.

Juliusz słuchał z uwagą i z ciekawością.

– Napoleon to wielka postać, czujesz to tak jak i ja – mówił dalej Mistrz. – Był powołany do odnowy świata, ale zmarnował tę szansę. Byłem na jego pogrzebie, co za triumf pośmiertny! A potem pojechałem na pola Waterloo. Tyle krwi, tyle przelanej krwi! Napoleon miał zdemokratyzować świat, a skończyło się na kolejnej rzezi. A przecież zabijanie ludzi nie uczyni tego świata lepszym.

Błękitne oczy Mistrza patrzyły na Juliusza badawczo, jakby sprawdzając, czy rozumie i czy się zgadza.

– To prawda. Więc co uczyni świat lepszym? – zapytał Juliusz, wchodząc łatwo w rolę ucznia.

– Siła jest tylko w duchu, nie w orężu – odpowiedział Andrzej Towiański, spoglądając mu prosto w oczy. – Prawdziwa bitwa powinna się rozegrać we wnętrzu człowieka, bitwa ze złem, które nas otacza, kusi, zniewala. Bo wróg nie jest w innych ludziach czy narodach, ale w każdym z nas.

Juliusz słuchał z niezwykłym wzruszeniem.

– Gdyby nie zło tkwiące w każdym z nas – kontynuował Towiański – świat wyglądałby inaczej. Właśnie z tym złem w sobie musimy walczyć, nie z drugim człowiekiem.

I w tej właśnie chwili Juliusz Słowacki uwierzył prostym słowom Mistrza i dał im się przekonać. Doznał olśnienia, że musi odrzucić wszelkie pozę, blichtr i ambicje światowe i kierować się w życiu miłością i sercem. Bo nie po to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i przyszłych posągów, ale dla chwały Bożej jesteśmy i dla pracy prostej i czystej – mówił sobie. I zapragnął przemienić w sobie dawnego człowieka i zdobyć się na obcą mu dotąd cnotę: pokorę.

Czuł, że słowa tego litewskiego szlachcica trafiają do jego duszy, jakby odśłaniały jakieś głęboko ukryte prawdy o świecie, czekające na odkrycie i nazwanie. Andrzej Towiański przyszedł i nazwał to, co Juliusz przeczuwał już dawno. To, co przyplłynęło do niego pamiętnej nocy spędzonej w Jerozolimie u Grobu Pańskiego. Przeczucie, że nie ma na świecie nic większego i ważniejszego niż Chrystusowa miłość, pojednanie i wybaczenie. I że nie ma ważniejszego celu w życiu człowieka niż dążenie do tej miłości i wcielanie jej na co dzień.

Juliusz nie znalazł w słowach Mistrza niczego, z czym nie mógłby się zgodzić. Sam też został przez niego rozpoznany, przyjęty i zaakceptowany. To wystarczyło, by podjął decyzję o przystąpieniu do Koła Sprawy Bożej. Choć następnego dnia po tym spotkaniu Andrzej Towiański musiał opuścić Paryż z nakazu władz francuskich, zaniepokojonych jego naukami. Zamierzał osiąść w Genewie, a prowadzenie Koła swoich

wyznawców powierzył Adamowi Mickiewiczowi.

Słowacki wrócił do siebie, czując, że to, co było dotąd dla niego bardzo ważne, łącznie z jego poezją, a zwłaszcza marzenia o sławie i uznaniu innych, jest błahe i nieistotne. Nie mógł zasnąć, wyszedł na balkon i patrzył długo w pełne gwiazd niebo nad Paryżem. I modlił się żarliwie.

A następnego dnia wstał rano jako nowy, odmieniony człowiek. Usiadł przy biurku, sięgnął po pióro i napisał wiersz, którego pierwsza zwrotka brzmiała tak:

*Idea wiary nowej rozwinięta,
W błysnieniu jednym zmartwychwstała we mnie
Cała, gotowa do czynu i święta,
Więc niedaremnie, o! niedaremnie
Snu śmiertelnego porzuciłem łożę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!*

A potem deklarował:

*Chociaż usłyszę głosy urągania,
Nie dbam, czy wzrastać będę – czy ucichać...
Jest to w godzinie wielkiej zmartwychwstania
Szmer kości, który na cmentarzach słychać.
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!*

I kończył strofą:

*Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem.
Gdy wstanę – mój głos będzie głosem Pana,*

*Mój krzyk – ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch – aniołem, co wszystko przemoże,
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!*

PARYŻ, LATO 1842

Maurycy Kamienicki siedział w swoim pokoju na mansardzie jak skamieniały. Letni deszcz bębnił o blaszany dach poddasza i o okienne szyby. Sinoszary horyzont przecinały co chwilę jasne błyskawice. Ale on nie słyszał ani deszczu, ani grzmotów. W uszach dźwięczała mu tylko głucha cisza. Na prostym drewnianym stole przed nim leżał list, który właśnie otrzymał i odczytał:

Drogi Maurycy,

Nie jest łatwo być posłańcem złych nowin. Ktoś jednak musi wypełnić tę posługę.

Twoja żona umarła. Opłakaliśmy ją szczerymi łzami i pochowaliśmy w Waszym rodzinnym grobowcu, obok Twoich rodziców. Nie cierpiała. Chciałem wezwać do niej lekarza, kiedy zobaczyłem, że słabnie, gdyśmy ją odwiedzili z moją żoną, ale odmówiła – zaśmiała się i powiedziała, że sama jest lekarzem i jeśli ona sobie pomóc nie może, to i nikt inny jej nie pomoże. Rzeczywiście, z zadziwiającą skutecznością potrafiła leczyć lud prosty, służbę, a nawet naszemu Ignacemu być może życie uratowała w czasie powstania. Więc dziwnym mi się wydało, że sobie pomóc nie może. Ale mi rzekła, że w jej rodzie kobiety „żyją intensywnie, kochają mocno, ale umierają młodo”. Tak było z jej matką, podobno.

Niełatwo mi to pisać, Maurycy, ale muszę Cię prosić

o wybaczenie: pamiętasz zapewne, że początkowo nie chciałem widywać i przyjmować u nas Twojej żony. Prawdę mówiąc, zły byłem na Ciebie, żeś odrzucił rękę mojej córki Heli i wybrał swoją żonę. Ale czas wszystko odmienia, Ignacy okazał się dobrym mężem i zięciem, a przede wszystkim jest tu, zajmuje się razem ze mną majątkiem, a nie siedzi sam w dalekim Paryżu. Kocha Helę i dzieci. Wyglądają na szczęśliwych. Wybacz mi, bardzo się myliłem co do Twojej żony. Kalina była niezwykłą kobietą. Pomogła nam wielokrotnie. Brakuje nam jej jak kogoś z rodziny...

Osierociła Wasze dzieci. Rozalia, Wasza dawna piastunka i gospodyni, umarła już dawniej, a na jej miejsce Kalina przyjęła młodą dziewczynę. Więc po śmierci matki dzieci były pod jej opieką. Potem, po pogrzebie, zabraliśmy je do naszego domu. Moja żona, Róża i Hela troszczą się o nie. Nie martw się, nie brak im niczego, prócz własnych rodziców. Młodsze dziewczynki są zaprzyjaźnione z dziećmi Heli i Ignacego, uczą się razem z nimi, z naszą guwernantką. Ale Twój syn... wciąż pyta o ciebie. Ciągnie go do ojca. U nas szkół polskich już właściwie nie ma. Rozważ, Maurycy, czy w tej sytuacji nie chciałbyś chłopca sprowadzić do siebie, do Paryża i tam do szkół posłać. Bo tu wyuczyć się może na carskiego urzędnika i poddanego jedynie. To Twój syn i dziedzic, ale jeszcze dziecko, niezdolne do zarządzania gospodarstwem. Więc ja po dawnemu Waszym majątkiem zajmować się będę, a zyski ze sprzedaży zboża częściowo w banku składam, na posag dla Twoich córek, a częściowo na ich utrzymanie przeznaczam. Jeśli Bóg pozwoli Ci kiedyś powrócić z tego wygnania, księgi wszystkie i rachunki Ci pokażę.

Przyjmij moje szczere kondolencje z powodu śmierci żony. I napisz mi, co postanawiasz w sprawie swego syna. Moglibyśmy wybrać się z Różą do Paryża jesienią i przywieźć go

bezpiecznie.

Twój dawny opiekun, sąsiad i doradca,

Hieronim J.

SAINT-GERMAIN, WRZESIEŃ 1842

Adam Mickiewicz, jako popularny i podziwiany profesor prestiżowego Collège de France, przyciągający tłumy słuchaczy na swoje prelekcje o Słowiańszczyźnie, zaczął wreszcie zarabiać przyzwoite pieniądze. Pozwoliło mu to na spełnienie dawnego marzenia o domu w lesie – mógł przenieść się z rodziną do obszernego letniego domu w Saint-Germain pod Paryżem, położonego rzeczywiście w otoczeniu lasów. Czuł się w nim znakomicie. Celinie także służyło wiejskie powietrze, była zupełnie zdrowa. Trójka dzieci chowała się tu lepiej dzięki leśnym spacerom i bieganiu po trawie niż w otoczeniu miejskim. Toteż wydawało się, że rodzina Adama osiągnęła wreszcie spokój i szczęśliwą stabilizację.

A do tego poeta był niezwykle ożywiony, jakby wstąpiły w niego nowe siły. Tę świeżą energię wkładał głównie w kierowanie grupą zgromadzonych wokół niego towiańczyków, odkąd Mistrz musiał opuścić Francję – być może z powodu pomówienia albo jego pracy dla rosyjskiej ambasady. W środowisku polskiej emigracji łatwo rzucano oskarżenia o zdradę, a było to oskarżenie najcięższe. Adam jednak zupełnie w to nie wierzył – ot, ludzie małego serca i mizernego ducha nie są w stanie pojąć do końca Chrystusowej idei miłości, idei wybaczenia i pojednania z wrogami. Choć wielu z nich uważa się za wiernych nauczaniu Chrystusa i Kościoła. Czy jednak Chrystus mówił gdzieś: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego – o ile

nie jest twoim wrogiem Moskalem, bo wówczas możesz mu poprzysiąc dozgonną zemstę”? Dla sporej rzeszy emigrantów, zwłaszcza wojskowych, idea wybaczenia wrogom i rezygnacji z zemsty była nie do zaakceptowania, zbyt radykalnie podważała ich system przekonań.

Tym mocniej związywało to towiańczyków ze sobą. Lubili spędzać czas w swoim gronie. Czuli się połączeni nowym zrozumieniem porządku świata. Chcieli celebrować wspólnotę i swoją odrębność. A odkąd Mistrz Towiański osiadł w Szwajcarii, Kołem Sprawy Bożej z prawdziwą pasją zaczął kierować Adam Mickiewicz. I to on zaprosił wszystkich członków Koła do swojego letniego domu w Saint-Germain. Na grzyby.

W grupie około czterdziestu towiańczyków znaleźli się także Maurycy Kamienicki i Juliusz Słowacki.

Juliusz był zupełnie spokojny. Przyjął zaproszenie Adama i czuł się z nim całkowicie pojednany, a nawet połączony już nie tylko talentem poetyckim, miejscem na polskim parnasia, ale przede wszystkim – wspólną wiarą w naukę Mistrza, wspólną otwartością na sprawy ducha i serca. Zresztą czuł, że ilekroć byli z Adamem poróżnieni w przeszłości, było to za sprawą innych ludzi, nie ich samych. Teraz, w Kole Sprawy Bożej, nikt między nimi nie stawał. Byli braćmi jak dwa wolne duchy.

Dzień grzybobrania był prześliczny. Słoneczny, z błękitnym niebem, z kryształowo czystym powietrzem. Okazało się, że stare podparyskie lasy skrywały wśród zielonych mchów całe stosy pięknych borowików, zupełnie jak litewskie puszcze. Wszyscy wrócili więc z lasu zadowoleni, z pełnymi koszami, rozczuleni wspomnieniami dawnych rodzinnych wypraw na grzyby. Pod wielkimi orzechami, w pobliżu domu gospodarza, rozłożono na trawie koce i obrusy, a na nich – przywiezione przez gości jadło:

baby, szynki, pieczenie, gruszki, winogrona, butelki wina i soków. Siedzieli tak w poczuciu wspólnoty, połączeni nową wiarą i pamięcią ojczystych stron, zadowoleni, że jest między nimi życzliwość i porozumienie zamiast paryskich podziałów i sporów.

Juliusz siedział na trawie wśród członków Koła, jadł zielone winogrona i cieszył się pięknym dniem oraz uczestnictwem w tej wspólnotce. Było to dla niego zupełnie nowe doświadczenie. Zawsze przecież był sam, osobny. Teraz pełen życzliwości dla ludzi i świata wodził wzrokiem po twarzach współbraci. Wszystkich znał z widzenia z rozmaitych emigracyjnych imprez: z polskich mszy, z prelekcji Adama, z wielkanocnych śniadań wydawanych przez księżnę Czartoryską. A niektórych pamiętał jeszcze z Wilna. Na przykład mężczyzna, który siedział obok, pilny słuchacz wykładów słowiańskich Adama – wyglądał znajomo, kojarzył się z Wilnem, teraz jednak sprawiał wrażenie przygnębitego, co było trochę dziwne w tym gronie entuzjastów nowej wiary.

– Borowiki zupełnie jak na Litwie, prawda? – zagadnął go Juliusz z uśmiechem.

– Tak, rzeczywiście, i nawet lasy podobne – odpowiedział tamten.

– Juliusz Słowacki – przedstawił się, wyciągając rękę, bo chyba nie rozmawiali nigdy dotąd.

– Maurycy Kamienicki. – Mężczyzna uścisnął rękę Juliusza. – Wiem, kim jesteś. Może tego nie pamiętasz, ale byłem kiedyś w waszym domu w Wilnie, zaprosił mnie profesor Śniadecki.

– Ach tak?

– Byłeś jeszcze dzieckiem. To było tego wieczoru, kiedy przyszedł Adam Mickiewicz po wydaniu *Dziadów*, a Jan Śniadecki się z nich wyśmiewał...

– Pamiętam... – Juliusz nie zapomniał tego dnia, a zwłaszcza

swoich gorących łez upokorzenia i wściekłości, gdy jego ojczym, doktor Bécu, wtórował kpinom i szyderstwom Śniadeckiego, krzyżąc „a kysz! a kysz!” ku rozbawieniu starszych gości i oburzeniu młodszych. Przyszło mu teraz na myśl, że może z tego wieczoru wzięła się postać Doktora w III części *Dziadów*. – Dawne dzieje! A jak sobie tutaj radzisz?

– Całkiem dobrze, dziękuję. Daję lekcje dzieciom z polskich rodzin, polecają mnie sobie. Mogę się z tego utrzymać – odrzekł Maurycy.

– Wyglądasz jednak, jakby cię coś gnębiło... – odważył się powiedzieć Juliusz, choć zwykle nie wypytywał innych o ich sprawy. Skoro ten człowiek widział jego dziecięce łzy...

Maurycy zawahał się przez chwilę. Spojrzał w oczy Juliusza.

– Dostałem niedawno list z kraju z wiadomością o śmierci mojej żony – zdecydował się na wyznanie. – Umarła tak młodo... Dotąd miałem nadzieję, że kiedyś do niej wrócę. A tak nie mogłem jej ani pożegnać, ani pochować.

– Przykro mi, bardzo współczuję – powiedział Juliusz. – Pomyśl jednak, że miałeś kiedyś żonę i własny dom. Ja zawsze jestem sam, a kocha mnie tylko matka.

Maurycy spuścił wzrok. Przyglądał się przez chwilę biedronce spacerującej po żdźble trawy.

– A moja matka umarła, gdy mnie rodziła. Nigdy jej nie poznałem – rzekł cicho.

Juliusz zamyślił się.

– Cóż, spotykają nas w życiu rozmaite trudności, przeszkody i lekcje – oznajmił. – Brat Andrzej powiedziałby, że wszystko po to, by nasza dusza mogła się uczyć i doskonalić.

– Tak, też tak sobie mówię – przyznał Maurycy. – Choć nie jest to łatwe. Może kiedyś ludzie zrozumieją i przyjmą jego nauki. To

by mogło przybliżyć pokój na ziemi.

– Pokój! Chciałbym tego doczekać. Na razie większość ludzi wciąż woli widzieć wokół wrogów niż współbraci. I to nie tylko wśród Moskali.

– Znałem kiedyś w Wilnie pewnego Moskala, który już dwadzieścia lat temu mówił o wygaśnięciu waśni między Polakami i Rosjanami, o braterstwie Słowian – odrzekł na to Maurycy. – Nazywał się Korsakow.

Juliusz drgnął, słysząc to nazwisko. Korsakow, którego kiedyś nienawidził, okazał się szlachetną duszą. Dlatego Ludwika tak go kochała... Ale o tym nie miał już ochoty opowiadać poznanemu świeżo Maurycemu z Wilna.

PARYŻ, PAŹDZIERNIK 1842

Pan Hieronim dotrzymał obietnicy i miał właśnie przywieźć Maurycemu jego syna do Paryża.

Maurycy uznał, że tak będzie najlepiej. Gdy widział go po raz ostatni, odchodząc do powstania, chłopiec miał zaledwie cztery lata. Teraz skończył już lat szesnaście, czyli tyle, ile Maurycy, kiedy stracił swojego ojca. Po nim zresztą syn otrzymał imię – Kazimierz.

A zatem szesnastoletni Kazimierz Kamienicki, młodzieniec, którego Maurycy właściwie nie znał, miał się pojawić teraz w jego życiu. I w nim pozostać.

Maurycy wielokrotnie wyobrażał sobie scenę swojego powrotu do domu, czasem śnił o niej. Zawsze wtedy na pierwszym planie była jego żona Kalina. Na jawie i we śnie marzył o tym, jak bierze ją w ramiona, przytula, podnosi do góry i obraca. Jak zanurza twarz w jej włosach, wdycha jej zapach... Dzieci zawsze były gdzieś na drugim planie tych wyobrażeń.

Teraz wiedział już, że nigdy więcej nie przytuli swojej żony, ale niebawem stanie twarzą w twarz ze swoim wyrośniętym, prawie dorosłym synem. I czuł w związku z tym jednocześnie radość i niepokój. Jak to będzie? Czy znajdą porozumienie i wspólny język? Czy będzie między nimi bliskość, gdy tyle czasu spędzili osobno? Czy więzy krwi wystarczą do zbudowania tej relacji? Maurycy nie miał pojęcia, jakim człowiekiem jest jego syn. Listy z domu, z czasem coraz rzadsze, nie powiedziały mu tego.

Im bliżej było terminu spotkania, tym większy niepokój go ogarniał.

Zaczął od znalezienia nowego mieszkania. Dotąd Maurycemu zupełnie wystarczał jeden niewielki pokój na piątym piętrze, z mansardowym oknem. I kuchnia współdzielona z innymi emigrantami. Rzadko zresztą z niej korzystał – polskie rodziny, których dzieci uczył, zapraszały go często na obiad. Teraz nie chciał, by jego syn, wychowany w obszernym dworze, odczuł przeprowadzkę do ojca jako bolesną degradację. Za odłożone pieniądze wynajął zatem większe mieszkanie na pierwszym piętrze. Urządził pokój syna. Chciał kupić mu nowe ubranie i jakieś francuskie powieści, ale nie wiedział nawet, jak duży jest jego syn i czy jego francuski jest wystarczająco dobry, by swobodnie czytał. W ogóle go nie znał, co uświadamiał sobie z bólem. Pozostało mu więc jedynie cierpliwie czekać na jego przyjazd i spróbować poznać jak najlepiej swoje dziecko.

Pan Hieronim i pani Róża zjawili się w nowym mieszkaniu Maurycego w umówionym dniu, tuż przed wieczorem. Oboje posunęli się w latach, posiwili trochę, ale wciąż była w nich dawna elegancja. Maurycy czekał na nich z kolacją pełną francuskich specjałów, którą zamówił w pobliskiej restauracji.

Jaki on podobny do matki! To pierwsze, co uderzyło Maurycego,

gdy wreszcie zobaczył syna. Przyglądał mu się długo. W ściśniętym sercu kłębiło się mnóstwo emocji, których nawet nie potrafiłby nazwać. Bliskość i obcość. Miłość i dystans. Radość ze spotkania i żal minionych, osobnych lat. Tęsknota za żoną. W oczach chłopca dostrzegł niepewność, a może i lęk. Przed czym? Przed własnym, nieznanym ojcem? Czy przed tym obcym, wielkomijskim światem, tak różnym od rodzinnej litewskiej wsi?

Maurycy uświadomił sobie, patrząc na niego, że skoro on sam, dorosły mężczyzna i ojciec, odczuwał niepokój przed tym spotkaniem, to o ile silniej musiał odczuwać ten niepokój jego syn, który dopiero co stracił matkę, poczucie bezpieczeństwa i dom.

Poznawanie własnego dziecka, gdy nie towarzyszyło mu się w rozwoju, jest dziwnym i żmudnym procesem. Maurycy chciał zapytać syna o tyle rzeczy, tyle spraw, o całe te dwanaście lat, które spędzili oddzielnie, ale kiedy stanęli naprzeciwko siebie, właściwie nie wiedział, od czego zacząć.

– Jesteś głodny? – zapytał więc.

Chłopiec nieśmiało skinął głową.

Maurycy zaprosił wszystkich do stołu.

Pan Hieronim, który znał i Maurycyego, i Kazimierza dużo lepiej niż oni siebie nawzajem, wiódł prym przy kolacji i opowiadał ze swadą o swoim gospodarowaniu, o sytuacji politycznej na Litwie, o zmianach i nastrojach w kraju i o tym, co się dzieje u dawnych sąsiadów i znajomych z okolicy. Ale Maurycy słuchał go niezbyt uważnie – czuł się zupełnie oddalony od tych spraw i znacznie bardziej pochłaniało go obserwowanie Kazimierza, który początkowo niepewnie, a potem coraz śmieiej próbował francuskich pasztetów, tart, wołowiny duszonej w winie, serów i owoców. Ma chłopak apetyt! – stwierdził z przyjemnością ojciec.

Po kolacji pan Hieronim i pani Róża pożegnali się i odjechali

do hotelu, a ojciec z synem zostali wreszcie sami. Maurycy uznał, że poważne rozmowy lepiej odłożyć do czasu, gdy trochę się ze osobą oswoją i lepiej poznają.

– Musisz być bardzo zmęczony po podróży, prawda? – powiedział do syna. – Pokażę ci twój pokój.

Następnego dnia była niedziela, Maurycy nie miał żadnych lekcji. Wstał wcześnie, przygotował śniadanie. Zajrzał do pokoju syna. A gdy patrzył na śpiące, chude ciało dorastającego chłopca, gdy słuchał jego równego oddechu, poczuł, jak ciepło rozlewa się wokół jego serca. Cieszył się, że ma go przy sobie.

Był słoneczny jesienny poranek. Po śniadaniu Maurycy zaproponował synowi spacer i pierwsze spotkanie z Paryżem. Miasto pełne było złotych liści na drzewach, ciepłego słońca i jesiennych kwiatów. Ludzie przechadzali się po ulicach i parkach, rozkoszując się wolnym i pięknym dniem. Paryż prezentował się wspaniale i Maurycy z prawdziwą przyjemnością oprowadzał syna po najładniejszych alejach, bulwarach i placach, opowiadając o głównych budynkach i zabytkach miasta. Kazimierz pochłaniał Paryż szeroko otwartymi oczami, widać było, że jest pod dużym wrażeniem.

– Nie jesteś zmęczony? – zapytał Maurycy po kilkugodzinnym spacerze, gdy zdawało się, że obaj zdążyli się ze sobą oswoić i poczuć swobodnie. – Może wstąpimy coś zjeść? O, tu mają świetną zupę cebulową, może spróbujesz?

– Spróbuję, ojciec – odpowiedział Kazimierz i spuścił oczy, jakby zażenowany tym zwrotem, którego użył po raz pierwszy.

Maurycy chciał go przytulić na środku ulicy, ale coś go jednak powstrzymało; jeszcze przyjdzie na to czas.

– Chodźmy zatem! – powiedział tylko.

Weszli do restauracji, usiedli przy stoliku pod oknem,

z widokiem na ruchliwy plac. Maurycy złożył zamówienie.

A gdy siedzieli naprzeciwko siebie, czekając na zupę cebulową, Maurycy zapytał syna:

– Powiedz mi, Kazimierzu, co cię interesuje najbardziej? Myślałeś, co chciałbyś robić, gdy będziesz już dorosły?

– Tak! Chcę leczyć ludzi, jak mama – odparł Kazimierz bez namysłu.

– Chcesz być takim zielarzem, znachorem jak ona? – zapytał zaskoczony Maurycy.

– Nie! Ja chcę być prawdziwym lekarzem. Chciałbym studiować nauki medyczne. Mama pomagała wielu ludziom, ale wierzyła w jakieś zabobony... A ja chcę poznać prawdziwą naukę.

Maurycy uniósł brwi. „Zabobony”? Ileż go ominęło! Jak Kalina radziła sobie z synem, który uważał za zabobony to, w co ona wierzyła i co praktykowała z sukcesami?

– Więc chciałbyś studiować medycynę, powiadasz... No, twój dziadek by się ucieszył.

– A ty?

– Ja? To twoje życie. Twoja dusza wie najlepiej, czego ci potrzeba, bo ma swój plan. Chcę, żebyś robił to, co dla ciebie najlepsze, co cię będzie interesować i dawać ci radość.

Maurycy zauważył, jak jego syn skrzywił się na słowo „dusza”.

– Ja wierzę w naukę, ojczy, a nie w jakieś zabobony – oznajmił Kazimierz tonem, w którym zabrzmiały duma i poczucie wyższości.

Maurycy znów spojrział na niego zaskoczony. No proszę, spodziewał się, że zobaczy tu młodego strażnika starej słowiańskiej wiedzy, nauczonego przez matkę czcić pradawne zwyczaje i obrzędy Słowian, tymczasem spotkał w swoim synu racjonalistę, który prędzej porozumiałby się z profesorem Śniadeckim! Jak to się mogło stać?

1843

PARYŻ, WIOSNA 1843

Księżna Anna Czartoryska nie przyznawała się do tego głośno, ale bardzo lubiła swoje obecne życie. Wcale nie żałowała, że musi mieszkać w Paryżu zamiast w Puławach albo w Sieniawie. Wiedziała, że jej małżonek kocha obie te rodowe siedziby, ale zawsze, gdy bywali tam w pierwszych latach małżeństwa, Anna czuła się przytłoczona ich przepychem, sztywną etykietą, a zwłaszcza nudą. Bo choć urodzona jako księżniczka Sapieżanka, od dziecka nie znosiła bezczynności. Dzień, w którym główną atrakcją była przejażdżka po parku kareta, był dla niej dniem nudnym i straconym. Więc i wówczas wynajdywała sobie praktyczne zajęcia, często jednak była napominana, że księżnej Czartoryskiej takie zachowanie nie przystoi.

W Paryżu za to zajęć, atrakcji i potrzeb było wprost bez liku! I o ileż więcej swobody! Tę swobodę właśnie, tę wolność decydowania o sobie księżna ceniła najbardziej. Jej sytuacja w początkach emigracji zmieniła się tak diametralnie, że nikomu nie przychodziło nawet do głowy zastanawiać się, co zubożałej księżnej wypada, a czego nie. Anna była więc zdana na własny osąd i na własny instynkt. Na przykład uznała, że absolutnie nie wypada jej przyjmować datków i jałmużny ofiarowanych z litości czy z dobrego serca przez znajomych francuskich arystokratów. Stanowczo im odmawiała. Jednocześnie uważała, że wypada jej

pracę osobiście ubrania rodziny, rozpalać w piecach, robić zakupy i gotować. A także jeździć publiczną komunikacją, chodzić samej po paryskich ulicach. I wreszcie – przyjmować dary i datki dla ubogich rodaków, prosić o posady dla nich, organizować wszelkie dostępne wsparcie.

Tak, potrzeby polskiej emigracji w Paryżu wydawały się studnią bez dna, więc Anna wciąż mogła być zajęta, bo zawsze było komu pomagać. Nie zważała przy tym na żadne polityczne różnice i podziały. Już w pierwszym roku swojego paryskiego życia księżna założyła Towarzystwo Dobroczynności Dam Polskich i zapisała w jego statucie, że jest ono najdalej od politycznych podziałów i działa „jedynie dla miłości bliźniego i dla miłości dobrego imienia polskiego”.

Działalność społeczna księżnej Anny w ciągu ostatniej dekady nabrała prawdziwego rozmachu. Przybywało organizowanych przez nią imprez i instytucji dobroczynnych. Wszystko to, razem z rodziną, współpracownikami i działalnością polityczną księcia, z największym trudem mieściło się w wynajmowanym niezbyt obszernym dworku na przedmieściu, na końcu rue Faubourg-du-Roule, w pobliżu paryskich rogatek.

Dlatego od dłuższego już czasu księżna rozmyślała o nowej, większej siedzibie, która byłaby nie tylko wygodna, ale też odpowiednio reprezentacyjna, zgodnie z rosnącym statusem i pozycją rodziny. Rzucony niegdyś przez Władysława Zamoyskiego tytuł „króla Polski de facto”, choć wyśmiewany przez przeciwników politycznych, przyjął się i funkcjonował wśród zwolenników księcia. Anna musiała przyznać, że rzeczywiście tytuł ten, przynajmniej dla części paryskiej emigracji, pełnił funkcję jednoczącą. I choć sama nie czuła się żadną „królową de facto”, nikt jej tak zresztą nie nazywał, to rozumiała dobrze, że królowi

potrzebny jest dwór. Choćby symboliczny.

Zatem odkąd przyjechała do nich na stałe jej zaradna matka, która potrafi jak nikt inny w rodzinie rozmawiać z największymi europejskimi bankierami i inwestować kapitały tak skutecznie, że mnożą się niemal jak króliki, Anna zaczęła myśleć o nowej siedzibie. I choć księżna Sapieżyna nie wierzyła w polityczne projekty księcia, to przecież lubiła go i dobrze mu życzyła. Podchwyciła więc pomysł córki i zaczęła się rozglądać za nowym lokum dla dużej rodziny i stronnictwa.

Jak to często bywa, okazja trafiła się sama. Oto któregoś dnia przyszedł do nich Fryderyk Chopin, gwiazda polonijnych uroczystości, i powiedział, że usłyszał od swojego przyjaciela, malarza Eugène'a Delacroix, o wystawionym na sprzedaż wyjątkowym starym pałacu położonym pięknie w samym sercu Paryża, na Wyspie Świętego Ludwika, po sąsiedzku niemal z katedrą Notre Dame. Wzniesiony w XVII wieku, nazywał się Hôtel Lambert.

Anna spojrzała na matkę i zobaczyła, że stara księżna także podchwyciła tę informację. Następnego dnia Anna wybrała się sama, by dokładnie obejrzeć to miejsce. Pałac był duży, piękny, choć zaniedbany. Był niezamieszkały, a dozorca pozwolił jej go obejrzeć, gdy wspomniała o możliwości kupna. Trochę zrujnowany wewnątrz, położony tuż nad brzegiem Sekwany, otoczony był półdzikim ogrodem. Anna wyteżyła wyobraźnię i zobaczyła pałac odnowiony, gościnnie otwarty, udekorowany jak na bal, z setką polskich par tańczących poloneza na obszernym dziedzińcu. Tak! Tego właśnie im potrzeba!

Następnego dnia przywiozła tu matkę. Księżna Sapieżyna patrzyła na to miejsce z aprobatą, a chodząc po zniszczonych korytarzach i pokojach, powtarzała pod nosem jakieś liczby, jakby

już szacowała, ile będzie kosztował remont. Anna uznała to za dobry znak.

Dopiero kiedy księżna Sapieżyna zgodziła się sfinansować zakup oraz gruntowną renowację rezydencji, poszły obie z tym projektem do księcia Adama.

– Bój się Boga, czy to nie za wielkie dla nas? Czy nas stać na to? – zapytał książę oderwany od studiowania raportów swojego agenta głównego.

– Już ty się o pieniądze nie martw – powiedziała stanowczo księżna Sapieżyna. – Stać.

Książę ledwo się mieścił ze swoją kancelarią – w ostatnich latach przybyło współpracowników, dokumentów i korespondencji, która była pieczołowicie kopiowana i archiwizowana. Zdecydowanie potrzebował dla siebie więcej miejsca.

– A ile ma kosztować ten pałac? – zapytał.

– Dwieście tysięcy franków! – powiedziała szybko jego żona.

Adamowi Czartoryskiemu wydało się to kwotą niebotyczną, bo od Anny Sapieżyny otrzymywał miesięcznie na własne wydatki kieszonkowe w wysokości pięciuset franków. Popatrzył z niepokojem na swoją teściową, ale zobaczył w jej oczach, że zdążyła już zaakceptować tę cenę.

– No dobrze, pokażcie mi to miejsce.

Od tego momentu sprawy potoczyły się szybko. Decyzja o kupnie zapadła. Pałac wymagał gruntownego remontu, który pochłonał kolejne dwieście tysięcy franków. Wykonania fresków na ścianach podjął się zdobywający coraz większą sławę Eugène Delacroix, zaprzyjaźniony z Chopinem i George Sand. Najlepsi paryscy dekoratorzy, artyści rzemieślnicy dopełnili reszty pod czujnym okiem księżnej Anny. Efekt był doprawdy olśniewający. W pałacu pojawiły się nowe, piękne parkiety, kryształowe

kinkiety i żyrandole, francuskie draperie z najlepszych materiałów, liczne złocenia, posągi i portrety polskich przodków. Hôtel Lambert, jak nazywano to miejsce na pamiątkę pierwszych właścicieli sprzed dwóch wieków, stał się rzeczywiście prawdziwym dworem, godną, królewską niemalże siedzibą „króla Polski de facto”.

Ale odnowiona rezydencja na Wyspie Świętego Ludwika spełniała też inne funkcje. Księżna Anna postanowiła przeznaczyć wyższe piętra bocznego skrzydła na nową instytucję, o której myślała od dawna. Instytut Panien Polskich. Księżna czuła, że zarówno córkom emigrantów, jak pannom z krajowych rodzin szlacheckich przydałaby się bardzo dobra pensja, na której kształcono by je solidnie i dwutorowo: według francuskiego programu nauczania, jednocześnie z kursami języka, literatury i historii polskiej. Taką właśnie pensję pragnęła założyć pod swoim nowym dachem, aby przyszłe absolwentki mogły otrzymać dyplom nauczycielski i pracować w kraju jako guwernantki.

Miała zatem księżna Anna dużo pracy i wiele nowych projektów. Cieszyło ją to, dawało bowiem poczucie bycia pożyteczną. Dość napatrzyła się w dzieciństwie na bezproduktywne i próżniacze życie różnych znajomych arystokratek, by wiedzieć, że takiego życia chce uniknąć. Bycie ciągle zajętą przy nowych projektach napełniało ją radością i dawało poczucie sensu. Lubiła czuć się potrzebna.

Ale i tak najważniejsze dla Anny były jej dzieci. Gdy dwadzieścia lat temu urodził się w Puławach jej najstarszy syn Witold, zadziwiła swoje otoczenie stanowczym postanowieniem, że nie zatrudni żadnej mamki, tylko sama będzie karmić dziecko. Damy z jej sfery tak nie robiły. Uznano to za fanaberię i dziwaczny kaprys. Jednak kiedy Anna trzymała swojego synka w ramionach,

nie chciała oddać go żadnej obcej kobiecie – skoro potrafiła go urodzić, dlaczegożby nie miała go wykarmić mlekiem, które wypełniało jej piersi? Księżna Anna wykarmiła więc sama trójkę swoich dzieci i czuła się z nimi związana tak, jakby były przedłużeniem jej samej. Nie lubiła się z nimi rozstawać.

Długo nie mogła wybaczyć Władysławowi Zamoyskiemu, że przekonał jej męża do tak wczesnego wysłania Wicia do zagranicznych szkół. Uważała, że to zaszkodziło jej pierworodnemu synowi, że powinien dłużej pozostać blisko niej, w kręgu rodzinnym, a Hipolit Błotnicki był przecież znakomitym nauczycielem i opiekunem oddanym rodzinie. Książę Adam, ulegając radom siostrzeńca, postanowił jednak inaczej i jej biedny Wicio był wysyłany na nauki do Hiszpanii, do Austrii, do Niemiec. Jakby w Paryżu brakło edukacji na najwyższym poziomie!

I cóż to dało dobrego? Książę Witold od dawna przysparzał swojemu ojcu zmartwień: był zbyt żywy, krnąbrny, samowolny, nie chciał się uczyć, nie chciał podejmować działań. Uciekał od nakładanej na jego barki odpowiedzialności. Wolał zabawę i swobodne życie, czym doprowadzał starego księcia do ciągłej zgrzyoty. Anna jednak rozumiała, że brzemię, które próbowano mu narzucić, było dla chłopca zbyt ciężkie – nie jest przecież łatwo być synem i spadkobiercą takiego ojca. Taki ciężar może być nie do udźwignięcia. Więc młody książę uciekał od niego jak tylko mógł – najchętniej w zabawy, hulanki, nie stroniąc od kieliszka ani od gminnego towarzystwa. Książę Adam załamywał nad nim ręce – zachowanie i charakter pierworodnego syna wywracało jego ideę dynastyczną. Z każdym rokiem stawało się coraz bardziej jasne, że młody książę Witold ani nie nadaje się na spadkobiercę dzieła swojego ojca, ani nie jest tym zupełnie zainteresowany. Chce jedynie, by dano mu święty spokój i pozwolono swobodnie żyć.

Dla Anny nie stanowiło to żadnego problemu – pragnęła dla swoich dzieci szczęścia, a nie zaszczytów.

Młodszy syn Władysław, zwany „Małym Władysiem”, w odróżnieniu od „Dużego Władysia”, jak mówiono o Zamoyskim, sprawiał mniej kłopotów niż Witold, był spokojniejszy i starał się spełniać oczekiwania rodziców, ale dla Anny było jasne, że on także nie odziedziczył wyjątkowej siły i charyzmy swojego ojca i nie bardzo nadawał się na jego następcę. Ot, zwykły, miły chłopiec, dobrze wychowany i wyedukowany porządnie, typowy przedstawiciel swojej sfery. Nie miał ani wielkiej ochoty, ani szczególnych talentów, by aspirować do roli przywódcy narodu, jak ojciec. Czego Anna nie zamierzała żałować.

Widziała, że obaj jej synowie czują się znakomicie w Paryżu, zarówno wśród polskiej emigracji, jak i w arystokratycznym środowisku francuskim i międzynarodowym. Mieli przyjaciół, z którymi dobrze się bawili, byli chętnie zapraszani na bale, wieczory i rauty. Obaj wysocy jak ojciec, przystojni, a przy tym swobodni i weseli, nosząc najznakomitsze nazwisko, byli pożądanymi i dobrze widzianymi w każdym towarzystwie. Zabiegano o nich i ich lubiano. Anna zauważała rozmarzone oczy różnych polskich i francuskich księżniczek i hrabianek, wodzące dyskretnie za jej synami podczas wielkich przyjęć i uroczystości. Tańczyli tak dobrze i tak świetnie prezentowali się balach! Wiele znakomitych rodzin poczytywałoby sobie za największy zaszczyt wydać córkę za mąż za młodego księcia Czartoryskiego. Ale na to był jeszcze czas.

I była najmłodsza Iza. Zwana jeszcze w Warszawie „księżniczką rewolucji”, bo urodzona została w pierwszych dniach powstania. Ulubienica ojca. Kiedy zniknęła czasem Annie z oczu, można ją było znaleźć w gabinecie księcia, przycupniętą w rogu fotela albo siedzącą na jego kolanach. Iza była spokojna, opanowana

i poważna jak ojciec. Słuchała go zawsze z ciekawością, patrzyła na niego z uwielbieniem w rozumnych oczach. Lubiła naukę i książki, kochała sztukę. Bardzo wczesnie zaczęła ją kolekcjonować.

Kiedy Anna rozmawiała z córką albo przyglądała jej się wnikliwie, przychodziło jej czasem do głowy, że ta poważna, ciemnowłosa, skupiona dziewczynka nadawałaby się najlepiej na spadkobierczynię pozycji i dzieła ojca. Zdawała się bardziej rozumna i odpowiedzialna od starszych braci. Miała też jakąś specjalną nić porozumienia z ojcem. O ile bracia uciekali od poważnych działań politycznych księcia do paryskich zabaw i przyjaciół, o tyle ona Ignęła do ojca i im była starsza, tym bardziej lubiła spędzać z nim czas na głębokich rozmowach.

Ale cóż, Anna rozumiała, że o żadnym dziedziczeniu pozycji nie mogło być mowy. Iza była młodą panną, od której oczekiwano tylko dobrego zamążpójścia. Tak jak jej bracia była najlepszą partią polskiej emigracji, marzeniem wielu rodzin o aliansie małżeńskim z najważniejszą polską rodziną. Anna dobrze wiedziała, że wiele rodzin czyniło już takie kalkulacje, choć Iza miała dopiero trzynaście lat. I twierdziła dziecinnie, że za mąż w ogóle nie zamierza wychodzić, ponieważ kompletnie jej to nie interesuje. Woli sztukę i samotność. Co otoczenie kwitowało jedynie pobłażliwym uśmiechem.

PARYŻ, MAJ 1843

Przez kilka miesięcy Juliusz żył w ciągłym uniesieniu, ciesząc się udziałem w nowej wspólnotce, w braterskim kręgu. Otoczenie ludzi kochających, pragnących wcielić ideał Chrystusowej miłości, dzielących jedną wiarę i wspólną, kosmiczną wizję świata odczuwał jako błogosławieństwo, a nawet prawdziwe szczęście.

Jak gdyby dopiero teraz zaczynał żyć prawdziwie i oddychać pełną piersią. I nie przeszkadzało mu wcale, że po wydaleniu Andrzeja Towiańskiego z Francji na zastępcę został namaszczony jego odwieczny rywal Adam Mickiewicz. Bowiem wszelka rywalizacja i zabieganie o poklask należały nieodwołalnie do jego dawnego, porzuconego już życia. Teraz Juliusz uznawał w Mickiewiczu brata w towianizmie i w poezji. Ich relacja była czysta, braterska, pozbawiona antagonizmów. Juliusz miał wrażenie, że życie, jakie wiodą, podobne jest do życia aniołów, ozłoczone uśmiechem, spokojem serca, zanurzone w doskonałej, arkadyjskiej harmonii.

I choć był to piękny i szczęśliwy okres, to jednak niepokorna dusza poety zaczęła z czasem dostrzegać pierwsze pęknięcia na idealnym obrazie wspólnoty. Oto w Kole Sprawy Bożej prowadzonym przez Adama Mickiewicza zaczęto oczekiwać posłuszeństwa, pokornego podporządkowania, zginania karku. Pokory. Na to Juliusz był zbyt dumny. Owszem, przeżył głęboką przemianę duchową, zobaczył świat z całkiem innej, nowej perspektywy i zawdzięczał to Andrzejowi Towiańskiemu, nie miał jednak zamiaru nazywać go Mistrzem, Panem ani Ojcem, jak inni, jedynie – bratem Andrzejem. Juliusz nie uznawał niczyjej zwierzchności nad sobą – ani Mickiewicza, ani Towiańskiego. Dla niego wszyscy towiańczycy byli braćmi, a nie niewolnikami podporządkowanymi despotycznym rytuałom, jakie z wolna zaczęto odprawiać w Kole.

Przyglądał się z coraz większym dystansem wprowadzanym przez Adama praktykom. Jednej z nich nie mógł zaakceptować – wewnętrznej spowiedzi. Z czasem coraz ostrzej widział pewne formy zachowań, które zdawały mu się groźnym wynaturzeniem: despotyzm duchowy, nienaturalność ustawicznej ekstazy, a przede wszystkim oczekiwanie niewolniczej wręcz uległości wobec

Mistrza i jego następcy – Mickiewicza. Zrobiło mu się duszno wśród ludzi uległych i biernych. Zobaczył w tym pokorę niewolników, sekciarstwo i jakieś chorobliwe rysy.

Juliusz wciąż wierzył, że świat musi się odrodzić, jeśli nie teraz, to potem, a odrodzi się przy pomocy prostych ludzi Bożych. Jednak z braćmi z Koła coraz trudniej było mu osiągnąć porozumienie i harmonię. Inni towiańczycy także odczuwali jego dystans. Zaczęli go napominać, zachęcać do pokornego ugięcia karku. Albo rozpowiadali, że to samotnik, tetryk, ludziom już niepotrzebny, we własnej dumie pogrążony.

Był jeszcze jeden aspekt Koła, który szczególnie Juliusza drażnił: coraz wyraźniej odczuwalna dążność rosyjska. Z tym zupełnie nie mógł się pogodzić. Nie tak dawno jeszcze przecież drżał o matkę osadzoną w rosyjskim areszcie, bał się o losy Teofila i Hersylii wysłanych na Syberię.

Do nieuniknionego spięcia doszło pewnego majowego dnia podczas spotkania Koła Sprawy Bożej.

Zanim przystąpiono do wspólnych rytuałów, modlitw i czytania słów Mistrza, przysyłanych braciom ze Szwajcarii, Adam Mickiewicz rozpoczął osobistym zwierzeniem:

– Bracia! Dziś we śnie ukazał mi się duch Aleksandra I, cesarza Rosji, i prosił, aby bracia zanieśli modły do Boga w jego intencji.

Tego Juliuszowi było za wiele. Nie zamierzał brać udziału w modłach za moskiewskiego cara. Na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiech, gdy siedząc pod ścianą, powiedział na głos:

– A mnie, bracia, ukazał się duch Stefana Batorego i prosił, abym przestrzegł, iżby bracia za żadnym nie modlili się Moskalem!

Wszyscy obecni, wyćwiczeni w pokorze, słuchali w zdumieniu tego dialogu, wstrzymując niemal oddech. Patrzyli, jak na twarz brata Adama wpełza purpurowy rumieniec, jak jego ciało tężeje,

wreszcie, jak podchodzi on do siedzącego Juliusza, chwytając go silnie za drobne ramię, prowadzi do drzwi, otwiera je i wyrzuca młodszego poetę, krzyząc:

– *Poszoł won, durak!*

Juliusz zszedł spokojnie po schodach i gdy znalazł się na słonecznej ulicy, odetchnął głęboko. Wiedział, że dobrze się stało. Wewnętrzna uczciwość i poczucie godności własnej domagały się od niego jasnego sprzeciwu. Poszedł do swojego mieszkania, usiadł przy biurku i napisał list do członków Koła: „Przy sprawie trwam wszystkimi siłami, na drodze wskazanej przez Mistrza działać będę, póki mi tchu starczy”, ale zarazem stwierdzający: „okoliczności dyktują mi, abym na zebrania koła nie chodził, albowiem wolność ducha zachować pragnę, pod żaden indywidualny wpływ nie poddam się i póty będę trwał samotnie, dopóki nie uczuję, że całe koło jest mi bratnie, że razem ze mną chce czystej wiary, prawdy i tylko postępu sprawy. W nieomylną bowiem koła nie wierzę i formom przepisany przezeń dla ducha nie dam się strupić. Inne z przyczyn wyznałem zastępcy Mistrza, na tzw. Spowiedzi, której ustanowieniu trwałemu także duchem sprzeciwiać się będę. Oto jest veto duchowe Polaka, brata waszego”.

W Kole Sprawy Bożej po otrzymaniu tego listu uznano, że przyczyną odejścia Juliusza Słowackiego była jedynie szatańska pycha. A nabożeństwo za duszę cara rzeczywiście się odbyło – 20 maja w kościele Świętego Seweryna.

Sam Mistrz Towiański, Adam Mickiewicz oraz bracia z Koła potępili i napiętnowali bunt Juliusza. On jednak już się nie ugiął. A po tym incydencie pozostał wiersz:

*Mój Adamito – widzisz, jak to trudne
Uprawiać cnoty pustynie odludne,*

*Jaki pot wielki z człowieka się leje,
Gdy o ideał stoi lub ideę.*

*Dawniej ci ręce jezuitów plotły
Wianeczki i te śpiącemu wkładali,
Leciłeś jako komeciane miotły,
Sił nie zużywszy – byłeś coraz dalej.*

*Dawniej ploteczka szła na kształt zegarka
I ciągle twymi wiewała sztandary,
Lepsza niż sonet, plotka soneciarka,
Pełniejsza miodu – niż obce puchary.*

*Medale rosły w olbrzymie posągi,
Kurwy odeskie zmieniały [w] grafinie,
Nie tak to widzisz, Adamitku, nynie,
Nie tak to nynie – jak to było ongi.*

*Dziś jezuityzm jak wąż ciebie łamie,
Sam go wskrzesiłeś... widzisz, mój Adamie!*

1845

PARYŻ, JESIEŃ 1845

O szarym jesiennym świcie Juliusz siedział w szlafroku w saloniku swojego paryskiego mieszkania, patrzył w ogień i słuchał szumu deszczu za oknem. Pomimo ulewy z ulicy dochodził zwykły gwar: kopyta koni ciągnących powozy wystukiwały swój codzienny rytm, mali gazeciarze wykrzykiwali dzisiejsze tytuły, przekupki zachwalały gorące kasztany. Świat za oknem toczył się normalnie, tylko Juliusz kaszlał wciąż mocniej, a na białych batystowych chusteczkach, które przyciskał do ust, pojawiały się coraz większe plamy krwi. Piersi zmęczone kaszlem bolały go coraz bardziej. Każdego dnia miał mniej sił.

Czuł, że jego więzi z tym pędzącym światem słabną. Że tak jak jego ojcu nie będzie mu dane dożyć późnej starości. Ale przecież nie bał się śmierci. Wiedział, że koniec trudnego żywota, który wiódł w tym wcieleniu, nie będzie kresem jego nieśmiertelnej duszy. Że ta dusza wcieli się znów, ale w jakim kraju, kiedy, w jakim otoczeniu...? I z kim? Rozmyślał nad tym, gdy francuska gospodyni, która mu usługiwała, przyniosła z dołu kawę ze śmietanką i rogaliki. A gdy postawiła tacę na stoliku przed kominkiem, życzyła mu dobrego dnia i wyszła, Juliusz zapatrzył się na białą kawę w porcelanowym dzbanku i natychmiast stanął mu przed oczami obraz kuchni w Krzemieńcu, w której matka krzątała się, osobiście przygotowując taką samą kawę dla niego. Nie, nie

taką samą... Francuzka robiła to za pieniądze, matka – z czystej miłości. Znów za nią zatęsknił.

A po śniadaniu, ożywiony kawą, pokrzepiony rogalikami, usiadł przy biurku, sięgnął po swój raptularz oprawny w czerwoną safianową skórę i zaczął pisać.

Po godzinie wstał i poszedł do sypialni, by się ubrać. Na biurku pozostał otwarty raptularz, a w nim zanotowany nowy wiersz:

*Dusza się moja zamyśla głęboko,
Czuje, że tu, jak słońcu, zająć potrzeba,
A innym ludziom zabłysnąć na oko...*

*Jakiego kraju i jakiego nieba
Światło powita mię w progu żywota?
Nie wiem – lecz rad bym żył z polskiego chleba...*

*Bądźże mi lepsza, o młodości złota,
Niż ta, która mi tutaj się skończyła,
Strzegącemu się szlachetnością – błota.*

*Bądźże mi blisko... o matczyzna miła
Duszo, abym mógł znów ukochać ciebie,
Nie wiedząc, żeś mię tutaj raz – rodziła.*

Juliusz wrócił ubrany do saloniku. Przeczytał napisany wiersz. Nie miał żadnych wątpliwości, że tylko matka kochała go naprawdę. Tak, chciałby w następnym życiu spotkać taką kobietę, ale już nie jako matkę. A jednak myśl o niej wywołała bolesny skurcz.

Bo oto ostatnio skarżyła mu się w liście, że zupełnie go nie rozumie, że utwory, które jej wysyła, są dziwne i kompletnie

niezrozumiały. Dawała mu nawet do zrozumienia, że zmarnował swój poetycki talent i czas. To tak, jakby zmarnował życie. Swoje, a przez to i jej. Gorycz tego oskarżenia padającego z jej ust była nie do zniesienia. I jakże niezastężona!

Juliusz wiedział, że właśnie w swojej twórczości ostatnich lat wzniósł się na wyżyny zrozumienia istoty życia i porządku świata. I był dumny z tego, że potrafił wyrazić to w poezji. *Genezis z Ducha, Król-Duch...* Był teraz pewien przyszłej, pośmiertnej sławy, choć nie o sławę już mu chodziło. Czuł, że wyprzedził znacznie swoich współczesnych. Że osiągnął dostępne tylko nielicznym zrozumienie, iż nic się nie liczy poza miłością, przebaczeniem, współodczuwaniem z innymi. Nic poza prostotą i pokorą. Jak gdyby naprawdę samego siebie przeobraził w anioła. I że największym sensem dziejów jest nieustająca wędrówka nieśmiertelnego Ducha przez kolejne formy życia – mineralne, roślinne, zwierzęce, ludzkie i anielskie – wzwyż, ku boskiej doskonałości.

Jak niewielu współczesnych chciało i potrafiło to pojąć! Zresztą przez całe życie Juliusz czuł, że niemal nikt nie pojmuje jego słów. Co więcej, miał często wrażenie, że nikogo nie obchodzi jego poezja, jego los i on sam. Jakby świat cały sprzysiągł się, by go ignorować, pomijać, lekceważyć. Tylko ona jedna, Sally w dalekim Krzemieńcu, o oczach wielkich, czarnych i gorących jak jego własne, o duszy wrażliwej i skłonnej do uniesień, jak jego dusza, zawsze w niego wierzyła, kochała jak nikt inny i trwała przy nim. A teraz nawet ona nie potrafiła go pojąć i wyrzucała mu zmarnotrawiony talent...

Więc jednak jego losem jest ostateczna samotność, odrzucenie przez świat i niezrozumienie. Dobrze, przyjął i zaakceptował ten los już dawno:

*Kto inny tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?*

Juliusz czuł, że jego duchowi pozostało niewiele czasu do odlotu. Był coraz słabszy, kaszlał krwią i tracił siły. Był na to gotowy. Był też ciekaw tych nowych światów, które otworzą się przed nim po śmierci. Zanim to nastąpi, pragnął jeszcze tylko jednego. By pomimo wszystko zobaczyć jeszcze raz swoją matkę.

PARYŻ, ZIMA 1845

Syn Maurycego, Kazimierz Kamienicki, zdążył już poczuć się w Paryżu jak u siebie – wyuczył się dobrze języka, miał polskich i francuskich kolegów, poznał dobrze miasto. Mieszkał wciąż z ojcem, choć był dorosły – skończył dziewiętnaście lat. Pierwsze miesiące jego pobytu w Paryżu minęły na nauce i szlifowaniu języka, poznawaniu stolicy, a także na poznawaniu własnego ojca.

Maurycy, z polecenia Adama Mickiewicza, otrzymał posadę nauczyciela literatury i historii w polskiej szkole, która się rozwijała, z roku na rok przyjmowała więcej uczniów, a teraz miała nową, obszerną siedzibę przy Boulevard des Batignolles i zwyczajową nazwę: szkoła Batiniol. Chłopcy, których Maurycy uczył dotąd prywatnie, stali się uczniami tej szkoły, jego syn również ją ukończył i wszedł w ten sposób w środowisko paryskiej Polonii.

Początkowo Kazimierz poznawał u boku swojego ojca nowy dla niego, emigracyjny świat. Chodził z Maurycym na polskie msze, uczestniczył w świętach i narodowych obchodach (z których

najważniejsze były rocznice 3 maja i 29 listopada), bywał też na wielkanocnym święconym urządzanym uroczystie i z rozmachem przez księżną Czartoryską w Hôtelu Lambert. Maurycy zabierał syna także na prelekcje Mickiewicza w Collège de France, dopóki władze francuskie nie zawiesiły ich po czterech latach ze względu na jawne promowanie idei towianizmu.

Kazimierz Kamienicki towarzyszył więc ojcu w tych wszystkich miejscach, choć zdawało się, że z czasem zaczyna je traktować z coraz większym dystansem. Równolegle budował własne, niezależne od Maurycego, paryskie życie. Przede wszystkim, gdy zorientował się, że w Collège de France prócz Mickiewicza mają wykłady wybitni ludzie nauki, związani z biologią, chemią i medycyną, stał się ich wiernym słuchaczem. Pasjonował go świat materii, ożywionej i nieożywionej. Za pierwsze odłożone pieniądze kupił sobie mikroskop i spędzał długie godziny nad nim, oglądając preparaty rozmaitych substancji. W szkole z nauk przyrodniczych miał najlepsze stopnie, natomiast literatura, poezja i historia nudziły go.

Maurycy próbował wielokrotnie przekazać synowi swoją pasję poznawania dziejów i odkrywania ich ukrytych sensów, ale napotykał tylko obojętny, znudzony wzrok i wzruszenie ramion. Za to wszelkie odczyty, prelekcje i wykłady dotyczące nauk przyrodniczych przyciągały Kazimierza natychmiast. Chłopak marzył o studiowaniu medycyny, a dzięki świetnym ocenom i stypendium naukowemu udzielanemu młodym emigrantom przez instytucje Hôtelu Lambert było to możliwe. Po ukończeniu szkoły Batiniol Kazimierz zdał egzaminy i został studentem pierwszego roku medycyny na paryskiej Sorbonie.

Jeszcze trudniej niż do poznawania historii było Maurycemu przekonać syna do swoich poglądów ugruntowanych naukami

Andrzeja Towiańskiego. To, co dla Maurycego było odkryciem najwyższych prawd i wtajemniczeń dotyczących kosmicznego porządku świata, Kazimierz uważał za zabobon i nieracjonalne bajania. Ich rozmowy na te tematy stawały się coraz trudniejsze i podszyte napięciem.

Pewnego wieczoru Kazimierz wrócił do domu po wykładach na wydziale medycznym i zastał Maurycego siedzącego nad swoimi zapiskami.

– Miałem dziś zajęcia z anatomii – oznajmił. – Badaliśmy ciało jakiejś kobiety wyłowionej z Sekwany. Człowiek to jednak bardzo precyzyjna maszyna.

– Ta precyzyjna maszyna, jak mówisz, to tylko cielesna powłoka – sprostował Maurycy. – A człowiek to coś znacznie więcej.

– Więcej, czyli co dokładnie? – spytał młody student trochę zaczepnym tonem.

Maurycy odłożył pióro, zdjął okulary i odwrócił się do syna.

– Człowiek to przede wszystkim nieśmiertelny duch w wiecznej wędrówce przez kolejne wcielenia – powiedział poważnie. – Nasze obecne życie jest tylko etapem w tej podróży.

Kazimierz parsknął śmiechem.

– Ojczy, jak ty, nauczyciel w porządnej szkole, możesz mówić takie rzeczy?! – zapytał. – Przecież to są jakieś przesady. Żyjemy w wieku nauki i postępu!

– I cóż z tego? W czym nam ta nauka przeszkadza?

Kazimierz westchnął i popatrzył na Maurycego z cieniem politowania w oczach. Ten temat powracał w rozmowach i obaj wiedzieli, że ich różni. Teraz jednak Kazimierz miał nowy argument po lekturze, którą pochłaniał ostatnio i właśnie skończył.

– Czytałeś coś Auguste’a Comte’a? – zapytał.

– Nie. A któż to taki?

– To jest współczesny człowiek nauki. W swoich wykładach z filozofii pozytywnej pisze o konieczności reformy dzisiejszej nauki. Pozytywizm to będzie słowo przyszłości, zobaczysz!

– A czym ma być ta jego „filozofia pozytywna?” – zapytał Maurycy.

Kazimierz odłożył skórzaną torbę, zdjął czapkę. Wziął krzesło, postawił naprzeciwko ojca. Usiadł.

– W filozofii pozytywnej chodzi o poszukiwanie praw rządzących światem przyrody i światem społecznym tylko na podstawie faktów, czyli bez żadnych metafizycznych spekulacji. Nauka to jest działanie ludzkiego rozumu, badanie faktów, doświadczenia i eksperymenty. Wyciąganie wniosków z tego, co można zbadać. I tyle. Dlatego, ojcze, myśliciel może się wypowiadać tylko o rzeczach sprawdzalnych empirycznie i racjonalnie. Nie ma sensu pytać o przyczynę i sens życia, o obecność absolutu we wszechświecie, to wszystko są myślowe przeżytki. Jak ten wasz prorok Towiański!

Maurycy słuchał wywodów syna ze smutkiem. Kazimierz był tak pewny swego! I przekonany o swojej racji, popartej teraz nowym autorytetem. Maurycy był jednak przekonany, że jego syn głęboko się myli.

– A Bóg, synu? A dusza? – zapytał.

– Ojcze, to są jakieś przestarzałe wierzenia z fazy teologicznej, w której ludzie odwołują się do sił nadprzyrodzonych, istot boskich lub bóstwa. Albo z fazy metafizycznej.

– Przestarzałe, mówisz. A jaka jest ta nowoczesna faza?

– Właśnie faza pozytywna, w której ludzie formułują twierdzenia oparte na faktach i badaniach, eksperymentach. To jest faza naukowa. I to umożliwia postęp.

Maurycy już chciał powiedzieć, że postęp jest możliwy tylko

jako ewolucja, doskonalenie nieśmiertelnego ducha, gdy usłyszał, jak jego syn mówi:

– I dlatego właśnie Francuzi odebrali katedrę w Collège de France temu twojemu Mickiewiczowi. I tak długo byli cierpliwi. Przecież on bredził od rzeczy! Nie uprawiał tam żadnej prawdziwej nauki, tylko propagował te towianistyczne brednie.

Maurycy starał się podchodzić do syna z cierpliwością i zrozumieniem dla jego młodzieńczego radykalizmu. Jednak Kazimierz coraz częściej uderzał w to, co dla niego było niemal świętością. Maurycy wstał gwałtownie z krzesła.

– Nie waż się mówić tak lekceważąco o rzeczach, o których nie masz pojęcia! – powiedział podniesionym głosem.

– Bo co? – odparł Kazimierz, również wstając i patrząc śmiało ojcu w oczy. – Bo porwą mnie „kolumny złych duchów”? Czy może odrodzę się jako mrówka w przyszłym wcieleniu?

Ton Kazimierza stał się prześmiewczy.

– Czytałem te twoje towianistyczne zapiski o duchu i historii. Przecież to są tylko niesprawdzalne wymysły bez żadnych naukowych podstaw, które najlepiej byłoby od razu spalić. O tak!

I Kazimierz porwany własną brawurą bez namysłu chwycił ze stołu kilka zeszytów z wieloletnimi zapiskami Maurycego i cisnął je w ogień rozpalony w kominku.

Maurycy usiadł na krześle, bo nagle kolana się pod nim ugięły. Patrzył, jak płoną zapisywane skrzętnie opowieści powstańców emigrantów, zanotowane rozmowy z Adamem Mickiewiczem i Juliuszem Słowackim, notatki z listów Andrzeja Towiańskiego, zapiski ze spotkań Koła Sprawy Bożej i jego własne historiozoficzne przemyślenia... Myślał, że kiedyś zbierze, podsumuje to wszystko i wyda jako dzieło swojego życia. Swój ślad. Teraz nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, jakby coś uwięzło

mu w gardle...

Kazimierz patrzył na ojca siedzącego bezwładnie, z opuszczonymi ramionami. Może za bardzo się pospieszyłem? – przeszło mu przez myśl, gdy zobaczył minę Maurycego pełną bólu i zawodu. Może powinien wyciągnąć i ocalić te zapiski, choć uważał je za zupełnie bezwartościowe? Ale nie było to już możliwe – ogień wziął je w swoje posiadanie i wkrótce została z nich tylko garść popiołu...

1848

PARYŻ, 1848

Księżniczka Izabela Czartoryska sunęła po korytarzu Hôtelu Lambert w czarnej aksamitnej sukni, zapatrzona w ściany ozdobione mistrzowskim pędzlem Eugène'a Delacroix. Jej nieobecne zwykle oczy ożywiały się najczęściej wtedy, gdy patrzyły na dzieła sztuki. Ich chłodny błękit potrafił wtedy płonąć.

Jej matka Anna spotkała ją na schodach.

Dokąd to, moja panno? – spytała córkę z uśmiechem.

Izabela poprawiła plik zapisanych kartek, które trzymała pod pachą.

– Idę na lekcję, mamusiu. Angielski. A potem próba przedstawienia – powiedziała grzecznie, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Minęła matkę i zeszła schodami na parter.

Anna patrzyła z góry, jak córka przechodzi paradny hol, czeka, aż lokaj w liberii otworzy przed nią drzwi, i wychodzi przez nie z wysoko podniesioną głową, nie poświęcając służącemu nawet jednego spojrzenia. Robiła wiele, by wciągnąć córkę w wir swoich zajęć dobroczynnych, i rzeczywiście miała w niej oddaną pomocnicę. Szczególną dumą napawało matkę to, że Izabela, uzdolniona językowo, już mając 15 lat, zaczęła uczyć angielskiego na pensji panny niewiele młodsze, a czasem i starsze od siebie. I miała doskonałe efekty.

Ostatnio Instytut Panien Polskich stał się prawdziwym oczkiem

w głowie księżnej Anny Czartoryskiej. Początkowo mieścił się w pałacu, potem księżna Sapieżyna zgodziła się dokupić na jego siedzibę sąsiednią kamienicę. Annie zależało na tym, by Instytut kształcił dla kraju zdolne nauczycielki i by język polski zajmował w nim pierwsze miejsce. We władzach szkoły zasiadła Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, która jeszcze w przedpowstańczej Warszawie zajmowała się z pasją edukacją panien i której podręczniki pedagogiczne i zalecenia były powszechnie wykorzystywane na polskich pensjach. Wysoki poziom szkoły i autorytet księżnej pozwolił zgromadzić znakomitą kadrę, zdobyć dotacje francuskiego rządu, a panny mogły korzystać z wykładów na Sorbonie.

Księżna Anna szczególnie ceniła ten swój projekt i otaczała go największą troską – wiedziała, że będzie przynosił dobre owoce latami. Teraz w jej Instytucie kształciło się pięćdziesiąt panien, a gdy znaczna ich część powróci do kraju i założy własne szkoły, to wpojona im misja będzie się rozprzestrzeniać na polskich ziemiach.

Do wielu swoich prac Anna angażowała chętnie córkę. Chciała wpoić jej wszystko, co uważała za ważne, przede wszystkim ideę służenia innym, przedkładania potrzeb rodaków nad własne. Pragnienie bycia wciąż użyteczną i pomocną dla innych.

Ale o ile Anna robiła to wszystko z radością, o ile jej wenty, jarmarki, śniadania wielkanocne dla rodaków, uroczystości i bale przynosiły jej zmęczenie, ale też prawdziwą satysfakcję i uśmiech, o tyle Iza spełniała swoje powinności sumiennie, lecz niezbyt chętnie, z dystansem i smutkiem w błękitnych, nieobecnych oczach.

Księżna widziała, że haftowanie makat i serwetek ją nudzi. Iza wolała malować i rzeźbić. W ogóle zdawało się, że najbardziej ze wszystkiego kocha sztukę – od dziecka zbierała stare sztychy,

które kupowała u paryskich bukinistów.

Izabela wyrosła na piękną pannę, smukłą jak ojciec i giętką, o czarnych, lśniących włosach. Przemykała po wspaniałych, bogatych wnętrzach Hôtelu Lambert jak prawdziwa królowa, a przy tym otaczała ją aura spokoju, wyciszenia i smutku. Kochała swojego ojca ponad wszystko. Anna od dawna nie mogła się pozbyć myśli, że to jej poważna, uzdolniona i inteligentna córka byłaby najlepszą spadkobierczynią dzieła Adama Czartoryskiego, którego zdawała się kochać i rozumieć najlepiej z trójki dzieci. No, ale przecież to w ogóle nie wchodziło w rachubę, przywoływała Anna samą siebie do porządku. Iza, jak wszystkie kobiety, musiała wypełnić swoją powinność i zostać żoną i matką. Zwłaszcza że w całym polskim Paryżu nie było lepszej partii niż księżniczka Czartoryska!

Anna z uśmiechem dumy na ustach wróciła do swoich zajęć.

Wieczorem, kiedy siedziała przed lustrem w swojej sypialni i oprawną w masę perłową szczotką rozczesywała swoje ciemne włosy, w których błyskały już pierwsze srebrne nitki, usłyszała pukanie do drzwi. To księżę Adam odwiedził ją niespodziewanie. Wyglądał na zmęczonego. Anna złapała się na myśli, że znów się widocznie postarzał. Rysy jego twarzy robiły się coraz bardziej zacięte. Przytłaczały go troski i kolejne rozczarowania. Annie było go żal, ale sama była zmęczona po pracowitym dniu i nie miała wielkiej ochoty słuchać o kłopotach agenta głównego w Stambule.

– Chciałbym z tobą pomówić, Anno – powiedział jej mąż poważnie.

– Oczywiście, usiądź, proszę. – Księżna wskazała mężowi złocony fotel i stłumiła westchnienie.

– Chodzi o naszą Izyjkę... – powiedział księżę, siadając. – Niedługo skończy osiemnaście lat.

Anna poczuła ulgę, że nie chodzi o Czajkowskiego i jego Adampol. O dzieciach mogła rozmawiać zawsze. Uśmiechnęła się.

– Tak. Ja w tym wieku wychodziłam już za ciebie za męża.

– No właśnie. I na nią powoli już czas.

– Tak, myślę też o tym – przyznała księżna. – Kiedy, widzisz, mój drogi, u niej w ogóle nie widać żadnego tym zainteresowania. Panny w jej wieku często stroją się, czekają na bale, zamawiają suknie, kolekcjonują absztyfikantów. A jej jakby nic z tego nie obchodziło. Woli te swoje sztychy i albumy. Może dajmy jej jeszcze czas, może jej serce się obudzi...

Książę popatrzył na żonę twardo, jakby mówienie o „budzeniu serca” przy umowie małżeńskiej było jakąś kobiecą fanaberią niegodną rozważnej matki.

– W naszym domu bywają najlepsi synowie polskich rodów, wybitni artyści, poeci i uczeni, polscy i francuscy, oficerowie i książęta. Jeśli to jej dotąd nie obudziło, to nie wiem doprawdy, kto i co jeszcze mogłoby ją obudzić! – powiedział książę zirytowany.

Anna milczała. Słyszała, że ten plotkarz Zygmunt Krasiński nazywa jej córkę „Panną Lodowatą”. Ale nie chciała powtarzać tego mężowi.

– Rozmawiałem dziś o niej z dużym Władysiem – obwieścił książę.

Anna nie zdołała zapanować nad wyrazem irytacji na twarzy. Musiała pogodzić się z tym, że Władysław Zamoyski zdecydował o wczesnej zagranicznej edukacji jej synów. Do dziś czuła do niego skrywaną starannie niechęć. Ale niech się nie waży wpływać na los jej córki!

– I co? Znalazł już dla niej męża? – zapytała trochę bardziej agresywnym tonem, niż zamierzała.

– Nie – odrzekł spokojnie książę. – Ale sam by nim chętnie został. I chciał mnie wybadać, co o tym sądzę.

– Co takiego?! Chyba nie zamierzasz mu jej oddać? – Tym razem w głosie księżnej słychać było prawdziwe oburzenie. A jej policzki aż się zaróżowiły.

Książę patrzył na nią badawczo.

– Wiesz, jak jest mi bliski – powiedział spokojnie. – To właściwie nasz domownik. Jemu ufam najbardziej. A on bardzo chce zostać moim zięciem.

– Nie wątpię! – odparła Anna. – Ale nie uważam tego za dobry pomysł. Choćby dlatego, że to przecież bliska rodzina: twój siostrzeniec, a mój cioteczny brat. Dla Izy – podwójnie wuj.

– Och, moja droga, w naszej sferze wszyscy jesteśmy przecież jakoś spokrewnieni. Ty i ja także.

– Ale nie zgodzisz się chyba wbrew jej woli? – miała nadzieję Anna. – Trzeba ją zapytać, co o tym sądzi. Zna go przecież od dziecka.

– Oczywiście. Dlatego z tym do ciebie przychodzę. Wybadaj ją delikatnie, jak kobieta i jak matka, czy miałaby jakąś skłonność do Władysia. I wtedy zobaczymy.

Anna długo nie mogła zasnąć tej nocy. Nie wyobrażała sobie, by Władysław Zamoyski miał zostać jej zięciem. Niemal trzecim synem. Drażniły ją jego chłodna wyniosłość i przypisywane sobie prawo do decydowania o sprawach jej rodziny. Wiedziała także, iż nie znosił go Witold, który swoje wycierpiał z powodu jego decyzji.

Rano jednak okazało się, że Anna zupełnie nie musiała się o to martwić.

Bowiem księżniczka Izabela zapytana o chęć wyjścia za mąż za Władysława Zamoyskiego odpowiedziała stanowczo i bez

ogródek, że nie tylko nie wyjdzie za niego, ale też że żadne małżeństwo w ogóle jej nie interesuje. Nie zamierza nigdy wychodzić za mąż. Interesuje ją jedynie sztuka. A także czuje niekiedy powołanie zakonne, więc najchętniej wstąpiłaby do klasztoru.

Słyszając to oświadczenie, Anna odetchnęła z ulgą, że nie będzie musiała traktować Zamoyskiego jak syna. Reszty słów córki w ogóle nie potraktowała poważnie. Cóż, widocznie Izyjka potrzebuje więcej czasu, by dojrzeć do małżeństwa. Ale kiedyś to przecież nastąpi, tego Anna była pewna.

WROCLAW, CZERWIEC 1848

Salomea Bécu po raz pierwszy w życiu odważyła się wypuścić w podróż koleją żelazną, a nie powozem. Nigdy by się na to nie zdobyła, gdyby nie nadzwyczajny cel tej podróży, dla którego postanowiła pokonać lęk przed tą potężną, buchającą parą i pędzącą z zawrotną prędkością żelazną bestią! Ale musiała przecież odłożyć na bok swoje lęki, porzucić senny spokój swojego miasteczka, bo oto nadarzyła się okazja, by po osiemnastu latach rozłąki spotkać się z miłością jej życia – ukochanym, jedynym synem Juliuszem.

Planowali to spotkanie i marzyli o nim od tak dawna! Syn błagał ją w listach, by uczyniła wyprawę do wód albo do Włoch, gdzie i on mógłby dołączyć. Tak pięknie potrafił pisać o ich wspólnym życiu w małym domku gdzieś w Galicji czy w Italii. Salomea żyła tymi opisami i marzeniami tak długo. Ten projekt nigdy się nie udał – a to brakowało na realizację pieniędzy, a to sił i zdrowia albo samodzielne zorganizowanie takiego wojażu przez pół Europy wydawało się przerastać jej siły i możliwości.

Teraz jednak było inaczej! Juliusz miał się pojawić we Wrocławiu. No i powstała kolej żelazna łącząca bezpośrednio Wrocław ze Lwowem, w którym Salomea bywała i mieszkowała czasem w celu załatwienia rozmaitych rodzinnych spraw majątkowych i spadkowych.

A zatem Salomea Bécu odważyła się na daleką, brawurową podróż, choć nie bez obaw. Co prawda ludzie już od jakiegoś czasu jeździli koleją i wielu chwaliło ją sobie jako szybką, wygodną i ułatwiającą życie. Doświadczeni podróżnicy opowiadali jej, że to znaczne ułatwienie, oszczędzające mitręgi związanej z szukaniem koni na stacjach, noclegów w zajazdach, taszczeniem bagaży i długim czasem spędzonym w drodze. Rozumiała to wszystko i nawet była ciekawa tego wynalazku, tych pejzaży zmieniających się za oknem tak prędko.

Jej najgłębsze obawy miały zupełnie inne źródło. Bo w równym stopniu, jak pragnęła od dawna zobaczyć swojego jedynego syna, tak jednocześnie czuła lęk przed tym spotkaniem. Od pewnego czasu bowiem wyczekiwane zawsze listy od Julka bardziej ją niepokoiły, niż sprawiały jej radość. Przestała rozumieć swojego syna! Wolała, gdy dawniej opisywał jej w szczegółach swój wygląd, swoją dbałość o elegancję, swoje efektowne stroje. A także swoje prace poetyckie i marzenia o sławie i sukcesie. W tamtych listach wzruszało ją wszystko, czuła, że to jej nieodrodny syn, częśćka jej duszy, krew z krwi, człowiek tak samo wrażliwy na piękno, elegancję i poezję jak ona.

Od kilku lat jednak, odkąd spotkał tego dziwnego proroka z Litwy, ton jego listów się zmienił. Juliusz zaczął przemawiać do niej jak jakiś kaznodzieja. Salomea zaczęła się poważnie obawiać, czy jej syn, który nigdy nie założył rodziny i zdawał się wcale tego nie pragnąć, nie chce zostać księdzem! Bała się tego tak

bardzo, że zapytała go o to wprost w liście. Ale odpowiedział przecząco: nie, nigdy nie miał takiego zamiaru, odrzucała go myśl o Kościele instytucjonalnym.

A jednak jego listy nadal pełne były jakiegoś przedziwnego, niezrozumiałego zupełnie mistycyzmu. Przestał w żartobliwy sposób opisywać matce swoją paryską rzeczywistość, co tak lubiła. Zamiast tego twierdził, że zaczął teraz „przelewać ducha, który go ożywia, w jej ducha...”. Czytając takie słowa, Salomea zastanawiała się z lękiem, czy jej syn nie postradał zmysłów. Pytała o zdanie Teofila i Hersylię, którzy na szczęście powrócili już z Syberii, a gdy czytali nowe listy Julka, mówili to samo: może zwariował, może dał się omotać, może uległ podszeptom jakichś obłąkanych ludzi. Martwili się wszyscy o niego. I żalowali Juliusza, którego znali kiedyś i rozumieli, a którego teraz tak trudno było odnaleźć w jego korespondencji.

Więc Salomea jechała na to spotkanie z duszą na ramieniu. Ale przecież, nawet gdyby jej syn postradał zmysły, to nadal był jej jedynym, ukochanym dzieckiem.

Podróż minęła szybko i wygodnie. A gdy pociąg wjeżdżał powoli ze świstem na peron dworca we Wrocławiu, Salomea stała już w korytarzu i patrzyła przez okno, szukając Juliusza w tłumie podróżnych. Poznała go natychmiast! Ta sama szczupła sylwetka, te same ogromne oczy tak pełne wyrazu!

I już po chwili, gdy pociąg stanął, Salomea w uniesieniu wypłynęła niemal na peron, prawie nie czując ziemi pod stopami, i w następnym momencie tuliła drobne ciało swojego syna, który przez te osiemnaście lat z młodzieńca stał się dojrzałym mężczyzną. I łzy popłynęły z jej oczu niepowstrzymanym strumieniem, choć nie chciała wcale urządzać takich scen przy obcych ludziach. Ale jak można dziwić się matce, która czekała tak długo na widok i dotyk

jedynego dziecka? Gdy wypuściła go wreszcie z ramion, zobaczyła, że i jego oczy były zupełnie mokre.

Juliusz urządził wszystko wygodnie – zabrał matkę wynajętym powozem prosto do hotelu Biały Orzeł, gdzie czekały na nią wygodny, czysty pokój i dobra, ciepła kolacja.

Przy tej kolacji, która przeciągnęła się długo w noc, siedzieli oboje, patrzyli na swoje postarzałe twarze, posiwiałe trochę włosy i badali zmiany, jakie uczyniły w nich upływ czasu i suma doświadczeń. I choć ich serca były pełne wzajemnej miłości i radości ze spotkania, to przecież widzieli obydwójce, jak bardzo oddaliło ich i odmieniło życie z dala od siebie. Jak innymi ludźmi byli teraz niż przed osiemnastu laty, gdy Juliusz na zawsze opuścił senny Krzemieniec, by ruszyć do Warszawy, a potem w daleki świat.

Spędzili razem we Wrocławiu kilkanaście dni. Anielska miłość Salomei do syna okazała się silniejsza niż wszelkie niezrozumienie tego, co jej mówił i pisał. Rozmawiali godzinami, spacerując nad Odrą i dopowiadając sobie wszystko, czego nie wyrazili dość jasno w listach. Salomea czuła się wreszcie szczęśliwa, mając Juliusza przy sobie. Mimo że widziała z niepokojem oznaki postępującej gruźlicy, podobne jak u jego ojca. Widziała, jak męczyły go fizyczny wysiłek, nawet spacer w słońcu czy dłuższa wypowiedź. Patrzyła w zamyśleniu na jego wyostrome rysy, inteligentne oczy, na bladą, schorowaną twarz dojrzałego mężczyzny. I czuła, że choć nie zawsze rozumie jego słowa, to jednak kocha go tak samo, a może nawet bardziej, jak wtedy, gdy miał trzy – cztery lata i zasypiał wtulony w jej ramiona, gdy niosła go, wracając ze spaceru, na Górę Zamkową w Krzemieńcu.

1849

PARYŻ, WIOSNA 1849

W kwestii zamążpójścia na jakiś czas dano księżniczce Izie spokój. Młodzieńcy z najlepszych rodzin polskich i francuskich ubiegali się o jej względy i prosili o jej rękę, a ona wciąż odrzucała te propozycje, nie analizując ich nawet. Świat sztuki pochłaniał ją bez reszty. Jej kolekcja sztychów była imponująca, ale wkrótce księżniczka zaczęła także tworzyć kolekcję starożytnych waz, średniowiecznych drewnianych rzeźb oraz emalii. Była zaprzyjaźniona z paryskimi antykwariuszami, a także z kustoszem Luwru. Budziła ich uznanie i szacunek rozległą wiedzą i znakomitą gustem. Izabela towarzyszyła czasem ojcu w podróżach – przywoziła wówczas szczególnie ciekawe okazy do swoich kolekcji, a także szlifowała talenty językowe – władała biegle siedmioma językami. Uczyła wciąż w szkole matki i przekazywała uczniom swoją pasję do sztuki i języków. Takie życie zupełnie jej odpowiadało i nie oczekiwała od niego niczego więcej.

Świat jednak nie chciał zapomnieć o księżniczce Czartoryskiej i nie zamierzał zostawić jej w spokoju. Władysław Zamoyski przyjął jej odmowę, ale długo zdawał się nosić urazę w sercu. Książę Adam musiał odpowiadać na natrętne pytania otoczenia o jej los. A księżna Anna znosiła cierpliwie zatroskane pytania znajomych dam o to, czy nie chciałaby już cieszyć się wnukami.

Wreszcie do rzeczy wzięła się najskuteczniejsza kobieta w rodzinie, najbardziej zaradna – babka Izy, księżna Sapieżyna.

– Jeśli wy nie potraficie znaleźć jej męża, to ja to zrobię! – oznajmiła kiedyś córce Annie i przystąpiła do działania.

Księżna Sapieżyna zrobiła przegląd wolnych młodzieńców z najlepszych rodów, zrobiła rozeznanie wśród swoich kuzynek w kraju i doszła do wniosku, że najlepszym kandydatem byłby Jan Działyński, syn Tytusa Działyńskiego z Kórnika w Wielkopolsce. Zwłaszcza że jej bratanek Władysław Zamoyski starał się właśnie o rękę Jadwigi Działyńskiej, siostry Jana. Pałac Tytusa Działyńskiego w Kórniku był ważnym ośrodkiem polskim promieniującym na całe Księstwo Poznańskie. A ksiązę Adam Czartoryski skarżył się ostatnio, że jego wpływ na kraj, zwłaszcza w zaborze pruskim, słabnie. Dlatego rodzinny strateg księżna Sapieżyna połączyła te elementy i doszła do wniosku, że małżeństwo Izyjki z Janem Działyńskim zbliży rodzinę do kraju, pomoże księciu Adamowi wpływać na rodziny wielkopolskie, a dumną i kapryśną pannę osadzi w porządnym polskim domu, który pokaże jej, czym jest polska rodzina. Bowiem wychowana w Paryżu księżniczka wolała rozmawiać po francusku niż po polsku, nawet w domu.

Tymi argumentami Anna Sapieżyna przekonała rodziców Izy, którzy także zaczęli już tracić cierpliwość.

– Dobrze się składa, że młody Działyński jest właśnie na naukach w Paryżu – podpowiadała księżna Sapieżyna córce Annie. – Podobno też kolekcjonuje sztukę. Zaproś go może kiedyś na kolację, niech się młodzi poznają lepiej. Może jak zaczną rozmawiać o tych swoich kolekcjach, to się porozumieją i problem sam się rozwiąże.

Anna uznała to za dobry pomysł i Jan Działyński otrzymał

zaproszenie na kolację rodzinną w Hôtelu Lambert.

Przyszedł punktualnie, elegancko ubrany, trochę sztywny i onieśmielony królewską wspaniałością pałacu. Był na szczęście młody książę Witold, wesoły i lubiący zabawę, który starał się o to, by Jan poczuł się swobodnie.

Książę Adam wypytywał Jana o sytuację w zaborze pruskim i ocenił jego odpowiedzi jako całkiem rozumne. Księżna Anna uznała, że jest dość przystojny i dobrze wychowany, a do tego starszy od Izy tylko o rok, co po latach życia z mężem starszym od niej o lat 30 uznała za duży atut Jana. Młodzi książęta polubili go i zaprosili do swojej kompanii, umawiając od razu wspólne kawalerskie wyjście do teatru na modną sztukę. Tylko księżniczka Izabela zdawała się w ogóle nie zwracać na niego uwagi, choć wszyscy przy stole wiedzieli, że znalazł się tu z jej powodu. Ona jednak siedziała z nadąsaną miną, bez uśmiechu, z nieobecnyim spojrzeniem, ledwo grzebiąc widelcem w talerzu, jakby kompletnie straciła apetyt. Nie odezwała się ani słowem.

Babka Sapieżyna poczuła się zaniepokojona zachowaniem wnuczki, więc tuż po deserze powiedziała głośno:

– Izyjko, kochanie, Jan mówił mi, że wielce jest ciekaw twojej kolekcji rzeźb średniowiecznych. Sądzę, że będzie zachwycony, jeśli mu je pokażesz.

Jeden rzut oka na zaskoczoną twarz Jana Działyńskiego wystarczył, by zrozumieć, że nie miał pojęcia o żadnej kolekcji rzeźb, ale słów księżnej Sapieżyny nikt nie podważał, więc oboje młodzi podnieśli się, ukłonili obecnym, przeprosili i poszli w kierunku apartamentów księżniczki.

Izabela prowadziła Jana bez słowa pysznymi korytarzami pałacowymi prosto do swojego rzeźbiarskiego sanktuarium. Wprowadziła go do pomieszczenia, w którym w półmroku trwały

stare drewniane Madonny z Dzieciątkiem, maskarony i święci porozmieszczani w gablotach za szkłem. W tej kościelno-muzealnej aurze Izabela popatrzyła mu wreszcie w oczy i powiedziała twardo:

– Powiem ci to od razu: nie chcę tego małżeństwa, które oni tam planują. W ogóle nie chcę wychodzić za mąż. Lepiej, żebyś wiedział.

Była przy tym tak daleka, zdystansowana, nieobecna i zimna, że Jan z całą szczerością odpowiedział:

– Ja też nie chcę.

– To dobrze – skwitowała księżniczka. – Obejrzyj chociaż te rzeźby, bo babka zaraz cię odpyta.

A późnym wieczorem, gdy gość pożegnał się już i wyszedł, Anna udała się do sypialni córki.

– I co myślisz o nim, Izyjko? – zapytała, siadając na rzeźbionym łożu. – Całkiem miły ten Jan, przystojny i młody, prawda?

Izabela potrasnęła głową, a jej czarne, rozpuszczone przed snem włosy okryły jej plecy jak płaszczem.

– Nie! Nie chcę go, nie lubię go – powiedziała.

Anna mimowolnie wzniosła oczy w górę i westchnęła.

– To kogo ty byś chciała, moja panno? – zapytała zniecierpliwionym trochę tonem.

– Mówiłam wam już tyle razy: nikogo. Nie chcę żadnego ślubu!

– Ech, to tylko dziecinne fanaberie. Zobaczysz, wszystko się zmieni po ślubie – zapewniała księżna. – Ja też się trochę obawiałam twojego ojca, a popatrz, tyle lat już żyjemy szczęśliwie i zgodnie. Jan to naprawdę porządny człowiek i patriota, jak jego ojciec.

Izabela wzruszyła ramionami. Na jej twarzy malował się wyraz przygnębienia i smutku.

– To dla mnie mezalians, mammo... Nie chcę.

Księżna zirytowała się.

– Mezalians! Jeśli chcesz czuć się „królową de facto”, to każdy związek z polskim młodzieńcem będzie dla ciebie mezaliansem.

– No właśnie... – Księżniczka spuściła głowę.

– Więc czego ty byś chciała dla siebie?

Duże błękitne oczy Izy zwróciły się w stronę matki z wyrazem udręki i bezbrzeżnego smutku.

– Niczego. Spokoju. Czy nie może zostać tak, jak jest?

– Nie! To niemożliwe – powiedziała Anna stanowczo.

– To wolę klasztor...

Tego było już za wiele nawet dla tak oddanej dzieciom i cierpliwej matki jak Anna.

– Nie ma mowy!

Księżna wstała gwałtownie i wyszła z sypialni córki.

KRZEMIENIEC, WIOSNA 1849

Wiosna tego roku nastąpiła w Krzemieńcu wcześnie i była wyjątkowo piękna. Śniegi stopniały już dawno, łąki zazieleniły się i pokryły polnymi kwiatami, a bzy kwitły obficie i pachniały mocno. Ptaki śpiewały swoje trele z takim entuzjazmem, jakby świat dopiero się zaczynał. Bociany krążyły nad krzemienieckim wąwozem, wywołując uśmiechy mieszkańców.

Salomea siedziała sama na ławce przed swoim domem i czuła jedynie przeraźliwy chłód i pustkę. Nie miała siły się ruszyć. Straciła poczucie czasu. Wszystko wokół niej kwitło, brzęczało, śpiewało i celebrowało życie. Ogród pachniał i mienił się kolorami. A dla niej jakby świat się skończył. Pustka. Chłód. I nawet brak łez, by płakać.

Na kolanach Salomei leżał list adresowany do jej brata Teofila.

Odczytała go już trzy razy, wciąż nie mogąc uwierzyć...

Paryż, 7 kwietnia 1849

Szanowny Panie!

Serce mi się rozdziera, myśląc, jak bolesny cios list ten przyniesie Państwu, a szczególnie pani Salomei. Niemiło to być zwiastunem nieszczęścia i chętnie komu innemu ten obowiązek bym ustąpił, ale będąc jedynym Polakiem, który był świadkiem ostatnich chwil naszego Juliusza, uważam sobie za powinność udzielić Panu tych szczegółów.

Tak, Juliusz już nie żyje! Ale jeżeli co pocieszyć nas może po tej stracie – to jego zgon prawdziwie chrześcijański. Śmierć jego tak lekka, tak piękna się wydawała, że mimowolnie wyrywała się modlitwa do Stwórcy o zgon podobny.

Przyjechawszy przed dwoma tygodniami do Paryża, znalazłem Juliusza nadzwyczaj zmienionym. Przyjął mię tymi słowy: „Dobrze, żeś przyjechał, nie będę tak samotny w ostatnich chwilach, bo już się wszystko kończy, Pan Bóg mię wzywa do siebie”. Sądziłem, że to jeden z ataków, jakie miewał dawniej i że wiosna mu ulgę przyniesie. On tak mało mówił o swoim zdrowiu i chociaż po nocach nie sypiał i często cierpiał mocno, w dzień jednak był trzeźwy i czynny jak dawniej.

Pierwszego kwietnia, kiedym przyszedł do niego, powiedział mi, że w nocy tak mu źle było, iż dnia nie spodziewał się dożyć. Pytał, czy nie znam jakiego ubogiego rodaka, który by chciał sypiać u niego, gdyż czuje, że śmierć się zbliża, a wolałby, żeby mu oczy zamknął rodak niż obcy. Prosiłem, aby mi pozwolił przenieść się do siebie, ale nie przyjął tego, nie chcąc odrywać mnie od moich obowiązków. A kiedym nalegał dłużej,

powiedział, że później pomówimy o tym. Wreszcie dodał: „Może mię Bóg tak jakoś przeniesie!”.

Nazajutrz mówił mi, że zaczął przepisywać swój niewydany jeszcze poemacik, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Prosiłem, aby mi dyktował, co też przyjął; i tak jedną część napisaliśmy, ale i to już go męczyło, więc resztę odłożyliśmy na później. Żegnając się, polecił mi, żebym był u księdza Praniewicza, i zapytał go, czy może przyjść z sakramentami do niego.

Trzeciego kwietnia, we wtorek, uprzedziłem księdza i przyszedłem do Juliusza zapytać, kiedy chce się spowiadać. Zastałem u niego Francuza Pétiniaud, z którym Juliusz od dwóch lat był w zażyłości i który od czasu choroby co dzień go nawiedzał; ten mi powiedział, że Juliusz bardzo źle noc przepędził, a chociaż z rana wstał i chodził, jednak tak go to męczyło, że koło dziesiątej zemdlał i zdawało się, że już skończył. Ja zastałem go w łóżku, ale już przytomnego zupełnie. Zapytałem go o zdrowie. Powiedział, że ma teraz gorączkę, która go utrzymuje przy siłach, ale czuje się bardzo słabym. Zapytał o księdza i chciał, abym go natychmiast wezwał. W pół godziny przywiozłem księdza, który pomówiwszy z nim trochę, poszedł do kościoła po sakramenta.

Tymczasem Juliusz, widząc nas rozrzewnionych, wziął mię za rękę i głosem przerywanym, ale wyraźnym i spokojnym, powiedział te kilka wyrazów, które w pamięci głęboko zachowałem: „Powiedz mojej matce, że nic do niej nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można, ale szczęśliwy jestem, że dziś – jakby na pożegnanie – list jej odebrałem i z myślą o niej umieram”.

Po chwili milczenia wzniosł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił dalej: „Wiara w nieśmiertelność ducha

i sprawiedliwość Bożą jest nowym darem Stwórcy nam udzielonym. Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Dotąd przeczuwano, że Bóg jest sprawiedliwy, przypuszczano istnienie mnóstwa sztucznych kółek, za pomocą których Bóg wynagrodzi kiedyś niesprawiedliwość i cierpienie tego żywota.

Ale dziś ja ufam w sprawiedliwość Bożą, bo ją pojmuję; tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stosownie do zasług, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką dziś oddaję w ręce mego Stwórcy. Wszak prawda? Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze – przyjmiesz wolę Bożą spokojnie i z godnością, jak nieśmiertelnemu duchowi przystoi”.

Wtem ksiądz powrócił, a kiedy po spowiedzi ofiarował mu Najświętszy Sakrament, Juliusz wstał o własnej mocy i ukląkł na łóżku, potem przyjął Ostatnie Namaszczenie z zupełną przytomnością i modląc się ciągle. Po sakramentach gorączka opuściła go zupełnie, oczy się rozjaśniły i na pogodnej twarzy uśmiech się ukazał tak łagodny i ujmujący, że nie można było oderwać wzroku od tego oblicza cudownie pięknym świętym zachwyceniem. Po chwili takiego skupienia wewnętrzznego wyciągnął ręce do nas i z łagodnym uśmiechem powiedział: „Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć sakramenta; myślałem często o tym, czy też tej łaski dostąpię”.

Potem wypił trochę gorącej herbaty i prosił, żebyśmy go zostawili, gdyż chciał spocząć. Wyszliśmy do drugiego pokoju, ale drzwi były otwarte i widzieliśmy, jak zamykał oczy na chwilę i jakby lękając się, żeby to nie był sen ostatni, otwierał je nagle. Oddech jego był trudny i chrapliwy. Widząc, że nie śpi, weszliśmy znowu. Prosił o trochę wina czerwonego, które już z trudnością

połykał. Potem kazał mi przynieść książkę, z której mi w wilię dyktował, i pokazywał mi, w jakim porządku potrzeba dalej przepisywać, ale nie doszedłszy do końca, zamknął ją, mówiąc z uśmiechem: „Wszystko to głupstwo!”. Potem prosił, żeby go posadzić w innej pozycji, a kiedy to uskuteczniliśmy, powiedział zawsze z uśmiechem: „Może to w tym położeniu śmierć mię zastanie”. Potem zamilkł, ale często spozierał na zegarek, jakby chciał wiedzieć, o której godzinie do wieczności się przenosi.

Przed samym zgonem wyciągnął do nas ręce i zrobił znak, że chce wstać, lecz zaledwieśmy go podnieśli, obfity pot zaczął prawie lać się z jego twarzy i całe ciało mocno drzeć poczęło. Oddech był coraz cięższy, trudniejszy i powoli słabł, oczy na wpół się zamknęły i mgłą zaszyły. Podtrzymywałem mu głowę, a Pétiniaud nacierał mu puls i skronie, ale już nic nie pomagało; po chwili oddech ustał i serce bić przestało.

Wszystko się skończyło, już nie żył!

Kiedy pierwsza bolesć się uspokoiła, zamknąłem mu oczy i poleciłem Bogu ducha jego.

W komodzie, od której klucz miał w ręku, znaleźliśmy testament, jeszcze przed dwoma miesiącami napisany, gdzie matkę swoją i Pana robi jedynymi dziedzicami swymi, a Pétiniaud wykonawcą testamentu. W drugiej notatce były szczegółowe rozporządzenia rzeczy i pogrzebu.

Dnia piątego kwietnia odbył się pogrzeb Juliusza na cmentarzu Montmartre i grób jego wypadł dziwnym przypadkiem naprzeciwko grobu Izydora Sobańskiego.

Kilkudziesięciu Polaków odprowadziło zwłoki na cmentarz i łzami swymi uczciło po raz ostatni pamięć człowieka, którego stratę cała Polska uczuje. Zapewne Pétiniaud odeśle Panu pukiel włosów, które odcięliśmy zaraz po śmierci dla matki; zrobił także

portret jego pośmiertny, który zapewne będzie litografowany.

*Sił mi nie staje, pisać dalej o stracie, którą tak mocno uczułem.
Był on dla mnie więcej niż przyjacielem.*

Żegnam więc Pana,

Szczęśny Feliński

Salomei także nie stawało sił, by zrobić cokolwiek.

Szczęśny Feliński, syn Ewy, pojechał niedawno do Paryża i zaprzyjaźnił się serdecznie z Juliuszem. Ucieszyła się, gdy przysłał Teofilowi list. Jednak nie takich nowin oczekiwała...

Salomea siedziała jak skamieniała. Wokół niej ciepła, pachnąca wiosna roztaczała swoje powaby, nagle całkiem obce, niepotrzebne, obojętne. Ogarnęła ją zimna pustka, której, wiedziała to dobrze, nic i nikt już nie wypełni...

PARYŻ, SIERPIEŃ 1849

Pod koniec tej sennej dekady, w której ksiązę Adam Czartoryski na próżno próbował namówić zachodnie rządy do zdecydowanych działań, sytuacja polityczna we Francji i w innych krajach raptownie przyspieszyła. Nagle stało się tak, jakby ludy Europy straciły cierpliwość i zaczęły występować gwałtownie z żądaniami praw i zwiększenia obszarów wolności. Jedni chcieli polepszenia warunków życia i wyjścia z nędzy, inni domagali się autonomii lub niepodległości, a jeszcze innym chodziło o większy udział obywateli w rządzeniu państwem. I nagle mogło się wydawać, że ktoś rozpałił iskrę, dmuchnął i ogień rewolucyjnych wystąpień ogarnął cały niemal kontynent.

Książę Czartoryski przyglądał się uważnie tym wydarzeniom, zawsze czujny i uwrażliwiony na możliwość powiązania

europijskich ruchów wolnościowych i rewolucyjnych z polskim ruchem narodowym. A także z losem innych narodów słowiańskich żyjących w obrębie imperiów osmańskiego i rosyjskiego. Dzięki raportom swoich agentów książę rozumiał doskonale narastające napięcie pomiędzy Rosją i Turcją – jednym z punktów zapalnych były prawa chrześcijańskich Słowian w muzułmańskim imperium, których Rosja chciała objąć swoim „protektoratem”. Książę obawiał się właśnie tego – by tureccy Słowianie nie rzucili się w objęcia Moskwy.

Gwałtowne wystąpienia rewolucyjne roku 1848, nazwane Wiosną Ludów, zmiotły we Francji rząd Ludwika Filipa, z którym książę pertraktował od 18 lat. Znał dobrze wszystkich ważnych ludzi w rządzie i jego otoczeniu. Teraz władza przeszła w ręce Ludwika Bonaparte, bratanka Napoleona. Okazało się, że tradycje i sympatie napoleońskie wciąż były silne we Francji, szczególnie w niższych warstwach. Natomiast niechęć księcia Czartoryskiego do Napoleona była dobrze znana w Paryżu i nie pomagała mu w aktualnym politycznym układzie.

Nowym ministrem spraw zagranicznych został Alexis de Tocqueville, francuski arystokrata, który zasłynął błyskotliwym studium demokracji amerykańskiej. I to on właśnie zaprosił księcia Czartoryskiego na spotkanie w ministerstwie. Książę znał go z paryskich salonów i cenił jako przenikliwego myśliciela o doskonałych manierach i wyglądzie subtelnygo poety.

Gabinet ministra urządony był ze smakiem i przepychem. Kawa – pachnąca i wyśmienita. Fotele wygodne, obite grubym aksamitem. A na stole – bukiet lilii, jakby dyskretne wspomnienie odsuniętej właśnie od władzy dynastii Burbonów.

Gdy obaj politycy przywitani się i zasiedli w fotelach, minister de Tocqueville przyjrzał się Czartoryskiemu z zainteresowaniem,

po czym powiedział:

– Czytałem pański esej *Rozważania o dyplomacji*, książkę. Wszak to pan jest autorem ukrytym pod pseudonimem, prawda?

– Tak, w istocie, panie ministrze.

– To bardzo interesująca pozycja, książkę. Widać w niej, że jest pan idealistą. Pisze pan, że w dyplomacji, tak jak w życiu, należy kierować się poszanowaniem moralności i sprawiedliwości. Że to jest podstawą społeczeństwa obywatelskiego i powinno być podstawą ładu w Europie i na świecie.

Książkę skinął głową na znak, że nadal podpisałby się pod tymi słowami.

– Wydawało mi się często, że jeśli społeczeństwa różnią się obyczajami, to moralność polityków jest wszędzie taka sama – kontynuował Alexis de Tocqueville. – Ale pan, książkę, jest wyjątkiem. Nie słyszałem nigdy w księcia głosie tej nuty cynizmu, która stale towarzyszy większości zawodowych polityków. To dość niezwykle i godne szacunku.

Na te słowa księciu Adamowi stanęła przed oczami postać starego Talleyranda, sługi wszystkich systemów i zdrajcy wszystkich francuskich rządów od półwiecza. Rzeczywiście ten wzorcowy francuski polityk był wprost uosobieniem cynizmu, choć swoją postawę nazywał „służbą słodkiej Francji”.

– To piękna cecha, książkę, i bardzo to szanuję – mówił de Tocqueville. – Ale gdzie jest i gdzie była cnota u ludzi, którzy dokonywali wielkich rzeczy na tym padole? Zaczynam się, doprawdy, obawiać, że spotyka się ją tylko w wyobraźni historyków.

– Bez trudu można znaleźć w historii przykłady takich władców, panie ministrze – odparł książkę. – Choćby Elżbieta I czy Henryk IV. Oni pragnęli sprawiedliwej Europy. Jestem przekonany, że kiedyś

ludy tego kontynentu będą żyć w sprawiedliwym, dobrze urządzonym świecie, z poszanowaniem wszystkich.

– Tak, być może ma pan rację. Przejdźmy jednak do właściwego powodu naszego spotkania, książę – powiedział gospodarz. – Zaprosiłem tu pana, ponieważ ambasador Prus przedstawił nam dokumentację dotyczącą pańskiej współpracy z przywódcami rewolucji węgierskiej. Prusy w imieniu trzech mocarstw rozbiorowych żądają usunięcia pana z naszego kraju.

Czartoryski musiał liczyć się z takim ryzykiem, nie przypuszczał jednak, że do tego dojdzie.

– A zatem, czy to prawda, książę, że współpracuje pan z przywódcami ruchów rewolucyjnych w Europie? – zapytał minister de Tocqueville.

– Rzeczywiście, panie ministrze, jako Polak i reprezentant zniewolonej Polski na uchodźstwie jestem w stałej opozycji wobec Rosji i Austrii jako głównych wrogów mego kraju – odpowiedział Adam Czartoryski spokojnie. – Od lat moje działania mają jeden cel: wyzwolenie mojej ojczyzny spod zaborczej okupacji. Ale zarazem muszę kategorycznie odrzucić zarzut postawy rewolucyjnej. Nie utrzymuję żadnych związków z demokratami ani radykałami różnej maści, którzy zresztą zawsze atakują mnie jako obrońcę arystokracji i konserwatyzmu. Jakiegokolwiek wywracanie urzędów społecznych nigdy nie przychodziło mi na myśl, przeciwnie, zawsze głosiłem swoim rodakom porządek, dyscyplinę, konieczność szanowania władzy, religię jako jedyny środek zachowania narodowości. Nigdy nie wywoływałem w swoim kraju ani nigdzie indziej żadnego ruchu rewolucyjnego, zawsze je odradzałem. A gdy te ruchy już powstawały, zawsze starałem się im nadać lepszy kierunek i użyć ich dla dobra ojczyzny.

– A co pan sądzi, książę, o Kossucie i innych przywódcach

rewolucyjnych ruchów?

– Proszę wybaczyć określenie, panie ministrze, ale uważam, że to półgłówki, przeciwnicy społecznego porządku i religii. Chcą nieść wszędzie pożogę, anarchię, demagogię i komunizm!

Alexis de Tocqueville przyglądał się księciu z zainteresowaniem i sympatią.

– Lubię pana, księżę, i szanuję – rzekł z uśmiechem. – Proszę wybaczyć, ale przypomina mi pan jednego z moich wujów. Dlatego powiem panu zupełnie prywatnie: prezydent Francji Ludwik Bonaparte nie zapomniał pańskiej roli w antynapoleońskich krucjatach. Dlatego nie darzy pana wielką sympatią. Proszę wybaczyć szczerłość.

Księżę zamyślił się. Przypomniał sobie gorące lato 1826 roku, gdy podróżował po Europie, a matka obecnego prezydenta Francji, księżna Hortensja Saint-Leu, wciąż była piękną, uwodzicielską kobietą... Dla księcia to był trudny czas: zmarł car Aleksander, wkrótce po nim Elżbieta. Jego młoda żona Anna nie mogła dojechać do siebie po dwóch porodach i leczyła słabości u wód... Piękna i słodka Hortensja koiła jego ból. I sama szukała w jego ramionach zapomnienia w swoim niełatwym i niezbyt szczęśliwym życiu. Księżę westchnął mimowolnie. Pamiętał jej dwóch młodych synów, którzy patrzyli na niego wilkiem, gdy wieczorami odwiedzał ich matkę w jej pałacu. Któż mógłby przypuścić, że jeden z nich zostanie prezydentem Francji i że z nim właśnie przyjdzie księciu pertraktować, i jego prosić o łaskę dla kraju.

– Pamiętam jego matkę – nie mógł się powstrzymać księżę.

– Właśnie – wszedł mu w słowo minister de Tocqueville. – To także nie pomaga.

1850–1855

PARYŻ, 1850–1855

Od początku kolejnej dekady gwałtownie rosło napięcie w stosunkach rosyjsko-tureckich. Ekspansja cara Mikołaja I na południowy wschód wyraźnie przybierała na sile. Pretekstem w sporze była opieka nad miejscami świętymi w Jerozolimie, ale wszyscy rozumieli, że Mikołajowi bardziej niż o Grób Pański chodzi o podporządkowanie sobie Turcji i o złote kopuły Sztambułu, dawnego Bizancjum.

I tak jak Prusy zażądały od władz francuskich usunięcia księcia Czartoryskiego z Francji, tak Rosja i Austria, świadome skuteczności i silnych wpływów Michała Czajkowskiego na sułtańskim dworze, żądały jego usunięcia z Turcji. Książę Czartoryski zabiegał w Ministerstwie Spraw Zagranicznych przy quai d'Orsay o obronę Czajkowskiego przed wydaleniem go ze Sztambułu. Niestety, przyjazny księciu Alexis de Tocqueville zdążył już złożyć dymisję, a jego następcą, generał La Hitte, łączący mentalność żołdaka z poczuciem wszechmocy francuskiego urzędnika, kazał księciu czekać na przyjęcie przez dwie godziny w korytarzu, po czym odprawił go z niczym za pośrednictwem woźnego.

Michał Czajkowski nie zamierzał Turcji opuszczać i za jedyną możliwość pozostania tam i kontynuowania swojego dzieła uznał przejście na służbę sułtańską, co wiązało się z koniecznością konwersji na islam. Tak uczynił i przyjął nowe imię: Sadyk Pasza,

pragnąc nadal służyć sprawie polskiej.

Dla księcia Czartoryskiego jednak apostazja Czaykowskiego była dotkliwym ciosem, z którym trudno mu się było pogodzić. Zwłaszcza że w ślad za Czaykowskim podobnie postąpiło wielu oficerów polskich, którzy znaleźli w Stambule schronienie po Wiośnie Ludów. Księżę uważał to za renegeactwo, potępiał i twierdził, że nie można wierności ojczyźnie dowodzić przeniewierzaniem się Bogu i religii. Jeszcze ostrzej reagował na to silnie związany z katolicyzmem Władysław Zamoyski, bez ogródek nazywając przechodzenie Polaków na islam zdradą narodową i zaprzaństwem.

Sytuacja w imperium osmańskim zaostrzała się stopniowo, aż w początkach 1853 roku Rosjanie przekroczyli granicę rosyjską na Prucie i rozpoczęli okupację Mołdawii i Wołoszczyzny. Trochę później zniszczyli całą turecką flotę w bitwie pod Synopą i rozpoczęli tym samym największy konflikt zbrojny w Europie od czasów Napoleona. W obronie zaatakowanej Turcji zawiązała się koalicja państw zachodniej Europy.

Księżę bacznie obserwował przebieg konfliktu, z rosnącą nadzieją, że oto spełnia się Mickiewiczowska modlitwa o wojnę powszechną, przynoszącą także wyzwolenie Polsce. W Hôtelu Lambert zapanowało wielkie ożywienie. Powróciła idea tworzenia polskiego wojska w Turcji. Wobec nadchodzącej wojny europejskiej polska krew znów była w cenie.

A Czartoryski jak dawniej pisał memoriały, snuł wizje, budował strategię i przedstawiał je sprzymierzonym zachodnim politykom, na co ci odpowiadali drobnymi gestami osobistej sympatii.

Ambasador turecki podjął księcia obiadem dyplomatycznym. Na balu u stryja Hieronima Bonaparte cesarz był bardzo dla księcia uprzejmy. Cesarzowa serdecznie rozmawiała z księżną Anną przez

całe pół godziny! Napoleon III pytał go, czy duch żyje w Polsce i czy Polacy są gotowi do poświęcenia. A na zakończenie powiedział: „Miejcie nadzieję!... lecz zachowajcie cierpliwość”.

Gdy następnego dnia ksiązę Adam relacjonował przebieg tego wieczoru domownikom przy obiedzie, jego teściowa, księżna Anna Sapieżyna, wzruszyła ramionami i rzekła:

– Nie ekscytuj się tym aż tak. Takie słowa nic nie kosztują.

Ksiązę odparł nieco urażony:

– Ależ, Anno! Cesarz był nam doprawdy niezwykle przychylny.

Teściowa popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby nie była księżną Sapieżyną, tylko kutą na cztery nogi warszawską przekupką.

– Słowa nic nie kosztują. Ty się wzruszasz jego dobrocią, a on chce tylko podlać swoje zwycięstwo polską krwią. Czy to kiedykolwiek do ciebie dotrze, że im nic a nic nie zależy na polskiej sprawie? Ileż jeszcze będziesz się łudził?

Ksiązę popatrzył na nią chłodno.

– Doprawdy wdzięczny ci jestem, Anno, że tak tu dbasz pięknie o nasze interesy, do czego ja, Bóg mi świadkiem, nie mam głowy zupełnie. Doceniam to, żeś nas może ocaliła przed nędzą i degradacją zupełną. Ale pozwól, by każde z nas zajmowało się tym, na czym się zna. – Ton księcia mimowolnie stał się wyniosły.

– Ja się nie mieszam do twoich akcji kolei i renty francuskiej, a ty, proszę cię unieźmie, pozwól mi się zajmować dalej polityką, co robię od sześćdziesięciu lat.

– Ależ zajmuj się, zajmuj – powiedziała nieco kpiąco księżna. – Łudź się dalej, czym tylko ci się podoba. Tylko nie każ, proszę, nam wszystkim podzielać tych złudzeń, bo ludzie bardziej trzeźwo myślący widzą wyraźnie, że skoro ani Anglia, ani Francja nie ruszyły od lat choćby małym paluszkiem w sprawie polskiej, to

czemużby nagle miało się coś zmienić?

Choć słowa księżnej były klarowne i logiczne, czy można dziwić się księciu, że był całkowicie zamknięty na taką argumentację? Gdy całe jego życie podporządkowane było tej głównej idei – by pod jego przywództwem, za jego sprawą dokonano się odrodzenie Polski. Teraz, wobec wyczekiwanej wojny zaborczych mocarstw, upragniony cel zdawał się osiągalny jak nigdy dotąd. Czyż można się dziwić, że książę Adam Czartoryski uczeplił się tej myśli, tej wizji, i nie pozwolił jej sobie odebrać nawet przenikliwym argumentom swojej obrotnej i skutecznej teściowej? Gdy spełnienie nadziei całego życia jest tak blisko, wtedy nie można, po prostu nie można zacząć wątpić! Toteż książę nie wątpił. Zamiast tego poddawał się fali ogólnego ożywienia: przez Hôtel Lambert znów przewijały się tłumy, a w paradnych pałacowych wnętrzach zdarzał się wieczorami prawdziwy ścisk.

Księżna Anna Sapieżyna natomiast prowadziła w tym czasie transakcje sprzedaży zboża bezpośrednio w Anglii, sprzedawała korzystnie w okresie hossy papiery renty francuskiej i brytyjskie akcje kolei żelaznej w Indiach, lokując wszystko w akcjach amerykańskich i pożyczce renty kanadyjskiej, a te dawały dwukrotnie większy odsetek i były gwarantowane przez rząd. Fortuna rodzinna rosła. Przyszłość dzieci była bezpieczna i stabilna. W interesach pomagał babce Witold, który badał też w Londynie możliwości sprzedaży części zbiorów rodowych w celu zwiększenia kapitału zaangażowanego w operacje giełdowe.

Matka i babka skutecznie obroniły młodego księcia Witolda przed perspektywą „służby sprawie” – jako następcy ojca w Hôtelu Lambert lub w jakiejś armii. To mu nie odpowiadało i nie nadawał się do żadnej z tych ról.

Książę był bardzo zawiedziony postawą swojego pierworodnego

syna i czynił mu gorzkie wyrzuty:

– Ty nic nie lubisz w gruncie rzeczy prócz butelki i najniższego zabłoconego towarzystwa. Ojczyzna, chwała, dobre imię, rodzice, familia, jakikolwiek obowiązek, jakakolwiek szlachetna myśl lub wyższe uczucie – wszystko to nie przemawia do ciebie, nie ma na ciebie żadnego wpływu. Chcesz tylko mieć zupełną wolność, by pogrążyć się bez przeszkód w pijaństwie i we wszystkich brudach życia bez celu i bez reguł. Jesteś spaskudzoną, upadłym, bez szlachetności, bez energii, bez sumienia, bez rozsądku. Żebyś kiedyś zapłakał gorzko, jak ja co dzień gorzko nad tobą płacę.

Kobiety w rodzinie Czartoryskich rozumiały dobrze, że Witold nie wytrzymał presji surowości, wielkości i oczekiwań ojca. Wolał się upić i zabawić, ciągnęło go do rysztockowych uciech i zwykłych ludzi, bez tego patosu, jaki reprezentował jego ojciec. Księżne zdawały sobie sprawę z niebezpieczeństw takiej postawy. I uznały zgodnie, że ostatnią nadzieją na ustatkowanie się jest dla księcia Witolda dobry ożenek.

Po gruntownych poszukiwaniach i konsultacjach ich wybór padł na córkę bogatych ziemian z Kijowszczyzny, Marię Grocholską. Wysoka, o pięknej, miłej powierzchowności zyskała dużą sympatię w rodzinie, zwłaszcza gdy chętnie i z uśmiechem włączyła się w organizowanie imprez charytatywnych Anny. W październiku 1851 roku odbył się piękny ślub na Wyspie Świętego Ludwika.

Babcia Sapieżyna postarała się o stabilizację materialną. Nabyła malowniczo położony majątek Changy wraz z pałacem i wypuściła go Witoldowi w dzierżawę za ponad dwadzieścia tysięcy franków rocznie. Od tej pory cała rodzina książąt Czartoryskich chętnie wypoczywała u Witolda.

Całe to przedsięwzięcie okazało się znakomitym pomysłem, książę Witold bowiem odnalazł się świetnie w roli ziemianina.

Z młodą, piękną i pełną energii żoną u boku zabrał się gorliwie do remontu starego pałacu, do wyboru najlepszego sposobu nawożenia pól, a jednocześnie prowadził irygacje, melioracje, siewy zbóż i hodowlę zwierząt. Stał się prawdziwym panem i zarządcą na swoich rozległych włościach.

Któregoś popołudnia Anna Czartoryska, siedząc tam na tarasie przy herbacie obok swojego męża i patrząc na rozległą perspektywę zielonych pól i sadów, powiedziała do księcia:

– Widzisz, mój drogi, mówiłam ci zawsze, że Wicio to dobry chłopiec. I popatrz, jaki wspaniały gospodarz z niego wyrósł! – Jej oczy świeciły matczyną dumą. – A ty zawsze byłeś dla niego taki surowy – dodała z wyrzutem, w którym brzmiał prawdziwy żal.

Stary książę milczał. Jego spokojna, oddana żona tego jednego nie mogła mu wybaczyć: surowości i oschłości wobec synów. Czuł ten jej żal. Cóż, kobiety z tym swoim miękkim sercem nie potrafią zrozumieć oczekiwań ojca wobec pierworodnego dziedzica. W sercu księcia wciąż był zawód, że żaden z synów nie chciał i nie był w stanie spełnić jego dynastycznych planów i ambicji.

Ale ileż wszelakich zawodów jego serce musiało już pomieścić! Gdyby każdy z nich był kamieniem, zebrałby się z nich potężny, ciężki wór. A z takim ciężarem w sercu niełatwo żyć. Więc teraz stary książę nie myślał już o tym, tylko wyciągnął się wygodnie na rozkładanym plecionym fotelu i rozkoszował widokiem z tarasu pałacu na kwitnące łąki i sady. Dobrze być znów ziemianinem! Choćby za pośrednictwem syna.

Ostre rysy księcia rozluźniły się lekko i wypogodziły. Zamknął oczy. Odpłynął sennym majakiem w dawne rodzinne strony. Poczł jeszcze, jak ktoś delikatnie okrywa mu nogi lekkim pledem. Anna? Uchylił powieki. Nie, to Maria, jego młoda synowa. Jej gibkie smukłe ciało pochylało się nad nim, gdy układała fałdy

srebrzystego pledu. Jej świeża rumiana twarz uśmiechała się do niego wesoło, bez żadnego lęku. Ech, szczęściarz z tego Witolda!

EPILOG

WARSZAWA, 22 LIPCA 1861

W upalny lipcowy poniedziałek 1861 roku wąskie uliczki Starego Miasta w Warszawie wypełniło bicie katedralnych dzwonów. Przed ceglana fasadą kościoła Świętego Jana gęsty tłum ciemno ubranych ludzi wchodził na schody świątyni, by dostać się do chłodnego, mrocznego wnętrza. W tłumie tym, nie widząc się wzajemnie, przesuwali się w kierunku ołtarza dwaj starsi panowie o posiwiałych skroniach: Maurycy Kamienicki i Antoni Edward Odyniec. Obaj, niezależnie od siebie, przyjechali z Wilna do Warszawy, by wziąć udział w mszy żałobnej odprawianej za duszę księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, który zmarł przed tygodniem we Francji, w dziewięćdziesiątym trzecim roku życia.

O śmierci księcia Adama pisała cała europejska prasa, jakby rzeczywiście był królem Polski. Nabożeństwa żałobne odbyły się już w Paryżu i w Wiedniu. W Warszawie mszę za duszę księcia odprawiał prymas Królestwa Polskiego arcybiskup Fijałkowski, który trzydzieści lat temu był kapelanem powstańczego wojska polskiego.

Maurycy stał w bocznej nawie gotyckiej katedry, mniejszej i skromniejszej niż wspaniała katedra Notre Dame, w której bywał często przed laty. W której bywał także i opodal której mieszkał zmarły.

Ciszę kościelnego wnętrza wypełnił potężny dźwięk organów. Rozpoczęła się msza. Myśli Maurycego uleciały, jak zwykle, w przeszłość, ku ostatnim latom długiego życia księcia.

Maurycy rozumiał doskonale, że wojna krymska przyniosła absolutną, ostateczną klęskę wieloletniej polityki i nadziei Adama Czartoryskiego. Wszystko, w co wierzył, na co liczył, o czym marzył, okazało się mrzonką, czystą iluzją. Wyczekiwana przez niego całymi dekadami wojna państw zachodniej Europy z Rosją skończyła się całkowitą, druzgocącą klęską cara Mikołaja I, który zbyt długo był przekonany, że dysponuje niepokonaną, najpotężniejszą armią świata. Rosjanie, którzy wciąż upajali się pokonaniem Napoleona, nie mogli uwierzyć, jak bardzo zmieniła się sytuacja militarna w Europie od tamtego czasu. Nowoczesna broń, francuskie i angielskie karabiny o trzykrotnie większym zasięgu niż stare rosyjskie, lekkie okręty parowe zapewniające błyskawiczny transport morski – wszystko to dawało Zachodowi wielką przewagę techniczną i militarną nad Rosją. W obronie Sewastopola, na polach Bałakławy na Krymie i na wodach Morza Czarnego zginęły tysiące rosyjskich żołnierzy, Mikołaj I musiał uznać słabość i zacofanie swojego imperium.

Ale choć car przegrał tę wojnę z kretesem, choć jego Rosja okazała się kolosem na glinianych nogach, choć można jej było dyktować warunki, to jednak w niczym nie zmieniło to sytuacji Polski. I mimo że Polacy zdobyli się na wysiłek wystawienia swojego wojska do udziału w tej wojnie, mimo że poróżnieni, ale służący jednej sprawie Michał Czajkowski – Sadyk Pasza, i Władysław Zamoyski byli gotowi na walkę z Rosją na śmierć i życie, to na paryskim kongresie pokojowym po zakończeniu działań wojennych przyszłość Polski nawet nie stanęła jako punkt w dyskusji.

Ci trzej mężczyźni: książę Adam Czartoryski, Władysław Zamoyski i Sadyk Pasza, którzy poświęcili tyle energii, wysiłku i pracy dla wojny rosyjsko-tureckiej, którzy marzyli o niej latami,

widząc w niej szansę na wolność swojego kraju, musieli patrzeć rozgoryczeni, jak długie lata ich zaangażowania szły na marne; jak dla nikogo, prócz nich i ich rodaków, sprawa Polski nie miała żadnego znaczenia – że nie uznano jej nawet za temat do rozmów na międzynarodowym kongresie pokojowym.

O ile wcześniej książę Adam Czartoryski liczył na to, że wojna krymska i klęska Rosji będą ukoronowaniem jego wieloletniej służby publicznej, o tyle stało się jasne, że to ostatni, najgłębszy kielich goryczy, jaki los podsunął mu do wypicia. Zwłaszcza że wysłany przez niego do Turcji Adam Mickiewicz z misją pogodzenia dwóch poróżnionych dowódców polskiego wojska: Władysława Zamoyskiego i Sadyka Paszę, niespodziewanie dla wszystkich zmarł w Stambule. I nawet tą śmiercią niektórzy próbowali księcia obciążyć.

Po wojnie Czartoryski nie miał już sił na tworzenie kolejnych koncepcji. Z pełną świadomością całkowitej porażki, ale też z poczuciem, że uczynił wszystko, co było w ludzkiej mocy, postanowił ostatecznie wycofać się z polityki. Był stary, wyczerpany, rozgoryczony. Oszukany przez świat. A przede wszystkim przez zachodnią Europę. Teraz wreszcie mógł uczynić to, na co żona namawiała go od lat: zostawić politykę i oddać się życiu rodzinnemu. I w nim odnalazł spokój i wytchnienie w ostatnich latach życia.

A jednak wojna krymska miała dla Polaków jeden pozytywny skutek. Oto car Mikołaj, upokorzony klęską i kompromitacją swojej ukochanej armii, nie wytrzymał tego i nagle zmarł. Rosyjski tron objął jego syn, trzydziestosiedmioletni Aleksander, świadomy, że reformy są jego imperium potrzebne jak powietrze. Car Aleksander II dał przyzwolenie na dyskusję o szerokich zmianach w rosyjskiej polityce wewnętrznej. Jedną z pierwszych zmian, jakie

wprowadził, była powszechna amnestia. Obejmowała ona także polskich emigrantów politycznych, którzy mogli wreszcie, po dwudziestu pięciu latach na wygnaniu, powrócić do domów.

Nie wszyscy mieli do czego wracać. Jednak Maurycy, gdy tylko usłyszał o amnestii, postanowił z niej skorzystać. Jego syn Kazimierz, doktor nauk medycznych z własną praktyką i wieloma zamożnymi pacjentami, wolał pozostać w Paryżu. Maurycy złożył wypowiedzenie w szkole polskiej Batignolles, pożegnał się z uczniami i nauczycielami, zostawił swoje mieszkanie i meble synowi, spakował swój niewielki dobytek i był gotowy wracać do domu. Po upływie ćwierćwiecza.

Przygotowując tę podróż, wspominał swoje przybycie do Francji – częściowo wynajętymi wozami, częściowo pieszo. Teraz mógł wrócić koleją żelazną: najpierw z Paryża do Wiednia, a potem szybką i wygodną Koleją Warszawsko-Wiedeńską. W Warszawie jednak komfort podróży się kończył – zaczęto już wprawdzie budowę Kolei Warszawsko-Petersburskiej, prowadzącej przez Wilno i mającej szerszy, rosyjski rozstaw torów, ale nie doszła jeszcze do Wilna, trzeba więc było, jak dawniej, wynająć powóz albo pocztowy dyliżans i nocować w przydrożnych karczmach i zajazdach.

Maurycy wracał z mieszanymi uczuciami. Tęsknił za domem przez te dwadzieścia pięć lat, to pewne. Jednak przecież jego ukochana żona nie czekała na niego, leżała od dawna w mogile. A obie, dorosłe już córki nie mogły go pamiętać. Znaczna część jego przyjaciół z młodości rozproszyła się po świecie, wielu nie żyło.

Maurycy zawsze myślał o powrocie w rodzinne strony i zarazem trochę się tego powrotu obawiał. Bo przecież miejsce pozostawione na dwadzieścia pięć lat jest już zupełnie inne, niemal obce. Tak było w istocie, szczególnie w przypadku Wilna.

Wilno swojej młodości Maurycy pamiętał jako rozbawione, tętniące życiem miasto, pełne studentów pochłoniętych poezją, zabawą i nauką, ludne i barwne. Na ulicach zaci profesorowie przyjmowali ukłony chłopców w mundurkach, z okien domów płynęła muzyka fortepianowa i śpiew, eleganckie damy spacerowały albo szły na wieczorne bale i przyjęcia, a młodzi idealisci w tajnych stowarzyszeniach zastanawiali się, jak budować lepszy świat.

Z tamtego Wilna pozostały tylko mury: kamienice, pałace, kościoły – niemi świadkowie minionego czasu. Po zamknięciu Uniwersytetu Wileńskiego miasto zmieniło się zupełnie: wyludniło się, ucichło, posmutniało. Represje, które wprowadzono po powstaniu, stłumiły dawną ochotę do zabaw, a z czasem wszelką niemal aktywność mieszkańców.

Pierwsze spotkanie z miastem było dla Maurycyego prawdziwie przygnębiające, było tam pusto, szaro, chłodno. Na ulicach jedynie sporo rosyjskich mundurów. Nie poznawał nikogo i nikt jego nie poznawał. Przemknęła mu wtedy niespodziewana zupełnie myśl – czy warto było wracać, czy nie lepiej było pozostać w Paryżu?... Ale przegnał ją szybko.

Przez całą mszę wspomnienia Maurycyego krążyły wokół przeszłości – tej wileńskiej i tej paryskiej. Z zamyślenia wyrwał go znowu dźwięk organów, gdy po skończonej mszy i po błogosławieństwie arcybiskup Fijałkowski zaintonował mocnym głosem pieśń *Boże, coś Polskę*, a zgromadzeni w katedrze podjęli ją odważnie i odśpiewali do końca, choć groziły za to carskie represje.

Od pewnego czasu sytuacja polityczna w Warszawie była napięta i przestrzeń kościoła nie chroniła przed gniewem i brutalnością rosyjskich żandarmów i wojska. Przed paroma

miesiącami Kozacy konni ostrzelali bezbronny tłum manifestantów, zabijając kilka osób. Niepokój w mieście rósł wraz z kolejnymi represjami. *Boże, coś Polskę* odśpiewane w murach warszawskiej katedry na mszy za duszę księcia Czartoryskiego brzmiało niemalże jak hymn narodowy. W powietrzu czuło się wielkie wzruszenie.

A po skończonej mszy dwaj Litwini, dwaj dawni filareci, zobaczyli się wreszcie przy wyjściu z kościoła, przywitali serdecznie i postanowili pójść razem na obiad na Starym Mieście.

Gdy emocje i wzruszenie już trochę opadły, Maurycy Kamienicki i Antoni Edward Odyniec zamówili w restauracji chłodnik litewski, który wydawał im się najlepszym wyborem na ten upalny dzień.

Siedzieli przy drewnianym stole, na wyplatanych fotelach, a ciepły wiatr niósł zapach róż, lilii i groszku z pobliskich straganów warszawskich kwiaciarek.

– Kwiaty co roku zakwitają tak samo pięknie, jakby nic nie wiedziały o upływie czasu – powiedział w zamyśleniu Maurycy. – Tylko my coraz starsi i coraz słabsi. I co chwilę kogoś z nas ubywa. A teraz książę... Nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek mogłoby go zabraknąć. Zawsze był dla nas opoką. W Wilnie, w powstaniu, w Paryżu...

– Nikt nie jest wieczny, Maurycy – odpowiedział sentencjonalnie Odyniec. – Wcześniej i boleśniej przekonałem się o tym. Wiesz, że czworo moich dzieci zmarło w dzieciństwie wczesnym? Nie jest łatwo żyć po takich stratach...

– Tak, słyszałem od Adama w Paryżu. Bardzo mi przykro... Moja żona też umarła młodo, przedwcześnie. I nie zobaczyłem jej już po powstaniu.

Odyniec, tak dawniej wesoły i pełen radości życia, wydawał się teraz skurczony, przybity. Jego twarz pokryta była bruzdami

na czole i na policzkach. W miejsce dawnej żywiołowości i beztroski utrwalił się na niej wyraz melancholii i smutku.

– Wszyscy pomarli, a ja żyję... – powiedział cicho, w zadumie. – Choć mieli więcej talentu, ducha, charakteru ode mnie. Nawet księżę Czartoryski już odszedł. I oni wszyscy: Adam, Juliusz, Tomasz Zan, Czeczot. I ona, cudowna Salomea... Wszyscy pomarli. Mogłem jedynie napisać niektórym z nich wiersze na nagrobki... Moje miejsce jest przy nich. I przy moich pomarłych dzieciach.

– Jeszcze nie pora, jeszcze możesz trochę pożyć – pocieszał go Maurycy.

Ale Odyniec nie słuchał go i mówił w zamyśleniu dalej:

– Miałem wielkie szczęście, że znałem ich wszystkich, tak jak ty. Tych, co tworzyli nasz wielki romantyzm... Co z niego zostanie? Teraz już inne czasy. Młodzi śmieją się ze mnie, żem ostatni romantyk. Tak! Czuję się jak strażnik pamięci, ich pamięci. Co za czasy nastały, teraz młodzi wyśmiewają się z romantyzmu... Znowu, jak u Śniadeckiego: szkiełko i oko, rozum, nauka, logika... A nasza młodość była piękna, bo pełna uczucia! Wzniosła!

Maurycy kiwał głową. Rozumiał doskonale słowa dawnego przyjaciela. Jego syn Kazimierz, teraz francuski doktor, uświadomił mu boleśnie, że nowe pokolenie nie ceniło ideałów rodziców.

– Tak, oni byli wielcy – powiedział Maurycy. – Stawiali sobie wielkie pytania, wadzili się z Bogiem, z losem, z historią. Szukali sensu dziejów. I sensu ludzkiego życia. Są nieśmiertelni.

– Cóż mogę zrobić? – zapytał bezradnie Odyniec. – Czuję, że mój czas mija, piękny czas naszej młodości.

A wtedy Maurycy, mając przed oczami swoje zapiski płonące w ogniu, powiedział bez namysłu:

– Więc opisz ich! Utrwal. Znałeś ich wszystkich. Daj swoje świadectwo, zachowaj pamięć. Pamięć jest ważna!

Odyniec popatrzył na Maurycego i na chwilę jego przygaśle oczy rozbłyły znów dawnym, młodzieńczym blaskiem. Uśmiechnął się do tej wizji: tak, cudownie byłoby wskrzesić ich dawny, piękny czas! Opisać wileńską młodość, majówki i spotkania filaretów, podróże z Adamem, wszystkich tych pięknych ludzi, których już nie ma, a którzy żyją wciąż w jego pamięci, przychodzą do niego we śnie.

– Masz rację, Maurycy. Trzeba ocalić tamten świat. Bo teraz tylko nauka i nauka... – dodał z niesmakiem.

Maurycy uśmiechnął się.

– À propos nauki. Czytałeś o tych rewelacjach niejakiego Darwina? O teorii ewolucji?

– Tak, czytałem coś... Jakobyśmy wszyscy pochodzili od małpy. – Odyniec uśmiechnął się ironicznie i narysował palcem kółko na czole.

– A wiesz, co mi to przypomina? – zapytał Maurycy. – *Króla-Ducha!* Teorię ewolucji Juliusza Słowackiego... Czytałem fragmenty w rękopisie, kiedy go odwiedzałem przed śmiercią w Paryżu. Tylko u niego wszystko było z ducha, to duch ewoluuje w materii. A u tego Darwina samo doskonalenie życia, choć bez ducha i bez Boga – nie wiadomo po co. I walka, walka, w której silniejsi tylko przetrwają.

– Cóż, może nauka dojdzie kiedyś i do ewolucji świadomości? W każdym razie masz rację, muszę o nich napisać. Cóż mamy więcej nad naszą pamięć?...

Siedzieli razem w milczeniu. Posiwiali, przygarbieni, wychudli. Zjedli przyniesiony chłodnik, potem drugie danie i deser. Patrzyli na ruch na Starym Mieście, na wozy konne i karety, na nowe kroje sukien i surdutów. Świat wokół nich był już inny niż w czasach ich wspólnej młodości, młodym ludziom snuły się w głowach

zupełnie nowe idee i pomysły. A jednak przed oczami widzieli wciąż powracające sceny ze swojej młodości: dawne Wilno pełne rodzącej się poezji romantycznej i pełne śmiechu młodzieży, która uczyła się po polsku od najlepszych profesorów w kraju i marzyła o ruszeniu z posad bryły świata...

Tak, została tylko pamięć. Odyniec postanowił solennie, że temu właśnie poświęci resztę swojego życia: utrwalaniu pamięci o poetach polskiego romantyzmu. Miał przecież szczęście, że znał ich tak dobrze.

BIBLIOGRAFIA

ŹRÓDŁA:

- Łuszczynski Seweryn, *Dziennik Sprawy Bożej*, Warszawa 1984.
- Korespondencja Juliusza Słowackiego, t. I i II, oprac. E. Sawrymowicz, Wrocław – Warszawa – Kraków 1962.
- Łuckiewicz Adam, *Dzieła prozą*, Nowogródek 1934.
- Łyńiec Antoni Edward, *Listy z podróży*, Wrocław 1937.
- <http://www.edusens.pl/literatura/andrzej-towianski-przemowienie-do-polskich-emigrantow-w-katedrze-notre-dame-w-paryżu-1841>
- <http://zfelinski.blogspot.com/2011/09/list-szczesnego-felinskiego-do-teofila.html>
- <https://wolnelektury.pl>
- <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/listy-wybrane/>

OPRACOWANIA:

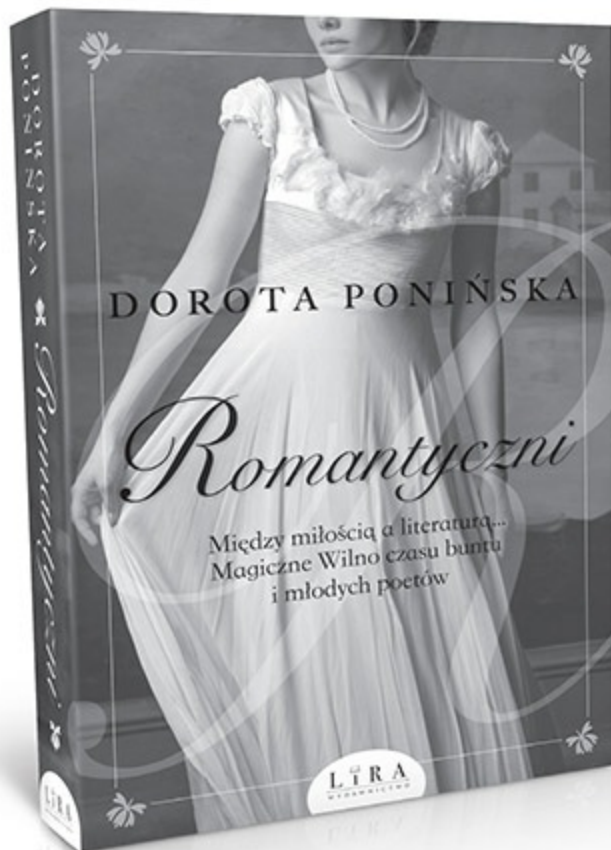
- Ładon Lubomir, *Emigracja polska. Pierwsze lata po upadku powstania listopadowego*, Kraków 1901.
- Łanion Maria, *Gorączka romantyczna*, Warszawa 1975.
- Łanion Maria, *Niesamowita Słowiańszczyzna. Fantazmaty literatury*, Kraków 2006.
- Łełembka Sławomir, *Wielka Emigracja*, Warszawa 1971.
- Łezemieniec. *Ateny Juliusza Słowackiego*, pod red. S. Makowskiego, Warszawa 2004.
- Łętko Jerzy S., *Adampol, polska wieś nad Bosforem*, Kraków 1981.
- Łętko Jerzy S., *Carogrodzki pojedynek*, Kraków 1985.

itkowska Alina, *Wielcy romantycy polscy*, Warszawa 1980.
itkowska Alina, *Wielkie stulecie Polaków*, Warszawa 1987.
itkowska Alina, *Towiańczycy*, Warszawa 1989.
rada Jerzy, *Wielka Emigracja po Powstaniu Listopadowym*,
Warszawa 1987.

BIOGRAFIE:

ychowski Gustaw, *Słowacki i jego dusza*, Warszawa – Kraków 1930.
apska Maria, *Ludwika Śniadecka*, Warszawa 1958.
ernałowicz Maria, *Adam Mickiewicz*, Warszawa 1985.
strun Mieczysław, *Mickiewicz*, Warszawa 1984.
einer Juliusz, *Słowacki*, Warszawa 1972.
akaruk Maria, *Antoni Edward Odyniec – romantyk w zwierciadle
biedermeieru*, Warszawa 2012.
owronek Jerzy, *Adam Jerzy Czartoryski 1770–1861*, Warszawa 1994.
ojtkowska Zofia, *Saga rodu Czartoryskich*, Warszawa 2020.
eliński Jan, *Słowacki. SzatAnioł*, Warszawa 2009.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

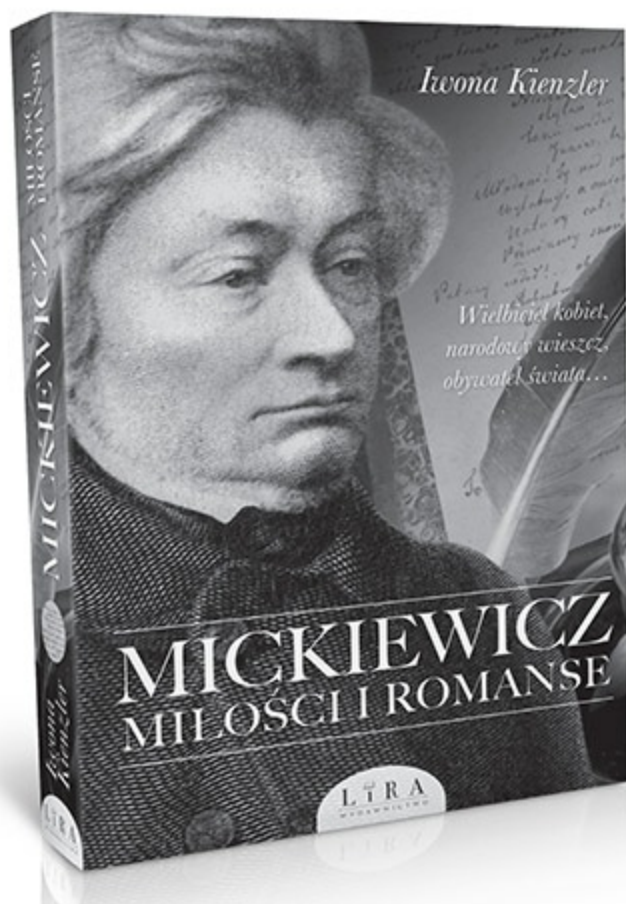


Maurycy, młody szlachcic, wyjeżdża do Wilna, gdzie przeżywa fascynację pogańską słowiańszczyzną i miłość do kobiety, która ją uosabia. Stawia też pytania o istotę polskiej tożsamości, a odpowiedź znajduje w poezjach starszego kolegi – Adama Mickiewicza... Zapraszamy do magicznego Wilna czasu buntu i młodych poetów!

www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH





Gdyby żył dzisiaj, prawdopodobnie byłby bohaterem portali plotkarskich czy tabloidów. Miał na swoim koncie romanse z mężatkami, medialny rozgłos mogłyby mu też przynieść kontrowersyjne poglądy... Iwona Kienzler w swojej książce przybliżyła postać wielkiego poety głównie przez pryzmat jego życia prywatnego i relacji z kobietami.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO






Po upadku powstania listopadowego Maurycy,
dawny filareta z Wilna, trafia do Awinionu.
Jak sobie poradzi z tęsknotą za domem,
biedą i niepewną przyszłością?

Książę Adam Czartoryski negocjuje z zachodnimi
dyplomatami najwyższą stawkę – niepodległość
swojego kraju, a poeci utrwalają idee i nastroje
w nieśmiertelnych strofach.

Osamotniony Juliusz Słowacki marzy o literackiej
sławie i mierzy się z legendą wielkiego rywala –
Adama Mickiewicza. Polski romantyzm rozkwita.
Tymczasem pojawia się tajemniczy prorok z Litwy,
który wszystko odmieni...



Wielkie dzieła, burzliwe spory, bohaterowie
na wygnaniu i niezwykle kobiety, czyli
fascynujący obraz życia polskich emigrantów
w Paryżu w drugiej powieści Doroty Ponińskiej
z cyklu zapoczątkowanego „Romantycznymi”.



www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

Patronat medialny:

 lubimyczytac.pl

Paryskie salony
romantyków

ISBN: 978-83-66966-64-2



9 788366 966642

cena: 39,99 zł
(w tym 5% VAT)

